

# CHRIS

NA WŁASNA, REKĘ

# TVEDT



CHRIS TVEDT TO NOWA GWIAZDA SKANDYNAWSKIEGO KRYMINAŁU

**Chris Tvedt**

# **Na własną rękę**

Przełożyła Dorota Polska

---



Wydawnictwo NASZA KSIĘGARNIA

W serii

**Uzasadniona wątpliwość**

**Na własną rękę**

W przygotowaniu

**W mroku tajemnic**

Dla Elisabeth, która zawsze jest przy mnie,  
nawet w ciężkich chwilach

# Rozdział 1

Otworzyłem oczy, nie mając pojęcia, gdzie się znajduję. Wszystko było zielone. Migotliwe, błyszczące, soczysto zielone. I wszystko się poruszało, tak jakby cały świat drżał przede mną wśród małych, złotych błysków światła.

Uporządkowanie doznań zmysłowych zajęło mi trochę czasu. Zapach ciepłej ziemi i trawy. Krzyk mew i odległe radosne wołania dzieci. Miękkie, letnie powietrze, ocierające się o moją skórę. I nagle wiedziałem już, gdzie jestem. Leżałem na plecach pod wielkim bukiem i patrzyłem na liście kołysane przez wietrzyk. W szczelinach listowia promienie słońca połyskiwały jak małe klejnoty wśród zieleni. Było lato.

Podniosłem się na łokciu i rozejrzałem wokół z głową ciężką od snu. W koszyku obok stała niemal pusta butelka białego wina. Było ciepławe i smakowało odrobinę mdło, ale i tak je wypilem. Po drugiej stronie powinna leżeć Kari, ale nie było tam nikogo, tylko para równo ułożonych sandałów. Znowu się położyłem w oczekiwaniu, a po kilku minutach zobaczyłem, jak idzie przez trawę, skąpana w słońcu, z mokrymi włosami. Kiedy podeszła bliżej, spostrzegłem krople wody migoczące na jej ramionach. Kari jest niska i szczupła, ale zawsze kiedy ją widzę, myślę, że kryje pod ubraniem krągłości. Mnie wydaje się piękna.

Posłałem jej uśmiech.

– Kąpałaś się – zauważyłem.

Zaśmiała się do mnie.

– Przed bystrym adwokatem nic się nie ukryje – odparła. – Przyznaję, kąpałam się. Ty też powinieneś. Było cudownie.

– Mowy nie ma. Kąpię się tylko na Południu. I najchętniej kiedy jestem sam. Właściwie to nie umiem pływać, jedynie unoszę się na wodzie. To upokarzające.

– Woda nie jest zimna, tylko rześka. – Położyła się obok mnie. – A tu masz... coś naprawdę zimnego – dodała, przysuwając się i obejmując mnie udem i ramieniem. Jej skóra była naprawdę chłodna, a mokry kostium kąpielowy nawet bardziej, i aż się zachłysnąłem, gdy dotknęła mojej rozgrzanej od słońca skóry. Nawet nos i usta wtulone w moją szyję były zimne, ale udało mi się znieść to mężnie i leżałem nieruchomo na słońcu, podczas gdy nasze ciała się nagrzewały.

Dobrze było tak leżeć. Zamknąłem oczy, czując na szyi oddech Kari i ciężar jej ciała, miękki nacisk łona na moje udo. Nabrałem na nią ochoty w leniwy i ciepły sposób, którego długo już nie zaznałem. Poczula mój wzwód, przycisnęła się mocniej, a mnie zrobiło się głupio, że leżę tak i wszyscy mogą na mnie patrzeć, więc musiałem przewrócić się na brzuch. Kari pogładziła mnie po plecach samymi opuszkami palców. Zamknąłem oczy i znowu zasnąłem.

Zanim się obudziłem, cienie się wydłużyły, a barwy stały się o ton cieplejsze i głębsze. Kari przykryła moje plecy T-shirtem. Sama zmieniła już ubranie, włożyła skąpy top i krótką białą spódnicę; teraz siedziała po turecku, czytając gazetę. Kiedy wyciągnąłem rękę, by jej dotknąć, z uśmiechem podniosła wzrok.

– Nareszcie się obudziłeś – powiedziała.

Tylko skinąłem głową.

– Spaleś przez cały dzień, wiesz, Mikael?

– Tak. Było cudownie.

– Pomyślałam, że tego ci trzeba. Wiesz, ile czasu minęło, odkąd ostatni raz miałeś wolne? Z pewnością całe miesiące.

Zdawałem sobie z tego sprawę. Ostatni rok minął jak z bicza strzelił na taśmociągu procesów. Narkotyki, przemoc, gwałty, kazirodztwa i jeszcze więcej narkotyków. Dokładnie rok temu wygrałem głośną sprawę o zabójstwo, w dodatku dość spektakularnie. Gazety mnie pokochały i po raz pierwszy doświadczyłem, jak sława może dodać pewności siebie. Dziennikarze są zwierzyną stadną. Jeśli jedna gazeta przeprowadzi z tobą wywiad, to w pozostałych redakcjach zaraz chcą tego samego. Nagle wszystko potoczyło się lawinowo. Zapraszano mnie do debat radiowych i telewizyjnych. Dzienniki prosiły mnie o komentarz do wszystkiego, co między niebem a ziemią. Chciano mnie nawet gościć na premierach teatralnych. A sprawy napływały. Pieniądze również. Byłem na fali – tak wtedy, jak i teraz.

Dziś jednak miałem wolne po raz pierwszy, odkąd pamiętałem, i aż do szpiku kości czułem, jak bardzo jestem zmęczony. Tak jakbym przez rok żył dzięki adrenalinie i nerwowej energii, aż do chwili gdy wyczerpały się zapasy.

– Schudłeś też, Mikael. Za bardzo schudłeś.

Przewróciłem się na drugi bok. Na czole Kari pojawiła się małe zmarszczka, jak zawsze kiedy się zamyślała, i opadł na nie kosmyk włosów, którego ani prośbą, ani groźbą nie mogła poskromić.

– Za dużo pracuję – przyznałem. – Ale to była moja szansa, by się

wybić. Musiałem ją chwytać, póki się dało. Wiem, że to dla ciebie męczące. Że nie zostaje nam wiele czasu dla siebie. I że za często wyjeżdżam.

Spojrzała na mnie poważnie.

– Kocham cię, Mikael. Ale... tak. Pracy jest dużo, a czasu dla nas mało.

– Niedługo będzie lepiej. Dostałem się już tam, gdzie pragnąłem dotrzeć. Mogę teraz trochę zwolnić, być bardziej wybredny, brać tylko te sprawy, które chcę, i odrzucać inne. Będzie lepiej, już wkrótce.

Spojrzała na mnie i skinęła głową, ale zmarszczka nie zniknęła z jej czoła.

Trzymając się za ręce, poszliśmy wąskimi, krętymi, żwirowymi drózkami w cieniu drzew, znaleźliśmy schody prowadzące na brzeg morza i zamówiliśmy obiad w restauracji na nabrzeżu z widokiem na fiord. Po posiłku siedzieliśmy, każde z butelką piwa w ręku, i patrzyliśmy na wodę. Po drugiej stronie fiordu leżały budynki fabryczne i skryte w cieniu doki, ale na północnym zachodzie woda połyskiwała czerwono i żółto w promieniach zachodzącego słońca, a spokój tafli łamały tylko pasma ciągnące się za łódeczkami.

– Za dwa tygodnie – powiedziałem – za dwa tygodnie pojedziemy na urlop. Wyłączę komórkę i nie zabiorę z sobą żadnych papierów. Będziemy tylko my dwoje.

Odezwał się mój telefon. Przez cały dzień milczał; włączyłem go dopiero, gdy poczułem wyrzuty sumienia. Spojrzałem na aparat, potem na Kari i pozwoliłem, by dzwonił. Minutę później melodia rozległa się ponownie – rozeźlone tony dzwonka sprawiły, że ludzie przy najbliższych stolikach obejrzel się z irytacją. Odebrałem.

To była Synne, moja aplikantka. Młoda, zdolna i ambitna. Jej



głos był zdyszany z podniecenia.

– Dlaczego, u licha, nie odbierasz, Mikael? Nie mogłam cię złapać.

– Mam wolne.

– Już nie. Musisz tu przyjechać.

– O co chodzi?

– Pamiętasz zabójstwo, które zdarzyło się wczesną wiosną? Znalaziono zwłoki młodej dziewczyny. Nazwano to sprawą Mai.

– Tak.

– Właśnie telefonowali z więzienia. Oskarżony, Alvin Mo, chce zmienić obrońcę. Wskazał ciebie. Musisz przyjechać. Czeka, aż do niego zadzwonisz.

Westchnąłem.

– Wcale nie muszę, ty do niego zadzwoń. Wiesz, co masz robić, Synne. Pisemne podanie o zmianę adwokata, list do sądu śledczego, kopia dla policji i dotychczasowego obrońcy. Wszystko to umiesz.

– Ale...

– Jeśli chce moich usług, to przyjmie warunki. Zadzwoń do niego i wyjaśnij mu procedurę. Powiedz, że przyjadę, gdy tylko mianują mnie obrońcą.

Niemalże słyszałem, jak bierze się w garść.

– Niech będzie, Mikael, niech będzie. Zajmę się tym. Ale...

– Tak?

– To duża sprawa, prawda?

– Owszem, Synne – przytaknąłem. – Naprawdę duża.

Zakończywszy rozmowę, siedziałem przez chwilę, patrząc w przestrzeń. Sprawa Mai na kilka tygodni zawłaszczyła sobie nagłówki wszystkich gazet. Maja była młodą dziewczyną,

trzynasto- lub czternastolatką. Jej ciało znaleziono na terenach rekreacyjnych poza miastem, okaleczone, ze śladami gwałtu. Kilka tygodni później policja aresztowała podejrzanego. Tyle, z grubsza biorąc, wiedziałem. Gazety oszczędnie podawały szczegóły, ale nie ulegało wątpliwości, że morderstwo było makabryczne.

– O co chodzi? – zapytała Kari.

– O sprawę Mai. Oskarżony chce, żebym został jego obrońcą.

Wzdrygnęła się.

– A zdołasz? Ta sprawa...

Wzruszyłem ramionami.

– Jest nieprzyjemna, ale taki już mam zawód. No i będzie o tym głośno.

W cieplej aurze letniego wieczoru ruszyliśmy do domu, nadal trzymając się za ręce. Asfalt jeszcze nie oddał ciepła słonecznego, które zebrało się w nim za dnia, a barwy płonęły w świetle wieczoru, ale jakaś część magii zniknęła. Nawet po powrocie, kiedy Kari spała u mojego boku przy otwartych oknach, a firanki miękko falowały w podmuchach nocnego wiatru, myśl o sprawie ciążyła mi jak zapowiedź deszczu po ciepłym dniu.

## Rozdział 2

Dzień później powiadomiłem o nowym zleceniu moich partnerów. Peter jest adwokatem procesowym, ale w przeciwieństwie do mnie prowadzi więcej spraw cywilnych niż karnych. Natomiast Finn w ogóle nie uczestniczy w rozprawach. Jest niski, stary i wiotki. Dawniej zajmował się prawem przedsiębiorczości i upadłością. Każdej jesieni i wiosny grozi, że odejdzie na emeryturę. Teraz pomachał ku mnie niezapaloną fajką i spytał:

– I co? W czym problem?

– W niczym – odparłem. – To duża i nieprzyjemna sprawa. Przyciągnie masę uwagi. Chciałem po prostu was uprzedzić.

– Każda reklama jest dobra – skonstatował Finn.

Peter nie wyglądał na równie uszczęśliwionego.

– To prawda. Ale... sam nie wiem. Musimy też przygotować się na to, że zwrócisz na siebie negatywną uwagę, Mikael. Ta sprawa budzi emocje.

– Owszem – przyznałem – jednak taki mamy zawód. obrońcy nie mogą unikać nieprzyjemnych przypadków, bo skoro już jest się w tej grze, to nie można wybrzydząć.

– Pewnie, tylko bądź na to przygotowany. Na kiedy wyznaczono termin rozprawy?

Spojrzałem nań z zaskoczeniem.

– Nie wiem. A jest wyznaczony? Nikt o tym nie wspomniał.

Peter mi się przyjrzał.

– Jestem pewien, że czytałem o tym w gazecie. Myślę, że termin został już ustalony. Nie wybierasz się przypadkiem na wakacje?

Zadzwoiłem do sądu z gabinetu. Termin rozprawy przypadał sześć tygodni później. Moje biuro potwierdziło już, że jestem w tym czasie wolny, czyżbym o tym nie wiedział? Usprawiedliwiłem się i otworzyłem kalendarz w komputerze. Widniało tam czarno na białym: „Sprawa karna – Alvin Mo”.

Jak na sprawę o zabójstwo, nie zostało mi dużo czasu na przygotowanie się. Zrozumiałem, że z wakacji nici.

Synne wsunęła głowę do gabinetu.

– Co do tej sprawy... Chciałbyś, żebym brała w niej udział?

Wydawała się podekscytowana. Wysoka, szczupła, elegancka. Długie palce, długie nogi – dziewczyna w przebraniu kobiety: granatowej garsonce i białej bluzce. Prototyp młodego adwokata.

– W sprawie Mai? – Potrząsnąłem głową. – Wykluczone. Proces rozpocznie się za sześć tygodni. Jeśli ma nam się udać, to powinnaś zająć się innymi, bieżącymi rzeczami.

Wyglądała na rozczarowaną.

– To nieprzyjemna sprawa – powiedziałem. – Powinnaś się cieszyć, że w tym nie uczestniczysz.

Poszedłem do toalety i przemyłem twarz zimną wodą. W świetle jarzeniówki moje odbicie w lustrze było blade i zmęczone. We włosach widziałem już więcej szarych tonów niż czerni, nos zdawał się większy i bardziej zakrzywiony niż kiedykolwiek, pogłębiły się zmarszczki w kącikach ust. Przez moment wydawałem się sobie stary: z lustra spoglądała na mnie twarz ojca. Nigdy nie uważałem, że jesteśmy do siebie podobni, ale czas powoli stał wierzchnią warstwę mej twarzy, odkrywając jej strukturę kostną – tak jak

zimowy krajobraz wyłania się spod topniejącego śniegu. Pod powierzchnią kryły się tajemne znaki pokrewieństwa z ojcem.

Powiedziałem jej o wszystkim przy stole kuchennym, po obiedzie.

– Nadrobimy to, Kari. Zamówię nową wycieczkę, pojedziemy. Gdy tylko sprawa się skończy.

Przyjęła wiadomość ze spokojem, znałem ją już jednak na tyle, że za zrezygnowanym uśmiechem i ostrożnymi słowami wyczułem zawód. Resztę wieczoru spędziła przed telewizorem, podczas gdy ja czytałem.

Kiedy się położyliśmy i przyciągnąłem ją do siebie, przytuliła się, ale w jej ciele była jakaś sztywność, dystans, którego nie potrafiłem pokonać. Długo po tym, jak zasnęła, leżałem, trzymając ją w ramionach, i słuchałem jej równego oddechu w tę letnią noc, tak jakby mógł mnie zapewnić, że na świecie wszystko jest w porządku.

Podczas gdy wygłaszałem standardowe formułki o obowiązku milczenia i zaufaniu, Alvin Mo siedział, kołysząc się na krześle. Wyglądało na to, że niezbyt uważnie śledzi to, co mówię. Jego wzrok zawisł gdzieś nad moją głową. Usta wykrzywił cień uśmiechu. Sam miałem problemy ze skupieniem się na własnych słowach. Alvin Mo przykuwał uwagę swym wyglądem.

Był szczupły, lekkiej budowy, nieco niższy ode mnie. Jego wiek oceniłem na jakieś trzydzieści lat. W sali widzeń było gorąco. Już od dziesięciu dni utrzymywało się wysokie ciśnienie, z dzienną temperaturą sięgającą ponad dwadzieścia pięć stopni – i nic nie wskazywało na to, że sytuacja się zmieni. Alvin siedział w ciasnych spodenkach treningowych i cienkim T-shircie. Jego skóra błyszczała od potu.

Miał całkowicie bezwłose ciało, gładkie ręce i nogi, a głowa lśniła

jak kula bilardowa. Na twarzy nie mogłem dostrzec nawet śladu brwi czy rzęs. Jego rysy sprawiały wrażenie dziwnie zatartych, małe uszy osadzone były tuż przy głowie, a nos i usta wyglądały jak u dziecka. Tylko oczy wydawały się normalnej wielkości – bladoniebieskie, zamysłone. Całość sprawiała dziwne i niepokojące wrażenie, tak jakby Alvin Mo należał do osobnej, niezupełnie ludzkiej rasy.

Mój głos z wolna umilkł i w pomieszczeniu zapadła cisza. Pozwoliłem, by milczenie pogłębiało się między nami, ale jemu najwyraźniej nie doskwierało to w najmniejszym stopniu. Nadal unikał mojego wzroku.

– Proszę posłuchać – odezwałem się po chwili. – Zastanawiam się... To może niezręczne pytanie, ale ciekawi mnie, dlaczego nie ma pan włosów. To wrodzone czy...

Przerwał mi zapalczywie.

– Nie, nie, to nie tak! Gole się. Nie lubię włosów. Są ohydne. Nigdy nie czuję się z nimi dość czysty.

– Goli pan wszystko? Całe owłosienie?

– Absolutnie wszystko.

– Nie jest to czasochłonne? To znaczy... Ile czasu panu to zajmuje?

– Zabiera mi to godzinę i kwadrans.

– Codziennie?

Zachowywał absolutną powagę.

– Tak, każdego ranka. To pierwsza rzecz, jaką robię. Nie mogę... nie jestem w stanie zrobić nic innego, dopóki nie skończę się golić.

Kiwnąłem głową, ale nie wpadłem na żadną rozsądną odpowiedź, więc w pokoju znów zaległa cisza.

– Mieszka pan sam? – zagadnął niespodziewanie. Po raz

pierwszy spojrział na mnie, a jego wzrok nie był już rozkojarzony, tylko zaciekawiony i bystry.

– Ja? Nie, mieszkam z dziewczyną. Dlaczego pan pyta?

Jakby nie dosłyszał.

– Ile ma lat? Jak wygląda?

– Trzydzieści dwa, a wygląda całkiem zwyczajnie.

– Jest szczupła? Jasne czy ciemne włosy?

– Szczupła. Blondynka.

Zdawało się, że nie wyczuł mojej niechęci.

– Jak ma na imię?

Wyprostowałem się na krześle.

– Niech no pan posłucha, skąd te wszystkie pytania?

Jego głos zaostrzył się od irytacji.

– Po prostu pytam. Jak ma na imię?

Słowa nadeszły tak nieoczekiwanie i zabrzmiały tak rozkazująco, że już miałem odpowiedzieć, gdy niepokój i odraza, jakie budził we mnie ten człowiek, wzięły górę i aż wstałem z miejsca.

– Nic panu do jej imienia!

Wycofał się do środka jak ślimak. Jego oczy znów patrzyły obojętnie, utkwiał wzrok w jakiś punkt ponad moją głową. Tym razem nie miałem jednak zamiaru mu na to pozwolić.

– Niech mnie pan posłucha. I proszę na mnie popatrzeć. Niech pan na mnie patrzy, kiedy mówię.

Jego spojrzenie spotkało się z moim.

– Jestem tutaj, ponieważ oskarżono pana o morderstwo i potrzebuje pan adwokata. Tylko dlatego. To oznacza, że musimy porozmawiać o pańskiej sprawie, tak bym mógł zapewnić panu jak najlepszą obronę. Reguły tej gry są proste. Cokolwiek mi pan zdradzi, nie wyjdzie to poza ten pokój. Ale to ja zadaję pytania.

I będziemy mówić o sprawie oraz o panu samym w takim stopniu, w jakim wiąże się to ze sprawą. Tematem rozmowy nie będę ja, moje życie prywatne ani moja dziewczyna. Jeśli trzeba panu partnera do pogawędki, proszę wezwać księdza albo załatwić sobie innego obrońcę.

Zrobiłem pauzę i spojrzałem na niego. Patrzył na mnie nieruchomo. Pozwoliłem, by słowa przebrzmiały, a po kilku sekundach dodałem ciszej:

– Jasne? Albo moje reguły gry, albo wychodzę.

Z uśmiechem podniósł ręce.

– Jasne jak słońce, panie mecenasie.

– Proszę o tym nie zapominać. Możemy wrócić do sprawy?

Tak też zrobiliśmy, ale nie wyniosłem wiele z tej rozmowy. Alvin Mo był na miejscu zbrodni. Spotkał nawet ofiarę, Maję. Rozmawiali przez parę minut, po czym odszedł. Nic więcej właściwie nie wiedział. Nie otrzymałem jeszcze dokumentów, więc nie naciskałem.

– Jaka ona była? – spytałem. – Mam na myśli zabitą dziewczynę, Maję. Jakie zrobiła na panu wrażenie?

– Była... – próbował dobrać słowa – ...młoda. I ładna. W zasadzie jeszcze dziewczynka. I wydała mi się bardzo niewinna. Ale...

– Tak?

Odpędził myśl.

– Nie, nie wiem. Nic takiego. Widziałem ją tylko parę minut.

Nie naciskałem, choć coś mi nie grało w jego doborze słów. Słowo „ale” zawisło w powietrzu.

Wstałem.

– Niewiele więcej mogę zrobić przed uzyskaniem dokumentów. Wrócę, gdy tylko je dostanę i przeczytam.



Skinął głową i podniósł się grzecznie.

Wyszedłszy na światło dzienne, poczułem ulgę. Alvin Mo nie był przyjemnym kompanem i przygnębiła mnie myśl o tym, ile jeszcze godzin spędzę z nim w najbliższych tygodniach.

## Rozdział 3

Dwa dni później kurier przyniósł dokumenty, dwie pokaźne paczki z segregatorami. Papierów było dużo więcej, niż się spodziewałem. Otworzyłem paczki, ustawiłem segregatory w prawidłowej kolejności na parapecie, po czym zacząłem im się przyglądać zza biurka. Czułem niechęć do rozpoczęcia pracy, do zagłębienia się w niuanse zabójstwa młodej dziewczyny. Na zewnątrz wciąż utrzymywało się letnie ciepło.

Dokumenty, które towarzyszą sprawie karnej, cechują się zawsze dziwną dwoistością. Pod względem formy są biurokratyczne i suche jak pieprz. Nie znajdzie się w nich ani jedna strona niezgodna ze schematem, ani jeden niewłaściwy formularz. Język jest oschły, bez życia, a czasem nawet zadziwiająco kiepski. Nie wszyscy śledczy potrafią wysławiać się na piśmie. Ponadto duża część tekstu jest nudna i nie ma znaczenia dla sprawy: przesłuchania oraz raporty, które nie wnoszą w jej tok nic nowego lub ważnego, poszlaki, za którymi się podąża, ale które donikąd nie prowadzą. Wszystko to składa się w całość według stałego systemu – najpierw raporty, potem sprawozdania z przeszukań, konfiskaty i tak dalej. Na niewtajemniczonych robi to dość chaotyczne wrażenie i nawet kiedy ktoś jest już zaznajomiony z systemem, mija dobra chwila, zanim dotrze do niego pełny obraz zbioru. W miarę jednak jak się czyta stronę za stroną suchych raportów i formularzy, sprawa

nabiera życia. Z wolna tworzy się jej obraz, opisany zostaje skrawek rzeczywistości. Fragment życia wielu ludzi, których drogi się krzyżują. Ślady krwi i śmierci, tęsknoty i żałoby.

Za słowami kryje się rzeczywistość, tego popołudnia nie miałem zaś siły jej do siebie dopuszczać. Na razie Maja była dla mnie tylko imieniem. Wiedziałem, że wkrótce stanie się czymś więcej, ale jeszcze nie dziś.

Zadzwoiłem do Kari i zaprosiłem ją na kolację w restauracji.

Noc wypełniał zapach kapryfolium, słodki i ciężki jak perfumy. Szliśmy do domu powoli, obok siebie.

– Jak ci idzie z nową sprawą, Mikael? – zagadnęła Kari. Przez wiele lat pracowała dla mnie jako sekretarka. Teraz studiowała dziennie prawo, ale wciąż interesowała się tym, co działo się w firmie.

– Nie wiem, właściwie to jeszcze nie zacząłem nic robić w tym kierunku. Poza wizytą w więzieniu.

– Jak było?

Opowiedziałem jej o Alvinie Mo i mimo ciepłej nocnej aury aż się wzdrygnęła.

– Wydaje się odpychający.

Przez chwilę szliśmy w milczeniu. Czuliśmy się dobrze, kolacja nam smakowała, jednak wyczuwałem w Kari jakąś rezerwę, która mi się nie podobała.

– Zamówiłem nowe bilety do Włoch. Pojedziemy tam po zakończeniu sprawy.

– W porządku.

– Wciąż jesteś na mnie zła za to, że przełożyłem wyjazd?

– Nie jestem zła. Wcale się o to nie gniewałam.

– Więc o co chodzi?

Westchnęła, jakby miała do czynienia z niedomyślnym dzieckiem.

– Byłam zawiedziona i zrobiło mi się przykro.

Teraz to ja westchnąłem.

– Tak już jest, Kari. To po prostu... pech. I nie możesz przecież boczyć się na mnie tygodniami.

– To tylko parę dni.

Właściwie nie była to kłótnia, ale coś między nami nie grało, przy czym żadne z nas nie umiało tego nazwać, więc każdemu zdaniu towarzyszyło echo niedopowiedzenia.

Kiedy już leżeliśmy obok siebie w ciemności, zapytała nagle:

– Wiesz, jak często się ostatnio kochamy?

– A kto to liczy? – odparłem.

– Wcale nieczęsto. Właściwie to całkiem rzadko.

Nieco później rzuciła w ciemność:

– Kocham cię, Mikael. Ale związek trzeba pielęgnować. Jeśli nie będziesz dawał nic z siebie, to kiedyś przestanę cię kochać. Musisz chcieć mnie zatrzymać.

A jeszcze później:

– Myślę, że ty też mnie kochasz, lecz powinieneś mi to okazywać. Przynajmniej od czasu do czasu. Rozumiem, że dużo pracujesz i że jesteś zmęczony, ale musisz... zostawić też coś dla nas.

Wiedziałem, że ma rację, i coś mnie kusiło, by obrócić się do jej ciepła. Narzekała jednak, że za rzadko się kochamy. Była trzynaście lat młodsza ode mnie i w chwilach zmęczenia czułem różnicę wieku, więc zamiast ją przygarnąć, leżałem sztywny i obrażony, wbijając wzrok w bladą letnią noc aż do świtu.

Następnego ranka zasnęłam, a gdy wreszcie dotarłem do biura, za nic nie mogłem zabrać się do pracy. Chodziłem od gabinetu do

gabinetu i zamęczałem kolegów niestrudżonymi pogawędkami o niczym, dopóki mnie nie wyrzucali, jeden po drugim. Segregatory z dokumentami w sprawie Mai stały na parapecie, napełniając mnie odrazą tak intensywną, że nieomal fizyczną. Przez chwilę bawiłem się myślą, czyby nie zrezygnować z udziału, nie rzucić tego w cholerę i nie zabrać Kari na długie wakacje, ale długo harowałem, żeby znaleźć się tam, gdzie byłem, i wiedziałem, że nie zdobędę się na taki krok.

Pomyślałem o Alvinie Mo, o jego bladej, bezwłosej twarzy, zamyślnym wyrazie oczu i zastanowiłem się, co mogło się dziać w jego głowie. Jakimś sposobem musiałem wniknąć pod powierzchnię i dowiedzieć się, kim naprawdę jest Mo.

Wreszcie otworzyłem pierwszy skoroszyt i zagłębiłem się w lekturze. Zacząłem od danych personalnych swojego klienta i nie zdziwiłem się, odkrywszy, że już wcześniej miał problemy. W wieku dwunastu lat wylądował w domu dziecka. Z dokumentów nie dało się wyczytać dlaczego. W trakcie pobytu w ośrodku wytoczono mu dwie sprawy, obie na tle seksualnym, a ponieważ był nieletni, oddano go w ręce urzędu do spraw opieki nad dziećmi. W następnych latach karano go za narkotyki, kradzieże, w tym kradzieże samochodów, ale nic poważnego, do czasu gdy kilka lat temu skazano go za dwa gwałty. Wyroki zostały załączone. Były to brutalne napady połączone z gwałtami, podczas których Alvin groził ofiarom nożem.

Zadzwoiłem do Kari i powiedziałem, że się spóźnię, po czym kontynuowałem lekturę. Bałem się przejrzeć skoroszyt ze zdjęciami. Kiedy do niego dotarłem, przekartkowałem go pospiesznie, tak że niemal nie odnotowałem szczegółów. Wystarczyło. Żołądek podszedł mi do gardła, musiałem zamknąć

oczy i przez kilka minut oddychać głęboko, by się uspokoić.

Nim skończyłem, nastał już wieczór. Przez całą drogę do domu zarówno sprawa, jak i zdjęcia żyły w mojej wyobraźni, a w nocy spałem niespokojnie. Nad ranem w moich myślach wciąż tkwiły fragmenty koszmaru o zmasakrowanym ciele dziewczyny, jak nitki pajęczyny, przez co miałem mdłości i byłem zmęczony, jeszcze zanim dzień zaczął się na dobre.

## Rozdział 4

Od zabójstwa Mai do aresztowania Alvina Mo minęły trzy tygodnie. Tym, co z początku zwróciło nań uwagę policji, była jego kryminalna przeszłość. Pograżył go zaś stary pickup Toyoty.

Mają zamordowano we wtorkowe przedpołudnie w samym środku popularnych terenów rekreacyjnych, w zagajniku przy jednym z miasteczek, które powstały w latach sześćdziesiątych. Jej zwłoki były na wpół ukryte pod paroma krzakami w małym zagłębieniu między dwiema skałami, nie więcej niż pięćdziesiąt metrów od ścieżki turystycznej. Szarzało, kiedy znalazła ją grupa poszukiwawcza, dzień po tym, jak rodzice zgłosili zaginięcie. Nie było żadnych wątpliwości, że padła ofiarą morderstwa. Ci dwaj, którzy ją znaleźli, obrzucili wzrokiem zmaltretowane ciało i wycofali się ostrożnie po własnych śladach, a następnie zawiadomili władze. Śledczy z policji kryminalnej znaleźli się na miejscu jeszcze tego samego dnia po południu. Doświadczeni technicy kryminalistyczni, którzy tam przybyli, musieli się odwrócić i zrobić sobie przerwę, zanim wrócili do przeszukiwania terenu. Maja była naga. Jej ubrania leżały schludnie złożone pięć metrów od ciała. Zakneblowano ją gumową kulą przymocowaną do głowy za pomocą skórzanych rzemieni. Jej ręce były związane na plecach szeroką brązową taśmą. Została zgwałcona, a jej ciało okaleczono. Dwa noże, tapicerski i zwykła finka z niebieską

rękojeścią z plastiku, leżały na ziemi obok ciała, oba brunatne od zakrzepłej krwi.

Oprócz noży technicy nie znaleźli wiele na miejscu zbrodni. Wprawdzie dookoła poniewierało się trochę śmieci, opakowania po czekoladzie, jakieś niedopałki i pusta butelka, ale dla ludzi, którzy wiedzieli, czego szukać, jasne było, że te przedmioty leżały tam na długo przed morderstwem.

Dziewczynę wykorzystano seksualnie, ale ku zdziwieniu techników nie znaleziono żadnych śladów materiału biologicznego ani na zwłokach, ani w najbliższym otoczeniu. Badania podjęte w czasie obdukcji również nie dostarczyły nowych tropów.

Ubrania Mai ostrożnie zabezpieczono i zbadano w laboratorium. Odnaleziono na nich trzy różne włosy – poza włosami samej ofiary – które poddano analizie DNA.

Na ciele oraz na ziemi odkryto białe włókna materiału organicznego. Po bliższym badaniu stwierdzono, że to celuloza. Nikt nie rozumiał, skąd pochodzi materiał, zanim jakaś mądra głowa z laboratorium kryminalistycznego nie powiązała znaleziska z brakiem innych pozostałości na miejscu zbrodni i porównała włókna z jednorazowymi kombinezonami z papieru, których używali policjanci w trakcie sprawdzania terenu. Włókna okazały się identyczne. Technicy byli pewni, że skrawki nie pochodzą z ich kombinezonów. Śledczy wywnioskowali, że zabójca najprawdopodobniej użył odzieży ochronnej, aby uniknąć pozostawienia śladów.

Pod nadzorem policji kryminalnej pracownicy lokalnego posterunku zaczęli żmudną akcję ustalania, kto w danym okresie poruszał się po terenie, na którym popełniono przestępstwo. Media nakłaniały ludzi do zgłaszania się, tych zaś, którzy to zrobili,



gruntownie przesłuchano. Wszystkie informacje o trasach wędrówek, czasie oraz o tym, kogo spacerowicze spotykali po drodze, zapisywano w komputerze. Ponadto policja sprawdziła, jakie samochody stały na parkingu położonym na obrzeżach terenu rekreacyjnego, z którego często korzystali turyści. Była to powolna i drobiazgowa praca, układanka, ale po pewnym czasie oczom śledczych ukazał się wyraźny wzór.

W tamten wtorek wielu ludzi wyszło na spacer. Powoli, lecz nieubłaganie większość z nich została zidentyfikowana i przesłuchana, zeznania porównano z relacjami innych, po czym wykluczono ich ze sprawy. Spora część z nich spotkała Maję. Kilka osób z nią rozmawiało. Gdy zestawiono czas tych spotkań z przemieszczeniami ludzi, stało się całkiem jasne, kiedy po raz ostatni widziano dziewczynę przy życiu. Wreszcie policji zostały trzy osoby, które przebywały w okolicach miejsca zbrodni w danym przedziale czasu, a których wciąż nie zidentyfikowano. Były to dwie kobiety – młoda i starsza – oraz mężczyzna po trzydziestce. Młodszej z kobiet nie udało się zidentyfikować. Starsza była, zdaniem śledczych, osiemdziesięciolatką, która często chodziła na spacer i zmarła na atak serca zaledwie trzy dni później. Tak czy inaczej, policję najbardziej zainteresował niezidentyfikowany mężczyzna. Nie rozmawiał z nim żaden ze świadków, wielu natomiast widziało go przed zabójstwem na drodze prowadzącej w głąb obszaru. Nikt nie widział, żeby wracał.

W tym samym czasie inna grupa detektywów opracowała listę przestępców seksualnych z wyrokami na koncie, osiadłych w mieście i jego okolicach. Na liście figurowało nazwisko Alvina Mo, którego właśnie wypuszczono z więzienia po odbyciu kary za dwa brutalne napady połączone z gwałtami.

Sprawdzono auta stojące na pobliskim parkingu, po czym wyłączono je ze śledztwa. Tylko dwóch samochodów nie rozpoznano jako należących do świadków, którzy się zgłosili. Jediną cechą pierwszego modelu, jaką udało się ustalić policji, był czerwony lakier. W drugim wozie wielu świadków rozpoznało pickup marki Toyota. Kiedy śledczy wydrukowali listę właścicieli samochodów tego typu, które zostały zarejestrowane w województwie, i zestawili ją z listą przestępców seksualnych na wolności, okazało się, że w obu wykazach przewija się jedno nazwisko. Alvin Mo.

Mo został aresztowany w piątek po południu. Policja kryminalna przesłuchiwała go przez cały weekend, ale twierdził, że nie ma nic wspólnego ze zbrodnią. Najpierw mówił, że w ogóle nie było go w tamtej okolicy, jednak w niedzielę wieczorem przyznał, że tam był i rozmawiał z Mają. Zaprzeczył jednakże, jakoby to on ją zamordował. Przez weekend przeszukano jego mieszkanie. Dokonano tam szeregu znalezisk, które mogłyby wiązać Mo ze zbrodnią, przy czym żadne z nich nie wydawało się rozstrzygające. Atutem policji były włosy Mai znalezione na bluzie Mo w jego własnym domu. W poniedziałek osadzono go w areszcie śledczym, w którym przebywał aż do obecnej chwili.

Było parno. Fala upałów osiągnęła szczyt i mimo wczesnego wieczoru oraz jazdy przy otwartym oknie okropnie się pocilem, a biała koszula przylgnęła mi do ciała. Panowała wysoka wilgotność powietrza, a na horyzoncie czarne cienie pięły się aż po wieczorne niebo. Kiedy zaparkowałem przed więzieniem, wśród zwałów chmur dostrzegłem błyskawicę. Deszcz był tylko kwestią czasu.

Mo wydawał się spokojny i zrównoważony. Zacząłem się już

przyzwyczajając do jego wyglądu i łatwiej mi się z nim rozmawiało. Słuchał uważnie i odpowiadał sensownie. We dwóch analizowaliśmy jego wyjaśnienia, po czym zadawałem następne pytania.

– Skoncentrujmy się na kłopotliwych kwestiach – poprosiłem. – Tym, co na pewno wypłynie w sądzie, są już pierwsze z pańskich zeznań.

– Dlaczego? – Jego oczy były błyszczące i bez wyrazu. Nie miałem pojęcia, co kryje się w ich głębi.

– Ponieważ są dwie sprawy, które wymagają wytłumaczenia. Po pierwsze nie zgłosił się pan, kiedy policja przesłuchiwała świadków w kolejnych dniach po morderstwie. Na przesłuchaniu stwierdził pan, że nie chce tego komentować. To nie wystarczy. Po drugie skłamał pan w czasie pierwszego przesłuchania. Powiedział pan, że nie było pana na obszarze, gdzie zabito Maję. Zaprzeczył pan także, że ją pan spotkał.

– Przecież wcale nie musiałem się zgłaszać. Ani odpowiadać na pytania.

W zasadzie niczego o nim nie wiedziałem. Nie wiedziałem, czy jest głupi, czy inteligentny, w pełni zmysłów czy kompletnie szalony.

– Nie, nie musiał pan robić ani jednego, ani drugiego. Ale normalni ludzie by tak postąpili. A sprawa stanie się obiektem osądu ławy przysięgłych, która uzna, że najpewniejszym powodem pańskiego postępowania było to, że to pan zamordował. Dlatego musi pan odpowiedzieć.

Przez chwilę gapił się w przestrzeń. Potem powoli skinął głową.

– Okej. Bałem się. Nie miałem odwagi się zgłosić. Wie pan, że byłem już karany. Bałem się, że zechcą to na mnie zwalić. Teraz

widzę, że to było nieprzemyślane, ale spanikowałem. To dlatego też mówiłem na początku, że mnie tam nie było. Tego również nie przemyślałem.

– W porządku. Jest to jakieś wyjaśnienie.

Poza tym uzyskałem odpowiedź na pytanie, które sobie zadawałem. Alvin Mo nie był ani głupi, ani pozbawiony kontaktu z rzeczywistością. Niewykluczone, że był mordercą, ale jego umysł pracował całkiem nieźle.

W najdrobniejszych szczegółach przeanalizowaliśmy spacer, jaki odbył tego feralnego dnia. Która była godzina. Mniej więcej ile czasu zajęło mu przejście poszczególnych odcinków. Gdzie spotkał Maję, o czym rozmawiali, jak długo siedzieli na ławce, w jakiej odległości od siebie. Mo miał dobrą pamięć, więc zapełniałem notatkami kartkę za kartką. Rozprawiliśmy się z jego powrotem do domu, przy czym wertowałem protokół z przesłuchania w tę i z powrotem, żeby porównać dane.

– W drodze do domu spotkałem dziewczynę... a raczej młodą kobietę. W moim wieku albo trochę młodszą.

Skinałem głową.

– Tak, widzę, że mówił pan o tym także podczas przesłuchania. Ale nie zgłosiła się żadna młoda kobieta, która by zapamiętała spotkanie.

– Niemniej jednak ją spotkałem. Zatrzymała mnie i o coś spytała, chyba o drogę.

– Gdzie pan ją spotkał?

Pokazał palcem na mapie.

– Myślę, że to było tutaj. Między tym a tym miejscem.

– Zdarzyło się może, że zboczył pan z drogi, poszedł na skróty czy coś w tym rodzaju?

– Taa, raz. Myślałem, że mogę pójść na skróty, ale zawędrowałem na bagno i musiałem zawrócić.

Przerzuciłem kilka kartek.

– Dlaczego nie ma nic o tym w protokole?

– Wydaje mi się, że mówiłem o tym policji. Tak, jestem tego pewien.

– Później przeczytam cały raport dokładnie. Schodził pan z drogi gdzieś jeszcze?

– Nie. Chociaż... odlewałem się.

– A dokładniej?

– Poszedłem na stronę, żeby się odlać. Ukryłem się za paroma krzakami, tak by nadchodzący ludzie nie mogli mnie dostrzec.

– Tego też nie ma w protokole.

– Aha. W takim razie musiałem zapomnieć.

– No dobrze. Jeszcze jedna kwestia. Ma pan już na koncie wyrok za gwałt. Prokurator to wykorzysta.

Na jego twarzy rozlał się wyraz irytacji, jak u obrażonego dziecka.

– Niby dlaczego? Tamta sprawa jest już zakończona.

– Tak czy inaczej, zostanie poruszona.

– Kłamały. Te kobiety kłamały. Dostały dokładnie to, czego chciały, a potem kłamały w sądzie. Zupełnie tak jak za pierwszym razem.

– Jakim pierwszym razem? Dokumenty milczą o wcześniejszych wyrokach.

Uśmiechnął się triumfalnie.

– No właśnie! Sam pan widzi. To było w domu dziecka... Jedna dziewczyna doniosła, że ją niby zgwałciłem... ale sprawę umorzono. Nikt jej nie uwierzył.

– Niech pan o tym nie wspomina w sądzie.

– Dlaczego? To tylko dowodzi, jak kłamliwe bywają kobiety.

Zrezygnowany spróbowałem wyjaśnić mu powód oraz wytłumaczyć, jak powinniśmy rozegrać sprawę w sądzie. Słuchał i kiwał głową, lecz nie wyglądał na przekonanego.

Szykowałem się już do wyjścia, kiedy spojrzał na mnie ze zmienionym wyrazem twarzy i spytał, dlaczego nie przyniosłem ze sobą wszystkich dokumentów. Powiedziałem, że jest ich za dużo.

– Dlaczego pan pyta?

Wzruszył ramionami.

– Po prostu miałem ochotę je zobaczyć.

– Sporo tego. Biorę to, czego potrzebujemy, na każde spotkanie.

– Rozumiem. – Siedział bez ruchu. – Widział pan zdjęcia?

– Mai? Tak, widziałem.

– Na pewno... na pewno były odrażające – stwierdził, ale błysk w oczach i nagłe wyczuwalne podniecenie, gdy to mówił, sprawiły, że ogarnął mnie niepokój i zrobiło mi się niedobrze.

Na zewnątrz padał deszcz, duże krople bębniły w dach i w jednej chwili zamieniły ulice w potoki. Po przejściu krótkiego odcinka między bramą więzienia a samochodem nie została na mnie sucha nitka. W ciągu kilku godzin temperatura spadła o jakieś dziesięć stopni i drżałem za kierownicą w ślimaczącym się ciągu aut.

Kiedy wróciłem do domu, w kuchni leżała kartka od Kari. Wybrała się do rodziców, mieszkających na wyspie godzinę drogi od miasta, i zakładała, że zostanie tam kilka dni. Pod spodem narysowała trzy serca, jednak przyszło mi do głowy, że mogła przecież zadzwonić do mnie na komórkę. W lodówce były resztki obiadu do odgrzania, ale też zimne piwo z kolejną kartką od Kari: „Na osłodę samotności”.



## Rozdział 5

Upał się utrzymywał. W niektóre popołudnia niebo zasnuwały chmury i następowała ulewa, ale kilka godzin później, kiedy się przejaśniało, znów było gorąco, a powietrze miało domieszkę lepkiej wilgoci, od której ludzie pocili się i irytowali.

Pewnego ranka nałożyłem T-shirt i szorty, uzbroiłem się w mapę i stoper, po czym wybrałem się na zwiady w terenie, na którym zabito Maję. Na wąskich, krętych, wysypanych żwirem ścieżkach między drzewami było duszno. Spotkałem bardzo niewielu ludzi i przyszło mi do głowy, że większość z tych, którzy mieli wolne, udała się nad morze.

Wystarczyło kilka minut wędrówki, żebym przestał być widoczny z zabudowań. W lesie panowała głucha cisza, nie docierał tutaj żaden dźwięk ruchu drogowego. Słyszałem jedynie leniwe brzęczenie owadów i pojedyncze głosy ptaków.

Prawie rok temu tymi samymi ścieżkami szedł morderca. Próbowałem sobie wyobrazić, jak musiał się wtedy czuć, w jakim był stanie ducha. Z pewnością odczuwał wielkie podniecenie. Zaplanował tę zbrodnię. Zbyt dobrze ją przygotowano, żeby mogła zostać dokonana pod wpływem impulsu. Noże, taśma, kostium ochronny – musiał spakować to wszystko do torby, zanim ruszył w drogę. Trudno sobie wyobrazić, co czuł. Podniecenie seksualne na myśl o tym, co miało nastąpić? O, tak, ale niewykluczone, że



targały nim również lęk i rozpacz. Może nie podjął jeszcze ostatecznej decyzji? Może walczył z własnymi demonami? Mógł niejeden raz przechodzić tędy z poczuciem narastającej frustracji, napięty jak struna, aż wreszcie nie zdołał dłużej kontrolować swoich impulsów.

A może po prostu się cieszył, drżał z wyczekiwania, wolny od rozterki.

Nawet nie wiedziałem, czy ofiara została wcześniej upatrzona, czy też błądził tu, do czasu aż spotkał kobietę lub dziewczynę, która miała w sobie coś, co go rozpało. Była dość niewinna, dość wyzywająca albo cechowała się czymś innym, co sprawiło, że szal i żądza mordercy oraz jego potrzeba niszczenia przebrały miarę.

Dotarłem nad mały staw. Woda była czarna i lśniąca, a w tafli perfekcyjnie odbijały się drzewa i błękitne niebo. Wzdłuż brzegu rozstawiono ławki. Jedna z nich stała w cieniu. Usiadłem na niej i zatrzymałem stoper. Spokojnym tempem doszedłem tu w siedemnaście minut.

Pobłądziłem nieco, zanim znalazłem miejsce zbrodni, ale kiedy już na nie dotarłem, nie miałem żadnych wątpliwości. Małe zagłębienie w terenie było ukryte przed ludzkim wzrokiem. Po obu jego stronach niczym ciemne mury wznosiły się dwie skały. W szczelinie pomiędzy nimi rosły gęste krzaki, przed którymi leżała trójkątna polanka. Wyszedłem z gęstego lasu porastającego obrzeża rozpadliny i stanąłem na skraju polany. Z gałęzi krzewów wciąż zwisały resztki taśmy policyjnej, wyblakłe od deszczu i słońca. Usiadłem na kamieniu leżącym na skraju polany. Miejsce przepelniał spokój. Powietrze aż dźwięczało od owadziego życia. U moich stóp pracowite mrówki wydeptały ścieżkę. W promieniach słońca fruwały motyle i pojedyncze trzmiele. Kilka irytujących

muszek najwidoczniej bardzo polubiło smak potu na moich nieosłoniętych ramionach. Po chwili zrezygnowałem z ich odganiania.

Zamordowano tu młodą dziewczynę. Widziałem zdjęcia z miejsca zbrodni. Były makabryczne, niemal nierealne, ale wtedy ofiara już nie żyła. Zużyta, zniszczona, wyrzucona. Siedząc na kamieniu, próbowałem sobie wyobrazić sam przebieg przestępstwa. Ból. Zapachy. Wściekłość i podniecenie mordercy, któremu puściły wszystkie hamulce. Próbowałem go zobaczyć, ubranego w biały kombinezon ochronny. Może z maseczką higieniczną na twarzy i nakładkami na butach? Oraz w nakryciu głowy. Tak mi się wydawało. Sprawca przemyślał, zaplanował swoją akcję i uważał, żeby nie pozostawić śladów biologicznych. Lęk ofiary. I czyny. Niewyobrażalne czyny.

Nie, to nie było możliwe. Moja świadomość wzdragała się przed ich uznaniem. Myśli rozbiegały mi się przy każdej próbie zbliżenia się do obrazu tego, co się tutaj stało, tak jak dwa bieguny magnesu, które tym silniej się odpychają, im bardziej się do siebie przybliżą. Przyłapałem się na myślach o ojcu. O Kari. O wakacjach, na które miałem się wybrać za kilka tygodni. O czymkolwiek innym niż to, co wydarzyło się tutaj. Wstałem i ruszyłem z powrotem do domu.

Znalazłem miejsce, w którym – jak sądziłem – Mo próbował pójść na skróty, na prawo od punktu, gdzie zaczynał się staw. Po pięćdziesięciu metrach pod moimi nogami zaczęło chlupotać. Przez jakiś czas skakałem z kępy na kępę, ale teren stawał się coraz bardziej podmokły, aż wreszcie nie sposób było iść dalej. Zrobiłem notatkę na mapie i cofnąłem się na ścieżkę.

Jadąc do domu, myślałem o Alvinie Mo. Nie umiałem wyobrazić sobie, w jaki sposób morderca rozumował, funkcjonował i co czuł.

Nie potrafiłem też zwizualizować sobie samego czynu: po prostu nie byłem w stanie. Miałem jednak w głowie obraz sprawcy, ubrań, które nosił, jego prawdopodobnego wyglądu – i zdałem sobie sprawę, że to Alvin Mo, ubranego w biały kombinezon z papieru, widziałem oczami wyobraźni, że to Mo pochylał się nad Mają, Mo chwycił nóż i...

Wzdrygnąłem się. Zdarzało się, że wierzyłem w winę moich klientów. Rzadko się tym przejmowałem. Nie wiedziałem, czy mam rację, nie chciałem wiedzieć. Trzymałem się dowodów i wykonywałem obowiązki, które mi powierzono. Tym razem sprawa wyglądała inaczej. Ten, kto zabił Maję, był bardzo chorym człowiekiem. Wątpiłem, by taka osoba zadowolili się jednym morderstwem. Raczej zabije znowu. Sprawcą musiały kierować potężne uczucia. Myśl o tym, że może pracuję po to, by nasłać go na kolejne ofiary, nie była wcale przyjemna. Odsunąłem ją od siebie. W moim zawodzie człowiek nie zaprzęta sobie głowy podobnymi rozważaniami.

– Co cię dręczy, Mikael? Czyżby ta sprawa?

Piliśmy kawę w ogrodzie, a Kari zerknęła na mnie zmartwiona sponad gazety.

– Dlaczego tak uważasz? – spytałem.

– Przez całe popołudnie niemal się nie odezwałeś.

– Co powiesz na kieliszek wina?

Wyraziła ochotę, więc przyniosłem butelkę białego wina i dwa kieliszki. Siedzieliśmy pod drzewami, a błękit nieba stopniowo się pogłębiał i w ogrodzie rozpanoszyły się cienie, ogarniając nas, aż Kari stała się tylko sylwetką w mroku. Opowiedziałem jej o wyprawie, o moich myślach i o Alvinie Mo. Kari kiwała głową i od czasu do czasu pomrukiwała, by pokazać, że słucha. Kiedy

skończyłem mówić i wylałem z siebie wątpliwości, niepokój i zmartwienia, przez chwilę trwaliśmy w ciszy. Wokół unosił się intensywny zapach świeżo skoszonej trawy. Z ogrodu sąsiadów dochodziła nas woń grilla. Kari wstała i wzięła mnie za rękę, po czym zaprowadziła mnie do sypialni, gdzie oddała mi się z mieszanką czułości i zdecydowania, której dotąd nie okazywała. Pochylała się nade mną, a kiedy doszła, przyglądałem się jej twarzy w blasku ulicznej latarni. Widziałem cień rzęs na policzku i czystą linię szyi aż do kości szczęki, perfekcyjną jak kreska na rysunku wykonanym węglem.

## Rozdział 6

Przepracowałem wiele wieczorów, aż z wolna nastąpiło późne lato. Zieleń drzew oraz krzewów wyblakła i straciła świeżość, ulice były suche i zakurzone. Stali mieszkańcy opuścili miasto, które przejęły hordy turystów. Synne wzięła tygodniowy urlop, ale po powrocie wyglądała na nie mniej zmęczoną.

W redakcjach gazet również panowało lato: dziennikarze wydzwaniali do mnie niestrudzenie w nadziei, że podsunę im jakieś nowe informacje, ale nie miałem nic do zaoferowania. Mimo to pisali o sprawie.

Zacząłem odbierać pogróżki. Było to dla mnie nowe doświadczenie, gdyż po raz pierwszy uczestniczyłem w procesie, który budził w ludziach takie uczucia. Listy różniły się od siebie. Większość z nich była anonimowa, inne podpisano imieniem i nazwiskiem. Wiele z nich pisali funkcjonalni analfabeci, ale zadziwiająco wysoka liczba wyszła od osobników z pozoru światłych. Wszystkie miały, z grubsza biorąc, jedno przesłanie. Alvin Mo to potwór zasługujący na śmierć, najlepiej bolesną. Ja zaś, skoro stanąłem po stronie potwora, nie jestem dużo lepszy. Dość wielu nadawców uważało, że zasługuję na podobny los. Lektura listów mnie przygnębiała, ale poza tym nie przejmowałem się zanadto. Te, które przychodziły do firmy, na wszelki wypadek wkładałem do osobnej koperty, te zaś, które przysyłano do mojego

domu, chowałem w szufladzie. Miałem zamiar pewnego dnia zebrać je i zanieść do biura.

Pewnego wieczoru, gdy wróciłem do domu, Kari siedziała przy kuchennym stole. Na blacie przed nią leżały rozrzucone listy z pogroźkami. Była blada i nieswoja.

– Dlaczego mi o tym nie powiedziałeś, Mikael?

Rozłożyłem ręce.

– A dlaczego miałbym to zrobić? To zwykli narwańcy. Drugie tyle dostaję w pracy.

Zagryzła wargi.

– Ci ludzie są obłąkani. Widziałeś, co oni piszą?

– Wiem, Kari, nie ma się czym martwić.

– Ale... nie wydaje ci się... że oni mogą być niebezpieczni? To znaczy... chyba powinieneś zgłosić to na policję czy coś w tym stylu?

Podszedłem bliżej i objąwszy ją, wyjaśniłem, że w tego typu sprawach to całkiem normalne, że nie jest to groźne i nie trzeba się przejmować. Kari jednak przez cały wieczór była cicha i zamyślona, a w samym środku *Wiadomości* spojrzała na mnie i powiedziała:

– Nienawidzę tej sprawy. Nienawidzę jej.

Czułem się dokładnie tak samo, ale mogłem jej tylko obiecać, że za parę tygodni to się skończy. Popatrzyła na mnie bez słowa, a w jej wzroku pojawiło się coś na kształt pogardy, po czym poszła się położyć.

Do rozprawy pozostał tydzień i presja ze strony mediów przybrała na sile. Nigdy nie przeżyłem czegoś podobnego. Dziennikarze dzwonili jednym ciągiem, najczęściej wieczorem, ale nie miałem im nic do powiedzenia. Zazwyczaj cieszę się, gdy przyciągam uwagę, próbuję robić wrażenie pewnego siebie, ale w tym wypadku nie potrafiłem. Nie widziałem możliwości

wygranej.

Odwiedzałem Alvina Mo przez trzy dni z rzędu, aby przygotować jego zeznanie. Zainteresowanie reporterów miało swoje konsekwencje również w więzieniu: Mo grozili nawet współwięźniowie i dla własnego bezpieczeństwa został odizolowany od innych.

– Blefują – oznajmił i spojrzał na mnie hardo. – Nie boję się.

Nie wierzyłem mu.

Podczas ostatniej wizyty zapytał, jak oceniam jego szanse. Zrobił to po raz pierwszy. Większość klientów zadaje to pytanie na okrągło.

– Ma pan problem, panie Mo. Prawdopodobieństwo, że zostanie pan skazany, jest całkiem spore. Musi pan się przygotować na taką ewentualność.

Nie wiedziałem, jakiej reakcji się spodziewać, ale jego uśmiech mnie zdziwił. Był radosny, niemal przekorny.

– Nie, tak się nie stanie.

– Dlaczego tak pan uważa?

Tylko potrząsnął głową, nie przestając się uśmiechać. Nie drażyłem tematu. Dawno już przyzwyczailem się do nieprzewidywalności i irracjonalizmu Mo. Zamiast tego jeszcze raz przestudiowaliśmy główne punkty jego zeznania. Szło nam opornie. Mój klient był zdekoncentrowany. Wielokrotnie zagapiał się w przestrzeń, nie odpowiadając na pytanie. Po godzinie dałem za wygraną.

– To bezcelowe, panie Mo. Myśli pan o czymś zupełnie innym, niż trzeba.

– Wiem, ale mam już dość. Robiliśmy to setki razy.

Westchnąłem.

– Dobrze. Wystarczy na dzisiaj. Ale proszę się skupić w poniedziałek.

Siedząc w samochodzie, wciąż nie mogłem wyrzucić go z głowy. Nie wierzyłem, że dobrze wypadnie przed ławą przysięgłych. Nie był głupi, ale zachowywał się tak, jakby nie rozumiał albo nie chciał zrozumieć najprostszych zasad i mechanizmów, które inni biorą za pewnik. Nie miał żadnych problemów ze skomplikowanym rozumowaniem. Nie uważałem, żeby był szalony, ale na pewno nie ulepiono go z tej samej gliny, co większość ludzi. Czekala mnie ciężka rozprawa.

W niedzielę wybrałem się z Kari na długi spacer po górach pod niebem, które na przemian paliło nas słońcem i gromiło deszczem. Było to na dzień przed rozpoczęciem procesu. Przyszło mi do głowy, że łatwiej zasnę, jeśli będę zmęczony, ale jak zawsze, kiedy raz już dopadła mnie myśl o tym, że mogę leżeć bezsenne, zaśnięcie stało się niewykonalne.

Wreszcie wstałem i usiadłem w wykuszu z kubkiem gorącego kakao.

Noc za oknem wypełniały cienie. Moje myśli kłębiły się tu i tam: luźne i niespójne cząstki bez ładu i składu. Czułem się tak, jakbym śnił na jawie, a chwilę później ogarnął mnie lęk, który zmiotł na bok wszystkie plany, wszystkie doznania, kiedy zaś mnie opuścił, byłem spocony i drżałem jak po ataku gorączki. W moim ciele osiadł niepokój, sprawiając, że porzuciłem myśl o zaśnięciu. Sięgnąłem po gazetę, ale niewiele z tego, co czytałem, do mnie docierało. Zastanawiałem się, czy Alvin Mo śpi, czy czuwa w swej celi, patrząc, jak świat z wolna wyłania się z mroku, nabiera konturów i treści za kratami w oknie. Nigdy bardziej nie obawiałem się rozprawy.



O piątej wziąłem prysznic, a o wpół do siódmej byłem już w biurze. Zupełnie niepotrzebnie jeszcze raz przejrzałem papiery i sprawdziłem, czy wszystko spakowałem. Wypiłem kawę nad poranną gazetą. Zanim wyszedłem, wstąpiłem do toalety. Moja twarz w lustrze okazała się ściągnięta i szara jak papier, oczy – nabiegłe krwią. Czas było iść do sądu.

## Rozdział 7

Prokurator nazywał się Christer Bonde. Zdolny i ambitny, należał do tych wypielegnowanych młodzieńców z dobrymi ocenami i dynamiczną karierą, których pełno jest w prokuraturze. Nie był najgorszy, nie miałem przeciw niemu nic poza faktem, że w jego towarzystwie czułem się stary i zaniedbany.

Skinąłem głową radczyni prawnej, którą znałem już od wielu lat. Była zdolna i spokojna z natury. Rozmawiała właśnie z parą pod czterdziestkę. Obejmowała ramieniem kobietę, niską, schludną i dobrze ubraną, w której postawie wyczuwało się jednak pewną sztywność, tak jakby dotyk sprawiał jej przykrość. Mężczyzna obok niej trzymał ręce w kieszeniach spodni. Mimo iż stali blisko siebie, wyglądał na osamotnionego. Nie patrzyli na siebie. Nieco zszokowany uświadomiłem sobie, że to rodzice Mai i że zamierzają uczestniczyć w rozprawie. Wiedziałem, że będą na miejscu, ale w jakiś sposób udało mi się odsunąć od siebie tę myśl. Nie chciałem nawet zastanawiać się nad tym, jak się czują i jakim przeżyciem będzie dla nich proces. Marzyłem o tym, by ich tam nie było.

Zajmując miejsce na krześle pośrodku sali, Alvin Mo wydawał się całkiem w formie. Przywykłem już do jego wyglądu, ale nietrudno było się domyślić, że członkowie ławy przysięgłych mieli z tym problem. Przyglądali się bezwłosej głowie i zadziwiająco drobnym, jakby rozmytym rysom z różnymi odcieniami odrazy. Pamiętałem

własną reakcję, kiedy zobaczyłem Mo po raz pierwszy.

Na początku zachowywał się przyzwoicie. Prokurator zaczął ostrożnie, pytając, gdzie oskarżony był tego dnia, w którym popełniono zbrodnię, oraz rekonstruując pokrótce jego posunięcia. Potem przystąpił bezpośrednio do zeznań, jakie Mo złożył na posterunku.

– Czy pamięta pan, co pan zeznał podczas pierwszego przesłuchania?

– Nie... To znaczy nie powiedziałem im, że tam byłem. Tam, gdzie doszło do morderstwa.

– Otóż to. Powiedział pan, że cały dzień przesiedział pan w domu.

– Tak.

– Skłamał pan, czyż nie?

Mo tylko wzruszył ramionami.

– A co z kolejnymi dwoma przesłuchaniami? Co pan mówił o swoich poczynaniach?

– To samo.

– Czyli że był pan w domu?

– Tak.

– A więc skłamał pan w czasie trzech przesłuchań. Dlaczego?

– Bałem się, że zostanę w coś zamieszany.

– Co pan przez to rozumie? Zamieszany w coś? Dlaczego miałyby się tak stać, skoro nic pan nie zrobił?

Wyraz twarzy Mo był hardy, niemal agresywny.

– Ja... Dobrze pan wie, że kilka razy mnie już skazywano. Bałem się, że policja uzna, iż to moja sprawka, jeśli dowie się, że tam byłem.

– Czyżby? Wrócimy jeszcze do pańskich wyroków z przeszłości. Nie pomyślał pan, że kłamstwo może postawić pana w złym

świetle?

– Nie.

– Nie? Czy to nie oczywiste, że...

– Teraz jednak rozumiem, że było to głupie z mojej strony.

W takiej sytuacji niełatwo jest myśleć rozsądnie.

Prokurator nadal drążył kwestię zeznań, ale nie zaszedł daleko. Mo nieźle sobie radził.

Sędzia zarządził przerwę. Powiedziałem Mo, że poszło mu dobrze i żeby dalej odpowiadał w ten sposób. Wzruszył ramionami.

– Nie ma sprawy.

Przyjrzałem mu się.

– Niech pan nie będzie taki pewien swego. Proszę się nie unosić, nie uśmiechać ani nie śmiać. Niech pan będzie rzeczowy i poważny i udziela krótkich odpowiedzi, dobrze?

– Powtarzał mi pan to setki razy.

To prawda, ale nie ufałem mu.

Tuż przed lunchem zdarzyło się coś, czego nie przewidziałem.

– Czy ma pan kamerę?

– Kamerę? Nie – odparł Mo.

– Nie? A co ze statywem do kamery, takim z trzema nogami, które można wysuwać, tak że kamera stoi stabilnie? Ma pan taki?

– Nie.

Prokurator poszperał w segregatorze.

– Oto paragon za kamerę i statyw, kupione w sklepie rok temu, w lutym. Znaleźliśmy go w pańskim domu. Jest pan pewien, że nie posiada kamery ani statywu?

Nie miałem pojęcia, co Bonde zamierza udowodnić, ale z mowy ciała Mo wywnioskowałem, że mu się to nie podoba.

– Zginęła mi – wymamrotał.

– Co pan powiedział? Że panu zginęła? Gdzie i kiedy?

– Nie pamiętam. Wkrótce po tym, jak ją kupiłem.

Prokurator jeszcze przez jakiś czas dręczył go wątpliwościami dotyczącymi kamery, ale bez większego efektu. Zastanawiałem się, czy coś mi umknęło. Paragon był wśród skonfiskowanych rzeczy, ale nie potrafiłem dostrzec jego znaczenia.

Po lunchu sytuacja się pogorszyła. Zaczęło się od braku owłosienia Mo. Prokurator chciał wiedzieć, dlaczego oskarżony goli całe ciało. Mo wyjaśnił, że włosy wydają mu się odpychające. Bonde przyglądał mu się. Długo. Wreszcie potrząsnął głową.

– A może chciał pan uniknąć pozostawienia włosów w miejscu, w którym zabił pan Maję? Tak żebyśmy nie znaleźli tam materiału biologicznego do testów DNA? Czy nie takie powinno być wyjaśnienie?

Mo zaprzeczył, ale członkowie ławy przysięgłych wymienili szeptem uwagi. Widzieli zasadność pytania.

– Pomówmy nieco o pańskich poprzednich wyrokach. Za co pana skazano?

Prokurator musiał wyciągać z Alvina zeznania, pytanie za pytaniem. Prosiłem mojego klienta, żeby bez niepotrzebnego wahania udzielał krótkich, rzeczowych odpowiedzi. Wałkowaliśmy to wiele razy, ale teraz nie postępował zgodnie z instrukcjami. Nie sprawiało to dobrego wrażenia.

Prokurator podsumował tę część przesłuchania, po czym spytał:

– Zeznał pan, że rozmawiał z Mają, siedząc na ławce. Czy wydała się panu uroczą osobą?

Alvin uśmiechnął się swoim dziwnym i niemal tajemniczym uśmiechem, którego się obawiałem i przed którym go ostrzegałem.

– Tak, wydała mi się urocza.

– Tak urocza jak dziewczyny, które pan zgwałcił?

Wzdrygnąłem się i nachyliłem do mikrofonu, ale sędzia okazał się szybszy.

– Tego typu insynuacji nie życzę sobie na sali rozpraw, panie prokuratorze. Trzymajmy się faktów.

– Przepraszam, wysoki sędzie – odparł Christer Bonde, ale wyraz jego twarzy bynajmniej nie świadczył o skrusicie. Podeszedł do swojego stołu i wziął z niego plik kartek. – Oto wydruki zdjęć, które znaleźliśmy na pańskim dysku komputerowym, panie Mo. Są to zdjęcia, które ściągnął pan z różnych stron internetowych. Stron o nazwach... – zerknął na listę, którą trzymał w ręku – ...House of Cruelty, Mutilation.com, Torturerape.com i tak dalej. Czy mogę rozdać je przysięgłym?

Zaprotestowałem, ale wiedziałem, że to bezcelowe. Przyglądałem się twarzom członków ławy, gdy przeglądali plik fotografii. Jeden z nich, starszy mężczyzna, zamknął oczy.

– Są to zdjęcia kobiet, które torturowano, okaleczono i zabito. Czy to pan je ściągnął, panie Mo, czy też jestem w błędzie?

– Tak, ja.

– Dlaczego?

– Po prostu to zrobiłem. Tyle jest tego w sieci. Ściągałem też dużo innych rzeczy.

– Tak, ale zdjęć tego typu było u pana dużo, znacznie więcej, niż tu pokazuję. Podobają się panu?

– W sumie... nie.

– Nie? Jeśli nie, to dlaczego je pan ściągnął?

– Nie wiem. Byłem po prostu ciekawy.

Przepytywanie trwało długo. Wiedzieliśmy, że to nieuniknione, ale nie zdołaliśmy znaleźć dobrej strategii obrony. Zdjęcia po prostu

istniały, ohydne i niejako szokujące – i nie było dobrego wyjaśnienia, dlaczego Alvin je ściągnął, poza faktem, że lubił je przeglądać.

Suchy, rzeczowy głos lekarza sądowego wypełniał salę. Z odmalowaniem klinicznych szczegółów opisywał on urazy i rany oraz krwawienia. Kontrast opisu ze zdjęciami ciała Mai był porażający. Tym zdjęciom powinien towarzyszyć płacz i zgrzytanie zębów, nie zaś rzeczowa specyfikacja. A jednak to właśnie rzeczowość, oszczędny, naukowy ton i łacińskie zwroty pozwalały przetrwać cały pokaz i zepchnąć rzeczywistość do podświadomości. Mózg rejestrował to, co widziały oczy, wraz z komentarzami: rana cięta tutaj, takiej a takiej długości, tu zaś rana kluta takiej a takiej głębokości. Nie rozmawialiśmy o człowieku, tylko o obiekcie. Cierpienie zredukowane do raportu. Spojrzałem na ławkę, gdzie siedzieli rodzice Mai. Miejsca były puste, radczyni prawna wyprowadziła ich, zanim lekarz zaczął mówić.

– Widzieli już to, co chcieli, to, co byli w stanie oglądać – oznajmiła.

Lekarz sądowy kontynuował mowę przerywaną zwięzłymi pytaniami prokuratora. Salę wypełniał nieprzerwany szmer, którego nigdy dotąd nie słyszałem na rozprawie. Minęła dobra chwila, zanim zrozumiałem, co to takiego. Był to dźwięk poruszających się ludzi. Zmieniali pozycję, wiercili się niespokojnie. Uczucie przykrości wywołane fotografiami i ich opisem przejawiało się w ten sposób, że słuchacze nie mogli usiedzieć w spokoju. Dookoła wciąż rozbrzmiewały szelesty i trzaski.

– A co było przyczyną śmierci? – dociekał prokurator.

– Podcięto jej gardło. Z całą pewnością to właśnie spowodowało śmierć.

– Czy może pan... czy gardło podcięto przed zadaniem ofierze innych ciosów, czy też po fakcie?

– Po. W każdym razie większość ran zadano, gdy jeszcze żyła.

– Skąd ten wniosek?

– Chodzi o krew. A raczej o jej wpływ. Istnieje znaczna różnica między krwawieniem z rany, którą zadaje się żyjącemu organizmowi, a temu, który już nie jest przy życiu.

Organizm. Czternastoletnia Maja.

– A mianowicie?

– Cały układ, mówię tu o układzie krwionośnym, znajduje się pod ciśnieniem. Pompa, czyli serce, tłoczy krew, ta zaś krąży. Jeśli nakłuje się układ, ciśnienie wypiera krew na zewnątrz. Gdy nastąpi śmierć, serce się zatrzymuje, a ciśnienie spada. Krwawienie wygląda wtedy inaczej.

– W takim razie... czy ofiara bardzo cierpiała przed śmiercią? Sprawiono jej dużo bólu?

Lekarz podniósł wzrok, zerknął na Alvina Mo, na mnie, na sędziów, po czym po raz pierwszy spojrzął prosto na przysięgłych. Po raz pierwszy w jego głos wkradł się inny ton. Cień uczuć.

– Jej cierpienia były wprost nie do opisanania – powiedział. – Nie do opisanania.



## Rozdział 8

Zapomniałem, że tego dnia ojciec miał przyjść do nas na obiad. Kiedy wróciłem do domu, siedział w kuchni i z zadowoleniem dyskutował z Kari. Lubią się nawzajem. Ojciec rozmawia z nią lżejszym i mniej wymuszonym tonem niż ze mną, bez tej nieomal formalnej sztywności w głosie. To nie znaczy, że za sobą nie przepadamy. Po prostu tak już się między nami ułożyło po wielu latach, kiedy obaj unikaliśmy poruszania wszystkich ważnych dla nas i drażliwych kwestii. To on mnie wychował. Matka opuściła nas, kiedy byłem dzieckiem. Ojciec potraktował zadanie wychowawcy poważnie, ale nie mogę sobie przypomnieć, żeby kiedykolwiek się śmiał. Ledwo pamiętam te chwile, kiedy się uśmiechał. Teraz zaś jego śmiech dobiegł mnie z kuchni, gdy tylko wszedłem do sieni: nieco skrzypliwy śmiech starego człowieka, po którym rozległ się głośny, perlisty śmiech Kari.

– Mikael – odezwał się ojciec – nareszcie jesteś.

– Cześć, tato – odparłem. – Dobrze cię widzieć.

Podszedłem do niego, ale nagle zabrakło mi pewności, czy powinienem go uścisnąć, czy też podać mu rękę. Skończyło się na czymś pomiędzy. Spojrzał na mnie nieco zaskoczony. Zdałem sobie sprawę, że mówiłem prawdę. Dobrze było go widzieć. Po dniu spędzonym w sądzie potrzebowałem skupić się na czymś innym niż na sprawie. Mocno uścisnąłem Kari.

– Skoczę pod prysznic – powiedziałem.

– Ciężki dzień?

– Okropny.

Obiad upłynął przyjemnie. Mówiliśmy o wszystkim i niczym. Ojciec był w dobrym nastroju i jadł z apetytem. Opowiadał historie z czasu mojego dorostania i śmialiśmy się, mimo że już je kiedyś słyszeliśmy. O dziewiątej odwiozłem go do domu opieki, w którym zajmuje samodzielne mieszkanie. Zatrzymałem się przed głównym wejściem, a on spojrzał na mnie i rzekł:

– Prowadzisz wyczerpującą sprawę, Mikael. Jak ci idzie?

– Niełatwo.

– Tak... Masz szansę ją wygrać?

– Nie sądzę.

– To tylko praca, Mikael. Może nie powinieneś wygrać tego procesu.

– Może i nie – przyznałem. – Dobranoc, tato.

Patrzyłem za nim, dopóki nie zniknął w drzwiach. Jego kroki stały się krótsze i nieco niepewne; był chudziutki w tym granatowym garniturze, ale postawę miał taką jak zawsze, a gdy się odwrócił i w geście pozdrowienia uniósł rękę, zwracając ku mnie dłoń, był to ruch, który widywałem już setki razy, rozpoznawalny jak moja własna twarz w lustrze. Moje oczy nagle wypełniły się łzami. Pomachałem mu w odpowiedzi i pojechałem do Kari.

Technik policyjny opisał miejsce zbrodni z uwzględnieniem nużących szczegółów. Nie wprowadził do sprawy niczego nowego, nie podał do wiadomości ani jednego faktu, którego można by użyć dla dobra mojego klienta lub przeciwko niemu, więc słuchałem go jednym uchem. Dlatego też kilka sekund zajęło mi zarejestrowanie tego, co powiedział: musiałem przewinąć wewnętrzny film, aby

zrozumieć pytanie prokuratora.

– Wspomniał pan o śladach na ziemi. Cóż takiego tam było?

– No cóż, nie mamy pewności. To trzy na pozór identyczne wgłębienia, oddzielone od siebie równymi odległościami. Tworzą trójkąt równoboczny.

– Co to może być?

Świadek wzruszył ramionami.

– Podejrzewamy, że to ślady statywu. Statywu do kamery. Na przykład kamery wideo lub filmowej.

Bonde uniósł brwi.

– Uważa pan, że zabójstwo zostało sfilmowane?

Znowu wzruszenie ramion.

– Istnieje taka możliwość. Nie widzimy innego wytłumaczenia tych śladów.

Wiedziałem, że muszę coś zrobić, ale wyjaśnienie technika zbiło mnie z pantafyku i jąkałem się, próbując dobrać słowa.

– Pana zdaniem... Te ślady... Czy wiadomo, co je spowodowało?

– Jak już mówiłem, podejrzewamy, że zostawił je statyw do kamery.

– Tak, słyszałem. Chodzi mi o to, że... Czy macie jakieś podstawy, by tak przypuszczać, poza faktem, że nie przychodzą wam do głowy inne wyjaśnienia?

– Jak już mówiłem, takie wyjaśnienie wydaje nam się najbardziej prawdopodobne.

– A na czym pan opiera tę opinię? Tylko na tym, że nie potrafi pan znaleźć innego wyjaśnienia?

– Ech... w zasadzie tak. Nie wiem, co innego mogłoby to być.

– Czyli to zwykła zgadywanka?

– Nie nazwałbym tego zgadywanką.

– Ja natomiast tak.

Ojciec Mai siedział w ciszy, nieruchomo jak kamień, i półgłosem odpowiadał na pytania. Był niski i krępy, ciemnowłosy, z głębokimi zakolami w zaczesanych do tyłu włosach. Tylko napięte węzły mięśni w szczękach zdradzały, co przeżywał. Nazywał się Hans Godvik i pracował jako hydraulik. Słowa nie przychodziły mu łatwo, ale w jakiś sposób udało mu się odmalować żywy obraz córki. Był z niej dumny. Była ładna i dobrze się uczyła. Miała wielu przyjaciół i dobrze grała w piłkę ręczną. Cedził słowa, jakby jego usta wypełniał żwir.

Prokurator zapytał, jak rodzinie wiodło się później, po morderstwie, ale Hans Godvik jedynie potrząsnął głową.

– Nie potrafię tego opisać – odparł. – To tak, jakbyśmy... przestali żyć.

Nie wiem, jak w ogóle zdobyłem się na zadanie mu kilku pytań, powinienem był po prostu pozwolić mu odejść. Może czułem, że muszę coś zrobić, gdyż na tej rozprawie zostałem zredukowany do roli biernego słuchacza?

– Zastanawia mnie jedna rzecz – stwierdziłem. – Tego dnia, w którym... to się zdarzyło. Dlaczego Maja wyszła na spacer? Nie powinna być w szkole?

– Tak.

– Wagarowała?

– Tak.

– Dlaczego?

Zapadła cisza. Hans Godvik siedział na krześle, gapiąc się w przestrzeń, aż zacząłem wątpić, czy dotarła do niego treść pytania.

– Pokłóciliśmy się – wyznał nagle.

– Kto się pokłócił?

– Maja i ja.

– Nie poszła do szkoły, bo się z panem pokłóciła? Co było przedmiotem kłótni?

– Wszystko. Wszystko, o co można kłócić się z nastolatką. Pory powrotu do domu. Sprzątanie pokoju. Tego typu sprawy.

Po raz pierwszy odwrócił się do Alvina Mo i spojrzał prosto na niego.

– Ostatnie wspomnienie córki, jakie zachowałem, to że stoimy w korytarzu i na siebie wrzeszczymy. Ostatnim, co do mnie powiedziała, było, że mnie nienawidzi. Ostatnim, co ja jej powiedziałem, to że jest rozpuszczona, leniwa i bezużyteczna. – Jego ręka uniosła się, palec wycelował w Mo, a głos zabrzmiał silniej, wibrując jak struna skrzypiec. – Takie jest moje ostatnie wspomnienie. Przez niego. Przez ciebie. Gdybym mógł, zabiłbym cię własnymi rękami.

Spojrzałem na Mo, podobnie jak wszyscy inni. Siedział na swoim miejscu z pozoru nieporuszony. Nie byłem pewien, czy dobrze widzę, ale na jego ustach dostrzegłem cień uśmiechu. Nie miałem więcej pytań, a radczyni wzięła Hansa za ramię i odprowadziła go z miejsca dla świadków tak ostrożnie, jakby mógł się rozpaść w drobny mak, gdyby za mocno go ścisnęła.

Tego popołudnia byłem przygnębiony. Pomyślałem, że wspólnymi siłami uda nam się doprowadzić do skazania Alvina Mo, ja przez moje głupie pytania, on zaś przez swoje mało wiarygodne zachowanie. Zastanawiałem się nad tym, w jaki sposób prokurator przedstawi dowody na poczynania Mo w dniu zabójstwa. Teraz się dowiedziałem. Najpierw wystąpił młody funkcjonariusz policji kryminalnej z planszami i wskazówką. Wskazywał i objaśniał,

w jakie miejsca udał się oskarżony zgodnie z udzielonymi przezeń informacjami oraz kto jeszcze szedł tymi ścieżkami w tym samym przedziale czasu i powinien był go widzieć. Sprawozdanie okazało się nudne, ale zarazem eleganckie i zrozumiałe dla ławy przysięgłych. Potem nastąpiły dwa dni wypełnione zeznaniami świadków – wszystkich tych, którzy spacerowali po drózkach na danym obszarze. Wszystkich, którzy spotkali Alvina na drodze do miejsca zbrodni. Wszystkich, którzy powinni byli go zobaczyć w drodze powrotnej, jeśli mówił prawdę... ale go nie widzieli.

To było nieodwracalne jak katastrofa naturalna: z wolna odtworzono pełny obraz sytuacji i z wolna, lecz nieubłaganie wszyscy zebrani zrozumieli, że Mo kłamie na temat swoich poczynań w dniu zabójstwa.

Robiłem, co mogłem. Czepiałem się szczegółów. Dręczyłem świadków pytaniami o innych spacerowiczów, których musieli spotkać, a których nie pamiętali. Część udawało mi się zbić z pantałyku, ale inni byli uparci i przeświadczeni o swojej racji, ja zaś wiedziałem, że na nic mi się to nie przyda. Wszyscy patrzyli na Alvina, przyglądając się jego dziwnej, płaskiej twarzy, błyszczącej i bezwłosej, po czym mówili, każdy na swój sposób: „Tak, może i coś wyleciało mi z głowy, ale jego bym zapamiętał!”.

Czułem się tak, jakbym walczył z wiatrakami. Pociłem się i dawałem z siebie wszystko, ale świadkowie mi się wymykali, ciosy nie skutkowały, wnioski były niespójne, a gdy przychodziła moja kolej na zadawanie pytań, miałem wrażenie, że przysięgli patrzą na mnie zrezygnowanym i zmęczonym wzrokiem.

Byli też inni świadkowie: policjanci i technicy, ale żaden z nich nie odegrał poważniejszej roli. Żaden z nich nie mógł przesądzić o wyroku. Przed aresztowaniem Mo spalił coś w piecu. Pozostały

tam resztki plastiku i papieru, ale nie dało się jednoznacznie określić, cóż to było. Mógł to być kombinezon i plastikowe nakładki na buty, ale równie dobrze coś zupełnie innego. Włosy na bluzie Alvina należały do Mai. Niewykluczone, że znalazły się tam, gdy ją spotkał, usiadł z nią na ławce i rozmawiali. Może tak, a może i nie. Nic nie łączyło Alvina z zabójstwem w sposób ostateczny. Tylko uczucie, że sprawa z wolna chwytała go – nas – w swoje kleszcze jak zapadający jesienią zmrok: niezauważenie, lecz niepowstrzymanie.

Kiedy wróciłem do biura po południu tego dnia, w którym prokurator wprowadził na salę ostatniego świadka, czekała na mnie młoda kobieta. Próbowałem uniknąć spotkania, ale recepcjonistka oznajmiła, że klientka siedzi tam już dwie godziny.

– Powiedziała, że dysponuje informacjami w sprawie, którą pan prowadzi – wyszeptała. – W sprawie Alvina Mo.

Gdy zajęła miejsce po drugiej stronie biurka, przyjrzałem się jej uważnie. Przedstawiła się jako Nina Hagen. Zgadywałem, że ma nieco ponad trzydziestkę. Ubrana dyskretnie w czarne spodnie i czarny sweterek, na który narzuciła szary letni płaszcz. Miała ładne ciało i z tego, co widziałem, pełne piersi, była atrakcyjna, ale czy urodziwa? Trochę za duży nos, trochę zbyt cofnięty podbródek, za to pełne usta i duże, szaroniebieskie oczy. Jasne włosy zebrała w ciasny koński ogon. Nie miała biżuterii ani makijażu. Siedziała wyprostowana, z rękami splecionymi na podołku i patrzyła na mnie zdziwiona.

– Dlaczego nie poszłam na policję? A powinnam?

– Tak, to byłoby wskazane.

– Nie wiedziałam... Przeczytałam w gazecie, że jest pan adwokatem oskarżonego w tej sprawie. Myliłam się?

– Nie. Ale dlaczego nie przyszła pani wcześniej, skoro dysponuje pani informacjami? Od zabójstwa minął już prawie rok.

– Nie wiedziałam o niczym, byłam za granicą. W Danii. Wróciłam wczoraj i przeczytałam o tym w gazecie.

– Kiedy wyjechała pani z Norwegii?

Wymieniła datę. Było to tego samego dnia, w którym zamordowano Maję. Poczuję zainteresowanie.

– Pracowałam w Danii – dodała. – Jestem pielęgniarką. W moim fachu łatwo o pracę.

– W porządku – odparłem. – Teraz chciałbym usłyszeć, co ma mi pani do powiedzenia.

Kiedy skończyła opowieść, przez chwilę się namyślałem. Korciło mnie, żeby od razu poprosić ją o stawienie się w sądzie następnego dnia i złożenie zeznań, ale wiedziałem, że powinienem zrobić to tak, jak trzeba. Złapałem zatem telefon i zadzwoniłem do biura prokuratora. Ktoś pracował do późna i odebrał, ale Christer Bonde zdążył już pójść do domu.

– Z tej strony mecenas Brenne – powiedziałem. – Jestem obrońcą Alvina Mo. Proszę zadzwonić na komórkę lub numer domowy Bondego i poprosić go, żeby natychmiast ze mną się skontaktował. W moim biurze siedzi świadek w sprawie. Musi złożyć zeznania na policji. To ważne.

Oddzwonił niecałe pięć minut później. Kiedy wyjaśniłem mu, co zamierzam zrobić, aż jęknął.

– Na Boga, Mikael, przecież sprawa w zasadzie dobiega końca. Co to za numery?

– Posłuchaj, Christer, ta kobieta jest ważnym świadkiem. Mógłbym wziąć ją jutro do sądu i poprosić, by zeznawała. Nie robi mi to różnicy. Staram się tylko postępować zgodnie z zasadami.



Możesz ją przesłuchać dziś wieczorem. Decyduj.

Westchnął głośno w słuchawkę.

– Żona i tak jest na mnie wściekła. Przypuszczalnie nie może być gorzej. Spotkajmy się na posterunku za... czterdzieści minut.

Siedziałem w ogrodzie, był wieczór. Zachód słońca pozostawił na niebie liliowe i pomarańczowe smugi, a komary brzęczały zajadle w półmroku, ale ja na nic nie zwracałem uwagi. Byłem zajęty przygotowaniem w myślach mowy końcowej. Czułem wrzenie adrenaliny w ciele, dobrze mi znane podniecenie, niezbędne do opracowania dobrej mowy. Po raz pierwszy pomyślałem, że mogę wygrać tę sprawę. Pierwszy raz też uwierzyłem, że Alvin Mo może być niewinny. obrońcy starają się nie myśleć o winie lub jej braku, ale podświadomość mnie oszukała. Mo wydawał mi się winny od naszego pierwszego spotkania. Teraz wszystko przewróciło się do góry nogami. Znów byłem obrońcą i robiłem, co w mojej mocy. Myśli pędziły szybciej, niż byłem w stanie zarejestrować. Poszedłem do domu po długopis i kartkę papieru.

## Rozdział 9

Siedząc na miejscu dla świadków, Nina Hagen była tak spięta jak wtedy, w moim biurze, z rękami złożonymi w ten sam sposób. W dodatku włożyła te same ubrania. Minęły dwa dni, odkąd mnie odwiedziła. Poprzedniego dnia zarządzono przerwę, by policja mogła sprawdzić wiarygodność jej zeznań. Poprosił o to Christer Bonde, ja zaś poparłem jego prośbę, więc sędzia niechętnie się zgodził.

– A więc pojechała pani do Danii tego samego dnia, w którym zamordowano Maję – odezwałem się. – Czy to prawda?

– Tak myślę – odparła. – Nie wiedziałam o jej śmierci. Nie czytałam o tym w gazetach, dopóki nie wróciłam kilka dni temu.

– W porządku. Zajmijmy się dniem pani wyjazdu. O jakiej porze pani wyjechała?

– Zaraz po południu. Poleciałam do Kopenhagi. Nie pamiętam dokładnie godziny odlotu.

– Dobrze. Czy może nam pani powiedzieć, co pani robiła tamtego dnia... to znaczy tamtego dnia przed odlotem?

– Pewnie. Rano się spakowałam, po czym naszła mnie ochota na spacer.

– Dlaczego?

– Dlaczego? Bo często to robiłam, spacerowałam po drózkach za miejscem, w którym mieszkam. Chciałam się przejść po raz ostatni.

Pożegnać się na swój sposób.

– W porządku. I chodziła pani po tym obszarze, tu, gdzie wskazuję na mapie?

– Tak.

– Czy pamięta pani trasę?

Nina Hagen wstała, podeszła do mapy i wskazała swoją trasę. Była to ta sama droga, którą szedł Alvin, tylko w przeciwnym kierunku.

– Może pani powiedzieć, kiedy pani tamtędy szła?

– Tak. Mniej więcej od jedenastej czterdzieści do dwunastej dwadzieścia.

– Skąd ta dokładność?

– Ponieważ musiałam wrócić o wpół do pierwszej, żeby zdążyć na samolot. Dlatego patrzyłam na zegarek. Wiem także, ile czasu zajmuje mi przejście tego odcinka. Szłam tą trasą nieskończenie wiele razy.

– W porządku. Czy tego dnia spotkała tam pani kogoś?

– Tak, widziałam wielu ludzi.

– Kogoś, kto jest tu na sali?

Obróciła się i wskazała Mo.

– Jego.

– Gdzie go pani spotkała?

Znów wstała i pokazała na mapie.

– Gdzieś tutaj, na tym obszarze.

– Jest pani pewna?

– Całkiem pewna. Zagadnął mnie i rozmawialiśmy.

– Co powiedział?

– Coś o tym, że jest ładny dzień. Coś w tym stylu.

– Zatrzymała się pani, żeby z nim porozmawiać?

– Na dobrą sprawę nie. Zamieniliśmy tylko kilka słów, po czym ruszyłam dalej. – Zerknęła na Alvina. – Nie miałam ochoty z nim gadać, wydał mi się dziwakiem. – Wzruszyła ramionami, jakby chciała się usprawiedliwić, po czym dodała: – Ale nie zapomniiałabym go.

I o to właściwie chodziło. Szczegółów było znacznie więcej, prokurator kazał kobiecie powtórzyć całe zeznanie od początku, ale nie zmieniło to sedna oświadczenia. Nina Hagen spotkała Alvina Mo w takim miejscu i o takiej porze, które zgadzały się z jego zeznaniami. Spotkała go w czasie, gdy morderca wedle wszelkiego prawdopodobieństwa już działał.

Christer Bonde się nie poddał. Szedł obraną drogą, a w mowie końcowej położył ogromny nacisk na wcześniejsze wyroki Mo i materiał znaleziony w jego komputerze. Mimo to sprawiał wrażenie nieco zrezygnowanego, tak jakby nie do końca wierzył we własne słowa.

Ja natomiast wierzyłem. Nawróciłem się i w ciągu dwóch krótkich dni z niewierzącego stałem się wierzący. Musiałem mocno się powściągnąć, aby nie być nazbyt zapalczywy, utrzymać wolne tempo, robić krok za krokiem, wysuwać argument za argumentem, pilnować, czy ława przysięgłych nadaża za moimi słowami. Wszystko było na swoim miejscu, wszystko do siebie pasowało. Nina Hagen okazała się brakującym elementem układanki, puzzlem, który spadł na podłogę. Kiedy go znalazłem, wszystko zaczęło się zgadzać. Zeznania Alvina o tym, że zbaczał ze szlaku, by oddać mocz i pójść na skróty, były wiarygodnym wyjaśnieniem faktu, dlaczego nikt więcej go nie zobaczył. Przemknęło mi przez głowę, że to zbyt łatwe, że sprawa z beznadziejnej w przeciągu jednej nocy stała się wygrana, że tak się nie dzieje na tym świecie,

ale odsunąłem od siebie tę myśl i mówiłem dalej, pędząc jak burza ku mecie. Kiedy zbliżałem się do końca, miałem to uczucie, którego niekiedy doznaje się w sądzie. Upojenie. Smak zwycięstwa na języku.

– Dlatego, szanowna ławo przysięgłych, ta sprawa jest łatwa do rozstrzygnięcia. Łatwa dla mnie oraz łatwa dla was, mimo że przeżyliśmy tutaj ciężkie dni, a sytuacja u wszystkich nas wywołuje stres.

Alvin Mo jest dziwny. Niepodobny do nas. Ciężką na nim wyroki, które sprawiają, że go nie lubimy i że łatwo nam go podejrzewać o zabicie Mai. Wydaje się dziwaczny i podejrzany. Na jego twardym dysku znajdują się zdjęcia, które większość z nas uznaje za odpychające. Może mój klient odpowiada obrazowi mordercy i gwałciciela, który mamy w umyśle. Tak łatwo byłoby go skazać. Tak łatwo, ale i tak niewłaściwie.

Pokazałem państwu, że nie ma niczego, co bezpośrednio wiązałoby Alvina Mo z tą zbrodnią. Niczego. Nawet jednego bezpośredniego dowodu. Nie pomaga tu fakt, że prokurator z poprzednich wyroków mojego klienta wnioskuje, iż istnieje możliwość powtórzenia przestępstwa i dwadzieścia razy wspomina to w swojej mowie. Liczy się to, iż nie istnieją żadne konkretne dowody na to, że Alvin Mo zabił Maję Godvik. Żadne.

Napiłem się wody i pozwoliłem sobie na długą pauzę, po czym kontynuowałem:

– Mimo to sądzę, że Alvin Mo zostałby skazany, gdyby nie Nina Hagen. Zostałby skazany, bo uznano by, że skłamał na temat swoich posunięć na danym terenie w okolicach czasowych zabójstwa, a dla takiego kłamstwa trudno byłoby szukać innego wyjaśnienia niż próba ukrycia zbrodni. Teraz jednak wiemy, że

Alvin Mo nie kłamał. Wracał na parking tą drogą i o tej porze, które sam wskazał w zeznaniu. W porze, w której zabójca zgodnie ze wszelkim prawdopodobieństwem przystąpił już do działania. Świadcstwo Niny Hagen potwierdza ponad wszelką wątpliwość, że Alvin Mo mówił prawdę.

A w takim wypadku, szanowna ławo przysięgłych, zostajemy z niczym. Zostaje nam wygląd Mo, jego styl bycia i przeszłość. O tym możemy sądzić, co nam się żywnie podoba. Pewne natomiast – i tu zdania nie mogą być podzielone – jest jedno: nie dość tego, aby skazać człowieka za zabójstwo.

Po wygłoszeniu przemowy czułem jak zwykle całkowitą pustkę. Uścisnąłem rękę Alvina tak, jakby mnie to nie dotyczyło. W mojej głowie odezwał się nagle dudniący ból. Czekaając na werdykt ławy przysięgłych, spacerowałem ulicami z włączoną komórką. Miałem wrażenie, że upłynęły godziny, nim zadzwonił sekretarz sądu, przekonałem się jednak, że minęło nie więcej niż godzina i dwadzieścia minut. Decyzję podjęto niezwykle szybko.

Na sali słychać było podniecony gwar. Mimo że nastąpiło już późne popołudnie, ławki dla słuchaczy zapełniły się ludźmi. Weszli sędziowie, za nimi zaś przysięgli. Wstaliśmy, po czym w pomieszczeniu zapadła nagła cisza. Gdy przewodniczący ławy przysięgłych odparł „nie” na pytanie, czy Alvina Mo uznaje się winnym morderstwa z premedytacją, jego głos zabrzmiał ochryple, jak krakanie. Minęło kilka sekund, zanim ciszę przerwały okrzyki i gwar głosów. Przewodniczący przywołał salę do porządku, porozumiał się krótko z dwójką sędziów, po czym oświadczył, że wyrok został przyjęty i że Mo jest wolnym człowiekiem. Czułem wyłącznie ulgę. Ulgę z powodu wyniku rozprawy, ale i dlatego, że proces dobiegł końca.

Kiedy sędziowie wyszli, zapanował totalny chaos. Mo stał na środku wielkiej sali, otoczony przez dziennikarzy, fotografów i publiczność. Błyskały flesze, szumiały kamery. Reporterzy przekrzykiwali się, próbując zadać pytania. Mo rozejrzał się, w oczach miał lekką panikę, i dojrzał mnie. Widziałem, że jego usta się poruszają, ale nie usłyszałem, co mówi. Nieopodal stali trzech policjanci i przyglądali mi się. Obróciłem się do nich i poprosiłem, żeby pomogli mi wydostać stamtąd Alvina. Przecisnęli się przez tłum, odsuwając gapiów i mówiąc: „Na bok, ludzie” i „Proszę się uspokoić i opuścić salę”. Złapałem Alvina i nagle znaleźliśmy się obaj przed ławkami dla publiczności. Mo zagapił się sztywno w jakiś punkt za moim ramieniem, a kiedy się odwróciłem, zobaczyłem, że siedzi tam ojciec Mai, sam jeden. Był blady i wydawał się zszokowany. Ni stąd, ni zowąd Mo postąpił dwa kroki do przodu i nachylił się ku Hansowi Godvikowi z nikłym uśmiechem na ustach, po czym przemówił na tyle głośno, że go usłyszałem:

– Wiesz, jakie dźwięki wydawała Maja, kiedy wbijałem w nią nóż? Miauczała jak mały kotek.

Z białej twarzy Hansa Godvika wyzierały duże czarne oczy. Przez chwilę patrzył na Mo, nic nie rozumiejąc, po czym dotarło do niego znaczenie słów. Nagle jego twarz jakby się rozpadła, rozplynęła, tracąc wszelkie ludzkie kształty. Wolno opuścił głowę na stół i ukrył ją w dłoniach.

Alvin posłał mi niemal psotny uśmiech, odwrócił się i wyszedł. Stałem w miejscu, kompletnie sparaliżowany, nie mogąc uwierzyć własnym uszom.

I wtedy przed moimi oczami rozbłysły flesze aparatów. Na zdjęciach, które ukazały się w gazetach następnego dnia,

wyglądałem, jakbym zobaczył ducha.



## Rozdział 10

W miękkim świetle pod sam koniec dnia, w mgiełce, która napęlnia powietrze drzeniem, Wenecja zdaje się rozplýwać; sprawia to takie wrażenie, jakby miasto z wolna niknęło w cieniach przeszłości. Wieże, kopuły i spiętrzone wysoko pałacowe dachy są bezcielesne, są odbiciem lustrzanym, które grozi nagłym stopieniem się z wodą. Trzymając się za ręce, staliśmy na pokładzie łódki z Meste i patrzyliśmy na błyszczącą jak olej wodę brachiczną w głębi Adriatyku. Wdychaliśmy ciepłe zapachy obcego morza i obserwowaliśmy, jak miasto powoli nabiera realnych kształtów przed naszymi oczyma.

Po zameldowaniu się w hotelu wyszliśmy na ulicę. Główne trakty, ze sklepami, straganami i restauracjami, tętniły życiem. Pełno tu było ludzi, tak dużo, że nie opłacało się spieszyć. Lepiej było iść w tłumie, bezcelowo i bezwolnie płynąć z prądem. Nic nie planowaliśmy i na niczym nam szczególnie nie zależało, po prostu szliśmy, pozwalając, by zapachy, dźwięki i barwy kształtowały nasze otoczenie. Z głównej promenady skręciliśmy w wąskie uliczki i ciche, ciemne zaułki zamknięte wysokimi murami, ze złotymi błyskami światła, które odbijały się w wąskich kanałach. Dostrzegliśmy maszt gondoli, ostry łuk starego, kamiennego mostu nad ciasnym kanałem. Mieliśmy dość czasu, by nasycić oczy.

Gdy wróciliśmy do hotelu, otworzyłem okiennice i wyjrzałem na

Kanał Grande, na światła odbijające się w tafli, parę łódek, które przesuwały się wolno przede mną, ciemne sylwetki pałaców, kościołów i domów towarowych na przeciwnym brzegu. Wenecja była wieczorem dziwnie ciemna i cicha.

Stałem w oknie nagi od pasa w górę, czując ciepły, wilgotny dotyk powietrza. Nie odwracając się, usłyszałem, jak Kari wyszła z łazienki. Poczułem na plecach dotyk jej nagiej skóry, gdy otoczyła mnie ramionami. Trwaliśmy tak przez chwilę, aż odwróciłem się i ją pocałowałem.

Kochaliśmy się, a potem leżeliśmy razem w mroku, przysłuchując się dźwiękom dobiegającym z kanału, chlupoczącej wodzie, falom uderzającym o kamienne brzegi, raz zaś usłyszeliśmy męski głos, który zaintonował piosenkę.

Zachowywaliśmy się jak zwykli turyści. Robiliśmy zakupy, jedliśmy i piliśmy wino w samym środku dnia, po czym wracaliśmy do hotelu i odpoczywaliśmy. Odbywaliśmy rejsy głównymi kanałami. Kari stała na placu świętego Marka z gołębiami na wyciągniętych rękach, a ja robiłem jej zdjęcia. Zwiedzaliśmy kościoły i muzea. Wenecja była jak sen, była częstką rzeczywistości wyjętą z mgły historii, tak jakby epoka renesansu wciąż jeszcze trwała.

Najlepiej chodziło nam się ciemnymi, wąskimi uliczkami i zaułkami po południu. O tej porze miasto pustoszało, a starodawne, murowane kamienice z umieszczonymi nad drzwiami głowami lwów wyciosanymi w kamieniu i z zamkniętymi okiennicami, chroniącymi wnętrza przed popołudniowym upałem, nosiły tajemniczy ciężar stuleci, który budził we mnie uczucie graniczące z nabożnym szacunkiem. Znaleźliśmy otwartą kafejkę z dwoma stolikami na ulicy i starszą kobietą za ladą w głębi

zakurzonego lokalu.

– Powiedz mi, co cię gnębi – poprosiła Kari.

– Co masz na myśli?

Podniosła kieliszek wina, studiując jego głęboką, ceglaną barwę, załamujące się w nim światło.

– Znam cię, Mikael. Spędzamy tu cudowne dni, ale wiem, kiedy coś jest nie tak. Zawsze to zauważam.

Rzecz jasna, miała rację. Wspomnienie Alvina Mo, sprawy, tego, co powiedział ojcu Mai, cały czas wisiało nade mną jak cień. Budziłem się nocą i słyszałem głos Mo niby szept w ciemnościach: „Jak kotek”.

Westchnąłem i wszystko jej opowiedziałem. Gdy już zacząłem mówić, słowa popłynęły wartko, tak jakby tylko czekały, żeby je wypuścić z klatki. Kari słuchała w milczeniu. Kiedy skończyłem, siedziała przez chwilę, sącząc czerwone wino, po czym potrząsnęła głową.

– Nie wiem, co ci powiedzieć. – Położyła rękę na mojej. – Nic dziwnego, że czasem bywasz przygaszony. To jest... to straszna historia. Nie wiem, co ci powiedzieć, i nie wiem, co o tym sądzić.

Sam nie byłem pewien. Trzymając się za ręce, powoli ruszyliśmy do hotelu w leniwej aurze popołudnia. Nie mówiliśmy wiele. Alvin Mo i zło, jakie sobą reprezentował, rozdzieliły nas jak cień. Mimo to cieszyłem się, że jej o tym opowiedziałem.

Tego samego wieczoru jedliśmy kolację przy moście Rialto. W trakcie posiłku rozmawialiśmy na inne tematy, nagle jednak Kari zwróciła się do mnie:

– Myślisz, że to prawda? To znaczy, że Mo ją zamordował?

– W przeciwnym razie dlaczego miałby to powiedzieć?

Zmarszczyła brwi.

– Bo jest szalony. Chory. Bo uznał, że to śmieszne. Bo jest złym człowiekiem. Kto wie? Sam twierdziłeś, że nie jest normalny. Ale to wcale nie musi znaczyć, że właśnie on ją zamordował.

Powoli pokręciłem głową.

– Pewnie po części masz rację. Alvin Mo nie jest normalny i to, co mówisz, może faktycznie być zgodne z prawdą, ale nie wydaje mi się. – Przez chwilę szukałem właściwych słów. – Było coś... w jego oczach. Coś w tonie jego głosu, w uśmiechu... Bo potem uśmiechnął się do mnie, wspominałem o tym? Tak jakby dobrze się bawił. To na pewno zabrzmiało idiotycznie, ale wydało mi się, że nagle wypełził ze swojej skorupy, że po raz pierwszy dał mi się poznać. A tym, co w nim rozpoznałem, było zło. – Znowu pokręciłem głową. – Myślę, że on to zrobił. Myślę, że zabił Maję.

Spojrzała prosto na mnie, w jej oczach była troska.

– A ty, Mikael? Co z tobą? Co zamierzasz zrobić? Jak się z tym czujesz?

– Sądzę, że czuję się... winny. To może nie jest racjonalne uczucie, ale przecież to dzięki mnie został uniewinniony. Mam poczucie winy. Widziałem twarz ojca Mai. Na własne oczy widziałem, jak się załamał. Poczucie winy i wściekłość. Nie wiem, co powinienem zrobić.

– Idź na policję.

– Nie, to bez sensu. Uniewinniono go. Potrzeba więcej, dużo więcej niż kilku słów, żeby znowu wszczęto przeciwko niemu postępowanie karne. A poza tym...

– Tak?

– Tak naprawdę nie wiem, czy jest winny. Nie mam żadnych dowodów, oprócz tej jednej wypowiedzi i wewnętrznego przeświadczenia. Przeczucia. Jeśli zgłoszę się z tym na policję,

a historia o tym, że ja... występuję przeciwko własnemu klientowi... przecieknie do mediów, Bóg jeden wie, jak potoczy się moja kariera.

– Czyli co? Pozwolisz, żeby sprawa rozeszła się po kościach?

Przez chwilę siedziałem bez ruchu.

– Nie. Nie wydaje mi się, żebym mógł tak postąpić. Dręczyłoby mnie to do końca życia. Muszę coś zrobić. Tylko jeszcze nie wiem co.

Na jej ustach niespodziewanie pojawił się uśmiech.

– Nie, ty tego tak nie zostawisz. Znam cię, Mikaelu Brenne, i wiem, że nie omieszkasz czegoś przedsięwziąć. Kocham cię, wiesz? Jestem pewna, że coś wymyślisz. Ale nie dzisiaj. Co byś powiedział na jeszcze jedną butelkę wina?

Właściwie to do niczego nie doszliśmy. Wciąż nie miałem pojęcia, jak się zachować, a jednak czułem się lżej. Zamówiliśmy butelkę wina i opróżniliśmy ją przy świecach, wśród turystów.

Dwa dni później znaleźliśmy się w Mirze, starym mieście na suchym lądzie kilkadziesiąt kilometrów na zachód od Wenecji. Spacerowaliśmy wzdłuż rzeki, ciemnej strugi, która powoli zmierzała w stronę morza, pokryta pyłem kwiatów i liśćmi wierzb chylących się nad wodą. Na przeciwnym brzegu ciągnęły się rzędy patrycjuszowskich willi. Wyglądały tak, jakby wywodziły się z antyku: ogromne, ale zaniedbane i podupadłe, z łuszczącymi się murami pokrytymi płaszczem wyblakłej, pastelowej farby. Mimo to mogło się wydawać, że upadek dodaje im godności, szlachetnej patyny czasu.

Budynki te przywodziły mi na myśl stare kobiety o twarzach naznaczonych długim życiem, które mimo to emanują pięknem.

Kari uśmiechnęła się do mnie.

– To chyba najpiękniejsze miejsce, w jakim kiedykolwiek byłam.

Zjedliśmy lody w małej kawiarni na brzegu rzeki, nasyceni słońcem i pełni wrażeń. Dwa stoliki dalej siedział starszy mężczyzna z nadwagą, w przepoconym ciemnym garniturze, razem z piękną młodą kobietą, która wyglądała na znudzoną. Mężczyzna nosił ciemne okulary, gdy zaś kobieta wstała, by kupić coś przy barze, pozwolił sobie pogłaskać ją po pośladkach z nieuważną miną właściciela. Na jego palcach błysnęły złote pierścienie. Kari się zaśmiała.

– Bez wątpienia szef mafii.

– Tak, wyszedł pokazać się z kochanką. Najwyraźniej zapewnia sobie alibi w takiej czy innej sprawie.

Kari spojrzała na mnie i aż wyprostowała się na krześle.

– Alibi – powiedziała. – Słuchaj no, Mikael, to przecież... Tylko pomyśl o Alvinie Mo.

– Co? – Nie pojmowałem, o co jej chodziło.

– Mo miał alibi, nieprawdaż? Dzięki... jak się nazywała ta kobieta?

– Nina Hagen.

– Właśnie. Nina Hagen. – Spojrzała na mnie zniecierpliwiona, jakbym był nad wyraz nierozumnym dzieckiem. – Nina Hagen zapewniła alibi Alwinowi Mo.

– No i?

– Mikael, otrząśnij się! Jeśli Nina Hagen mówiła prawdę, Mo z całą pewnością jest niewinny. Ale jeśli to on zamordował, w co przecież wierzysz, to czy nie wynika z tego, że Nina Hagen skłamała?

Przez moment patrzyłem na nią z otwartymi ustami, lecz zaraz odruchowo zaprotestowałem, wchodząc w rolę prawnika.

– Niewykluczone. Ale równie dobrze może źle pamiętać. Albo...

coś jeszcze innego.

Kari machnęła ręką.

– Z pełnym przekonaniem twierdziła, że ma rację, czyż nie? Porozumieli się! Ustalili godziny i resztę. To było zbyt piękne, żeby mogło być prawdziwe. Może... może ona po prostu kłamała, Mikael? Może to jakiś punkt wyjścia: dowiedzieć się czegoś więcej o Ninie Hagen?

Wolno skinąłem głową. To na pewno jakiś punkt wyjścia. Przecież jako świadek zeznawała pewnie, perfekcyjnie. Może faktycznie było to zbyt piękne, by mogło być prawdziwe. Uśmiechnąłem się do Kari.

– Jesteś genialna, kochanie. Taki właśnie będzie mój punkt wyjścia.

Posłała mi ciepły, nieco krzywy uśmiech.

– Dobrze, Mikael. Ale zaczniesz, kiedy wrócimy do domu. Teraz jesteśmy na wakacjach.

## Rozdział 11

Na stole przede mną leżał protokół z rozprawy Alvina Mo. Tuż po powrocie z urlopu zadzwoniłem do sądu apelacyjnego z prośbą, żeby mi go przysłali. Następnego dnia znalazłem go w skrzynce pocztowej. Protokół jest jakby szkieletem rozprawy: to notatki sędziego, nie tyle o samym przestępstwie, ile o tym, co dzieje się w sądzie, kto bierze udział w rozprawie, kto jest świadkiem, kiedy posiedzenie się zaczyna i kończy. Kartkowałem go, szukając konkretnej informacji, i znalazłem ją na jednej z ostatnich stron.

„Wystąpiła jako świadek – przeczytałem. – Nina Hagen, ur. 03.08.1969. Pielęgniarka”. Następnie adres i zwyczajowa formuła: „Złożyła przysięgę”.

Ostatni wpis oznaczał, że świadek zapewnił, iż będzie mówił prawdę i tylko prawdę, niczego nie ukrywając. Zastanawiałem się, czy faktycznie tak się stało.

Siedziała ze mną tu, w gabinecie, zaledwie kilka tygodni temu. Najpierw opowiedziała mi swoją historię, następnie czekaliśmy całe pół godziny, zanim odprowadziłem ją na przesłuchanie. Próbowałem cofnąć się do owej chwili, przypomnieć sobie, o czym mówiliśmy, ale byłem wtedy podekscytowany jej zeznaniem; mój umysł pracował na wysokich obrotach, roztrząsając samą sprawę oraz możliwości, jakie właśnie zyskałem, więc nie skupiałem się zbyt na tym, co się działo. Nie rozmawialiśmy dużo. Piła kawę.



Chyba zapytałem ją, skąd pochodzi i jak długo tutaj mieszka, ale nie pamiętałem nic oprócz tego, że urodziła się na wschodzie. Odniosłem wrażenie, że mówi zwykłym, niewyróżniającym się dialektem ze wschodnich stron kraju. Mogła dorastać gdziekolwiek.

Zapamiętałem jej wygląd. Ani młoda, ani stara. Dorosła kobieta. Całkiem atrakcyjna. Dobrze zbudowana, ale bez nadwagi. Było jej po prostu dużo – piersi, biodra, mocne uda, ale przy tym na tyle długie nogi, by to nie przeszkadzało. Jasne włosy. Twarz bez makijażu, wprawdzie niezbyt ładna, ale ze wspaniałymi ustami, pełnymi i zmysłowymi. Miała ubogą mimikę, jej twarz wydawała się martwa, zamknięta na świat i nie zdradzała wiele z tego, co się działo w duszy Niny Hagen. Ani razu się nie uśmiechnęła.

Była jednak przekonująca, to zapamiętałem, zarówno tu, w gabinecie, jak i na sali sądowej. Rzeczowa, uporządkowana i przekonująca.

Pamiętałem również jej ręce – jedyny element, który psuł wrażenie spokoju i opanowania. Nieustannie się poruszały, splatały, gładziły poręcze krzesła, zbierały pyłki ze spodni. Paznokcie były zaś krótkie, obgryzione do samej skóry.

Westchnąłem i zanotowałem adres Niny Hagen na żółtej karteczce. Nic o niej nie wiedziałem, nie miałem też pojęcia, od czego powinienem zacząć, więc z braku innych pomysłów wsiadłem do samochodu i pojechałem do pobliskiego miasta, w którym mieszkała.

Odkąd wróciliśmy z Włoch, minęły cztery dni, a wraz z naszym powrotem nadeszła jesień – tak jakby na nas czekała. Opuściliśmy pokład samolotu w ciepłych promieniach zachodzącego słońca, a następnego ranka obudziliśmy się przy wyciu wichury za oknem, która odzierała gałęzie z liści i sprawiała, że drzewa w ogrodzie

kołysały się niebezpiecznie. Odtąd wiał wiatr i padał deszcz.

W ciemności kiepsko widziałem znaki drogowe i nieco błądziłem, nim znalazłem właściwą drogę. Jechałem wolno. Wokół nie było żywej duszy. Po obu stronach drogi ciągnęły się niemal identyczne szeregowce z lat siedemdziesiątych, małe pudełka o płaskich dachach, pokryte pionowymi, bejcowanymi na brązowo panelami. Światło latarni skrzyło się na mokrych krzewach ozdobnych w ogrodach po prawej. Po lewej okna salonów wychodziły na ulicę; każdy dom wypełniony był migotliwym, niebieskawym odbłaskiem ekranu telewizora. Każdy, wyjąwszy dom Niny Hagen. Mieszkała na samym końcu osiedla.

Zaparkowałem przy chodniku. Szeregowiec stał cichy i ciemny. Żadnego oświetlenia zewnętrznego, żadnych zapalonych lamp. Niczego. Niny Hagen nie było w domu. W oknach zaciągnięte zasłony. Z jakiegoś powodu wydało mi się, że budynek został opuszczony i nikt w nim już nie mieszka. Wyłączyłem silnik, przeszedłem na drugą stronę ulicy i uniosłem pokrywę skrzynki pocztowej. Na kartce poniżej widniał niemal całkiem wyblakły napis: „Hagen”. Żadnej poczty, żadnych gazet i reklam. Podszedłem do drzwi wejściowych. Trudno było coś dostrzec w mroku, ale nie wyglądało na to, by drzwi opatrzone tabliczką z nazwiskiem.

Wróciwszy do samochodu, przez chwilę siedziałem w ciemnościach i namyślałem się. Nie było jej w domu, ale to nie miało znaczenia. Nawet gdyby była, rozmowa z nią nic by nie dała. Bo co powinienem powiedzieć tej kobiecie? Mógłbym zadzwonić do drzwi i oświadczyć, że posądzam ją o kłamstwo na sali rozpraw, jednak przypomniałem sobie jej spokojne, szaroniebieskie oczy oraz rzeczowy ton i doszedłem do wniosku, że to bez sensu. Poczuję się głupio, włączyłem silnik i odjechałem. Potrzebowałem czegoś

namacalnego, czegoś konkretnego, ale nie wiedziałem, czego ani gdzie szukać. Nie byłem detektywem, nie znałem się na tym i brakowało mi środków.

– To na nic – oznajmiłem. – Nie mam zielonego pojęcia, jak się do tego zabrać. To jedna wielka głupota.

Kari słuchała mnie uważnie.

– Mmm – mruknęła. – Rozumiem.

– Trzeba o tym po prostu zapomnieć.

– Może i trzeba. Tyle że...

– Tak?

Poruszyła się lekko, zamyślona.

– Tyle że... jeśli to Alvin Mo jest mordercą, jeśli to on zabił Maję, to w takim razie... jest to morderstwo na tle seksualnym, z żądzy. Tak się mówi?

– Owszem. Morderstwo na tle seksualnym.

– Taka osoba... on... z pewnością... Właściwie nic o tym nie wiem, myślę tylko, że taka osoba zabije znowu. Jeśli będzie mogła. Poczuję potrzebę, by zabić. Przymus. – Wzdrygnęła się lekko.

Przetrawiłem jej słowa.

– Tak. Masz rację. Prędzej czy później tego zapragnie.

Była bezlitosna.

– A w takim razie nie wolno nam tak po prostu o tym zapomnieć, Mikael, prawda?

Wiedziałem, że Kari się nie myli, i wprawiło mnie to w irytację.

– Czyli co, twoim zdaniem, powinienem zrobić?

– Znajdź kogoś, kto ci pomoże. Porozmawiaj z jakimś policjantem, musisz przecież znać kogoś właściwego. Porozmawiaj z nim w cztery oczy. Z tym, jak ty go nazywasz? Król Słońce? Do niego się zwróć.

– Zwariowałaś? Breivik mnie nienawidzi!

Wzruszyła ramionami.

– Nie wydaje mi się. Sądzę raczej, że on cię lubi. Po prostu stoicie po dwóch stronach barykady i trochę działasz mu na nerwy. Ale mnie też od czasu do czasu działasz na nerwy, więc sam widzisz, że to nic nie znaczy.

Zadzwoił telefon, Kari wstała i odebrała. Kilka razy powtórzyła: „Halo!” do słuchawki, po czym odłożyła ją z grymasem rozdrażnienia.

– Kto to był?

– Nikt. Nikt się nie odezwał, słyszałam tylko jakieś szumy. Dzisiaj to już drugi raz. Irytujące.

Król Słońce patrzył na mnie z niedowierzaniem.

– Namawiasz mnie do tego, żebym złamał dla ciebie prawo? Czy ty już całkiem postradałeś rozum, Brenne? – Potrząsnął rudymi lokami, które otaczały jego głowę jak chmura, a płaska, piegowata twarz z zadartym nosem zamarła w pół drogi między grymasem a uśmiechem. – Chyba zdajesz sobie sprawę, że wyszukiwanie danych osobowych bez wyraźnej przyczyny jest niezgodne z prawem, nie mówiąc już o przekazywaniu ich niewtajemniczonym. Masz czelność!

Kończyliśmy już trzecią szklanekę piwa. Zadzwoiłem do Króla Słońce, prosząc go o spotkanie, on zaś zgodził się po chwili wahania. Piliśmy piwo i przeciągaliśmy rozmowę o rzeczach bez znaczenia, dopóki nie zauważyłem, że rozmówca zaczyna się niecierpliwić. Wtedy przeszedłem do sedna.

Podniosłem obie ręce w uspokajającym geście.

– Wyluzuj. Pozwól, że ci powiem, dlaczego o to pytam, tak byś sam mógł rozstrzygnąć, co chcesz z tym dalej zrobić. Postawię ci

jeszcze jedno piwo. Za darmowe piwo mógłbyś przynajmniej mnie wysłuchać.

– No dobra – odparł niechętnie – ale masz nierówno pod sufitem, jeśli myślisz, że to dla ciebie zrobię.

Znaliśmy się od wielu lat, ale tylko z pracy. Był śledczym w sekcji narkotykowej, mnie zaś zdarzało się bronić narkomanów i drobnych dilerów. Rok wcześniej reprezentowałem Serba oskarżonego o zabójstwo, a zarazem ważną postać handlu narkotykami w mieście. Dzięki mnie został oczyszczony z zarzutów, a Królowi Słońce się to nie spodobało. Wciąż uważał, że Serb był winny, i wielokrotnie mi to powtarzał. Ja jednak wiedziałem, że się mylił. Król Słońce nie wybaczył mi tej sprawy, ale poza tym Kari miała rację. Naszą relację cechował wzajemny szacunek i – we wcale nie mniejszym stopniu – wzajemna sympatia, mimo że nigdy jej sobie nie okazywaliśmy.

Opowiedziałem mu historię od początku do końca. Król Słońce słuchał, nie przerywając. Co jakiś czas pociągał wielkie łyki piwa. Kiedy skończyłem, chwilę siedział, nic nie mówiąc. Wreszcie wstał bez słowa. Przez moment wydawało mi się, że zamierza odejść, on jednak podszedł do baru i wrócił z dwoma pilznerami. Usiadł ciężko na krześle.

– I co o tym myślisz?

– Myślę, że wpakowałeś się w niezłe gówno.

Niewiele można było na to odpowiedzieć, więc przez chwilę milczeliśmy, po czym Król Słońce nachylił się ku mnie nad stołem.

– Ale masz rację. Faceta uniewinnili, a to, o czym mówisz, nie wystarczy, by na nowo wszcząć śledztwo. I rozumiem, że to cię martwi. Zawsze ci mówiłem, że masz gównianą pracę, Brenne. Adwokaci! – Wyglądał, jakby chciał splunąć, wymawiając to słowo.

– Marnować swoje życie i talenty po to, żeby świnie i szumowiny nie trafiły za kratki...

Odruchowo otworzyłem usta, by zaprotestować, ale on kontynuował:

– I dlatego aż mnie korci, by powiedzieć, że dostałeś to, na co zasłużyłeś. Że ciśnięto ci prosto w twarz realia twojej pracy. Ale...

Czekałem.

– Masz rację. Morderca Mai zabije ponownie. A... ten świadek, Nina Hagen... z nią można by spróbować. Zobaczą, co uda się wykombinować. Daj mi kilka dni. Tylko pamiętaj, że chłopcy z sekcji do spraw przemocy na pewno ją sprawdzili przed rozprawą.

– Wiem, ale mimo wszystko niewykluczone, że są szczegóły, które można by podrażnić. Coś tak małego, że nie dało się tego wykorzystać przeciwko niej w sądzie, ale co skieruje mnie na... jakiś trop... – Mój głos ucichł, sam nie wiedziałem, na co właściwie liczę.

Król Słońce siedział przez chwilę bez ruchu, po czym powiedział:

– Nie powinienem tego robić. Zdaję sobie sprawę, że to głupota i że skończy się to jakąś cholerną draką. Wiesz, co jest moim jedynym pocieszeniem?

– Nie.

– Że ty też nie powinieneś tego robić, Brenne.

– Co masz na myśli?

– Jesteś adwokatem. Obrońcą. Z zasady powinieneś stać murem za swoim klientem i robić, co w twojej mocy, by mu pomóc. A to, co teraz planujesz, jest na przekór zasadzie. Próbujesz znaleźć dowody, by rozbić jego alibi w drzazgi. Wdepnąłeś w to samo gówno co ja. – Wstał z krzesła. – Dzięki za piwo. Zadzwoń do ciebie.

– Kiedy?

– Kiedy będę coś miał.

Przez chwilę rozważałem to, co powiedział. Nie myślałem o tym dotąd w ten sposób, ale dobrze rozumiałem Breivika. Zaraz jednak odsunąłem od siebie ten dylemat. Pamiętałem uśmiech Mo w sądzie, twarz Hansa Godvika, zdjęcia zmasakrowanego ciała Mai i wiedziałem, że nie mogę tak zostawić tej sprawy.

Wieczorem, kiedy się już położyłem, zadzwonił telefon stojący na stoliku nocnym. Leżąca obok Kari już spała. Złapałem słuchawkę po pierwszym tonie i wymamrotałem: „Brenne”, nie chcąc jej obudzić. Zielone cyferki na zegarze przy łóżku pokazywały kwadrans po północy. Po drugiej stronie nikt się nie odezwał. Słysząc było tylko szumy. Powtórzyłem swoje nazwisko, tym razem trochę głośniej. I znów odpowiedziała mi cisza. Wydawało mi się, że słyszę czyjś oddech, ale nie miałem pewności. Potem odłożyłem słuchawkę.

## Rozdział 12

Po wakacjach trudno mi było wrócić do obowiązków. Każdego ranka przychodziłem do biura, ale praca szła opornie, brakowało mi inspiracji i wcześniej wracałem do domu. Sprawa Alvina Mo przyniosła dobre rezultaty: do firmy napływał nieprzerwany strumień zgłoszeń od ludzi, którzy potrzebowali moich usług. Po raz pierwszy mogłem odmówić przyjęcia tych spraw, których nie chciałem. Niektóre zostały przydzielone innym adwokatom. Peter i Finn byli zadowoleni. Ja natomiast czułem dziwną obojętność i pozwoliłem Synne zająć się większością przygotowań oraz kontaktem z klientami. Aż kipiała energią i entuzjazmem i musiałem wziąć się w garść, żeby nie tłumić jej zachwytu, kiedy rozmawialiśmy.

Siedząc naprzeciw mnie przy stoliku w restauracji, Kari przysłuchiwała mi się z brodą opartą na ręce.

– Nagle po prostu przestało mnie to cieszyć. Przez całe lata walczyłem, żeby znaleźć się tu, gdzie jestem, a kiedy już się znalazłem, czuję się tak, jakby nie miało to żadnego znaczenia, żadnej wartości. Nie wiem, co się ze mną dzieje.

Wyprostowała się i wzruszyła ramionami.

– Może tak to właśnie jest. Może to sama droga pod górę, walka o sukces coś znaczą, a dojście na szczyt już nie.



– A co to za pocieszenie?

Zaśmiała się.

– To pocieszenia ci trzeba, Mikael? Trzeba było powiedzieć.

Nie uważałem tego za szczególnie dowcipne, ale ona dodała:

– A może to kryzys wieku średniego? Pytania o sens życia, czy naprawdę kariera i pieniądze są wszystkim i tak dalej. Z reguły pomaga kupno dużego motocykla i podrywanie młodszych kobiet.

– Już poderwałem młodszą kobietę. Jeszcze młodsza by mnie wykończyła.

Uśmiechnęliśmy się do siebie i nagle jakby wróciliśmy do restauracji i znaleźliśmy się blisko siebie, tak że natychmiast nabrałem na nią ochoty. Wyczytała to w moich oczach, na jej policzkach wystąpiły delikatne, ale wyraźne rumieńce.

– Zapłacisz? Pójdziemy? – Głos Kari nabrał szczególnego tonu, lekkiej chrypki, którą dobrze znam. W drodze powrotnej objąłem ją w pasie i poczułem ciężar jej biodra na moim, ciężar całego jej ciała.

Wagę naszego związku.

Później siedziała po turecku na łóżku, rozleniwiona i zadowolona.

– To po prostu sprawa Mai cię dręczy – oświadczyła. – To dlatego brakuje ci inspiracji i jesteś znudzony. Wymyśliłeś już coś?

– Czekam na odpowiedź Króla Słońce. Właściwie nie wydaje mi się...

Zadzwoił telefon. Gniewne tony brutalnie i bezwzględnie wdarły się w bliskość między nami. Spojrzałem na Kari, potem na zegar. Było wpół do pierwszej w nocy.

– Zaczynam mieć tego dość – wyznała Kari.

Tym razem byłem pewien, że słyszę czyjś oddech, ciężki, zdyszany oddech, tak jakby ten ktoś wcześniej długo biegł. Odłożyłem słuchawkę. Kiedy po kilku minutach dzwonek odezwał

się znowu, złapałem go i powiedziałem, głośno i wyraźnie:

– Tu adwokat Mikael Brenne. Mam już dość tych telefonów. Jeśli zdarzy się to jeszcze raz, zgłoszę zajście na policję. Zostanie wtedy założona aparatura śledząca przychodzące połączenia! – Trzasnąłem słuchawką.

Kari spojrzała na mnie z lekko zmarszczonym czołem.

– Kto to może być?

– A bo ja wiem? Jakiś wariat. Albo niezadowolony klient. Miejmy nadzieję, że to pomoże. Chodź do mnie.

Złapałem ją i przygarnąłem do siebie, prosto w moje ramiona, w ciepło między nami.

W sobotnie przedpołudnie znów zaświeciło słońce. Ubrany w szlafrok i kapcie poczłapałem do skrzynki pocztowej i opróżniłem ją z listów oraz gazet. Były tam głównie rachunki, ale pośród nich leżała biała koperta bez nazwiska, adresu i kodu pocztowego. Ktoś własnoręcznie włożył ją do mojej skrzynki. Poczułem ciekawość i otworzyłem kopertę. Wewnątrz tkwiła pojedyncza biała kartka, złożona na pół. Rozprostowałem ją i wbiłem wzrok w kolorowe zdjęcie martwego mężczyzny. Zdjęcie było ostre, o ciemnej, ale wyraźnej tonacji. Pokazywało głowę i tors zupełnie nieznanego mi człowieka, leżącego na plecach na mokrym asfalcie. Nie dało się określić, gdzie je zrobiono. Mężczyznę postrzelono w twarz, przez oko. W miejscu, gdzie kiedyś było oko, widniała plama ciemnoczerwonej krwi. Krew się przelała, wyciekła z oczodołu i spłynęła po policzku, tworząc wokół głowy zabitego kałużę w kształcie aureoli.

Zajrzałem do koperty, zerknąłem na drugą stronę zdjęcia, ale okazała się pusta. Żadnych napisów, żadnych śladów. Tylko zdjęcie martwego człowieka. Z piętra dobiegały mnie odgłosy obecności

Kari, trzaśnięcie drzwi do łazienki, które się za nią zamknęły. Wróciłem do domu i włożyłem przesyłkę do kieszeni marynarki. Nie chciałem, żeby Kari ją zobaczyła. Ta fotografia mnie zaniepokoiła, ale nie miałem pojęcia, co mogła oznaczać i dlaczego ktoś włożył ją do mojej skrzynki.

Niepokój towarzyszył mi przez cały dzień. Zrobiliśmy zakupy, wybraliśmy się na spacer po okolicy, przyrządziliśmy obiad. Zwykła sobota. Kari zaproponowała, żebyśmy poszli do kina, ale gdy przejrzeliliśmy repertuar, nie znaleźliśmy żadnego filmu, który oboje chcielibyśmy obejrzeć, więc zostaliśmy w domu. W telewizji też niczego nie było.

Kari skończyła przeglądać pierwszą część gazety i przekazała mi ją. W Bagdadzie wybuchły bomby. Lokalna drużyna piłki nożnej znów zawiodła. Premier wyraził niezadowolenie z powodu tonu kampanii wyborczej. Ziewnąłem, a Kari zerknęła na mnie z uśmiechem.

– Swoją drogą, odbierałaś jeszcze jakieś głuche telefony?

Ponownie się uśmiechnęła.

– Nie, żadnych. Najwidoczniej się go pozbyłeś, Mikael. Kimkolwiek był.

– Może to były wygłupy jakichś chłopców.

– Może. Chcesz się położyć?

Znowu ziewnąłem.

– Myślę, że tak. Tylko doczytam gazetę. Nie ma w niej wiele.

I wtedy rozległ się brzęk. Eksplozja dźwięku, która rozdarła nasz ciepły, wieczorny spokój, sprawiając, że serce we mnie zamarło, po czym puściło się w galop jak narowisty koń. Zadzwoniała chmura szklanych odłamków. Siedziałem z otwartymi ustami, gapiąc się na firanki, które nagle zatrzepotały wesoło w podmuchach zimnego

wiatru, na otwór okna, za którym ziała czarna noc, i nie rozumiałem, co się stało. Nie zareagowałem, dopóki nie usłyszałem, że Kari wydaje dziwne dźwięki: coś między łkaniem a jękiem. Obróciłem się i ujrzałem, że siedzi zgięta w pół, rękami osłaniając twarz. Spomiędzy palców ciekła krew, a ona jęczała raz po raz.

Ukląknęłam i ostrożnie odsunęłam jej rękę. Aż się zachłysnąłem i na chwilę zamarło we mnie serce. Jedną ręką mocno trzymałem jej dłoń, drugą zaś wystukałem numer alarmowy w telefonie i wezwałem karetkę głosem, który można by nazwać opanowanym, gdyby nie liczyć delikatnego drżenia. To samo drżenie wyczuwałem we własnej piersi i w rękach Kari. Te również się trzęsły, niemal niedostrzegalnie. W pokoju było zimno, a zanim przyjechała karetka, minęła cała wieczność.

W karetce cały czas trzymałem ją za rękę, jednak po dotarciu do szpitala zbyt mnie opryskliwie i kazano mi usiąść, podczas gdy nosze z Kari przewieziono w głąb budynku. Po chwili zjawiała się zapobiegliwa pielęgniarka z formularzami do wypełnienia. Nie miała mi nic do powiedzenia na temat Kari. Siedziałem wyprostowany na krześle. Od czasu do czasu wstawałem i przechadzałem się w tę i z powrotem. Pojawiło się troje noszy otoczonych wianuszkami nastolatków. Niektórzy z nich mieli otarcia i rany cięte. Kiloro płakało. W tej czy innej dzielnicy zdarzył się wypadek samochodowy. Przez chwilę na izbie przyjęć panował chaos, pełno było krzyków, łkających dziewczyn oraz ciężko pracujących lekarzy i pielęgniarek, po czym wszystkich pochłonął budynek. Pozostało po nich kilka kropel krwi na podłodze i wokół mnie znów się uspokoiło.

Wydawało mi się, że minęła cała wieczność, zanim podszedł do mnie zmęczony młody człowiek w białym kitlu. Przedstawił się, a ja

w tej samej chwili zapomniałem, jak się nazywa.

– Co się z nią dzieje? – zapytałem.

Usiadł ciężko obok mnie.

– Za moment pacjentka zostanie poddana operacji. Okulista jest już w drodze.

– A co z jej wzrokiem?

Wzruszył ramionami.

– Nie wiem. Powinniśmy mieć duże szanse na uratowanie wzroku w uszkodzonym oku. Trzeba jednak poczekać na wynik operacji, aż będziemy w stanie powiedzieć coś pewniejszego.

– Czy mogę ją zobaczyć? Tylko przez chwilę...

Stanowczo potrząsnął głową.

– Nie. Pacjentka jest przygotowywana do operacji. Najlepsze, co może pan zrobić, to wrócić do domu i skontaktować się z nami jutro rano. Nic tu po panu, minie wiele czasu, zanim dziewczyna obudzi się z narkozy. Proszę jechać do domu.

Była to z pewnością dobra rada, ale nie mogłem jej usłuchać. Spędziłem w szpitalu długie, ciemne godziny po północy. Piłem kawę i żałowałem, że nie palę. Że nie robię czegokolwiek, co zdołałoby skrócić czas oczekiwania. Kwadrans po trzeciej podeszła do mnie pielęgniarka i labiryntem korytarzy poprowadziła mnie do maleńkiej poczekalni. Pięć minut później otworzyły się drzwi, a energiczny człowieczek zaczął mówić, zanim jeszcze znalazł się w pokoju. Był to okulista, który zdradził mi, że sprawy mają się nieźle.

– Jestem bardzo dobrej myśli. Bardzo. Wszystko potoczyło się tak, jak zakładałem. Operacja jak z podręcznika.

– Więc Kari nie straci wzroku?

– Bardzo bym się zdziwił. – Roześmiał się głośno i już go nie było.

Znalazłem jakiegoś pielęgniarza i nagabywałem go dopóty, dopóki nie wpuścili mnie na salę pooperacyjną. Kari leżała w półmroku i spała. Wokół niej błyskały czerwone i zielone lampki tajemniczych maszyn. Na jednej ręce miała założoną kroplówkę, na tle poduszki wyglądała na małą i bladą. Połowę twarzy zakrywał duży bandaż. Pochyliłem się ostrożnie i szepnąłem, że ją kocham. Potem wróciłem do domu.

Spałem przez trzy godziny, a dźwięk budzika wydawał się częścią snu, dopóki nie zrozumiałem wreszcie, co się dzieje, a wtedy oprzytomniałem w ciągu sekundy. Podłoga w salonie okazała się wilgotna po porannej ulewie i pokryta odłamkami szkła. Na dywanie przed sofą widniała spora plama krwi, niemal czarnej w bladym świetle dnia. Włożyłem buty i szukałem, aż znalazłem kamień wielkości pięści pod stolikiem narożnym. Nie zdziwiło mnie to. Nie byłem całkiem pewien, ale zakładałem, że ktoś rzucił kamieniem w okno. Dopiero po trzech próbach trafiłem na szklarza, który mógł przyjść tego samego dnia.

## Rozdział 13

Kari była przytomna, ale źle się czuła po narkozie. Siedziałem obok, trzymając ją za rękę i od czasu do czasu podając jej szklanekę wody. Trochę przysypiała. Nie była w stanie rozmawiać; tuż przed tym, jak wyszedłem, zapytała jednak, co się stało.

– Ktoś rzucił kamieniem w okno. Kawałek szkła dostał ci się do oka.

– Dlaczego? – Jej głos był cichy i nieco ochrypły, tak jak przy przeziębieniu.

– Nie wiem. Nie myśl o tym, po prostu zdrowiej.

Ścisnęła moją dłoń, po czym znowu zapadła w sen. Po kilku godzinach wróciłem do domu, żeby wpuścić szklarza i posprzątać.

Kiedy się obudziłem, była czwarta po południu, moje ciało zaś wypełniał martwy ciężar, tak jakbym przespał całą dobę. Wziąłem prysznic, a w lodówce znalazłem jakieś resztki, z których udało mi się zrobić obiad. Następnie wyszedłem do ogrodu, okrążyłem dom i stanąłem przed oknem salonu. Wokół świeżo wstawionej szyby połyskiwał biało kit.

W rękę trzymałem kamień. Znalazłem go pod stołem na lewo od miejsca, w którym teraz stałem. Próbowałem oszacować kąt, ocenić, skąd go rzucono. Ogród schodził ku ulicy, gdzie kończył się co najmniej czterometrowym zwartym szpalerem buków tworzących

żywoplot. Znowu skrzyłem za róg i przez bramę wyszedłem na ulicę. Okien salonu nie było widać. Gdyby ów ktoś stał tutaj, musiałby rzucać na chybił trafił. Nie uważałem tego za zbyt prawdopodobne.

Wróciwszy do ogrodu, poszedłem w dół między krzewami w tę stronę, z której, jak sądziłem, ciśnięto kamień. W miękkiej, wilgotnej trawie nie dostrzegłem śladów stóp, ale pod czerwolistnym bukiem leżały trzy niedopałki, spalone aż do filtra. Obróciłem się i spojrzałem na dom. Okna salonu były stąd dobrze widoczne. Moja ręka wciąż zaciskała się na kamieniu; zważyłem go w dłoni i zamachnąłem się na próbę. Prosty rzut, odpowiednia odległość. To tutaj stał napastnik.

Po raz pierwszy zawrzał we mnie gniew. Wcześniej cała moja uwaga skupiła się na Kari i na tym, co będzie z jej okiem. Nie miałem czasu – albo siły – przemyśleć tego, co się wydarzyło. Teraz jednak, kiedy zatrzymałem się przy buku, wszystko stało się realne. To nie był zwykły kamień rzucony przez anonimową rękę, który przeleciał przez okno i w drobny mak rozbił nasz wieczorny spokój. Tu, w mroku, czaił się człowiek z krwi i kości. Człowiek, który naruszył moją prywatność. Który skrzywdził moją dziewczynę. Nie dało się przeoczyć związku między kamieniem, kopertą ze zdjęciem martwego mężczyzny i nocnymi głuchymi telefonami. Ktoś na mnie polował, ja zaś nie wiedziałem, kim ta osoba była ani dlaczego to robiła.

Wiedziałem za to, że powinienem zgłosić zajście, ale nie miałem złudzeń co do tego, że policja uzna sprawę za priorytetową. Stwierdzą, że to wygląpy jakichś szczeniaków. Mimo to znalazłem plastikowy woreczek i ostrożnie włożyłem do niego niedopałki.

Kiedy przyszedłem, rodzice Kari siedzieli przy jej łóżku.



Zadzwońiem do nich rano i nie wdając się w szczegóły, opowiedziałem im, co się stało. Nasze stosunki układały się dosyć dobrze, mimo iż z początku przejawiali wobec mnie spory sceptycyzm. Nic dziwnego zresztą. W końcu byłem od niej trzynaście lat starszy.

Gdy wszedłem do pokoju, Kari uśmiechnęła się do mnie. Jedno oko zakrywał jej duży bandaż. Drugie wyglądało tak, jakby ktoś przyładował w nie pięścią. Przytuliłem ją ostrożnie.

Matka Kari przycupnęła na brzegu materacu, gładząc ją po ręce, jakby córka była małym dzieckiem – i chyba tak właśnie uważała. Ojciec stał w nogach łóżka i wyglądał na zatroskanego. Wytrzymał tylko kilka minut, po czym poprosił, bym wyszedł z nim na korytarz.

– O co chodzi, Mikael? Dlaczego ktoś miałby wybijać wam okno kamieniem?

– Nie wiem. Może to jakieś szczeniackie wygłupy.

W jego oczach dostrzegłem powątpiewanie. Powątpiewanie i troskę o córkę. Kari jest jedynaczką, a jej rodzina mocno trzyma się razem.

– A może i nie – dodałem. – Nie chcę ryzykować. Może Kari pojedzie do was, kiedy już stąd wyjdzie? Tylko na wszelki wypadek, dopóki nie przekonam się, co się dzieje.

Jego ulga była aż nadto widoczna. Staliśmy jeszcze przez chwilę, rozmawiając. Kiedy już mieliśmy wrócić do pomieszczenia, powiedział:

– Ty też na siebie uważaj, Mikael.

Jakby nagle do niego dotarło, że ja też mogę się znajdować w niebezpieczeństwie. Lubilem go i nie miałem mu za złe, że myślał przede wszystkim o córce.

Kari odwiedziły też przyjaciółki oraz ciotka, która nigdy nie była u nas w domu. Są takie starsze kobiety, które cieszą się, mogąc odwiedzić chorego. Opowiedziała straszne historie o cierpieniach nieznanym nam ludzi, czym skutecznie przegoniła przyjaciółki Kari.

Nieco później przyszedł Peter. Jest on nie tylko moim współnikiem, lecz także naszym dobrym przyjacielem. Bukiet kwiatów, który przyniósł, ledwo zmieścił się w drzwiach, a on sam napełnił pokój nieprzebraną energią.

– Wyglądasz... inaczej – powiedział do Kari. – Jak szop pracz. Często zastanawiałem się, jak wyglądasz w łóżku, i wyobrażałem sobie ciebie inaczej. Ale oczywiście i tak jesteś piękna.

Kari parsknęła śmiechem. Ciotka zacisnęła wargi, lecz po pięciu minutach już śmiała się razem z nami.

Później Peter wyciągnął mnie na korytarz.

– Musimy pogadać o pracy – oświadczył, ale gdy tylko znaleźliśmy się za drzwiami, wycelował we mnie palec. – Co, do cholery, się stało, Mikael?

– Ktoś wybił nam okno kamieniem. Odłamek szkła trafił Kari w oko.

Potrząsnął głową z irytacją i zniecierpliwieniem.

– Wiem, durniu. Pytam, czy to był przypadkowy wybryk jakiegoś pijaka, czy może coś więcej? Czy ktoś nastaje na twoje życie?

Powiedziałem mu o liście i o telefonach. Zacisnął wargi.

– Zgłosiłeś to na policję?

– Nie. Powinienem, ale tyle się wydarzyło... Nie sądzę, by istniało duże prawdopodobieństwo, że coś wykryją.

– Może i nie, ale mimo wszystko... Zastanawiałeś się, kto to mógł być?

– Nie wiem. Wielu moich klientów ma nierówno pod sufitem. Nie zawsze są zadowoleni.

– Hm. Tak. Ale... sprawa Mai... wzbudziła mnóstwo emocji. Wielu ludzi się wściekło. Myślałeś o tym?

Faktycznie, przyszło mi to do głowy. Byłem przeświadczony, że zajście miało związek ze sprawą Mai, ale nie zamierzałem dyskutować o tym z Peterem.

– Sam nie wiem.

– Bądź ostrożny, Mikael.

Dwa dni później jechaliśmy przez most łączący miasto z wyspami na północy, który matematycznym łukiem ze stali i betonu wznosił się nad płaską taflą wody. Żółte, jesienne słońce wisiało nisko, a siedząca obok mnie Kari była niezadowolona.

– Nie wiem, dlaczego nie mogę wrócić do domu, Mikael.

– Chciałbym się najpierw upewnić, że jest tam bezpiecznie.

– Czy zdajesz sobie sprawę, że jestem pełnoletnia?

– Mhm.

– To z jakiej racji wydaje ci się, że możesz decydować, że pojedę teraz do mamy i taty, tak jakbym była dzieckiem? Czyżbym nie miała już nic do powiedzenia w tej sprawie?

Nie było na to dobrej odpowiedzi, więc postanowiłem zachować milczenie. Jechaliśmy dalej w ciszy, przez małe miejscowości i mosty, obok opustoszałych gospodarstw, aż do chwili gdy zjechałem z asfaltu i samochód zaczął wspinać się po krętej drodze na zboczu, po czym dotarliśmy przed dom rodziców Kari.

Kiedy się pożegnałem, Kari odprowadziła mnie na podwórze i pocałowała. Na zewnątrz zapadła już ciemność, ale noc była gwieździsta. Tuż nad horyzontem zawisł wąski sierp księżyca, kiedy zaś przejechałem z powrotem przez most, poczułem się

niewytłumaczalnie samotny, tak jakby poza mną jednym nie było już nikogo na świecie.

W skrzynce pocztowej leżały trzy rachunki oraz kolejna biała koperta bez adresu i znaczka. Tym razem znalazłem w niej zdjęcie kobiety leżącej na brzuchu. Jej jasne włosy rozsypały się na trawie. Była martwa. Nie dostrzegłem ran ani śladów krwi, ale całkowity bezruch ciała, nienaturalne ułożenie kończyn ponad wszelką wątpliwość wskazywały, że kobieta nie żyła.

Nie miałem problemów ze zrozumieniem przesłania i zawrzał we mnie gniew.

## Rozdział 14

Następnego wieczoru, tuż przed zmrokiem, włożyłem wełnianą bieliznę i kalesony pod ubranie, a na wierzch kurtkę z kapturem. Przygotowałem termos z kawą, po czym zapakowałem go razem z kanapkami i czekoladą do małej torby. W piwnicy znalazłem żelazną rurę o długości około czterdziestu centymetrów. Wokół jednego jej końca owinąłem dwie warstwy czarnej taśmy izolacyjnej i na próbę zważyłem ją w ręku. Zostawiłem telefon komórkowy w kuchni, wziąłem torbę i śpiwór i wyszedłem na zewnątrz, w zapadający zmrok.

Garaż stoi prostopadle do bramy ogrodowej. Jest zbudowany w tym samym stylu co dom, ze stromym dachem pokrytym czarną dachówką. U szczytu ściany zwróconej ku drodze znajduje się małe okno. Stojąca w garażu drabina prowadzi na poddasze, gdzie przechowuję narty, stare opony i różne rupiecie. Wspiąłem się tam i uprzątnąłem śmieci oraz inne rzeczy, tak aby bez przeszkód móc zbliżyć się do okna. Odległość od stropu była niewielka, więc idąc pod pochyłymi belkami, musiałem się schylać. Dwie opony okazały się użytecznym oparciem, śpiwora użyłem zaś, by na nim usiąść. Okno było tak brudne, że niemal nie dało się przez nie wyglądać. Znalazłem starą ścierkę i przetarłem najgorsze miejsca. Zewnętrzną stronę szyby wciąż pokrywała warstwa brudu, ale postanowiłem, że musi mi to wystarczyć. Nie chciałem znowu

wychodzić na zewnątrz.

Otoczoną żywopłotem i dużymi drzewami ulicę wypełniały głębokie cienie. Kolejne latarnie dzieliły spore odległości. Przejechało wolno kilka samochodów. Ktoś wyszedł na spacer z psem. Para zakochanych przeszła, trzymając się za ręce; zatrzymali się i pocałowali, po czym ruszyli dalej. Regularnie zerkałem na zegarek, ale po chwili zmusiłem się, żeby przestać, bo czas płynął zbyt wolno.

Czułem się głupio, siedząc tam. Pozycja, która z początku wydawała się wygodna, coraz bardziej mi doskwierała. Bolało mnie w krzyżu. Próbowałem innych pozycji, ale po kilku minutach stawały się równie niekomfortowe.

W mojej głowie kłębiły się myśli. Nie wiedziałem, czy ktoś przyjdzie, tak naprawdę nie było to zbyt prawdopodobne, miałem jednak silne przeczucie, że coś się wydarzy. Nie żywiłem również żadnych konkretnych podejrzeń, wyjąwszy przeświadczenie, że cała rzecz miała coś wspólnego ze sprawą Mai. Wydawało się, jakby wszystko w moim życiu przez ostatnie pół roku w jakiś sposób wiązało się z tą sprawą.

Wymacałem w mroku rurę, którą przygotowałem, wypróbowałem chwyt, zważyłem ją w ręce.

Ruch na zewnątrz zamarł; od dawna już nikt nie przechodził. Zerwał się wiatr, a cienie żywopłotów i drzew sprawiły, że ciemność ożyła. Ciężko było coś dojrzeć przez okno i z trudem powstrzymywałem się przed zaśnięciem.

Minęło kilka sekund, zanim zrozumiałem, że przyglądam się żarowi na końcu papierosa tłącego się w ciemnościach przy moim żywopłocie. Nie zauważyłem, że ktoś przyszedł, ale za każdym razem, gdy palacz się zaciągał, żar rozbłyskał wśród nocy jak

małeńki czerwony światek. Nachyliłem się do okna i po chwili odniosłem wrażenie, że dostrzegam zarys ludzkiej sylwetki. Nie dało się stwierdzić, kto to był i czy miałem do czynienia z mężczyzną, czy z kobietą.

Wymacałem rurę na podłodze obok mnie i wstałem ostrożnie. Kość krzyżowa zaprotestowała po wszystkich tych godzinach siedzenia i oczekiwania. Na strychu było ciemno, więc musiałem iść po omacku, zgięty pod belkami stropu, sunąc ręką wzdłuż nich. Bardziej wyczułem, niż zauważyłem zarys otworu w podłodze. Moja stopa odnalazła najwyższy szczebel drabiny. Potem następny. I następny. Znalazłszy się na podłodze w garażu, przezornie ukryłem się za samochodem. Brama była otwarta. Nie widziałem już żaru papierosa.

Zacząłem żałować, że nie sprawdziłem, czy przypadkiem coś nie leży obok ściany. Robiłem małe kroczki wzdłuż samochodu ze strachu, że potknę się o coś i narobię hałasu, który zaalarmuje stojącego na zewnątrz człowieka. W butach do joggingu bezszelestnie przemieszczałem się po podłodze z betonu. Zatrzymałem się tuż przy bramie, wyjrzałem w ciemność i spostrzegłem zarys sylwetki człowieka stojącego tuż przy żywopłocie, jakieś trzy metry od bramy garażu.

Wzięłem głęboki oddech i wyprostowałem się, czując, jak moja prawa ręka zaciska się kurczowo na rurze. Nie namyślając się wiele, zrobiłem duży krok naprzód, odruchowo zamachnąłem się i zawołałem:

– Hej! Ty!

Sylwetka zakręciła się w mroku i rzuciła biegiem w dół drogi, oddalając się ode mnie. Minęło kilka sekund, zanim zareagowałem. Z jakiegoś powodu nie przypuszczałem, że tamten zechce uciec.

Byłem przygotowany na walkę, na obronę. Kiedy puściłem się w pogoń, cień był już dziesięć, piętnaście metrów ode mnie. Po godzinach spędzonych na strychu czułem, że moje ciało jest sztywne i niechętnie. Rzadko zdarza mi się biegać, najczęściej przesiaduję w biurze lub spaceruję bez pośpiechu. Nie miałem więc przewagi nad człowiekiem, który przede mną umykał, ale zdawało się, że sama pogoń coś we mnie wyzwoliła, tak jak w dzikim zwierzęciu budzi się instynkt na widok uciekającej ofiary. Ogarnęła mnie wściekłość z powodu wszystkiego, co się wydarzyło, i poczułem przypływ adrenaliny, tłoczony przez naczynia krwionośne; zacisnąłem zęby, pochyliłem głowę i odkryłem w sobie nowe pokłady energii. Zdobyłem przewagę.

Przez około sześćdziesiąt metrów droga łagodnie prowadziła w dół. U podstawy zbocza stała latarnia uliczna, a droga ostro skręcała w prawo. Kiedy uciekinier dotarł do zakrętu, dzieliło mnie od niego nie więcej niż sześć, siedem metrów. Wziąłem zakręt tuż przy prawym krawężniku, tak by pozbawić go przewagi centymetr po centymetrze; chciałem pokonać tę mroczną postać, która gnała na złamanie karku, tupiąc, z rozwianymi połami płaszcza. Moja stopa nagle trafiła na mokre liście leżące na poboczu i prawa noga zniknęła pode mną, tak jakbym nastąpił na mydło.

Z hukiem uderzyłem o asfalt, nieomal tracąc dech w piersiach. Moje ciało wciąż jeszcze wypełniała adrenalina; już-już się podnosiłem, żeby kontynuować pościg, rzucić się naprzód, ale poczułem przeszywający ból w prawym kolanie. Klęcząc, patrzyłem, jak ciemna postać znika za kolejnym zakrętem, wciąż w pełnym biegu. W oczach miałem łzy bólu, wściekłości i rozczarowania.

Mimo iż czułem silny ból w kolanie, powoli stanąłem na nogi.



Gdy spróbowałem ostrożnie przenieść ciężar ciała na prawą stopę, moje ciało znowu przeszył ból, ale zacząłem ostrożnie kuśtykać. Po krótkich poszukiwaniach znalazłem żelazną rurę na jezdni. Następnie powoli wróciłem do domu, utykając i zastanawiając się, co dalej.

Wieczór nie był całkiem zmarnowany. W chwili gdy się pośliznąłem, dokładnie wtedy, gdy straciłem równowagę i padałem bezwładnie na asfalt, wyrwał mi się okrzyk szoku i wściekłości. Uciekający usłyszał mój głos i odruchowo odwrócił głowę. Wprawdzie niedużo, lecz na tyle, bym przez mgnienie dostrzegł jego profil. Na tyle, bym go rozpoznał mimo szeroko rozwartych oczu i grymasu charakterystycznego dla kogoś, kto ucieka ze wszystkich sił. Zyskałem niemal niezbitą pewność, że był to Hans Godvik, ojciec Mai.

Miałem zdartą skórę na dłoniach i utkwilo w niej pełno małych kamyczków, które musiałem wyciągnąć pęsetą. Przemywając rany środkiem antyseptycznym, posykiwałem z bólu i przez chwilę cieszyłem się, że w domu nie ma nikogo oprócz mnie. Kolano wyglądało na lekko otarte, ale spuchło jak balon, a noga bolała, kiedy na niej stałem. Leżałem w wannie, pozwalając by ciepło przeniknęło w głąb mojego ciała, i na próbę poruszałem prawą nogą. Doszedłem do wniosku, że to tylko mocne stłuczenie.

Później pozwoliłem sobie na kieliszek koniaku. Zdawałem sobie sprawę, że prawdopodobnie powinienem zgłosić się na policję i opowiedzieć im, co się stało, aby porozmawiali z Hansem Godvikiem. Powinienem, ale nie miałem na to ochoty. Wiedziałem, przez co przeszedł. Mogłem się domyślać, jak się czuł, jak szalały w nim żal, wściekłość, rozpacz i wola zemsty. Chodziło raczej o to, żeby go zrozumieć, pojąć przyczynę, dla której postępował tak, a nie

inaczej. Wciąż miałem przed oczami obraz jego twarzy w sądzie, jej wyraz, kiedy Mo się do niego odezwał – najpierw niezrozumienie, a potem, gdy już znaczenie słów z wolna przedarło się przez szok spowodowany wyrokiem, całkowitą nagość i bezsilność wobec zła zbyt wielkiego, by sobie z nim poradzić. Złość mnie opuściła.

Wiedziałem, że muszę coś zrobić. Hans Godvik mógł okazać się niebezpieczny, a ja musiałem chronić siebie i Kari. Nie zamierzałem jednak wysłać policji do Godvików. Dość już wycierpieli.

Zanim się położyłem, sprawdziłem komórkę. Znalazłem trzy nieodebrane połączenia od nieznanego numeru i wiadomość na automatycznej sekretarce. Odsłuchałem ją. To był nieco zniecierpliwiony Król Słońce: „Zadzwoń do mnie, Brenne. Mam dla ciebie informacje”.

To mogło poczekać. Tego wieczoru miałem inne zmartwienia.

## Rozdział 15

Niebo było szare i płaskie, a wiatr z północy uderzał zimnymi podmuchami, próbując zerwać z drzew pozostałe na nich liście. Jechałem samochodem, przygotowując się do rozmowy, bez której chętnie bym się obył. Rano zatelefonowałem do biura i zapowiedziałem, że nie przyjdę. Dwie minuty później zadzwonił Peter.

– Rzuciłeś pracę? – zagadnął i zanim zdążyłem odpowiedzieć, dorzucił: – Co ty, do cholery, wyprawiasz? Wiem już, że Kari wyszła ze szpitala, więc tym się nie tłumacz. Masz robotę, przestępców, z którymi trzeba pogadać, sprawy, które trzeba wygrać. Synne jest przeciążona i przez cały dzień biega w tę i z powrotem, pytając, co robić.

– Może do mnie zadzwonić.

– Nie w tym rzecz, Mikael. Czeka tu na ciebie robota. Jesteś moim wspólnikiem. Cięży na tobie odpowiedzialność.

– Ja też mam sprawy do załatwienia, Peter. Do zobaczenia jutro – zakończyłem rozmowę.

Teraz szukałem wśród szeregowców i domów jednorodzinnych z lat siedemdziesiątych adresu, który znalazłem w książce telefonicznej. Ulice wiły się to tu, to tam między niskimi skałami, wśród których rosły wygięte przez wiatr sosny. Kiedy wreszcie znalazłem właściwy budynek, okazał się niepozornym domem

jednorodzinny pokryty łuszczącą się farbą.

Z trudem wysiadłem z samochodu, chroniąc obolałe kolano, i przez chwilę stałem, rozglądając się dookoła. Trawnik przed domem wyglądał, jakby nie koszone go przez całe lato. Na klombach pleniły się chwasty, a na podjeździe leżały zardzewiałe narzędzia ogrodowe. Cała posiadłość nosiła oznaki upadku. Mieszkał tu ktoś, kogo przestało cokolwiek obchodzić.

Miedziana tabliczka na drzwiach była pokryta taką warstwą patyny, że z trudem odczytałem na niej nazwiska. „Hans, Irene i Maja Godvikowie”. Nikły dźwięk dzwonka.

Nic się nie zdarzyło, więc po chwili zadzwoniłem ponownie. Drzwi otworzyły się niemal natychmiast.

Poznałem Irene Godvik, mimo że była nieumalowana i w szlafroku. Dochodziła jedenasta rano. Po wyrazie jej oczu odgadłem, że i ona mnie rozpoznała, w jej wzroku było jednak coś jeszcze. Przez moment wydawało mi się, że dojrzałem w nim strach.

Nie odezwała się, dlatego odchrząknąłem i rzekłem:

– Nie wiem, czy mnie pani pamięta. Nazywam się Mikael Brenne. Byłem obrońcą na rozprawie. – Machnąłem słabo ręką, nie mogąc się zdobyć na to, by wymienić Maję czy Alvina Mo.

Skinęła głową.

– Czy pani mąż... jest w domu?

– Nie.

Stałem nieco zakłopotany.

– Niech mnie pani posłucha... Czy mógłbym... czy mógłbym wejść?

Odwróciła się bez słowa i weszła w głąb domu, nie zamykając drzwi. Uznałem to za zaproszenie i pokuśtykałem za nią.

W kuchni piętrzyły się niezmyte naczynia. Na blacie leżały składniki na kanapki i pół bochenka chleba oraz niedojedzone opakowanie jogurtu. Kobieta wskazała mi nieduży stół koło okna z trzema krzesłami.

– Proszę zaczekać. W dzbanku znajdzie pan kawę.

Kiedy wróciła, okazało się, że zmieniła ubranie na dżinsy i bawełniany sweter, nie zrobiła jednak makijażu. Zmarszczki na jej twarzy były wyraźniejsze, niż zapamiętałem. Wyjęła dla siebie filiżankę i usiadła naprzeciwko mnie.

Dopiero wtedy poczułem nieprzyjemny zapach rozkładającego się w ciele alkoholu. Zapach kaca.

– Czego pan chce? – Jej głos był matowy. Nie patrzyła na mnie, wbijała wzrok w filiżankę, tak jakby mogła z niej wyczytać odpowiedź. Nie wiedziałem, od czego zacząć.

– Przepraszam, że panią nachodzę... Po rozprawie, po wszystkim, co się stało, z pewnością nie życzy pani sobie mnie widzieć. Nie wiem, czy zdaje sobie pani sprawę z tego, że ja po prostu wykonuję swoją pracę, ważną dla stanowionego prawa... – Mój głos ucichł. Wiedziałem, że te słowa musiały jej się wydać bezsensowne. Przez chwilę siedzieliśmy w milczeniu, po czym podjąłem nową próbę: – Przychodzę z konkretnego powodu. Muszę porozmawiać z pani mężem. Czy jest... czy mogę znaleźć go w pracy, przyjść później albo...

Jej wzrok wwiercał się w filiżankę.

– Nie wiem. Nie wiem, gdzie on teraz jest.

– Rozeszli się państwo? – zapytałem ostrożnie. Nie zdziwiłbym się, gdyby tak było. Pomyślałem, że to, co przytrafiło się tej rodzinie, mogłoby rozbić każde małżeństwo.

Tylko potrząsnęła głową i nadal wpatrywała się w filiżankę.

Westchnąłem, nie wiedząc, co począć. Następnie opowiedziałem jej, tak oszczędnie, jak to było możliwe, co się stało. Mówiłem o telefonach, listach, wybitej szybie i o wczorajszym wieczorze, kiedy rozpoznałem jej męża.

– Myślę, że mogę zrozumieć, dlaczego to robi, co nim powoduje. Wściekłość i rozpacz, ale...

– Nie sądzę, żeby mógł pan zrozumieć – powiedziała cicho.

– Nie, prawdopodobnie nie. Ale tak dalej nie może być. Bez względu na to, co on teraz czuje, to nie może trwać. Nie chciałbym iść na policję, jednak...

Kiedy wreszcie na mnie spojrzała, w jej oczach była nietajona rozpacz. Jej usta lekko się trzęsły.

– On nie jest... Stracił nad sobą kontrolę.

Czekałem.

– Po śmierci Mai... To było dla nas straszne przeżycie. Jak koszmar, z którego człowiek nie może się zbudzić. Śniło mi się to, a kiedy się budziłam, okazywało się, że to jednak prawda... – Jednym haustem wypija kawę, wstała, by znów napełnić filiżankę, nie przestając mówić, ja zaś słuchałem, nie przerywając. – Mój mąż... Jakby go nie było. Zamknął się w sobie. Powinniśmy przecież trzymać się razem, pomagać sobie, tak się jednak nie dzieje. Jest w nim ogromna wściekłość. Nie może... nie może przyjąć do wiadomości tego, co się stało, mówi o zemście... Powtarzam mu, że tak nie wolno, ale on mnie nie słucha. Nie wiem, co robić.

Niemal załamała się na moich oczach. Poprosiłem o więcej kawy tylko po to, aby mogła się czymś zająć.

– Czy wie pani, gdzie on jest? – zapytałem. – Nie mieszka już tutaj?

– Przychodzi i znika. Czasami widzę, że był tu w nocy. Nie wiem,

czym się zajmuje.

– Może pracuje? Przecież prowadzi firmę, prawda?

Z rezygnacją skinęła głową.

– Tak, ale nie poświęca jej wiele czasu. Początkowo dzwoniли różni ludzie, klienci i wierzyciele. Nie wiedziałam, co im powiedzieć. Hans nie chciał z nikim rozmawiać. Teraz już nie odbieram telefonów. – Po krótkiej pauzie dodała: – Teraz zresztą niewielu dzwoni.

– W takim razie jak sobie pani radzi? Mam na myśli finanse. Skoro pani mąż nie pracuje...

– Jestem na zwolnieniu chorobowym. Ale... – Zamiast dokończyć zdanie, wskazała na dalszy róg blatu kuchennego. Piętrzył się tam stos kopert z okienkami – niektóre otwarte, większość nie.

Nachyliłem się ku niej.

– Proszę mnie posłuchać, pani Godvik. Wiem, że nie jest pani łatwo, ale to się musi skończyć. Jestem zmuszony porozmawiać z pani mężem. A pani musi chyba podejrzewać, gdzie on się może znajdować.

Zagryzła wargę z niepewnym wyrazem twarzy. Przybrałem bardziej zdecydowany ton głosu.

– Nie chcę iść na policję, ale zrobię to, jeśli nie będę miał innego wyjścia. Myślę, że to ostatecznie, czego mu potrzeba, jednak muszę z nim porozmawiać.

– Hans ma domek letniskowy. Właściwie to małą szopę, którą dostał w spadku. Wydaje mi się, że to tam mieszka. Nie znam innego miejsca, które by się nadawało.

– Gdzie jest ten domek?

Wymieniła adres, który nic mi nie powiedział, więc poprosiłem, żeby narysowała mapę. Kryjówka Hansa Godvika, jeśli to tam

przebywał, mieściła się na wyspie na północ od miasta.

Podniosłem się i podziękowałem za kawę. Odprowadziła mnie do przedsionka i otworzyła drzwi. Pod wpływem impulsu poprosiłem o reklamówkę. Skinęła głową i wróciła do kuchni. Poszedłem za nią, wziąłem reklamówkę i zgarnąłem do środka wszystkie rachunki.

– Co...?

– Jestem adwokatem. Miałem wielu klientów z problemami finansowymi. Zabiorę te rachunki, przejrzę je i zobaczę, co da się z nimi zrobić.

Popatrzyła na mnie bez słowa. Kiedy wróciliśmy do przedsionka, oznajmiła nagle:

– Zastrzelił psa.

– Słucham?

– Hans. Mieliśmy psa, golden retrievera. Hans bardzo go kochał. Nie rozumiem, co mu wpadło do głowy, że któregoś dnia go zastrzelił.

– Jaką bronią?

– Ma strzelbę. Nie wiem dlaczego. Musi czuć się okropnie.

– Czy nosi ją ze sobą?

– Nie wiem, ale tutaj jej nie ma.

W drodze do domu rozmyślałem o tym, co opowiedziała mi Irene Godvik. Współczułem jej, podobnie jak jej mężowi. Ale nie podobała mi się historia o psie. Bardzo mi się nie podobała.

Wieczorem zadzwoniła Kari i oświadczyła, że chce wrócić do domu. Poprosiłem, by zaczekała przynajmniej jeden dzień.

– Dlaczego, Mikael? Jaką to robi różnicę?

– Wielką. Po prostu zaczekaj ten jeden dzień.

– Ale dlaczego?



Westchnąłem.

– Czy mogłabyś być tak dobra i dać mi jeden dzień do dyspozycji w zamian za słowo honoru, że to rozsądne i ważne? Ten jeden raz?

– Dowiedziałaś się czegoś – stwierdziła matowym głosem.

– Jeden dzień Kari, okej?

W słuchawce zapadła cisza.

– Kari? Kocham cię. Przyjadę po ciebie pojutrze.

## Rozdział 16

Reklamówka z rachunkami rodziny Godvików leżała na moim blacie kuchennym. Patrzyłem na nią, pijąc poranną kawę.

Peter nie był zbyt zadowolony, kiedy zadzwoniłem, by poinformować go, że tego dnia również nie przyjdę, ale od razu uciąłem dyskusję.

– Porozmawiamy jutro, Peter. To nie jest temat do dyskusji. To ważne.

– Okej, Mikael, ale w takim razie...

– Do zobaczenia jutro.

Padalo. Mżawką nazywa się stan, kiedy świat wypełniony jest kropelkami wody tak małymi, że nie sposób ich dostrzec. Wszystko było szare i mokre. Pojechałem na północ, potem zawróciłem na południe. Przejechałem przez most. Lubię mosty, ten zaś jest jednym z moich ulubionych. To arogancka budowla ze stali rozpięta między stromymi zboczami górskimi, dziś jednak jej wierzchołek zakrywały chmury, a tafla wody pode mną miała tę samą szarą barwę co niebo.

Po drugiej stronie góry wypiętrzały się wprost z fiordu, a drogę wyciosano w skale. Jedynym, co przerywało monotonię krajobrazu, był niekończący się szereg białych wodospadów.

Zadzwonił mój telefon komórkowy. Sprawdziłem numer. Był to

Król Słońce.

– Zdobyłem informacje, których ci trzeba – powiedział. – Musimy się spotkać. Masz czas dzisiaj wieczorem?

– Tak – odparłem – w porządku. To samo miejsce i ta sama pora co ostatnio? Pasuje ci?

– Dobrze. Do zobaczenia.

W wąskich dolinach leżały małe wioski, które wyglądały, jakby ich mieszkańcy wynieśli się na dobre – wyludnione, puste w szarym świetle dnia. Stacja benzynowa była jednak otwarta, za ladą siedział zaś młody mężczyzna, bez zainteresowania przeglądając gazetę. Przystudiował dokładnie moją odręczną mapę i namyślił się, po czym kiwając głową, zwięźle wytłumaczył mi, jak powinienem jechać dalej. Podziękowałem mu i znów wyszedłem w półmrok, na deszcz.

Za pierwszym razem minąłem zjazd w lewo. Po paru minutach zorientowałem się, że pojechałem za daleko, i zawróciłem. Z tej strony zjazd był lepiej widoczny. Żwirowa dróżka opadała stromo ku rzece płynącej na dnie małej doliny. Była stosunkowo zadbana, ale wąska i pozbawiona barierki od strony urwiska. Dojechałem do końca na pierwszym biegu i zaparkowałem przy rzece. Drewniany most, który przez nią prowadził, wyglądał na stary i solidny, ale deski były śliskie od deszczu, więc przechodząc na drugą stronę, trzymałem się poręczy. Miałem na sobie kalosze i kurtkę przeciwdeszczową, nie minęło jednak pięć minut, a moje spodnie kompletnie przemokły.

Przez jakiś czas dróżka, zbudowana z mozolnie ułożonych kamieni, wspinała się wzdłuż brzegu rzeki. Rosnąca między kamieniami trawa była śliska i zbrązowiała. To tu, to tam głazy osunęły się do wody, więc musiałem ostrożnie, nieco na chybił trafił

przeskakiwać z kamienia na kamień. Gdy przenosiłem ciężar ciała na stłuczoną nogę, czułem w niej ukłucia bólu. Po kilkuset metrach ścieżka skręciła w lewo. Ociekające wodą gałęzie krzaków przesuwały się po moim ciele, przez co stawałem się jeszcze bardziej mokry.

Domek letniskowy Hansa Godvika stał przy wielkim bloku kamiennym, który pewnego razu osunął się z okolicznej góry; znajdowały się tak blisko siebie, że domek wyglądał jak osadzony w skale. Był to niski, niemalowany budynek o czarnych oknach. Żadnego dymu z komina. Żadnego znaku życia.

Woda kapiała mi z kurtki na uda. Wzięłem głęboki oddech i podeszedłem do drzwi. Uniosłem rękę i dwa razy mocno zastukałem. A potem znowu.

Nikt mi nie otworzył, co przyjąłem z mieszaniną ulgi i niepokoju. Nie tęskniłem za spotkaniem z Hansem Godvikiem, na dobrą sprawę nie wiedziałem bowiem, jaki jest jego stan psychiczny, pamiętałem także, co jego żona opowiedziała mi o psie. I o strzelbie. Zarazem jednak chciałem mieć to za sobą, chciałem, żeby było po wszystkim. Chciałem, by Kari wróciła do domu.

Gdy nacisnąłem klamkę, drzwi lekko się uchyliły. Z wahaniem postąpiłem krok w ciemność, wołając niegłośno: „Halo, czy jest tu kto?“, ale wiedziałem, czułem, że domek jest pusty. Kiedy moje oczy przyzwyczyły się do półmroku, rozejrzałem się wokół.

Był tu tylko jeden pokój. Piętrowe łóżko w rogu, na którego dolnym poziomie leżały brudne ubrania i śpiwór. Niewielka kuchnia z butlą gazową i zlewozmywakiem. Nieumyte naczynia. Resztki jedzenia w garnkach. Na komodzie obok czerwona miednica z plastiku. Znajdująca się w niej woda była szara od osadu, ze śladami mydła na brzegach. Wzdłuż jednej ściany

ciągnęły się butelki. Było ich wiele. Butelki po piwie, po winie. Kilka po whisky. W drugim końcu pokoju stały ława, stół i krzesło. Dostrzegłem parę książek w formacie kieszonkowym: Morgana Kane'a, Alistaira MacLeana. Przesunąłem po nich palcem, a na opuszkę zebrał się kurz.

W pomieszczeniu panował silny zaduch, ale nie miałem wątpliwości, że Hans Godvik przebywał tu ostatnio. Usiadłem na krześle i bębniąc palcami na podłokietniku, rozmyślałem przez chwilę. Próbowałem wyobrazić sobie Hansa Godvika przesiadującego w tym pokoju wieczór za wieczorem, w świetle lamp parafinowych, w towarzystwie butelek oraz wspomnień o zmarłej córce i życiu, które utraciło sens i kierunek. Nietrudno było zrozumieć, dlaczego pił.

Zastanawiałem się, czy od czasu do czasu myślał o swojej żonie, o Irene, która siedziała w pustym domu na przedmieściach i piła, ona również, z tymi samymi wspomnieniami i tymi samymi głosami szepczącymi do niej nocą. Dwoje ludzi, którzy powinni wspierać się i sobie pomagać, ale których życie przygniotło tak bardzo, że nawet samym sobie nie byli w stanie pomóc.

Po kilku minutach zacząłem marznąć. Wstałem i przeszukałem domek dokładniej, nigdzie jednak nie znalazłem strzelby. Nie dało się stwierdzić, kiedy wróci Hans Godvik i czy w ogóle to planuje. Wyszedłem.

Jadąc samochodem do domu, podkręciłem ogrzewanie na pełną moc. Mimo to szyby zaparowały, a wilgotne spodnie przyłgnęły mi do skóry. Pomyślałem, że kręcę się w kółko i mimo że spędzam dni aktywnie, to w gruncie rzeczy niczego nie zdziałiałem. Donikąd mnie to nie prowadziło. Nazajutrz musiałem iść do pracy.

Po południu wysypałem na biurko rachunki Godvików,

posegregowałem je i wyrzuciłem dublety. Następnie wszedłem do internetu i opłaciłem wszystkie z mojego konta bankowego. Po raz pierwszy od dłuższego czasu czułem, że robię coś, co ma sens, i próbowałem nie myśleć, ile poczucia winy i wyrzutów sumienia musiała wzbudzić we mnie sprawa Mai, skoro postępowalem tak, a nie inaczej.

Gdy tylko skończyłem, trzasnęły drzwi wejściowe. Wzdrygnąłem się i przemknął mi przez głowę Hans Godvik, ale w tej samej chwili usłyszałem, jak Kari woła mnie po imieniu. Wyszedłem jej na spotkanie, ona zaś uśmiechnęła się i mnie przytuliła. Wyglądała dziwnie z żółto-zielono-niebieską otoczką wokół oczu, jednak nie nosiła już bandażu i uznałem, że tak czy inaczej jest piękna.

– Miałaś dziś nie przyjeżdżać. Tak się umawialiśmy.

Przywarła do mnie i oznajmiła, że już wystarczająco długo była poza domem, ja zaś poczułem, że muszę przyznać jej rację.

## Rozdział 17

Kiedy przyszedłem, Król Słońce już na mnie czekał i zdążył wypić sporą część pierwszego pilznera. Kupiłem piwo dla siebie, a przy okazji i dla niego. Skinął głową, żeby podziękować, kiedy usiadłem naprzeciw niego przy stole.

– Przynajmniej tyle możesz dla mnie zrobić.

– Przepraszam – odparłem. – Dużo się wydarzyło.

– Jesteś nieznośny. Najpierw mnie przekonujesz, żebym zajął się czymś, co zdecydowanie wykracza poza zakres moich obowiązków jako policjanta, zachowujesz się, jakby była to sprawa życia i śmierci, a potem nie chce ci się nawet do mnie oddzwonić.

– Przepraszam – powtórzyłem – ale Kari trafiła do szpitala.

Opowiedziałem mu, co się stało z jej okiem, lecz przemilczałem fakt, że wiem, kto za tym stoi. Nie puściłem pary z ust o Hansie Godviku. Król Słońce był policjantem, nigdy by nie zostawił tej sprawy jej własnemu biegowi.

– O, cholera – powiedział. – Wszystko z nią w porządku? Co ze wzrokiem?

– Już dobrze. Żadnych trwałych uszkodzeń. Dowiedziałeś się czegoś? O Ninie Hagen?

– Taa, odrobinę. Niewiele tego było. – Z wewnętrznej kieszeni wyjął kopertę, którą położył na stole między nami. – To dla ciebie, ale najpierw podam ci główne punkty jej życiorysu.

Skinąłem głową.

– Dorastała w domu dziecka w Halden. Wiedziałeś o tym?

– Nie.

– Przebywała tam od trzynastego roku życia. Jej ojciec i matka zginęli jednego dnia. Nie znam szczegółów, ale przypuszczam, że to był wypadek. Następnie trafiła do domu dziecka, a później do rodziny zastępczej na dwa lata – po czym z powrotem wysłano ją do domu dziecka.

– Dlaczego?

– Jeszcze do tego wrócę. Okaż trochę cierpliwości. – Pociągnął duży łyk piwa. – Po ukończeniu osiemnastu lat wyjechała z Halden. Spośród tak wielu miejsc wybrała Egersund. Mieszkała tam przez parę lat, po czym udała się do Oslo i podjęła studia pielęgniarские. Następnie podróżowała tu i tam. Dwa razy mieszkała w Danii, o tym jednak już wiesz. Była tam od zabójstwa Mai aż do rozprawy.

Potwierdziłem.

– Tym, co ją wyróżnia, jest w zasadzie fakt, że tyle razy się przeprowadzała. Mieszkała we wszystkich możliwych miejscach na terenie kraju. Tutaj przyjechała jesienią dwa tysiące drugiego roku. Kupiła szeregowiec, który do dzisiaj do niej należy. Sporządziłem wykaz adresów i dat określających, kiedy pod nimi mieszkała. Ma dwoje żyjących krewnych: brata na wschodzie kraju i cioteczną babkę zamieszkałą tu, w mieście. Tyle się dowiedziałem.

– W porządku. Nic więcej? To znaczy, nie ma nic na sumieniu?

Zrobił odzegnujący gest ręką.

– Tylko szczenięce wygłupy. Zakłócenie porządku. Przygody z haszem. To drobiazgi godne najwyżej grzywny, rzeczy, które mogłyby się przytrafić każdemu.



– I to wszystko? – Byłem zawiedziony. Mimo iż wiedziałem, że to nierealne, liczyłem na coś więcej.

– Nie do końca. Trafiłem na pewną sprawę, a raczej... niedoszlą sprawę.

– Tak?

– Pamiętasz, jak wspomniałem, że Hagen przez parę lat mieszkała u przybranych rodziców, po czym ją odesłano?

Przytaknąłem.

– To dobrze. Wróciła do domu dziecka dlatego, że jej przybrani rodzice także umarli. Zginęli w pożarze.

– Cholera – mruknąłem. – Ta dziewczyna naprawdę miała pecha, kiedy dorastała.

– Tak. Może. O ile nie było to coś innego.

– Co przez to rozumiesz?

– Musiałem nieco pogrzebać, by do tego dotrzeć, ale ta twoja Hagen była podejrzana o podpalenie ze skutkiem śmiertelnym. Policja w Halden przypuszczała, że podłożyła ogień pod dom przybranych rodziców. Nie zdołali tego dowieść. Rozmawiałem z facetem, który uczestniczył w śledztwie. Powiedział mi, że na sto procent coś w tej sprawie nie grało, a Nina była główną podejrzaną, ale niczego nie wykazali. Nawet nie udało im się udowodnić, że ogień został podłożony umyślnie.

– Ile miała lat, mówisz?

– Szesnaście.

– I sądzisz, że...

– Nic nie sądzę. Po prostu powtarzam ci, co usłyszałem w Halden.

Zanim się odezwałem, siedziałem chwilę bez ruchu.

– Jeśli to prawda, to...

– Tak.

– Nie wiem jednak, co jeszcze mogę zrobić. Uważasz, że byłoby zasadne rozgrzebywanie tej sprawy?

– Nie, w to wątpię. Facet, z którym gadałem, utrzymywał, że próbowali wszystkiego, przeszukali każdy zakamarek. Mam jednak dla ciebie nazwisko.

– Jakie nazwisko?

– Anne Lise Garmann.

– Kto to jest?

– To ona najlepiej знаła Ninę w okresie dojrzewania. Była jej referentką w urzędzie do spraw opieki nad nieletnimi. Jest już na emeryturze, ale mieszka w Halden i wciąż ma świeży umysł.

– A dlaczego niby miałyby chcieć ze mną rozmawiać?

– Mój kontakt z posterunku policji w Halden uprzedził ją. Wie, że przyjedziesz. Zapisałem ci nazwisko i adres na kartce.

Podziękowałem mu. Zamówiliśmy ostatnie piwo i przeszliśmy do rozmowy na inne tematy, między innymi poplotkowaliśmy o moich kolegach z pracy. Król Słońce na dobrą sprawę nie lubił żadnego z nich.

W drodze do domu rozmyślałem o tym, co mi opowiedział. Zastanawiałem się, czy aby na pewno miało sens jechanie aż do Halden po to, żeby porozmawiać z emerytowaną pracownicą urzędu do spraw nieletnich, marnowanie czasu i pieniędzy na coś, co najprawdopodobniej okaże się nieistotne, ale odsunąłem od siebie te myśli. Mogłem się do tego ustosunkować później. Najpierw Hans Godvik musiał zniknąć z mojego życia.

## Rozdział 18

Peter siedział w swoim gabinecie, otoczony stosami dokumentów. W popołudniowym świetle jego twarz była szara, a rysy napięte.

– Czym się zajmujesz?

Machnął ręką w stronę jednego ze stosów.

– Sprawą o zadośćuczynienie. Kontraktem budowlanym, który nie został zrealizowany zgodnie z postanowieniami.

– Skomplikowane?

– Uwierz mi, Mikael, nie masz ochoty o tym słuchać. – Odsunął na bok papiery, które czytał, i rozparł się w fotelu. – No, teraz twoja kolej. Co ty, u licha, ostatnio wyprawiasz?

Opadłem na krzesło dla klientów, po czym opowiedziałem mu o wieczornych i nocnych telefonach, o kopertach ze zdjęciami martwych ludzi. O wybitej szybie już wiedział. Powiedziałem mu o wieczorze, kiedy rozpoznałem Hansa Godvika, o odwiedzinach u jego żony i nieudanej wyprawie do domku letniskowego Godvików. Jedyne, co zachowałem dla siebie, to fakt, że opłaciłem rachunki Irene Godvik. Z jakiejś przyczyny czułem się głupio, jakbym postąpił irracjonalnie lub sentymentalnie.

Peter słuchał mnie uważnie, tak jak ma w zwyczaju, z rękami splecionymi na karku i przymkniętymi powiekami. Kiedy skończyłem relację, otworzył oczy i powiedział:

– Idiota z ciebie, Mikael.

– Dlaczego? – Znał mnie na tyle dobrze, żeby wyczuć kryjącą się w pytaniu irytację.

– Dlaczego? Na Boga, Mikael! Ten facet jest wyraźnie niepoczytalny! Mógłby równie dobrze rozwalić ci głowę, jak zaprosić cię na kawę! Co ty sobie myślisz, do ciężkiej cholery? Współczujesz mu, to zrozumiałe. Ale pomyśl trochę o sobie. To nie twoja wina. To nie ty zabiłeś jego córkę. A jeśli nie chcesz myśleć o sobie, to pomyśl o Kari! Niemal straciła wzrok. Lepiej pójdź na policję i pozwól, żeby oni się tym zajęli. Co ty sobie wyobrażasz?!

Był naprawdę wściekły i nie mógł pojąć, co robię ani co mną kieruje. Dlatego opowiedziałem mu resztę historii. Co Alvin Mo powiedział Hansowi Godvikowi po uniewinnieniu. I o moich podejrzeniach w stosunku do Niny Hagen. Co o tym sądziłem i co zrobiłem. Ale ani słowem nie napomknąłem o Królu Słońce.

Kiedy skończyłem, długo siedział, zatopiony w myślach. Gdy się wreszcie odezwał, mówił cicho, ale z powagą.

– To szaleństwo. I ogromny błąd. Błąd z punktu widzenia prawnego i biznesowego. – Pochylił się nad biurkiem i wycelował we mnie palec. – Minęło już dobre... piętnaście lat, odkąd zacząłeś pracować jako obrońca w sprawach karnych. Co najmniej piętnaście lat. Jesteś – nie, powinieneś być – profesjonalistą. To, czym się tu zajmujemy, to praca. Po prostu praca. Nie angażujemy się w nią emocjonalnie. Nie dla naszych klientów i nie dla strony przeciwnej. Zachowujemy dystans i pracujemy najlepiej, jak potrafimy.

Ku mojemu zdziwieniu w jego głosie znów usłyszałem złość.

– To nie ty zabiłeś Maję. Zostałeś zatrudniony jako obrońca Alvina Mo i wykonałeś powierzone ci zadanie. Pełnisz ważną funkcję. Służysz prawu – ni mniej, ni więcej. Twoja rola polega zaś

na tym, by w granicach tego prawa stać murem za swoim klientem. I to wszystko! – Podniósł głos. – Nie należy do twoich zadań zabawa w prywatnego detektywa, by dowieść, że klient mimo wszystko jest winny. To brzmi całkiem groteskowo, Mikael.

Próbowałem mu przerwać, ale mnie zbył.

– A co jeśli... udałoby ci się zdobyć dowód i sprawę Mo podjęto by na nowo? Sprawę twojego własnego klienta! I jak to by, proszę ciebie, miało wpłynąć na twoją reputację i wiarygodność jako adwokata? Mam firmę, której muszę doglądać, Mikael. Która daje nam wszystkim miejsca pracy. Z tego żyjemy. Więc skończ z tym. Zapomnij. Dość! Nie chcę o tym więcej słyszeć. Poczucie winy jest nieprofesjonalnym luksusem w tej branży.

Rozumiałem go. Zdawałem sobie sprawę z tego, że ma słuszność – bo z rzeczowego i logicznego punktu widzenia tak właśnie było. Ale sprawa Mai nigdy nie była zwykłą sprawą, a nie wszystkie problemy życiowe dają się rozwiązać za pomocą logiki i argumentacji. Wymamrotałem, że z całą pewnością racja jest po jego stronie, i zostawiłem go samego.

Kiedy już wychodziłem, zawołał:

– Idź na policję, Mikael! Wyrzuć Hansa Godvika ze swojego życia i zapomnij o całej sprawie.

Zamiast pójść za radą Petera, pojechałem do Irene Godvik. Tym razem po prostu odstąpiła na bok, pozwalając, bym udał się do kuchni, tak jakbyśmy już dawno ustanowili wzorzec naszych spotkań.

– Czy rozmawiała pani z mężem?

Potrząsnęła głową.

– Pojechałem do domku letniskowego, ale nie zastałem go tam.

– Nie wiem, gdzie jest.

– Niech mnie pani posłucha... Ja... Chciałbym, żeby przekazała mu pani ode mnie wiadomość. Chciałbym, żeby się ze mną skontaktował. Nie wieczorem ani nocą, ale w zwykły sposób, umawiając się na spotkanie. Muszę z nim porozmawiać. Ma czas do wtorku. Jeśli do tej pory się nie zgłosi, pójdę na policję.

Popatrzyła na mnie z rezygnacją.

– Nie wiem, kiedy go zobaczę. Czasami tu wpada, ale...

Przytaknąłem.

– Rozumiem. Mimo wszystko proszę spróbować. Być może jest ktoś, do kogo mogłaby pani zadzwonić. Być może przyjdzie. Proszę spróbować.

Siedziała tylko z rękami splecionymi na podolku i wyglądała na zagubioną.

– Jak się pani miewa? – zapytałem.

– Jak się miewam... Dobrze.

Położyłem reklamówkę z rachunkami na stole.

– Posegregowałem je, uporządkowałem i opłaciłem. Proszę się odtąd postarać otwierać pocztę. Powinno się pani udać zarządzać wydatkami, jeśli tylko wykaże się pani pewną ostrożnością. Niech się pani także skontaktuje z bankiem, jestem pewien, że może pani refinansować kredyt albo na parę lat uzyskać lepsze warunki. Nie pozostało państwu wiele do spłaty.

– Ale... Ja nie chciałam... Wcale pana nie prosiłam, żeby...

– Wiem. Uznam to za dług, do czasu aż państwa sytuacja się poprawi.

Nie byłem przygotowany na wyraz niechęci, jaki odmalował się na jej twarzy, na nieomal wrogie spojrzenie. Nie odezwała się, po prostu skinęła głową. Sytuacja wydała mi się nagle niezręczna, tak jakbym popełnił nietakt; zrobiłem się niezdarny i nieco opryskliwy.

– Proszę pamiętać, by przekazać mężowi wiadomość. Wtorek. Ma cztery dni.

Kiedy wróciłem do domu, obiad stał na stole. Jadłem, nie odnotowując smaku jedzenia. Później przeniosłem się na sofę i spróbowałem czytać gazetę.

– Kiepski dzień w biurze? – zapytała Kari.

Opowiedziałem jej o spotkaniu z Peterem i o wyprawie do Irene Godvik, ona zaś słuchała ze zmarszczonym czołem.

– Zapewne ma rację. Myślę o Peterze.

– Tak, chyba tak.

– Ale...?

Westchnąłem.

– Nie wiem, Kari. Być może powinienem pójść na policję. Martwię się o ciebie. Wolałbym, żebyś została u swoich rodziców, do czasu aż się to skończy.

Wyśmiała mnie.

– A co ze mną, Mikael? Nie byłabym o ciebie niespokojna? Lepiej, że jesteśmy tu razem.

– Może i tak.

Kari potrząsnęła głową.

– Nie ma sensu o tym myśleć. Jeśli umówiłeś się na wtorek, to zaczekamy do wtorku.

Tego wieczoru sprawdziłem wszystkie drzwi i okna w domu, zanim się położyliśmy. Na długo po tym, jak Kari zasnęła, leżałem i nasłuchiwałem odgłosów nocy, kiedy zaś wreszcie zapadłem w sen, był on niespokojny, pełen niejasnych, groźnych widziadeł.

## Rozdział 19

W niedzielę świeciło słońce. Wybrałem się z ojcem na przechadzkę po parku. Szedł powoli, robiąc drobne, krótkie kroczki, i opierał się na lasce.

– Nie wiedziałem, że sprawiłeś sobie laskę.

Pomachał nią z lekką irytacją, uderzając zwiędłe rośliny rosnące wzdłuż alejki.

– Właśnie ją dostałem. – Po chwili dodał: – Nie chodzę już zbyt dobrze. Czuję się nieco niepewnie. Laska mi pomaga.

Dwie nowe rośliny upadły pod zamaszystym ciosem. Nie lubił mówić o sobie.

Drzewa były już niemal nagie, z czarnymi gałęziami wyciągniętymi ku wyblakłemu niebieskawemu niebu, ziemię pokrywał zaś dywan mokrych liści. Spacerowaliśmy w milczeniu. Słońce nie dawało za wiele ciepła i cieszyłem się, że włożyłem kurtkę z kapturem. Ojciec był jak zawsze ubrany w niebieskie wełniane palto, a szyję miał owiniętą szarym szalikiem. W szerokich spodniach jego kolana wydawały się szpiczaste i kościste.

Odniosłem wrażenie, że w ciągu ostatnich kilku lat wszystkie jego ubrania stały się odrobinę za duże. Popatrzyłem na niego i pomyślałem, że powoli znika, i to na moich oczach.

– Kari... – powiedział. – Ty i Kari...



– Tak?

– Myśleliście o dzieciach?

– O dzieciach? Dlaczego pytasz?

– To przecież naturalne pytanie. Dobrze by było mieć wnuki.

Zaniemówiłem. Nigdy nie sądziłem, że mój ojciec życzyłby sobie wnuków. Wobec mnie był sztywny i niezdarny, do czasu aż dorosłem.

– To jak? Myśleliście czy nie?

– Nie wiem. Ja na pewno nie.

Ojciec prychnął.

– Kari ma... Ile ona ma lat? Trzydzieści trzy?

– Trzydzieści dwa.

– Właśnie. Ty zaś masz czterdzieści pięć lat. I nawet przez myśl ci nie przeszło, że ona mogłaby chcieć dzieci.

Poczułem irytację. Zazwyczaj poruszaliśmy neutralne tematy. Ojciec nie był człowiekiem, który zachęcał do zwierzeń, dzisiaj jednak nie dało się go powstrzymać.

– To oczywiste, że ona chce mieć dzieci, Mikael. To wprost śmiechu warte, że nie przyszło ci to wcześniej do głowy. Jest kobietą, a przy tym we właściwym wieku.

– Dobrze nam tak, jak jest – wymamrotałem nieco urażonym tonem.

Ojciec kontynuował, tak jakby mnie nie usłyszał.

– Pytanie brzmi, czy to z tobą chciałyby mieć dzieci. Kobieta pragnie zajść w ciążę tylko z tym mężczyzną, o którym wie, że na stałe będzie gościł w jej życiu. Tak już po prostu jest.

Machnął wściekle laską w stronę wilgotnych resztek kwiatów, bezlitośnie ścinając wrogie rośliny. To, co powiedział, było obcesowe i niezbyt uprzejme. Nie wiedziałem, co odpowiedzieć. Żałowałem, że

go odwiedziłem. Cała ta scena nie pasowała do niego.

Zawróciliśmy. Nastąpiło już popołudnie, nasze cienie szły przed nami jak cisi kompani. Towarzyszyły nam przez cały czas, po prostu ich nie widzieliśmy. Zastanawiałem się, czy ojciec ma rację, czy Kari naprawdę chce mieć dziecko.

Podeszliśmy do domu opieki i stanęliśmy przed wejściem. Zerwał się lekki wiatr, a ojciec sprawiał wrażenie wyziębionego i zmęczonego. Irytacja już mnie opuściła, wyciągnąłem do niego rękę i pożegnałem się. Potem dodałem:

– Jeszcze sporo czasu na decyzję o wnukach, tato. Będziesz tu z nami jeszcze przez wiele lat.

Spojrzał na mnie, a jego niebieskie oczy z czerwonymi obwódkami od zimnego wiatru wydały mi się bledsze niż kiedyś, tak jakby z biegiem lat wyciekła z nich cała barwa, i rzekł:

– A skąd ty to możesz wiedzieć, Mikael?

Tego wieczoru myślałem o Hansie Godviku. Nie odezwał się. Nazajutrz był wtorek i Godvik najwyraźniej nie zamierzał się ze mną skontaktować.

Myślałem także o Kari. Chętnie bym ją zapytał, czy chce mieć dzieci, czy właśnie tego pragnie, ale nie zdobyłem się na to. Z jakiegoś powodu bałem się zadać to pytanie.

Zasnąłem.

Gdzieś daleko dał się słyszeć dźwięk, który nie powinien rozbrzmieć w środku nocy. Nie wiedziałem, co to za odgłos, i nie mogłem odtworzyć go w pamięci. Wszystkim, co pozostało, było wrażenie dźwięku, który usłyszałem i zapomniałem, oraz uczucie, że nie pasował do późnej pory. Nasłuchiwałem, ale dobiegały do mnie tylko te dobrze znane. Oddech Kari leżącej obok, miarowy i niemal niesłyszalny. Dalekie odgłosy ruchu ulicznego, wycie

motocykla na wysokich obrotach, szept opon dobiegający z drogi w dole za posiadłością. Lekki szelest zasłon unoszących się na wietrze z uchylonego okna. Znane dźwięki. Bezpieczne dźwięki.

Niemal zapadłem znów w sen, ale uczucie pozostało we mnie jak rozżarzony węgielek w zagasłym ognisku, z pozoru niemal już ostygłym, dopóki ktoś weń nie dmuchnie.

I ktoś dmuchnął w ogień. Buchnął niepokój – tak silny, że niemal paralizujący.

To było zwyczajne skrzypnięcie. Mogło dobiegać z wnętrza domu, starego drewnianego domu, który osiada, żyje własnym życiem i wzdryga się trochę na nocnym mrozie, ale wiedziałem, że to nie ten dźwięk słyszałem, że powinienem wstać z łóżka i sprawdzić. Jednak moje ciało nie przejawiało takiej chęci. Umysł wykrzykiwał ostrzeżenia i wysyłał paniczne sygnały do kończyn, ale coś było nie tak z połączeniem, jak gdyby ktoś przeciął nerwy: byłem jak sparalizowany, nieruchomy, zamknięty w ciemnościach własnej sypialni, w ciepłe kołdry, ciepłe, które nagle stało się nieznośne i sprawiło, że na całym ciele wystąpił mi pot.

Dopiero gdy szybko, bezszelestnie otworzyły się drzwi, zdołałem się poruszyć, gwałtownie usiąść na łóżku – wtedy jednak było już za późno. Zdecydowanie za późno. Ciemna postać stała już w pokoju, a w słabym świetle płynącym zza uchylonych drzwi dojrzałem błysk metalu na czymś, w czym rozpoznałem lufę strzelby.

Kari zbudziła się, czując mój ruch. Przewróciła się na drugi bok pod kołdrą i dotykając mnie, wymamrotała:

– Mikael, co się dzieje?

Lufa przesunęła się o kilka centymetrów w lewo, tak że wskazywała teraz na nią.

Złapałem ją za ramię tak mocno, że stęknęła. To ją obudziło i spostrzegła, że siedzę w łóżku. Uniosła się na łokciu, nagle świadoma, że coś jest nie tak; podążyła za moim wzrokiem i znieruchomiała. Usłyszałem, że wstrzymała oddech, po czym wypuściła powietrze z płuc. Zabrzmiało to jak przeciągłe westchnienie. Następnie usiadła powoli i chwyciła mnie za rękę.

Bicie serca. Ręka Kari w mojej, jej dłoń, palce ciasno oplatające moje. Jedyne stałe punkty. Błysk odbijający się w lufie strzelby, tak jakby skupiło się na niej całe światło, jak w czarnej dziurze, która dzięki swej potężnej sile grawitacji pożera światło, czas, przyszłość. I łomot serca tak ciężki, że zagłuszał wszystkie inne dźwięki. Ciężkie, miarowe uderzenia. W mojej piersi serce uderzało ciężko i miarowo jak metronom, który odliczał minuty życia.

Chciałem zatrzymać czas. Zatrzymać odliczanie. Wyznać Kari miłość. Zadzwoić do ojca i powiedzieć mu, jak bardzo go cenię. Zapytać matkę, dlaczego mnie porzuciła. Chciałem wiedzieć, kto zostanie przyszłorocznym mistrzem Norwegii w piłce nożnej i jaka będzie jutro pogoda. A wszystko, czego dotąd nie zrobiłem, nie powiedziałem i nie zobaczyłem, napełniło mnie uczuciem niewypowiedzianego żalu i wstydu. Wiedziałem, że z moich oczu płyną łzy, i z jakiegoś powodu zawstydziłem się jeszcze bardziej. Brak godności i sprawiedliwości w tym wszystkim, bezsens całego łańcucha krwawych przypadków, Alvin Mo i Nina Hagen, martwe ciało Mai i nieznośny ból Hansa Godvika, który zaprowadził go aż tutaj – wszystko to we mnie narosło. Bicie serca. Smutek. Wstyd. Miłość. Za paralizem, jaki mnie ogarnął, za ciszą uczucia wezbrały jak rzeka, aż presja stała się niemal nie do zniesienia; wiedziałem, że muszę krzyknąć, eksplodować w jakimś działaniu, roznieść tę chwilę, której nie dało się już dłużej wytrzymać – i zastanawiałem

się, czy zobaczę choć błysk płomienia z lufy, czy mój mózg zdąży go zarejestrować, nim będzie po wszystkim.

Kari się odezwała. Przemówiła i z jej tonu wywnioskowałem, że miała dość czasu, by trochę dojść do siebie.

– To pan jest ojcem Mai – powiedziała cicho, ale wyraźnie, całkiem normalnym tonem, tak jakby zauważyła najzwyklejszą w świecie zależność. – Jeśli musi pan strzelać, proszę to zrobić. Ale niech pan zastrzeli nas oboje.

Nie nadeszła żadna odpowiedź – ale nie padły też strzały. Powoli, jakby z oddali, dotarł do mnie nowy dźwięk. Przykry, ochrypły dźwięk. Ciche, suche łkanie.

Hans Godvik płakał. Brzmiało to tak, jakby łyzy były mu wydzierane przymusem, jakby coś rozdzierało go od środka. Jego sylwetka z wolna skurczyła się i pochyliła; zgarbił się i lufa strzelby nie celowała już we mnie, ale centymetr za centymetrem sunęła w stronę podłogi, tak jakby broń stała się za ciężka do uniesienia.

Siedziałem w zupełnym bezruchu. Godvik niemal zgiął się już wpół, jak człowiek gnębiony silnymi bólami żołądka, a nieprzyjemne, suche łkania wciąż wydobywały się z jego gardła.

Kari wstała. Była naga: widziałem białe plamy jej ciała, lśniące w ciemnościach, poruszała się jednak tak miękko, jakby była sama w pokoju. Minęła Hansa Godvika, który chyba nawet jej nie zauważył, narzuciła wiszący za drzwiami szlafrok, otuliła się nim i powiedziała:

– Herbata. Zrobię herbatę. Proszę ze mną, zejdziemy do kuchni.

Ku mojemu zdumieniu Hans Godvik wyprostował się i odwrócił, by zrobić, jak kazała.

– Strzelba – rzuciłem. Mój głos był tak suchy i ochrypły, że najpierw udało mi się wydać jedynie nieartykułowany dźwięk, więc

musiałem odchrząknąć i powtórzyć: – Strzelba. Proszę odłożyć ją na podłogę. Nie pozwolę panu z nią iść, jeżeli weźmie pan strzelbę.

Nawet na mnie nie spojrzał, po prostu odłożył broń i poszedł za Kari. Wstałem, chwiejąc się na nogach jak po długim pobycie w szpitalu, również włożyłem szlafrok, wziąłem strzelbę do ręki, by ją zabezpieczyć, i pospieszyłem za nimi.

## Rozdział 20

Warowałem w korytarzu na najniższym stopniu schodów i marzęm tak, że szczękały mi zęby. Dwa stopnie wyżej za moimi plecami leżała strzelba. Z kuchni dobiegały codzienne dźwięki: bieżąca woda, brzęk filiżanek. Głos Kari, ale i przykre spazmy Hansa Godvika.

Już miałem tam wejść, gdy zatrzymałem się w progu kuchni i popatrzyłem na nich – na Kari stojącą przy blacie i Hansa Godvika siedzącego przy stole z głową ukrytą w rękach. Kari potrząsnęła głową, więc ostrożnie się wycofałem.

Czułem się tak, jakbym miał gorączkę, bo moje ciało drżało. Próbowiałem lepiej otulić się szlafrokiem, był na mnie jednak za mały. Zawsze był za mały. Irytujące. Prezent świąteczny sprzed wielu lat.

Moje myśli błądziły tu i tam. Nagle poczułem ogromne zmęczenie; walczyłem z opadaniem powiek, ogarnięty przemożną ochotą, żeby pójść i się położyć. Nie śmiałem tego zrobić.

Słyszałem ich głosy. Najczęściej Kari, a od czasu do czasu również Hansa Godvika: niższy, wolniejszy. Nie wiedziałem, co mówią – jednak rozmawiali. Zastanawiałem się, czy mimo wszystko nie powinienem do nich dołączyć.

Nagle w drzwiach stanęła Kari.

– Mikael, mógłbyś zamówić taksówkę?

Dobiegł mnie głos Godvika zza jej pleców, ale nie zrozumiałem, o co mu chodziło. Kari obejrzała się i miękko, ale stanowczo, tak jak się mówi do dzieci, powiedziała:

– Nie zgadzam się, żeby pan dzisiaj prowadził. Nie ma mowy.

Odprowadziła go do drzwi. Kiedy mnie mijał, skinął mi głową. Godzinę temu wdarł się do sypialni, by mnie zabić, teraz zaś kiwał mi głową, jakby chciał powiedzieć: „Miło było się spotkać”.

– Czy ma pan pieniądze na taksówkę? – spytałem, a on spojrzał na mnie tak, jakbym mówił w obcym języku. Znalazłem czterysta koron i wcisnąłem mu je w rękę. Jego palce były sztywne i niezdarne.

– Nie... – Potrząsnął głową, ale mu przerwałem.

– Przyszedł pan tutaj, by mnie zabić. Pozostanie przy życiu jest warte tych pieniędzy.

Były to absurdalne i szorstkie słowa, ale w jego oczach nie dostrzegłem śladu reakcji. Zacisnął tylko dłoń na banknotach i pozwolił, by Kari go wyprowadziła. Szedł jak stary mężczyzna. Jak mój ojciec.

– Niech pan jedzie do domu, do Irene – nakazała Kari. – Ona pana potrzebuje.

Po wszystkim siedziałem w kuchni i również piłem herbatę, ściskając w rękach gorący kubek.

– Co ci powiedział?

Wzruszyła ramionami. Miała napięte rysy i wyglądała na zmęczoną.

– Co powiedział? Nie wiem. Nic rozsądnego. To... to chory i zniszczony człowiek.

– Myślisz, że pojedzie do żony?

– Mam taką nadzieję.



Przez chwilę milczeliśmy, po czym Kari dodała:

– Jedyne, co udało mi się zrozumieć z jego słów, jedyne, co było w miarę spójne, to że się wstydził.

– Czego?

– Tego, że nie udało mu się ciebie zabić. Nie udało mu się, więc się wstydził.

– O Boże.

– Właśnie.

– Jak się czujesz, Kari? Wszystko... w porządku?

– Jestem zmęczona. Wyczerpana.

– To było... byłaś niesamowita. Myślałem... że wszystko skończone... i nie mogłem... i wtedy ty się odezwałaś. Całkiem spokojnym, zwykłym tonem. – Przełknąłem ślinę na wspomnienie strachu, paraliżu, narastającej presji. – Jak... Nie bałaś się?

Wstała.

– Muszę wziąć prysznic, Mikael. Dasz radę zmienić materac, wstawić ten z pokoju dla gości?

– Dlaczego?

– Bo go zmoczyłam.

Zapatrzyłem się na nią, po czym oboje parsknęliśmy śmiechem. Wziąłem Kari w ramiona i zaśmiewaliśmy się tak, że niemal nie byliśmy w stanie ustać. Po chwili jej śmiech przerodził się w płacz, ja zaś przytulałem ją i przytulałem.

W drzwiach do piwnicy zauważyłem wybitą szybę. Tą drogą Godvik dostał się do środka. Szkło było niemal w całości pokryte taśmą maskującą, tak aby odłamki nie narobiły hałasu. Zaplanował swoją akcję. Zasłoniłem dziurę starą płytą, myśląc, że znów muszę zadzwonić do szklarza.

Strzelba wciąż leżała na schodach. Podniosłem ją i przyjrzałem

się jej dokładniej. Wyglądała na mocno zużytą. Dwie lufy, jedna na drugiej, brązowa drewniana kolba. Zastanowiłem się, co powinienem z nią zrobić, otworzyłem lufę i wysypałem dwa naboje. Położyłem broń w składziku na pierwszym piętrze, a naboje schowałem w szufladzie stolika nocnego.

Na zewnątrz zaczęło już szarzeć. Spojrzałem na zegarek. Za dwie godziny powinienem zbierać się do pracy.

Wieczorem oglądaliśmy telewizję. Siedzieliśmy tuż przy sobie i gapiliśmy się na byle jakie programy, niemal nie rozmawiając, za to nieustannie dotykając się i przytulając. Za każdym razem, gdy patrzyłem na Kari, posyłała mi uśmiech.

O dziesiątej zaczęła ziewać. Jej ziewanie było zaraźliwe. Byłem tak zmęczony, że niemal zataczałem się, wychodząc spod prysznic, i wydawało mi się, że zasnę, gdy tylko przyłożę głowę do poduszki. Kari jednak natychmiast zbliżyła się do mnie w mroku i wczepiła się we mnie, pojękując z żądy. Wdarłem się w nią, a ona wierciła się pode mną i wyprężała ku mnie uda, tak że niemal od razu doszedłem, jak gdybym znów był nastolatkiem.

Potem leżała tuż przy mnie, obejmując mnie udem i ramieniem. Zanim odpłynąłem, przez chwilę dryfowałem jeszcze na powierzchni. Zapytałem ją wtedy, czy chciałaby mieć dziecko.

– Tak, Mikael, chciałabym. A ty?

– Nie ma sprawy – odparłem i zasnąłem.

Następnego ranka, gdy Kari poszła na wykład, siedziałem w kuchni, rozmyślając. Myślałem o czternastoletniej Mai Godvik. Zwykłej dziewczynie z małego miasta, której nigdy nie spotkałem. Dziewczynie, która – gdyby żyła – nie miałaby ani większego, ani mniejszego wpływu na otaczający ją świat niż tysiące innych

młodych dziewcząt, które go zasiedlały, zajętych swoimi sprawami, chichotami, uganianiem się za chłopakami i tajemniczymi, niezrozumiałymi kodami.

Ponieważ jednak Maja zginęła tak, a nie inaczej, to znalazła się w centrum uwagi i stała się punktem ciężkości w życiu aż nazbyt wielu ludzi.

Pomyślałem o jej rodzicach. O tym, co właściwie znaczy być rodzicem. O życiu rodziców i o życiu dzieci, splatających się ze sobą jak nici, aż do powstania wzoru, aż do zaplecenia sznura trwalszego niż suma wszystkich nici. Myślałem też o tym, co się dzieje, jeśli jedna z nici się zerwie i obciążenie pozostałych staje się zbyt wielkie, jak napinają się i pękają, jedna po drugiej, aż cały sznur ulega przerwaniu, a luźne końcówki powiewają bezradnie na wietrze.

Myślałem o Alvinie Mo. Żyjemy najlepiej, jak potrafimy, próbujemy planować, jak najdokładniej przygotować się na wszelkie ewentualności, ale Mo był jednym z tych czynników, których nigdy nie bierze się pod uwagę. Był jak samochód bez hamulców, niezabezpieczone rusztowanie. Jak plama oleju na suchym asfalcie.

A Nina Hagen? Kryła się w cieniu Mo jako niewyraźna, ale groźna postać. Nina Hagen mogła być koszmarem, jaki ma się od czasu do czasu – jednym z takich, których nie pamięta się po przebudzeniu, choć ciało zlane jest potem, a serce łomocze w ciemnościach, towarzyszy on jednak w ciągu dnia, kładzie się cieniem na słońcu, odbiera radość barwom i sprawia, że człowiek wzdryga się, słysząc nieoczekiwane dźwięki.

Równie dobrze mogła nim jednak nie być.

Nie wiedziałem już, czy mnie to obchodzi. A raczej czy mam

jeszcze siłę, by mnie to obchodziło. Pozwoliłem, aby sprawa Mai dostała główną rolę w moim życiu. Dosiadłem konia, złapałem lancę oraz starą, wybrzuszoną tarczę i wyruszyłem, by walczyć ze smokiem.

Widziałem ból i ponizenie Hansa Godvika i chciałem go uratować, teraz jednak wiedziałem, że nie ma dla niego ratunku. Zarówno on, jak i Irene byli luźnymi końcówkami na wietrze i nic, co bym zrobił, nie mogło ponownie związać ich ze sobą, na powrót wplatając w sznur.

Chciałbym zwalczać zło i łagodzić cierpienie, ale to zadanie nie należało do mnie. Byłem tym, kim byłem, całkiem zwyczajnym adwokatem. To właśnie moja praca: czasem dramatyczna i wyróżniająca, innym razem nudna i anonimowa. Mimo to pełniłem ważną funkcję i miałem do tego zdolności. Rola, którą odgrywałem, podlegała jednak prawom i zasadom; jedne z nich były pisane, inne zaś niepisane. Wiedziałem, że Peter miał rację: złamałem zasady i zrobiłem coś, czego ani nie powinienem był ani nie umiałem robić.

Miałem własne życie. Miałem Kari i planowaliśmy dzieci. Miałem własny sznur do uplecenia. Rzeczywistość spoza sali sądowej wdarła się do mojego życia, wdarła się nocą do mojej sypialni i przez chwilę wierzyłem, że to koniec, że umrę tej nocy. Nie chciałem tego. Czas było pchnąć życie naprzód i pokazać im wszystkim, przestępcom i ofiarom, gdzie ich miejsce – tak jak uczestnikom procesu. Miałem dość. Alvin Mo i Nina Hagen musieli pójść własną drogą. Nie było to moje życie – i nie moja odpowiedzialność.

## Rozdział 21

Kilka dni później zabrałem Kari do restauracji. Podczas gdy jedliśmy, opowiedziałem jej, o czym myślałem i jaką podjąłem decyzję. Słuchała, nie komentując, popijała wino drobnymi łykami i patrzyła na mnie wzrokiem, z którego nie mogłem nic wyczytać. Kiedy umilkłem, siedziała z kieliszkiem w ręku i obracała nim ostrożnie, tak że wino obmywało ścianki, migocząc czerwono pod światło.

– Czy naprawdę mówiłeś poważnie o dzieciach? Czy też była to tylko reakcja... na to, co się stało?

– Tak, mówiłem poważnie.

– W porządku. – Uśmiechnęła się i nic już nie powiedziała.

Po chwili spytałem:

– Ale wszystko inne, to, co ode mnie słyszałaś o Ninie Hagen i...

– Koniec z tym. Teraz czas na nas, Mikael.

Po raz pierwszy od dawna udało mi się skupić na pracy. Dość było roboty. Synne zachowała kontrolę nad obiegiem dokumentów, miałem jednak wielu klientów, którzy siedzieli w więzieniach na terenie całego kraju i byli rozgoryczeni, bo ich nie odwiedzałem. Całe dwa tygodnie spędziłem na pokładach samolotów. Niekiedy musiałem nocować w hotelu, ale z reguły na noc wracałem do domu. Do Kari.

Peter był zadowolony, Synne była zadowolona, klienci byli zadowoleni. Nie miałem żadnych wiadomości od Hansa Godvika ani go nie widywałem i czułem się bezpiecznie, gdyż nie stanowił już zagrożenia. Mnie samego opuściła ochota, aby myśleć o nim lub o jego żonie. Pozwoliłem, by sprawa Mai zniknęła z moich myśli, i wiedziałem, że prędzej czy później stanie się sprawą, jakich wiele. Sprawą, którą wygrałem, która rozślawiła moje nazwisko i dała mi nowych klientów. Chodziło tylko o czas, o dystans.

Nie przepadam za klubami nocnymi; gdy wychodzę na miasto, zwykle wybieram bar albo pub. Obrzuciłem wzrokiem dojrzałych mężczyzn w drogich garniturach – z napęczniałymi portfelami oraz twarzami czerwonymi od alkoholu i wysiłku na parkiecie – a także kobiety z czerwonymi ustami, mocno umalowanymi oczami i tlenionymi włosami – i od razu wiedziałem, że to nie miejsce dla mnie. Muzyka była zbyt głośna, ludzie zbyt frenetyczni, zaprzątnięci myślą o tym, by się pokazać, poznać kogoś, poderwać. Nie wypaść z obiegu.

Przyszedłem tam z Peterem i kilkoma ważnymi klientami; wcześniej zjedliśmy obiad, do którego piliśmy wino i koniak, po czym poszliśmy do klubu. Próbowałem się z tego wykręcić, ale Peter wziął mnie pod ramię i dał mi jasno do zrozumienia, że ja też powinienem iść z nimi.

– Ci ludzie są ważni dla firmy, Mikael. Ja zawsze muszę brać udział w tych głupotach, więc i ty mógłbyś od czasu do czasu się pojawić.

Jeden z klientów, ten najmłodszy, wrócił od kontuaru z tacą pełną shotów w towarzystwie trzech chichoczących trzydziestolatek. Zrzucił kurtkę, po czym, spocony i rozochocony, zmusił wszystkich, by wzięli drinki.

– Zdrowie! – krzyknął. – Do dna!

Posłusznie uniosłem kieliszek i wypilem do dna. Cokolwiek to było, miało mdląco słodki smak. Wzdrygnąłem się. Klient wcisnął mi nowy kieliszek, wydawał się zachwycony. Jedną ręką spoczywała już wysoko na udzie kobiety obok; ta pochylała się w jego stronę, śmiejąc się ze wszystkiego, co mówił.

Wstałem, podszedłem do baru i zamówiłem piwo; przez chwilę stałem przy kontuarze, przerażony, po czym wróciłem do stolika.

I wtedy spostrzegłem Ninę Hagen – tylko przez ułamek sekundy między tańczącymi ciałami, zanim na powrót przesłoniła ją podrygująca masa, tak krótko, że nie byłem pewien, czy to na pewno ona.

Postanowiłem wrócić do stolika, gdy nagle rozmyśliłem się i ruszyłem w przeciwną stronę, by lepiej ją widzieć. Tam już zostałem, oparty o kolumnę.

To była Nina Hagen... ale inna niż w biurze i na sali rozpraw. Wtedy wyglądała neutralnie, ubrana nieomal nudno, nieumalowana. Teraz miała na sobie ciasne spodnie i skąpy top z błyszczącego czarnego materiału, który uderzająco kontrastował z jej bladą skórą. Miała mocny makijaż i widziałem, jak odrzuca głowę, śmiejąc się z czegoś, co powiedział mężczyzna siedzący obok. Nachyliła się i położyła dłoń na jego ramieniu. Sposób, w jaki to zrobiła, podpowiedział mi, że dobrze się znają.

Jego również kojarzyłem. Był to Fred Kluge, lokalny baron restauracyjny o wątpliwej reputacji. Wiele razy broniłem jego ochroniarzy w sądzie, czasami w sprawach o użycie przemocy, innym razem w związku z narkotykami, zdarzało się zaś, że z obydwu powodów. Odsiadywali wyroki, a kiedy wychodzili na wolność, zawsze wracali na posady. Dotąd nikomu nie udało się

powiązać Klugego z żadnym karalnym procederem, nie miałem jednak wątpliwości, że jest w coś zamieszany. Teraz otoczył Ninę Hagen masywnym ramieniem, mocną ręką pieszcząc jej bark.

Podniosła wzrok i mnie spostrzegła; zmarszczyła brwi, tak jakby musiała chwilę pomyśleć, po czym uniosła rękę i z uśmiechem mi pomachała. Gdy nie zareagowałem, wyglądała na odrobinę zdziwioną i pomachała raz jeszcze, nieco zapalczywiej. Widząc, że w dalszym ciągu nie reaguję, wzruszyła ramionami, zwróciła się do Freda Klugego i coś mu powiedziała. On też na mnie spojrzał, potem zaś nachylił się do niej i wyszeptał coś w odpowiedzi. Zaśmiali się oboje.

Poczułem nagłą wściekłość, ale odwróciłem się do nich plecami i ruszyłem do baru. Moja szklanka była pusta, więc kupiłem sobie jeszcze jedno piwo.

Godzinę później miałem dość pijanych klientów, migoczącego światła i dudniącego basu, który dobijał mi się do czaszki.

– Wychodzę! – krzyknąłem Peterowi do ucha.

Skinał głową.

– Spełniłeś swój obowiązek.

Kiedy wstałem, poczułem, jak bardzo jestem pijany; musiałem mocno się koncentrować, żeby iść prosto przez salę. W toalecie była kolejka do pisuarów, znalazłem jednak wolną umywalkę i dla otrzeźwienia przemyłem twarz zimną wodą. Gdy wyszedłem na korytarz, stanęła wprost przede mną.

– Brenne – powiedziała. – Nie przywitał się pan. Zapomniał mnie pan?

Patrzyła mi prosto w oczy nieco wyzywającym wzrokiem; błyszczący top przylgnął ciasno do jej skóry. Pomyślałem o tym, co mówił Król Słońce, o jej przybranych rodzicach, którzy spłonęli



w domu, o podejrzeniach wobec tej kobiety.

– Nie zapomniałem pani.

– Ale... skąd ta niechęć?

– Znalazła sobie pani chłopaka? – spytałem, głównie dlatego, że nie wiedziałem, co jej odpowiedzieć.

– Freda? Chłopaka? Nie do końca. Może raczej kochanka. – Patrzyła na mnie prowokacyjnie. – Uzupełniamy się nawzajem. On lubi być wiązany. Ja lubię go wiązać. – Zobaczyła wyraz mojej twarzy i parsknęła śmiechem. – Szokuję pana? Może to nie w pańskim stylu, co?

W samozadowoleniu Niny Hagen było coś, co mnie rozzłościło. Jej słowa przywołały wspomnienie Mai, w mojej głowie rozświetliły się slajdy, które usiłowałem zapomnieć. Zrobiłem krok w jej stronę.

– Wiem, co się zdarzyło – powiedziałem cicho. – Wiem, że razem z Alvinem Mo zaplanowała pani zabójstwo Mai. Wiem, że brała pani w tym udział. Mo nie mógł utrzymać języka za zębami, musiał się komuś pochwalić. Wiem.

Nie była to prawda. Alvin Mo słowa o niej nie pisał; wszystko, na czym się opierałem, to teorie i przypuszczenia, ale w chwili gdy słowa padły, w Ninie Hagen zaszła jakaś zmiana. Najpierw w oczach pojawił się błysk paniki, po czym twarz ściągnęła się w grymasie wściekłości. Czystej, niezafałszowanej wściekłości, tak silnej, że przez moment sądziłem, iż straci nad sobą kontrolę, i instynktownie się cofnąłem. Na tym się jednak skończyło i maska znów była na miejscu; ja jednak za nią zajrzałem i byłem pewien, że miałem rację.

– Odbiło panu, mecenasie? A może jest pan pijany?

Aż się we mnie zagotowało; chciałem ją wystraszyć, jeszcze bardziej wstrząsnąć jej leniwą, samozadowoloną zmysłowością.

– Proszę sobie oszczędzić kłopotu – odparłem. – Nie oszuka mnie pani ponownie. I nie wywinie się pani. Powinna była pani wybrać sobie mniejszego narwańca niż Mo. On za dużo gada. Tym gadaniem zaprowadzi panią do paki.

Oczekiwałem kolejnych protestów lub wybuchów gniewu, ale zamiast tego jej twarz przybrała nagle wyraz zamyślenia, tak jakbym po prostu zadał trudne pytanie.

Potem odezwała się tak cicho, że trudno ją było zrozumieć:

– Nie ma mowy. Na to mu nie pozwolę.

Otworzyłem usta, by zapytać, co ma na myśli, ale przy jej ramieniu zjawił się Fred Kluge. Obrzucił wzrokiem nasze twarze i rzekł:

– O co chodzi, Nino? Adwokat cię męczy?

Żadne z nas nie odpowiedziało, więc podszedł do mnie. Z wyrazu jego oczu, z jego postawy wywnioskowałem, że niewiele trzeba, by stał się agresywny.

– Czego pan chce, Brenne? – warknął, ale Nina położyła mu rękę na ramieniu.

– To nic takiego, Fred, zapomnij.

Cofnąłem się o dwa kroki, po czym skinąłem im głową.

– Idę do domu, Kluge. Miłego wieczoru.

Na zewnątrz, w zimnie i mroku nocy, znowu poczułem, jak bardzo jestem pijany. Alkohol podziałał jak cios obuchem w czoło, na całym ciele wystąpił mi pot. Zastanawiałem się, jaką machinę wprowadziłem w ruch. Co robi Nina Hagen. Nie opuściło mnie jeszcze ciepłe uczucie triumfu, ponieważ nią wstrząsnąłem, przestraszyłem ją, ale głęboko w głowie jakiś głosik podpowiadał mi, że postąpiłem niezbyt mądrze. Że będzie to miało konsekwencje. Że tego pożałuję.

Odsunąłem od siebie te myśli i skoncentrowałem się na tym, by

iść, nie zataczając się.

Tydzień później w moim biurze pojawił się Alvin Mo. Postanowiłem nie angażować więcej czasu i sił w sprawę Mai, zdawało się jednak, że sama sprawa nie chce mnie puścić. Wgryzła się w moje życie jak buldog.

– Mówi, że ma dla ciebie zadanie – powiedziała recepcjonistka przez telefon, ja zaś, wzdychając, pomyślałem, że najlepiej będzie załatwić to jak najszybciej.

Spotykałem się z nim regularnie przez sześć tygodni i spędziliśmy razem niemal dwa tygodnie w sądzie. Mimo to szokiem było zobaczyć go znowu. We wspomnieniach uczyniłem go bardziej normalną, przeciętną postacią, teraz więc na nowo uderzyło mnie, jak osobliwie wyglądał. Dziwny efekt wywołany zupełnie bezwłosą twarzą o drobnych, niegotowych rysach – tak jakby był tylko szkicem człowieka, projektem. Doznałem tego samego przykrego uczucia co wtedy, gdy ujrzałem go po raz pierwszy.

Jego dłoń była ciepła i sucha. Energicznie rozsiadł się na krześle dla klientów, ale po kilku sekundach wstał, spojrział na książki stojące na półce, zdjęcia i bibeloty, a jego niespokojne ręce dotykały wszystkiego, co oglądał.

– Proszę usiąść – ponagliłem. – W czym mogę pomóc, panie Mo?

Nie zareagował na zaproszenie, tylko niespokojnie przechadzał się w tę i z powrotem.

– Rozprawa – rzekł. – Daliśmy im niezłego łupnia, prawda? Świetna robota.

– Tak. – Znałem go na tyle, by wiedzieć, że nie warto zbytnio na niego naciskać.

– Chyba się panu opłaciło.

– Co ma pan na myśli?

Machnął ręką.

– Dobrą zapłatę za prowadzenie sprawy, rzecz jasna. Ale też rozgłos w gazetach i telewizji, nowych klientów – tego typu sprawy. Tak naprawdę to dzięki mnie pan to osiągnął. Pomyślałem, że i mnie powinno coś skapnąć.

Przez moment sądziłem, że poprosi mnie o pieniądze. Musiał wyczytać to z mojej twarzy, bo zaśmiał się i kontynuował:

– Odszkodowanie, panie Brenne. Odszkodowanie za uporczywe nękanie czy jak to się tam nazywa.

– Odszkodowanie za bezpodstawne aresztowanie.

– Właśnie. – Uśmiechnął się. – Zamknęli mnie na wiele miesięcy, trąbili o mnie jako o tym potworze we wszystkich gazetach i kanałach telewizyjnych na świecie, wymieniając mnie w dodatku z imienia i nazwiska. Moje życie jest zrujnowane. Mam prawo żądać ładnej sumki, prawda?

Pokręciłem wolno głową.

– Dlaczego nie? Co pan przez to rozumie? Przecież mnie uniewinniono.

– Uzyskanie odszkodowania nie jest wcale takie proste, jak pan myśli. Ale nie o to chodzi.

– A o co? – Jego ton stał się nieco agresywny.

– Rzecz w tym, że nie zajmuję się tego typu sprawami – wyjaśniłem. Po chwili przerwy dodałem: – W każdym razie nie zajmę się nią dla pana.

Cały stęzał, nie był już ani niecierpliwy, ani niespokojny. Stał zupełnie nieruchomo.

– Dlaczego nie?

– Nie jest pan wiarygodny. Słyszałem, co pan powiedział ojcu

Mai. Wie pan dobrze, że to usłyszałem. Zabił ją pan. Nie chcę mieć z panem nic do czynienia. A już w szczególności nie zamierzam wytaczać sprawy przeciw państwu, żeby pan jeszcze zarobił na swoim postępku.

Nie wiedziałem, jakiej reakcji się spodziewać, ale wszystko, co uzyskałem, to wzruszenie ramion.

– Okej – mruknął. – Jeśli pan nie chce, to nie. Ale potrzebuję pieniędzy.

Zachowywał się tak, jakby nic do niego nie docierało.

– Zamordował pan młodą dziewczynę. Torturował ją pan, zgwałcił i zabił. To... – Szukałem słów, które mogłyby nim wstrząsnąć. – Wydaje się panu, że udało się panu z tego wykręcić, ale ta sprawa na zawsze pozostanie w pańskiej świadomości. Nie wydaje mi się, żeby ktokolwiek zdołał z czymś takim żyć. Myśli o tej sprawie będą pana nawiedzać, aż w końcu odbiorą panu życie.

Nagle przybrał zagubiony i zakłopotany wyraz twarzy, tak jakbym go zranił.

– Nie powinien pan tak mówić – oburzył się. – Jest pan w końcu moim adwokatem. Pańskim zadaniem jest mi pomagać.

Pomyślałem o Ninie Hagen. O tym, co jej powiedziałem. Zdawałem sobie sprawę, że moje kłamstwo naraziło Mo na niebezpieczeństwo. Nie domyślał się, że Hagen wiąże z nim ryzyko. Już miałem mu to wyjawić, ostrzec go, ale odwrócił się i złapał zdjęcie Kari, które stało na parapecie. Pogładził je palcem.

– To pańska dziewczyna? – zapytał. – Śliczna. – W jego głosie, w ruchu palca obrysowującego kontury twarzy była jakaś intymność, która mnie wzburzyła, tak jakby dobierał się do Kari na moich oczach.

Rozmyśliłem się.

– Najlepiej będzie, jeśli pan już pójdzie. – To wszystko, co udało mi się powiedzieć. – Nie mogę ani nie chcę panu pomóc.

Wyszedł. Wtedy widziałem go po raz ostatni.

## Rozdział 22

Narastająca panika. Zabłądziłem. Ulice wokół mnie coraz bardziej się zwęzały. Zaledwie chwilę wcześniej przechadzałem się słonecznymi alejami wśród niskich, bielonych domów, teraz zaś wszystko ucichło i pociemniało. Nie było nikogo poza wyliniałym kotem, który siedział na schodach, przyglądając mi się żółtymi oczami. Postąpiłem kilka kroków w jego stronę, ale on zeskoczył i truchtem ruszył ulicą. Wiedziałem, że muszę go śledzić, jednak ledwo go dostrzegalem w zapadającym zmroku. Wbiegł na inne schody i zniknął w głębi domu. Zatrzymałem się przed budynkiem. Gdy wyciągnąłem rękę, drzwi okazały się zamknięte. Nie mogłem zrozumieć, jak kotu udało się przez nie przejść. Stałem tam, czując, że narasta we mnie lęk wraz ze świadomością, że w domu kryje się coś przerażającego. Potem zadzwoniłem do drzwi. Gdzieś daleko usłyszałem dzwonek. I znowu. I jeszcze raz, aż wreszcie jakaś część mojego mózgu pojęła, że dzwoni telefon – wściekle i natarczywie.

Ręka sięgnęła po słuchawkę, podniosła ją i upuściła. Próbowałem ją znaleźć po omacku i słyszałem dobiegający z niej głos: brzmiało to jak brzęczenie owadów. Wreszcie przyłożyłem słuchawkę do ucha.

– ...jakieś komentarze? – trajkotał we wschodniorweskim dialekcie podniecony głos.

– Halo? – rzuciłem. Miałem chrypkę, więc odchrząknąłem

i powtórzyłem: – Halo?

Na moment zapadła cisza, po czym głos zapytał:

– Z kim... do kogo się dodzwoniłem?

Zegar na stoliku nocnym wskazywał siedemnaście po trzeciej.

– Tu Brenne.

– Ma pan jakieś komentarze, panie Brenne?

– Do czego?

– Do... do zabójstwa, rzecz jasna.

Czułem się, jakbym miał watę zamiast mózgu.

– Kto mówi?

W głosie wciąż pobrzmiwała ekscytacja.

– Nie słyszał mnie pan?

– Jest środek nocy. Kto mówi, do ciężkiej cholery, i o co chodzi?

Nowa pauza.

– Tak... Przepraszam, wiem, że już późno, ale z tej strony dziennikarz Geir Spang. Dzwonię, bo, jak już mówiłem, pański klient nie żyje. Zastanawiam się, czy...

– Który klient?

– Mo. Alvin Mo. Ma pan jakieś komentarze?

– Proszę się uspokoić. Alvin Mo? Co... W jaki sposób zginął?

– Ja... Został zabity. Zamordowany.

– Kiedy?

– Nie wiem. Stoję właśnie przed jego domem. Na miejscu jest policja. Chciałbym wiedzieć, co pan o tym sądzi. Kto pańskim zdaniem mógł to zrobić?

– Nie mam zielonego pojęcia. I nie mam też na razie żadnych komentarzy – odparłem, po czym odłożyłem słuchawkę. Po chwili telefon znowu się rozdzwonił. Zdjąłem słuchawkę z widełek i rozłączywszy się, odłożyłem ją na stolik nocny. Minutę później



zabrzęczała moja komórka. Ją też wyłączyłem i leżąc w łóżku, oddałem się rozmyślaniom.

– Co się dzieje, Mikael? – Kari zerknęła na mnie sennie znad poduszki.

– Praca. Śpij. Opowiem ci o tym jutro rano.

Alvin Mo był martwy. Ktoś go zabił. Nie uważałem, żeby była to wielka strata dla świata, i nie czułem żalu, ale zaledwie tydzień temu odwiedził mnie w biurze, teraz zaś nie żył. Zabrał do grobu prawdę o sprawie Mai. Nic na to nie mogłem poradzić i nie było powodu, żebym miał się w to angażować. Przewróciłem się na bok, zamknąłem oczy i spróbowałem zasnąć.

Pół godziny później siedziałem w samochodzie. Na zewnątrz było cicho i ciemno. Jechałem powoli obwodnicą wokół centrum, aż dotarłem na tyły teatru i skręciłem w dół, w kierunku zamkniętej przystani promowej, gdzie zaparkowałem.

Nie miałem dużo do przejścia. Przeciąłem główną drogę, na której o tej porze nocy panował znikomy ruch, i zapuściłem się między stare, drewniane zabudowania. Domy były wiekowe i łuszczyła się na nich farba, niektóre z nich miały powybijane, zabite płytami okna. Wiedziałem mniej więcej, gdzie iść: po kilku minutach na jednej z ulic zobaczyłem radiowozy i grupkę ciemnych sylwetek, które stały w okolicach latarni i marzły.

Kiedy się zbliżyłem, jedna z osób odłączyła się od reszty i podeszła do mnie. Był to Georg, dziennikarz, którego znałem od lat.

– Mikael – powiedział.

Skinąłem mu głowę.

– Co się dzieje, Georg?

– Chyba wiesz, skoro tutaj jesteś.

Odwróciłem się w stronę niskiego drewnianego domu, przed którym zaparkowane były samochody: dwa radiowozy, jeden cywilny. Przed drzwiami stał umundurowany funkcjonariusz i wyglądał na zmarzniętego.

– Chodzi o Alvina Mo.

– Tak.

– Wiesz, co się stało?

– Nikt nam nic nie mówi. Wiem tylko, że nie żyje.

– Zabójstwo czy samobójstwo?

– Myślę, że zabójstwo. W każdym razie nikt temu nie zaprzecza. Wychwyciliśmy to z krótkofalówki – zdradził. Przez chwilę się wahał, po czym dodał: – Wydaje mi się, że nie jest tam zbyt pięknie.

– Dlaczego?

– Zaraz po tym, jak przyjechaliśmy, do środka weszło dwóch funkcjonariuszy. Nie minęły dwie minuty, a jeden z nich wyleciał stamtąd jak rakieta i zwymiotował do rynsztoka.

– Może to nowicjusz.

– Może i tak. Ale wszyscy tu chodzą z dziwnymi minami.

Pozostali dziennikarze zdążyli już odkryć, kim jestem. Otoczyli mnie, zadając bezsensowne pytania, na które nie potrafiłem odpowiedzieć. Tylko potrząsałem głową, więc po chwili zrezygnowali i dali mi spokój.

Stałem, przyglądając się domowi, farbie odpadającej dużymi płatami i rynnom, które w wielu miejscach przerdzewiały. Policjant przed drzwiami wyglądał, jakby zamarznął na sople lodu. Nikt nie wchodził i nikt nie wychodził. Zawahałem się lekko, po czym podszedłem i się przedstawiłem. Tylko spojrzał na mnie beznamiętnie.

– On... Alvin Mo był moim klientem.

– I co z tego?

– Czy on... Jak rozumiem, nie żyje. Został zabity.

Brak odpowiedzi. Spróbowałem znowu.

– Czy mogę rozmawiać z osobą odpowiedzialną za śledztwo?

– Dlaczego?

Było późno i zimno. Ogarnęła mnie irytacja.

– Proszę po prostu przekazać, że chcę porozmawiać, dobrze?

Wzruszył ramionami, otworzył drzwi za swoimi plecami i wsunąwszy głowę do środka, powiedział coś, czego nie zrozumiałem. Następnie znów zamknął drzwi. Odsunąłem się trochę i czekałem.

Minęło niemal dziesięć minut, zanim drzwi otworzyły się znowu. Mężczyzna, który z nich wyszedł, był niewysoki i szary, z głębokimi zmarszczkami wokół małych, zaciśniętych ust. Znałem go – niezbyt dobrze, ale od czasu do czasu natykaliśmy się na siebie przy różnych sprawach. Był starszym aspirantem w sekcji do spraw przemocy i nazywał się Tobias Munk. Przywitał się, chłodno skinąwszy mi głową.

– Brenne?

– Domyślam się, że Alvin Mo nie żyje, panie Munk – powiedziałem. – Był moim klientem.

Munk spojrzał na mnie z rezygnacją.

– Ale już nie jest pańskim klientem. Nie jest niczym klientem.

– A więc naprawdę nie żyje?

Munk skinął głową.

– Zabity?

– Dlaczego pan pyta?

– Ja... Był moim klientem... Ja...

– To zresztą bez znaczenia, akurat ta informacja nie jest poufna.

Tak, panie Brenne, został zabity. To zabójstwo.

Przez chwilę milczałem.

– Mogę go zobaczyć?

Jego oczy się zwężyły.

– A czemu, u licha, chciałby go pan oglądać?

Nie wiedziałem, dlaczego zadałem to pytanie, i nie znalazłem żadnej rozsądnej odpowiedzi, więc tylko wzruszyłem ramionami.

– Wpuszczenie pana na miejsce zbrodni oczywiście nie wchodzi w rachubę – rzekł Munk sucho. – Poza tym może mi pan wierzyć, że wcale nie miałby pan ochoty go oglądać.

– Dlaczego?

– Ktoś bardzo nie lubił Alvina Mo. Jestem funkcjonariuszem policji od trzydziestu lat i jak żyję, nie widziałem czegoś podobnego.

– Został okaleczony?

– To mało powiedziane. Po prawdzie Alvin Mo był niezłą świnią, ale to tutaj... – Pokręcił głową.

– Wiecie kto... Macie jakichś podejrzanych?

Munk nagle się zirytował, tak jakby uznał, że powiedział zbyt dużo.

– Nie stałbym chyba tutaj i nie gadałbym z panem, gdybyśmy mieli jakichś podejrzanych! Dość jest jednak ludzi, którzy nie przepadali za Mo. Niech pan idzie do domu, Brenne. Nie ma tu pan nic do roboty, ja zaś jestem bardzo zajęty. – Okręcił się na pięcie i wszedł do środka.

Patrzyłem za nim. Za moment nadciągnęli dziennikarze; chcieli się dowiedzieć, co takiego wyjawiał mi Munk, ja jednak potrząsnąłem głową i odparłem, że nie wiem więcej niż oni. Zerwał się wiatr. Kiedy wracałem do miasta, suche liście wirowały na rogach ulic. Myślałem o ostatnim razie, kiedy widziałem Mo, o tym,

co mu powiedziałem i czego mu nie zdradziłem. A także o tym, że może byłby teraz przy życiu, gdybym mu to powiedział.

## Rozdział 23

Gazety były zachwycone. W ciągu następnych dni roiło się w nich od doniesień o zabójstwie Mo, przy czym każdy kolejny nagłówek wydawał się bardziej niesmaczny od poprzedniego. Po pewnym czasie zaczęły się pojawiać standardowe przecieki z policji, a media dostały amoku. Nawet bez podawania szczegółów udawało im się w ten czy inny sposób stworzyć wrażenie, że Alvin Mo został poddany okrutnym torturom. Pojawiały się cytaty z anonimowych źródeł, że „nigdy nie widzieliśmy czegoś podobnego” i że była to „chora i bestialska zbrodnia”. Dało się słyszeć spekulacje o tym, kto mógł się tego dopuścić. Większość przychyliła się do zdania, że chodziło o zemstę i że zdarzenie w jakiś sposób wiązało się ze sprawą Mai. Nawet podczas lunchu w biurze zabójstwo stanowiło jedyny temat rozmów; wkrótce sprzykrzyły mi się pytania o to, kogo podejrzewam.

Synne była wzburzona.

– Jeśli to zemsta z powodu Mai, to jest to jakaś groteska – powtarzała raz po raz. – Przecież Mo został uniewinniony.

Nie skomentowałem tego.

Rok miał się ku końcowi. W tym mieście oznaczało to niekończącą się falę niskiego ciśnienia z zachodu, od morza, przerywaną od czasu do czasu przez parę zimnych, ale słonecznych

dni, gdy góry wokół nas szarzały i czerniały, z najwyższymi szczytami obsypanymi cienką warstwą białego pudru, powietrze zaś było tak klarowne, że jeśli tylko wspiąłeś się dość wysoko, mogłeś widzieć horyzont. Z reguły jednak ludzie kulili się na deszczu i wietrze, a w rynsztokach leżały połamane i zniszczone parasole, jak szkielety na trasie karawany.

Było ciemno, kiedy szedłem do pracy, i ciemno, kiedy z niej wracałem. Wieczorami siedzieliśmy w domu i, zamknięci na świat, paliliśmy w kominku.

Pewnego dnia wziąłem udział w jednym z tych spotkań, podczas których adwokaci mówią i mówią, a klienci sobie wymyślają. Trzy godziny jałowej kłótni bez rezultatu.

Kiedy później wszedłem do biura, recepcjonistka przywołała mnie gestem, nachyliła się i powiedziała cicho:

– Czeka na ciebie jakaś pani. Nie jest umówiona, ale... okropnie płacze. Nie miałam serca jej wyrzucić.

Zerknąłem na kanapę dla klientów. Z jakiegoś powodu nie byłem zdziwiony, gdy zobaczyłem spoglądającą na mnie zapuchniętą i mokrą od łez twarz Irene Godvik.

– Kawy? – zagadnąłem, kiedy zajęła miejsce w moim gabinecie. Bez słowa potrząsnęła głową. – Proszę dać mi kilka minut. Ja potrzebuję się napić. Niech się pani rozgości.

Wróciłem do recepcji, zrobiłem sobie filiżankę kawy i zaczekałem, aż recepcjonistka skończy rozmawiać przez telefon.

– Mówiła może, o co chodzi?

– Nie, powiedziała tylko, że to ważne. Pytałam, jednak chciała koniecznie rozmawiać z tobą. Próbowałam ją umówić na konkretną godzinę, ale...

Odparłem, że wszystko w porządku, i wróciłem do Irene Godvik.

Uspokoiła się. Siedziała wyprostowana na krześle, ze złączonymi nogami i rękami splecionymi na podolku tak mocno, że zbieleły jej kostki. Miała opuchnięte i zaczerwienione oczy.

– Przepraszam – wyrzuciła z siebie, nim zdążyłem otworzyć usta.

– Wiem, że powinnam była zarezerwować termin czy coś w tym stylu, ale...

– To bez znaczenia.

Skinęła głową i wyglądało na to, że chce kontynuować, lecz nagle znowu zamilkła. Po chwili spytałem:

– W czym problem? Dlaczego pani tu przyszła?

– Chodzi o Hansa.

– Tak?

– Został aresztowany. Przyjechała policja i go zabrała.

– Dlaczego? – zdziwiłem się, po czym nagle mnie to uderzyło: – Chyba nie za zabójstwo Alvina Mo? Myślą, że to pani mąż go zabił?

Przytaknęła i znów popłynęły łzy.

Pozwoliłem jej płakać i się zamyśliłem. Na dobrą sprawę było to logiczne. Jeśli ktoś miał motyw, to na pewno Hans Godvik. Już pierwszego dnia musiał znaleźć się pod lupą. Nie wiedziałem, dlaczego sam na to nie wpadłem.

– Pani Godvik – odezwałem się. – Niech się pani spróbuje uspokoić... Musimy porozmawiać.

Po chwili trochę się opanowała, spazmy stały się rzadsze i robiła długie, drżące wdechy.

– Przepraszam. Wiem, że to głupie, ale tyle tego wszystkiego...

– Nic nie szkodzi. Kiedy go zabrano?

– Rano. Zadzwonili do drzwi... Wczesnym rankiem... Sama nie wiem, może koło siódmej. Spaliśmy.

– I jest pani pewna, że chodziło o zabójstwo Alvina Mo?



– Tak, mieli ze sobą... dokument, który to stwierdzał.

– Nakaz zatrzymania?

Przytaknęła.

– Tak, właśnie.

– Okej. – Zawahałem się lekko. – Co... co pani zdaniem powinienem zrobić?

Spojrzała na mnie zdumiona.

– Hans ma przecież prawo do adwokata, do obrońcy?

– Oczywiście, ale...

– Chcę, żeby to pan go bronił.

– Proszę mnie posłuchać, pani Godvik, nie sądzę, by on chciał...

Broniłem Alvina...

Stanowczo potrząsnęła głową.

– Nie znamy nikogo innego. A Hans powiedział... Powiedział, że chyba zwariował, kiedy to pana obwiniał za to, co się stało... Że pan tylko wykonywał swoją pracę. Że... że to Alvin Mo...

– Tak?

– Że to Mo zasługiwał na śmierć.

Zacząłem odczuwać lekki ból w okolicach czoła, byłem zmęczony i nie w formie. Pamiętałem noc, kiedy Hans Godvik stał w mojej sypialni, pamiętałem lęk, agresję. Nie miałem ochoty przyjmować tego zlecenia. To wszystko wydawało się jedną wielką pomyłką. Uniewinniłem mordercę jego córki, teraz zaś miałem spróbować zrobić to samo dla niego? Nie mogłem sobie przypomnieć żadnych zasad, które by tego zabraniały, była to jednak dziwna sytuacja, z którą nie czułem się dobrze.

Powoli pokręciłem głową.

– Nie uważam, że to dobry pomysł.

Irene Godvik po raz pierwszy spojrzała mi w oczy.

– Jest pan bardzo zdolny, prawda? Jest pan najlepszym prawnikiem, jakiego możemy pozyskać.

– Tak, jestem zdolny, ale nie ja jeden.

– Użył pan swoich zdolności i wiedzy po to, aby uniewinniono mordercę mojej córki. Czy nie sądzi pan... że Hans zasługuje na to samo?

Nie znalazłem na to odpowiedzi.

– Dobrze. Jeśli Hans zechce.

Minęło trochę czasu, zanim udało mi się połączyć z Tobiasem Munkiem.

– Brenne – mruknął. Brzmiało to tak, jakby wycedził moje nazwisko przez zaciśnięte zęby. – Czego pan chce tym razem?

– Hansa Godvika – odparłem.

– Czyżby? O co chodzi?

– Rozumiem, że został aresztowany pod zarzutem morderstwa Alvina Mo?

– I...?

– Siedzę tu z jego żoną. Chce, żebym go reprezentował.

Munk umilkł na chwilę.

– To chyba nie od niej zależy? Nie ma pewności, że on również pana zechce. Na razie mówi, że nie potrzebuje adwokata.

Westchnąłem w duchu.

– Jest tylko jeden sposób, żeby się o tym przekonać. Przyjadę.

Jedynie chrząknął w odpowiedzi, więc dodałem:

– Panie Munk, nie sądzę, by fakt, że oskarżony nie ma adwokata, był panu na rękę. To sprawa o zabójstwo.

– Proszę do mnie zadzwonić, gdy już pan tu dotrze, Brenne.

Przywitał mnie uściskiem dłoni. Podejrzewałem, że za mną nie

przepada, ale zachowywał się poprawnie: niemal podręcznikowy przykład uprzejmości. Szliśmy korytarzami, nie rozmawiając, aż nagle przystanął.

– Powinienem był się domyślić, że pan przyjedzie.

– Ja? Dlaczego?

– Był pan na miejscu zbrodni. Wiem, że adwokaci polują na głośne sprawy, ale nigdy mi się jeszcze nie zdarzyło, żeby któryś zjawił się już na miejscu zbrodni.

Dotarło do mnie, iż sądzi, że już od pierwszej chwili czyhałem na zlecenie. Otworzyłem usta, by zaprotestować, ale zrezygnowałem. I tak by mi nie uwierzył.

– Wydaje mi się jednak trochę dziwne, że to pan będzie go reprezentował – ciągnął.

– Co pan przez to rozumie?

– No, cóż... – Wykonał niepewny ruch ręką. – Bronił pan również Alvina Mo.

– Myśli pan, że coś stoi na przeszkodzie temu, bym reprezentował Hansa Godvika? Że występuje tu konflikt interesów?

– Sam nie wiem, ale to wszystko jest trochę...

Przerwałem mu:

– Mo nie żyje. Nie ma żadnego konfliktu.

Zatrzymał się przed jakimiś drzwiami.

– Czy chce pan zostać sam ze swoim klientem, panie Brenne? Siedzi z nim strażnik.

– Tak, dziękuję.

Weszliśmy.

– Panie Godvik, jest tu mecenas Brenne – powiedział Munk. – Zostawię was samych.

Hans Godvik nawet nie podniósł wzroku.

– Nie potrzebuję adwokata. Nic nie zrobiłem. – Jego głos był ochryply, niedbale wymawiał słowa.

Zanim zdążyłem odpowiedzieć, odezwał się Tobias Munk.

– To poważna sprawa, panie Godvik. Zdecydowanie doradzamy panu zatrudnienie obrońcy. Sami też to preferujemy. A... mecenas Brenne jest dobrym fachowcem.

Zerknąłem na niego zdumiony, ale nie odwzajemnił spojrzenia.

– Czekamy naprzeciwno, Brenne. Proszę wpaść do mnie na słowo.

Hans Godvik się zmienił. Na sali sądowej wyglądał na zmęczonego, miał twarz pooraną zmarszczkami smutku, był jednak zadbany i opanowany, ze świeżo przyciętymi ciemnymi włosami. Mocno zbudowany, muskularny. Tego wieczoru, gdy się do nas włamał, właściwie mu się nie przyglądałem.

Teraz zaś jakby się rozsypał. Jego twarz stała się ciężka i nabrzmiała, ciało się rozlało; nad pasem ciężko wisiał brzuch, którego wcześniej nie było. Miał na sobie brudne dżinsy, a niebieską bluzę pokrywały plamy. W jego długich, zaniedbanych włosach pojawiły się siwe pasma.

Jakiś czas siedzieliśmy w ciszy. Po wszystkim, co się wydarzyło, było między nami napięcie, tak jakby pokój wypełniały nierozwiązane konflikty i milczące oskarżenia.

– Nie wiem, czy życzy pan sobie mnie tutaj widzieć po tym, co zaszło – zacząłem ostrożnie.

Minęła dobra chwila, zanim mruknął:

– To bez znaczenia.

– Nieprawda. – Pochyliłem się i spróbowałem pochwycić jego wzrok. – To poważna sprawa. Bez względu na to, co się stało, musi mi pan zaufać. Musi pan wierzyć, że będę do pańskiej dyspozycji, że

będę robił to, co uznam za najlepsze dla pana; proszę też, aby postępował pan tak, jak powiem. W tej grze jestem profesjonalistą. Pan za to jest amatorem.

– Nie zrobiłem nic złego.

– To nie gra roli. Chce pan skorzystać z mojej pomocy czy nie? Jest wielu innych zdolnych adwokatów.

Po raz pierwszy podniósł głowę i spojrzał na mnie.

– Nie, w porządku. Skoro pan już tu jest.

Poczułem jego oddech, stęchłą woń pijaństwa. Oczy były nabiegłe krwią, a dykcja niewyraźna.

– Pierwsze pytanie: jest pan trzeźwy?

Wzruszenie ramion.

– Pił pan wczoraj wieczorem? I w nocy?

– Tak.

– Dużo?

– Sporo. Zasnąłem na kanapie.

– Od dawna pan to robi? To znaczy upija się do nieprzytomności?

Lekko skinął głową.

– Jak się pan czuje?

– Nie za dobrze.

– W porządku. Dzisiaj nie będzie zatem przesłuchania. Musi pan wytrzeźwieć do jutra. Postaram się o to, żeby dostał pan środki uspokajające, które złagodzą najgorsze objawy abstynencji.

– Ale... ja nic nie zrobiłem. Czy nie możemy po prostu przez to przebrnąć, żeby pozwolili mi iść do domu?

– Nie. Chciałbym, żeby był pan w pełni przytomny. To wszystko nie będzie wcale takie łatwe. Może i nic pan nie zrobił, ale zaręczam, że policja ma przeciw panu dowody. W przeciwnym razie by pan tu nie siedział. Przekażę śledczym wiadomość. Przyjdę tu

wieczorem i wtedy porozmawiamy.

Zastałem Munka wraz ze śledczym w gabinecie naprzeciw korytarza.

– I jak, chce skorzystać z pańskiej pomocy? – spytał Munk.

– Tak. Ale dzisiaj nie będzie przesłuchania.

– Co? Dlaczego nie? – wtrącił się śledczy. Wyglądał na zirytowanego i urażonego.

– Mój klient jest nietrzeźwy. W najlepszym wypadku ma potężnego kaca po długim okresie picia. Chcę, by na przesłuchaniu był w pełni przytomny i uważał. Proszę zadbać o to, aby dostał leki podtrzymujące abstynencję.

Munkowi się to nie spodobało.

– Ale jeśli jutro ma się rozstrzygnąć, czy zostanie zatrzymany w areszcie, to powinniśmy go przesłuchać...

– Proszę posłuchać, panie Munk. Możemy zaakceptować tylko sytuację, w której taka decyzja zostanie podjęta nie wcześniej niż pojutrze. Obiecuję, że nie będę się starał nic komplikować. Ale nie mogę dopuścić do decyzji o zatrzymaniu w areszcie, dopóki nie będzie to wskazane.

Munk wiedział, że nic nie wskóra, i pogodził się z tym. Wzruszył ramionami.

– Okej. Zaczynamy jutro o dziewiątej.

## Rozdział 24

Hans Godvik nie wyglądał lepiej niż poprzednio, ale Irene przyniosła mu czyste ubrania, a jego głos stał się pewniejszy i bardziej wyraźny. Tego samego wieczoru odwiedziłem go w areszcie śledczym, ale nie udało mi się z niego wydobyć zbyt wiele, wyjąwszy fakt, że raz po raz powtarzał, iż niczego nie zrobił.

Śledczy wyglądali na czujnych i pewnych siebie. Najmłodszy nazywał się Hamre. On także miał na sobie garnitur, białą koszulę i krawat. Jego jasne włosy wyglądały na świeżo przycięte. Nilsen był starszy, prawie w moim wieku. Niemalże łysy, ubrany swobodnie, często się uśmiechał. Przesłuchanie prowadził Hamre: precyzyjny i bezpośredni. Pisał na klawiaturze szybciej niż policjanci, których dotąd spotkałem.

Przez myśl przebiegły mi wszystkie te nieznośne przesłuchania, w trakcie których gliniarze stukali na klawiaturze dwoma palcami. To musiało być nowe pokolenie.

Zaczęli od pytań o przeszłość Hansa Godvika. Zawsze tak jest. Słuchałem jednym uchem odpowiedzi Godvika, udzielanych cichym, monotonnym głosem.

Nie ma nic nudniejszego, niż być obrońcą na policyjnym przesłuchaniu. Obrońca nie pełni tam właściwie żadnej funkcji poza czuwaniem, czy prawa jego klienta nie zostają naruszone. To zaś zdarza się rzadko lub nigdy, przynajmniej nie w obecności

adwokata – który zostaje wskutek tego zredukowany do roli biernego słuchacza. Łatwo jest wtedy zdekoncentrować się, myśleć o innych sprawach. A to bywa niebezpieczne, bo w toku każdego przesłuchania następuje moment rozstrzygający, kiedy śledczy wyklada karty na stół i mądrze jest go wtedy posłuchać.

– Obawiam się, że musimy porozmawiać o Mai – powiedział Hamre. – Zdaję sobie sprawę, że to dla pana bolesny temat, ale poruszenie go jest niezbędne. – Nie sprawiał wrażenia, jakby miało to dla niego jakiejkolwiek znaczenie.

Hans Godvik milczał. Hamre zrobił przegląd faktów, a Godvik odpowiadał monosylabami.

– Co pan czuł, kiedy pańska córka została zabita w tak straszliwy sposób?

To zdanie wyrwało mnie z otępienia. Nie mogłem uwierzyć własnym uszom.

– To... Pan jest chyba niepoważny! Co czuł? A jak pan, do cholery, myśli, co mógł czuć?!

Hamre był nieugięty, jedynie lekka czerwień, która rozlała się na jego szyi, zdradzała, że mój wtręt nie przypadł mu do gustu.

– W porządku, mogę inaczej sformułować pytanie. Czy odczuwał pan agresję w stosunku do sprawcy?

Potrząsnąłem głową.

– To niemal równie głupie, Hamre.

Nie zaszczycił mnie spojrzeniem.

– Czy może pan odpowiedzieć na pytanie, panie Godvik?

– Oczywiście, że czułem agresję.

– A... a kto pańskim zdaniem był sprawcą zbrodni?

– Alvin Mo, rzecz jasna. Aresztowano go i postawiono przed sądem.



– Po czym uniewinniono.

– Tak.

– Czy po uniewinnieniu... wciąż pan uważał, że to Alvin Mo zabił pańską córkę?

– To będą czyste domysły, Hamre – przerwałem, ale nikt nie zwrócił na mnie uwagi, tak jakby obaj wiedzieli, że trafili wreszcie na coś ważnego i że muszą przez to przejść.

– Tak – odparł Hans Godvik. – Wciąż uważałem, że to sprawka Mo. I nadal tak twierdzę.

– I... – ciągnął cicho Hamre – ...co pan czuł wobec Mo?

– Nienawidziłem go. Bardziej, niż mogę opisać.

– Chciał pan go zabić?

– Tak.

– Myślał pan, żeby to zrobić?

– Tak. Dniem i nocą.

W pomieszczeniu zapadła absolutna cisza. Wszystko, cała sprawa, chwiała się, balansowało między prawdą a kłamstwem, winą a jej brakiem i nie miałem pojęcia, na którą stronę padnie. Hamre wbijał wzrok w Hansa Godvika; następne pytanie zadał niemal szeptem, tak jakby bał się zburzyć tę równowagę.

– I zabił go pan? Zabił pan Alvina Mo?

Wstrzymałem oddech, nawet o tym nie wiedząc. Nilsen siedział jak posąg. Milczenie rozlało się w pokoju i okryło nas jak peleryna.

– Chciałbym. Ale nie ja to zrobiłem.

Odetchnąłem.

– Jednak cieszę się, że nie żyje – dodał Hans Godvik. Nagle ukrył twarz w dłoniach, a chociaż z gardła nie wydobył się żaden dźwięk, jego ramiona zaczęły się trząść.

– Przerwa – powiedziałem, wstając.

Potem nastąpił powrót do nudy. Hamre krążył wokół jednego tematu, a Hans Godvik potrząsał głową i nieustannie zaprzeczał. Nie pamiętał, co robił w nocy, kiedy zamordowano Mo, i chociaż Hamre próbował zbliżyć się do problemu ze wszystkich możliwych stron, jasne było, że nic z tego nie wyjdzie. Mimo to nabrałem dla niego szacunku. W ciągu paru minut udało mu się stworzyć w pokoju coś magicznego, oko cyklonu, w którym było cicho i istniał kontakt między przesłuchującym a przesłuchiwanym – kontakt nieomal telepatyczny, wykluczający wszystko i wszystkich poza nimi dwoma. Pomyślałem, że właśnie w takich chwilach w sprawach karnych dokonuje się przełom i że bardzo nieliczni policjanci mają takie zdolności.

Nic się już nie zdarzyło, wyjąwszy sam koniec dnia. Byłem wtedy nieomal sparaliżowany z nudów. Nawet Hamre wydawał się zmęczony. Z ust Nilsena już od kilku godzin nie padło żadne słowo. Miał taki wyraz oczu, jakby znajdował się tysiące mil dalej.

– Wie pan, gdzie mieszkał Alvin Mo?

W głosie Hamrego było coś, co sprawiło, że wyprostowałem się i zacząłem nasłuchiwać. Po raz pierwszy Hans Godvik wyglądał niepewnie.

– Nie – odparł, ale odpowiedź poprzedziło wahanie.

– Nie? A nie miał pan ochoty go odwiedzić? Sam pan przyznał, że pragnął go pan zabić.

Cisza.

– Jaki ma pan samochód?

– Renault.

– Laguna kombi?

– Tak.

– Zielony metalik?

– Tak.

Przerwa. Hamre przerzucił kilka kartek na biurku, znalazł to, czego szukał, i podniósł wzrok.

– Czy parkował pan na ulicy przed mieszkaniem Mo?

– Kiedy? – Nie zapytał nawet, gdzie tamten mieszkał.

– Wielokrotnie.

– Nie.

Widziałem, że czuje się niezręcznie.

– Hmm. Mamy kilku świadków, którzy twierdzą, że widzieli samochód podobny do pańskiego, zaparkowany nocami na ulicy, gdzie mieszka Mo. Mieszkał.

– Aha.

– Był pan tam?

– Nie.

Hamre uniósł wzrok.

– Myślę, że pan kłamie. Wielu świadków podało całkiem dokładny opis siedzącego w samochodzie mężczyzny. Opis ten pasuje do pana.

Hans Godvik zaniemówił. Zrozumiałem, że to właśnie mają. Hamre wyłożył swoje karty i nie były one wcale takie kiepskie. Godvik miał najlepszy motyw na świecie. Na razie nie dysponował też żadnym alibi, a świadkowie wykazali jego pobyt w miejscu zamieszkania Mo, noc w noc, przed morderstwem.

Hans Godvik miał problem, ja zaś – sprawę do rozwiązania.

Hamre wyprostował się na krześle.

– Ostatnia rzecz. Powiedział pan, że jest właścicielem domku, w którym spędzał ostatnio wiele czasu.

– To prawda.

– Czy byłby pan skłonny narysować mapę, abyśmy mogli

sprawdzić to miejsce?

Nie szło mu zbyt dobrze. Kiedy skończył, rysunek wyglądał, jakby wyszedł spod ręki dziecka – jak obrazek, który dumni rodzice wieszają na lodówce. Hamre jednak robił wrażenie zadowolonego.

– Dotrzemy tam, a to najważniejsze – oznajmił. – A teraz dość już na dzisiaj.

– Zostanie aresztowany?

– To już zależy od policyjnego prawnika, Brenne. Niemniej tak właśnie sędzę.

Ja też tak sądziłem.

## Rozdział 25

Po raz czwarty czytałem leżące przede mną kartki, ale mój niewidzący wzrok po prostu zjeżdżał w dół strony. Wiedziałem, co tam znajdę.

Poprzedniego dnia byliśmy w sądzie śledczym. Hans Godvik siedział w niemym zakłopotaniu, zaskoczony swoją rolą w cyrku dziennikarzy, fleszy i prawników: samotny człowiek na wzburzonym morzu. Zdawało się, że nie rozumie, co się wokół niego dzieje. Robiłem, co mogłem, wiedziałem jednak, że to nic nie da. Aresztowano go na cztery tygodnie z zakazem korespondencji i odwiedzin. Nazajutrz wysłałem odwołanie do sądu drugiej instancji, bez specjalnej nadziei, że coś wskóram. Teraz policja dostarczyła mi odpowiedź na odwołanie – i nie było już żadnych wątpliwości: Hans Godvik miał pozostać w areszcie śledczym. I to długo.

Na dobrą sprawę aż do obecnej chwili nie wierzyłem, że sprawa Hansa Godvika w istocie jest sprawą o zabójstwo, która przebędzie całą drogę aż do sądu. Teraz jednak, przeczytawszy odpowiedź oraz załączone raporty, pojąłem, że tak może się stać. Ta sprawa nie zniknie sama z siebie.

Dostać naprawdę dużą sprawę karną to specyficzne uczucie. Powoduje to przyływ adrenaliny. O to właśnie chodzi w pracy adwokata, dla tego się żyje. Wielkie wyzwania, dramatyczne chwile

w blasku reflektorów. Za każdym razem przeszywa mnie dreszcz napięcia i oczekiwania i za każdym razem, gdy oczekiwanie się kończy, zastępuje je rodzaj przesyty: ciężar i zmęczenie rozplywające się po ciele aż po koniuszki palców. Przypomina to początek depresji. Znużenie zastępuje ekscytację, tak jakby organizm z wyprzedzeniem poddawał się wszystkim dokumentom, które należy przeczytać, wszystkim godzinom i późnym wieczorom, których trzeba, by się przygotować, oraz, co najważniejsze, próbie sił fizycznych i mentalnych, jaką jest trudna rozprawa. Wiedziałem, że muszę odwiedzić Hansa Godvika, lecz nie miałem na to ochoty.

Wciąż siedział w areszcie w piwnicy posterunku policji. Winda jak zwykle długo jechała na dół. To tylko jedno piętro, ale zjazd tutaj trwa całą wieczność, tak jakby winda zabierała ludzi do wnętrza Ziemi. Unoszący się w areszcie zapach środków czystości, potu i wymiocin był mi znany, lecz przykry. Podobnie dźwięki: ciche mamrotanie, jakieś wołania, dzwonki telefonów w świecie betonowych ścian i stalowych drzwi. Nowo osadzeni w areszcie źle śpią, ponieważ mają problemy z przyzwyczajeniem się do nieprzerwanego zgiełku. W nocy nadal panuje hałas, często nawet większy niż za dnia. To wtedy przywożeni są alkoholicy i to wtedy abstynencja staje się nieznośna dla narkomanów, którzy nagle muszą obejść się bez dziennej dawki.

Teraz był wczesny wieczór i panował względny spokój. Znalazłem jednego ze strażników i spytałem go o Hansa Godvika.

- Miewa się dobrze – zapewnił. – Wydaje się spokojny.
- Zaglądał do niego lekarz?
- Tak, wczoraj wieczorem.
- I?

Wzruszenie ramion.

– Nic mu nie dolega. Dostał jakieś tabletki na uspokojenie. Sala widzeń jest wolna.

Przyjąłem kubek cierpkiej, gorącej kawy, spróbowałem pociągnąć łyk, kiedy czekałem, i sparzyłem się w język.

Sala widzeń w areszcie śledczym to najmniejszy pokój na świecie. Jej powierzchnia nie przekracza trzech metrów kwadratowych i znajdują się w niej: stolik, dwa plastikowe krzesła oraz przepełniona popielniczka. Ściany są betonowe, pomalowane na żółto. W pomieszczeniu nie ma okien, tylko matowa szybka na szczycie jednej ze ścian, za którą, jak w przyciemnionym akwarium, poruszają się niewyraźne cienie. Nie da się rozróżnić szczegółów, wiem jednak, że są to buty ludzi idących chodnikiem. Chodnikiem w innym świecie.

Hans Godvik wyglądał mniej więcej tak jak poprzedniego dnia, wciąż poszarzały i z napiętymi rysami, teraz jednak miał iskrę życia w oczach.

Gdy usiadł po skosie naprzeciw mnie, owionęła mnie kwaśna woń. Miał na sobie te same ubrania co zeszłego dnia.

– Czy... apelacja została już rozpatrzona?

– Odwołanie. To się nazywa odwołanie.

– Tak. Czy już coś wiadomo?

– Tak. Pozostanie pan tutaj. Co najmniej cztery tygodnie, a przypuszczalnie dłużej.

Jego ramiona nieco opadły i potrząsnął powoli głową.

– To jest... to całkiem bez sensu. Czy niczego nie może pan zrobić?

– Panie Godvik – powiedziałem – wczoraj wydawał się pan... naprawdę nieobecny. Sprawiał pan takie wrażenie, jakby to, co

mówiono, nie całkiem do pana docierało. Tak jakby nie w pełni zdawał pan sobie sprawę z tego, co się dzieje. Czy dzisiaj lepiej się pan czuje?

Hans Godvik przytaknął i przetarł oczy ręką.

– Wiem. Byłem... Sam nie wiem... Byłem trochę zamyślony. Dostałem jakieś tabletki od lekarza. Już mi lepiej.

– Więc jest pan w stanie mnie słuchać i zrozumie pan to, co powiem?

Ponownie skinął głową.

– Tak. O co chodzi?

Wszystko mu opowiedziałem. Powiedziałem mu, że policja przeszukała jego samochód, mieszkanie i domek. Powiedziałem mu, że w piwnicy pod jego domem znaleziono rolkę taśmy, szarej taśmy pakowej, urwanej w taki sposób, że zdaniem śledczych pasowała do taśmy, którą spętano Alvina Mo. Oraz że rolka leżała w zielonej torbie sportowej. Po wewnętrznej stronie torby odkryto plamę krwi. Grupa krwi zgadzała się z krwią Alvina, ale nie otrzymano jeszcze wyników testu DNA. W domku z kolei znaleziono kartkę, na której wielkimi literami wypisane było imię i nazwisko Mo oraz jego adres. Wyżej nakreślono duży czarny krzyż. Powiedziałem mu, że sprawa nie przedstawia się zbyt dobrze.

Mówiąc, przez cały czas obserwowałem go wzrokiem jastrzębia. Analizowałem każdy, najmniejszy nawet skurcz na jego twarzy, każdy wyraz oczu, każdy ruch rąk. Nogi, stopy, postawę ciała. A jednak dostrzegałem wyłącznie zdumienie i zmieszanie, gdy słowa przebrzmiewały, a ich znaczenie stawało się dla niego jasne. Wyglądał, jakby nic nie pojmował, jak małe dziecko, któremu tłumaczy się coś, co daleko wykracza poza sferę jego doświadczeń.

– Rolka taśmy? Na pewno taką mam – przyznał. – Ale nie



przypominam sobie żadnej zielonej torby... Musiałaby to być jakaś stara, której nigdy nie używamy. – W jego oczach nie było śladu zmartwienia, śladu niepokoju.

– A kartka z adresem Alvina Mo?

– Tę miałem. To prawda, że go obserwowałem.

– Spodziewałem się tego. Ale ten krzyż... Czarny krzyż nad jego nazwiskiem... Czy to pan go narysował?

Wzruszył ramionami.

– Nie wiem. Może i tak. Nie pamiętam, ale to musiałem być ja. – Kolejne wzruszenie ramion. – Sporo piłem.

Uderzyło mnie, że Hans Godvik nie jest przebiegłym mężczyzną. Widziałem go dotąd kilka razy: w sądzie, w moim domu ze strzelbą w rękach, następnie w kuchni i na przesłuchaniu. Był człowiekiem łatwym do odczytania. Nie ukrywał swoich uczuć; wściekłość, rozpacz i bezsilność odzwierciedlały się na jego twarzy.

Minęło już wiele czasu, odkąd odczytałem się spekulacji, czy moi klienci są winni, czy też nie, i dawno stwierdziłem, że zwykle nie da się odczytać ludzi w ten sposób. Tym razem było inaczej. Nagle zrozumiałem, że wierzę w Hansa Godvika. Wierzyłem w jego niewinność. Wiara ta nie była podparta żadną racjonalną analizą ani logiczną dedukcją, tylko przeczuciem i silną intuicją. Byłem przeświadczony, że to nie on zabił Alvina Mo.

– Co... co to wszystko znaczy? – zapytał.

– To znaczy, że mamy problem – odparłem. – I że dowody przeciwko panu są na tyle silne, że przez jakiś czas pozostanie pan w areszcie śledczym. Zobaczymy, co wykażą testy DNA.

– Dobrze. – Zamilkł na chwilę, po czym dodał: – Ale ja tego nie zrobiłem. Na pewno z czasem to zrozumieją.

– Miejmy taką nadzieję.

– A co z Irene? Może ona... może ona była w domu tej nocy? Chyba mogłaby wyjaśnić, że ja nie...

– Nie, nie było jej. Tamtej nocy przebywała u swojej siostry. Pojechała pociągiem i wróciła dwa dni później.

Siostra, mieszkająca w wiosce położonej dwadzieścia mil dalej w głąb kraju, już to potwierdziła. Policja pracowała szybko.

– O! – Westchnął. – Tak, czasem u niej bywa.

Przez chwilę siedzieliśmy bez słowa.

– Potrzebuję papierosów – oświadczył nagle, a ja wziąłem to za dobry znak. W duchu zaczął już oswajać się z myślą, że posiedzi w areszcie.

– Załatwię je panu.

Tymczasem tylko tyle mogłem dla niego zrobić.

## Rozdział 26

Nieco później tego samego wieczoru Kari przysłuchiwała mi się z lekko zmarszczonym czołem, gdy opowiadałem o sprawie. Przedstawiłem jej dowody od A do Z, ona zaś mi nie przerywała. Kiedy skończyłem, spytała:

– Czyli sprawa nie przedstawia się zbyt dobrze dla Hansa Godvika, prawda?

– Nie.

– A jeśli krew nie należy do Alvina Mo? A taśma... Da się sprawdzić, czy to ta sama?

– Tak. Analizują powierzchwnie przecięcia.

– W porządku. Jeżeli nie jest to ta sama taśma, to policja w zasadzie nie ma dużo, czyż nie?

– Tak, wtedy zostanie im niewiele. Sporo zależy od testów – przyznałem, po czym dodałem: – Mam jednak złe przeczucia.

– Dlaczego? Sądzisz, że to zrobił?

– A ty?

Uśmiechnęła się lekko.

– Nie jestem adwokatem, Mikael. Nie mogę oceniać dowodów i szacować prawdopodobieństwa tak jak ty. Ale... nie, nie wydaje mi się, żeby to był on.

– Dlaczego?

Zmieniła pozycję.

– Cóż, to na pewno głupie, ale pamiętasz tę noc, kiedy tu był? Kiedy wszedł do naszej sypialni ze strzelbą?

– Tak.

– Bardzo dobrze go zapamiętałam. Rzecz w tym, że planował cię zabić, nie? To dlatego tu przyszedł. A jednak nie umiał. Po prostu nie był zdolny do zabójstwa. Mimo całej swojej wściekłości i rozpaczony nie nacisnął spustu. Nie mógł. Nie sędzę, żeby był typem mordercy.

Myślałem o tym przez chwilę.

– No dobrze. Ale mówiłaś mi później, że wstydzisz się tej porażki. Wstydzisz się, że nie potrafił mnie zabić. A Mo... Jeśli Godvik mnie nie znosił, to Alvina Mo musiał nienawidzić stokroć mocniej.

– To prawda. Ale Mo został okaleczony... poddano go torturom, prawda?

Przytaknąłem.

– Właśnie. Mogłabym nawet uwierzyć, że Hans Godvik był w stanie pojechać i zastrzelić Mo. Ale brutalnie go torturować? Człowiek, który nie może zmusić się do strzału? Nie kupuję tego. – Potrząsnęła głową. – Nie. Poznałam go trochę tamtej nocy. Siedziałam z nim potem w kuchni, pamiętam każdy szczegół. Nigdy tego nie zapomnę. Hans Godvik nie jest mordercą.

Posłałem jej uśmiech.

– Właśnie zostałeś świadkiem.

– Co takiego?

– Myślę, że muszę wykorzystać cię jako świadka w sprawie. Musisz opowiedzieć o tej nocy.

– Naprawdę? Poważnie?

– Tak.

– W takim razie niewiele masz materiałów, Mikael.

– Nie mam nic.

Nieco później zapytała:

– A twoim zdaniem jest winny?

– Nie, nie sędzę.

– Dlaczego? Jakie widzisz wyjaśnienie?

– Po prostu w to nie wierzę.

Nie zdobyłem się na wypowiedzenie swoich myśli na głos. Pamiętałem konfrontację z Niną Hagen w klubie nocnym, jej wściekłość i – kiedy powiedziałem jej wprost, że Mo stanowi dla niej zagrożenie – nagle zasłonięcie się i zamyślenie. A także słowa, wypowiedziane dość cicho: „Na to nie mogę pozwolić”.

Kilka tygodni później Alvina zamordowano. Nie uważałem tego za zbieg okoliczności.

Nie mogłem się przemóc, aby go żałować. Jeśli ktoś zasługiwał na śmierć, był to Alvin Mo. A jednak myśl o tym, że to moje kłamstwo wobec Niny Hagen puściło tryby w ruch, że to ja odpowiadam pośrednio za jego śmierć, budziła we mnie niejasny dyskomfort. Tłumaczyłem sobie, że po prostu nie przewidziałem konsekwencji, że zareagowałem pod wpływem wściekłości, wiedziałem jednak, że to nieprawda.

– Nie – powtórzyłem – nie sędzę, że Hans Godvik go zamordował. Boję się jednak, że może zostać skazany.

Minęły dwa tygodnie, nim nadeszły rezultaty testów DNA. Plamy krwi na torbie pochodziły od Alvina Mo. Fragmenty taśmy znalezionej w torbie perfekcyjnie pasowały do tej, którą skrupowano Mo. Miałem nadzieję na inny wynik, ale tak naprawdę nie byłem zdziwiony. W tej sytuacji powinienem pojechać do aresztu i przekazać informacje Hansowi Godvikowi. Na to jednak nie miałem siły.

Wróciłem do domu i zjadłem obiad z Kari. Był to jeden z tych posiłków, podczas których ona mówiła o wszystkim i niczym, ja zaś odpowiadałem monosylabami.

Nieco później tego wieczoru stanęła za mną i zaczęła masować mi ramiona. Przechyliłem się na krześle i zamknąłem oczy. Po chwili oznajmiłem:

– Krew należała do Alvina.

– Mmm – odparła Kari, nie przestając ugniatać moich mięśni. – Podejrzewałam, że o to chodzi. Co zamierzasz teraz zrobić?

– Nie mam zielonego pojęcia.

– Wymyślisz coś, Mikael – zapewniła, podczas gdy jej palce znajdowały każdy czuły punkt moich ramion.

Głos Hansa Godvika w słuchawce był matowy i zmęczony.

– Rozumie pan, co to oznacza? – upewniłem się i nie czekając na odpowiedź, ciągnąłem: – Oznacza to, że ma pan problem. Poważny problem.

– Tak – odparł i zamilkł.

Po chwili spytałem:

– Panie Godvik? Jest pan tam?

– Tak. Nie wiem... Nie rozumiem...

Z biegiem czasu lepiej go poznałem. W niektóre dni zdawało się, że na wszystko się zamyka, tak jakby słowa nie docierały do jego mózgu albo jakbym mówił nieznanym mu, tajemniczym językiem. To był jeden z tych dni.

– Ma pan zły dzień? Porozmawiamy jutro?

– Śniła mi się Maja – wyznał głosem tak cichym, że musiałem wyteńczyć słuch.

– Rozumiem. Przyjdę jutro.

## Rozdział 27

Irene Godvik powinna była zjawić się w moim gabinecie; umówiliśmy się, ale nie przyszła. Nie odbierała również telefonu, dlatego pojechałem do niej po południu. Kiedy wreszcie otworzyła drzwi, jej twarz była opuchnięta, a oczy zaczerwienione, tak jakby nie spała przez wiele dni. Spojrzała na mnie jak na obcego.

– Zapomniała pani o spotkaniu – wyjaśniłem. Nie odezwała się, więc dodałem: – Nie odbierała pani także telefonu. Zacząłem się martwić.

– Proszę wejść.

Odruchowo wyjęła kawę i przygotowała dla mnie filiżankę.

Opowiedziałem jej o wynikach testu DNA, a ona skinęła głową: przeczytała już o tym w gazetach.

– Przepraszam – powiedziałem. – Powinna się pani była o tym dowiedzieć ode mnie, ale tyle mam na głowie... Zdaje sobie pani sprawę, co to znaczy?

– Tak mi się wydaje. – Zagryzła wargę. – Że Hans... że jego sprawa się skomplikowała.

Było to całkiem niezłe podsumowanie.

– Właśnie. Pamięta pani, czy mąż był w domu, gdy wróciła pani od siostry? Co robił, co mówił, jak się zachowywał?

Bezradnie potrząsnęła głową.

– Nie wiem, nie mogę sobie przypomnieć. Wspomnienia z tego

okresu są takie... niewyraźne.

Kiedyś już udzieliła mi podobnej odpowiedzi. Słyszałem to również od Hansa. Wbrew woli poczułem rozdrażnienie.

– Musi pani skończyć z piciem. Tak nie może być dalej. Picie pani nie pomaga, wręcz przeciwnie, tylko pogarsza sprawę.

Naburmuszyła się jak nastolatka.

– Już nie piję. – Zobaczyła moje niedowierzanie. – Nie tyle, ile kiedyś.

Nie widziałem sensu w naciskaniu. Była dorosłą kobietą, a przy tym nie była nawet moją klientką. Próbowałem wypytać ją o męża, uzyskać nieco informacji o jego przeszłości i o nim samym, zrozumieć, jakim jest człowiekiem, ale wciąż rozmawiała ze mną jak z obcym.

– Dobrze pracuje – powiedziała.

– Aha... Ale jakim jest człowiekiem?

– Hans jest... – Zawahała się, próbując dobrać słowa. – Nie ma silnego charakteru.

– To znaczy?

– Kiedy pojawiały się problemy, na przykład konflikt z klientem, Hans mógł się dąsać, ale zawsze to ja musiałam załatwić sprawę. – Przez chwilę siedziała w bezruchu. – Ale jest uprzejmy. Nigdy by nie zabił.

– Zastrzelił psa – przypomniałem.

Popatrzyła na mnie w milczeniu. Wstałem i spytałem, czy mogę skorzystać z toalety, na co się zgodziła. Korytarz był długi i wąski, z czworgiem drzwi, przy czym na żadnych nie wisiała tabliczka.

Otworzyłem pierwsze drzwi i zajrzałem do sypialni z niepościelonym łóżkiem małżeńskim. Widząc drugi pokój, aż się zatrzymałem. Był to pokój Mai, nietknięty, z pościelonym łóżkiem



i szkolnym plecakiem stojącym w jego nogach. Ściany pokrywały plakaty gwiazd muzyki pop i filmowych, których nazwiska słabo znałem. Półki pełne były bibelotów. Na parapecie stały dwie lalki Barbie – wspomnienie niewinnego okresu – na których wyrzucenie Maja się nie zdobyła.

Tym, co sprawiło, że postąpiłem trzy kroki naprzód, było biurko. Przerobiono je na coś, co najtrafniej byłoby nazwać ołtarzem. Na półkach stały rzędy zdjęć Mai, całe ich tuziny. Na blacie, przykrytym białym obrusem, zauważyłem kolorowe zdjęcie uśmiechniętej dziewczyny. Wyglądało na dzieło fotografa. Przed zdjęciem ciągnęły się rzędy okrągłych świeczek.

Podszedłem bliżej. Na stoliku obok piętrzyła się sterta wycinków z gazet. Dojrzałem wśród nich własną twarz i dotarło do mnie, że muszą to być wycinki z notatek prasowych o procesie Alvina Mo.

Wyciągnąłem rękę, by lepiej im się przyjrzeć, ale usłyszałem za sobą jakiś dźwięk i odwróciłem się. W drzwiach stała Irene Godvik i wbijała we mnie wzrok. Była biała na twarzy.

– Co pan tu robi? – rzuciła trzęsącym się głosem.

– Przepraszam, źle poszedłem...

– Proszę wyjść. Nie chcę, żeby pan tu przebywał. Proszę natychmiast stąd wyjść!

Kiedy wróciliśmy do kuchni, unikała mojego spojrzenia. Przechyliłem się nad stołem i powiedziałem:

– Przepraszam, że zabłądziłem. Ale ten pokój... Nie sądzę, żeby to było zdrowe... Musi pani iść dalej. Nie może pani...

Podniosła głowę i spojrzała na mnie, a jej twarz była zacięta, jak zaciśnięta pięść. Jej usta drżały, ale głos okazał się cichy i pewny:

– Nie – wypaliła. – To nie pana sprawa. Niech mi pan nie mówi, jak mam czcić pamięć mojej córki.

– W porządku – odparłem. – Ale może potrzebuje pani pomocy?  
Może powinna pani rozważyć wizytę u psychologa?

Popatrzyła na mnie wrogo.

– Chodzę już do jednego.

Kiedy ją opuszczałem, wciąż była sztywna i nieprzystępna.

## Rozdział 28

Jesień przyszła i znikła, niemal niezauważalnie przechodząc w zimę, co nie przyniosło większej zmiany. Dzień po dniu siąpił ten sam deszcz i pochylaliśmy głowy w podmuchach tego samego przykrego wiatru z zachodu, tęskniąc za wiosną i latem. Tylko dni stawały się coraz krótsze, aż poczułem, że żyję w ciągłym wilgotnym półmroku. Rok umarł i zmartwychwstał. W sprawie Hansa Godvika nie wydarzyło się nic ważnego. Tak jak to zwykle bywa, oczekiwanie zastąpiło krótki okres intensywnej aktywności.

Wreszcie jednak coś nastąpiło. „Oskarża się Hansa Godvika, ur. 03.03.1962 – głosił arkusz, który miałem przed sobą – o naruszenia prawa karnego, paragraf 232, ustęp 1, por. ustęp 2...”.

Był młodszy ode mnie. Zawsze uważałem go za starszego: czy to dlatego, że starzej wyglądał, czy może to ja straciłem realistyczny stosunek do swojego wieku i wyglądu. „...Spowodowanie śmierci innej osoby, kiedy to nocą z 12 na 13 października 2005 roku ze szczególnym okrucieństwem okaleczył Alvina Mo za pomocą dwóch noży, zadając mu mnogie rany cięte ze skutkiem śmiertelnym. Czyn został uznany za okrutny, ponieważ ofierze zadano znaczny ból o charakterze tortury”.

Przypomniałem sobie zdjęcia Mo, to, co mu zrobiono, i zadrzałem. Niewiele dało się zarzucić opisowi zawartemu w akcie oskarżenia. Pod dokumentem, którego przygotowanie powinno zająć całe

miesiące, podpisał się prokurator generalny. Nigdy jeszcze nie zdarzyła mi się sprawa o tak szybkim przebiegu. Spojrzałem na kalendarz. Od morderstwa Alvina Mo minęło nieco ponad dwanaście tygodni.

Wiedziony impulsem wybrałem numer do prokuratury i spytałem o Christera Bondego. Tego samego prokuratora, który uczestniczył w sprawie przeciwko Mo.

– Tu Bonde.

– Cześć, z tej strony Mikael Brenne.

– Witaj. Dostałeś akt oskarżenia?

– Właśnie nad nim siedzę.

– Aha. Wygląda w porządku, nie?

– No tak. Sprawa szybko posuwa się do przodu.

Roześmiał się.

– Czemu nie, Brenne? Przynajmniej raz trafił nam się pewniak. Może pogadałbyś ze swoim klientem i wyciągnął od niego przyznanie się? Jeszcze może liczyć na złagodzenie kary; nie będę się temu sprzeciwiał, chociaż w świetle prawa jest już trochę późno.

– On twierdzi, że tego nie zrobił.

Nowy wybuch śmiechu.

– Daj spokój, Mikael, pomów z nim. Czy do twoich zadań nie należy przypadkiem uświadamianie klientowi, jakie są realia?

– Nie wiem... Nie mam wcale pewności, że to on jest sprawcą.

W słuchawce na chwilę zrobiło się cicho. Gdy Bonde znów się odezwał, w jego głosie brzmiała nieczęsta ostra nuta.

– Żarty sobie stroisz, Mikael. Czasami zastanawiam się, czy sukces nie uderzył ci do głowy. *Get real!* Udało ci się z Mo, ale ten tutaj zostanie skazany. Żadnych więcej sztuczek, żadnych bomb w ostatniej chwili. Ten proces ma przebiegać wedle wszelkich

reguł. Tym razem nie dam ci się podejść, do licha ciężkiego.

– To nie była żadna sztuczka, Christer, tylko świadek.

– Zapamiętaj sobie, co powiedziałem. I jeszcze jedno: kontaktowałem się już z sądem w sprawie wyznaczenia terminu rozprawy. Mają wolny termin za osiem tygodni.

– Chyba żartujesz – obruszyłem się. – To sprawa o zabójstwo. Potrzeba nam czasu, żeby...

– Śledztwo jest już zakończone, Mikael. Masz więcej czasu, niż trzeba. Widzimy się w sądzie.

Odłożywszy słuchawkę, siedziałem zatopiony w myślach. Zawsze go lubiłem, był zdolnym oskarżycielem i sympatycznym człowiekiem, więc zastanawiałem się, skąd w nim nagle tyle agresji. Nie spodobała mu się przegrana w sprawie Alvina Mo, ale koniec końców wszyscy czasem przegrywają. Jeśli ktoś z tym sobie nie radzi, to nie ma czego szukać w naszej branży. Po raz pierwszy uderzyło mnie, że jako adwokat wyrobiłem sobie już markę i że ceną tego mogła być między innymi zazdrość środowiska. Nie podobało mi się to specjalnie, pomyślałem jednak, że pewnie będę musiał do tego przywyknąć. Potem przyszło mi do głowy, że osiem tygodni to wcale nie za dużo czasu, ja zaś nie znalazłem dotąd niczego, co mogłoby uratować Hansa Godvika przed długim pobytem w więzieniu.

Zima trzymała już miasto w garści, pokrywając szczyty gór chłodną bielą. W centrum chodniki były śliskie od lodu, a ulice pełne szarego błota pośniegowego. Poprosiłem Synne do siebie w celu przeanalizowania sprawy Hansa Godvika.

Słuchała, podczas gdy ja opowiadałem. Kiedy skończyłem, potrząsnęła głową, nieco zakłopotana.

– Nie rozumiem. Dla mnie to jasne jak słońce, że Hans Godvik

jest winny. To znaczy... Spójrz tylko na dowody! To chyba najpewniejsza sprawa w historii.

– Być może – odparłem.

– Żadnego „może”! Bądźmy szczerzy, Mikael. Ten człowiek jest winny. Powinniśmy już teraz zalecić mu... nie, usilnie namawiać go, by się przyznał. Uniewinnienie nie wchodzi w rachubę, nie zdołamy...

Powoli, ale stanowczo pokręciłem głową.

– Nie wierzę w jego winę. Staramy się o uniewinnienie.

Przez chwilę siedziała bez słowa, ale jej frustracja była aż nadto czytelna.

– Jak, Mikael? W jaki sposób chcesz sprawić, by go uniewinniono?

– Znajdując innego mordercę. Właściwego mordercę.

– A potrafisz to zrobić?

Opowiedziałem Synne o Ninie Hagen, o moich podejrzeniach, że razem z Mo zaplanowała zabójstwo Mai i że zapewniła mu alibi. Wyznałem jej, że moim zdaniem to Nina Hagen jest morderczynią. Synne słuchała mnie z uwagą, nieco zszokowana. Kiedy umilkłem, potrząsnęła głową.

– Nie przypuszczałam, że... To jakiś obłąd.

– To prawda. Niemniej jednak wydaje mi się, że tak właśnie było.

– Może i tak. – W jej głosie dosłyszałem wahanie.

– Nie przekonałem cię?

– Rozumiem, że Nina Hagen zapewniła Alwinowi Mo alibi w sprawie śmierci Mai.

Przytaknąłem.

– Jeśli to on zabił Maję, to musiała mieć w tym swój udział. Jest zatem współsprawczynią.

– Okej, ale...

– Tak?

– Mogła zeznać na jego korzyść z wielu powodów. Na przykład z miłości. Albo Mo miał na nią haka.

– Nie sądzę. Musieli zaplanować to we dwoje z wyprzedzeniem. Trudno sobie wyobrazić, co mogłoby skłonić kogoś do współuczestnictwa w tak groteskowej zbrodni, jeśli nie...

– Jeśli nie co?

– Jeśli nie chęć współludziału. Pomysł musiał utrafić w jej gusta.

– To brzmi całkiem nieprawdopodobnie.

– Niemniej jednak... W wieku szesnastu lat była podejrzana o podpalenie domu swoich przybranych rodziców ze skutkiem śmiertelnym. Odnoszę wrażenie, że... Nie wydaje mi się, by Nina Hagen była całkiem normalna.

– No dobrze, niewykluczone, że masz rację. Mimo to nie do końca rozumiem, skąd w tobie tyle pewności, że to ona zabiła Mo. Bo niby dlaczego miałyby to robić? Byli... partnerami, jeśli to, co mówisz, jest zgodne z prawdą.

– Bo Alvin Mo miał nierówno pod sufitem. Był nieobliczalny. Gadatliwy. Stanowił dla niej zagrożenie. Pomysł tylko, co powiedział Hansowi Godvikowi w mojej obecności.

– No tak. Ale skąd miałyby o tym wiedzieć? To niezbyt spójna hipoteza.

Musiałem się z tym zgodzić. Hipoteza nie składała się w spójną całość, bo nie zdradziłem Synne, że spotkałem Ninę Hagen, co jej wtedy powiedziałem i jaka odpowiedź padła z jej ust. Nie zdobyłem się na to.

– Po prostu istnieje taka możliwość – odparłem. – I to jedyne, co mamy.

– Ale co zamierzasz z tym zrobić? Nie pojmuję doprawdy, jak chcesz to załatwić.

– Pojadę do Halden.

– Po co?

– Bo stamtąd pochodzi Nina Hagen. Chcę tam z kimś porozmawiać.

– I to pomoże?

– Kto wie? – Wzruszyłem ramionami. – Ale za parę dni mam do załatwienia sprawę w Oslo, stamtąd zaś niedaleko do Halden. Zresztą nic lepszego nie przychodzi mi do głowy.

Pięć minut później zajrzała do gabinetu.

– Czy dla mnie też przewidziana jest rola w tej sprawie, Mikael?

– W sprawie Hansa Godvika? Tak, pewnie. Myślę, że będę cię potrzebował.

Skinęła głową. Widziałem, że aż się pali, by coś dodać.

– O co chodzi, Synne? Chyba chcesz brać w tym udział? Będzie o tym głośno.

– No tak... Chcę... Ale...

– Słucham?

– To nie do końca normalna sprawa, Mikael. A to, co robisz, nie należy do rutynowych zadań adwokata.

Zastanowiłem się.

– Może i nie. Zatem ty zajmiesz się tym, co w niej normalne.

Zgodziła się, ale w jej oczach wciąż widziałem wątpliwości.



## Rozdział 29

Kiedy się przedstawiłem, Anne Lise Garmann przybrała uprzejmie wyczekujący wyraz twarzy, zaprosiła mnie do domu i zaproponowała mi kawę. Siedziała teraz sztywno wyprostowana na samym skraju krzesła, a na jej twarzy malowała się lekka niechęć.

– Nie powinnam z panem rozmawiać – oznajmiła. Mówiła to nie po raz pierwszy. – Byłam zatrudniona w urzędzie do spraw opieki nad nieletnimi przez ponad dwadzieścia pięć lat. Mimo że jestem na emeryturze, wciąż obowiązuje mnie tajemnica.

Westchnąłem.

– Wiem, pani Garmann, ale, jak już wspominałem, przyjechałem do Halden specjalnie w celu odbycia tej rozmowy. Zrozumiałem, że zgodzi się pani ze mną porozmawiać. Mój kontakt w policji powiedział...

– Wiem – odparła – ale nie powinnam...

Byłem zrezygnowany, jednak nie dlatego, że się wahała. Zdążyłem już zamienić z nią parę słów, mimo iż musiałem ciągnąć ją za język i przysięgać na wszystkie świętości, że nie wydam jej jako źródła informacji. Byłem zrezygnowany, bo nie miała mi nic do powiedzenia.

– Z tego, co rozumiem, nie zna pani żadnych konkretów na temat pożaru, w którym zginęli przybrani rodzice Niny Hagen?

Potrząsnęła głową.

– Nie... to tylko przeczucie...

– Dlaczego... Czy wie pani, co było powodem tego przeczucia?

– Nina była... jak by to powiedzieć... zupełnie nieporuszona.

Kiedy miał odbyć się ich pogrzeb, to znaczy pogrzeb jej przybranych rodziców, czy wie pan, o co mnie zapytała?

– Nie.

– Czy musi w nim uczestniczyć. Jej opiekunowie byli dobrymi ludźmi, zajmowali się nią przez trzy lata, a ona nie chciała nawet iść na ich pogrzeb, bo sądziła, że będzie się nudzić! – Pokręciła głową, wciąż oburzona. – Na dobrą sprawę nie powinnam się dziwić – dodała.

– Nie? Dlaczego?

– Ta sama sytuacja miała miejsce, gdy zginęli jej biologiczni rodzice. Żadnej reakcji. Żadnych łez. Nawet śladu uczuć. Początkowo myślałam, że nie dopuszcza do siebie żalu, i próbowałam z nią porozmawiać, pomóc jej się wywnętrzyć, ale...

Czekałam, dając jej czas na dobór właściwych słów.

– W końcu pojęłam, że Nina tak naprawdę nie ma żadnych uczuć. Myślę, że z tą dziewczyną było poważnie coś nie tak.

Przytaknąłam.

– Niektórzy po prostu tacy są.

– To prawda. Miałam wiele dzieci, wiele dzieci pod opieką, i do większości z nich w ten czy inny sposób się przywiązałam. Ale... kiedy Nina Hagen poszła swoją drogą, najzwyczajniej w świecie mi ulżyło.

Przez chwilę siedzieliśmy bez słowa. Nagle kobieta wstała.

– Mam zdjęcie. Niech pan poczeka...

Z szuflady narożnej szafki wyjęła kopertę ze zdjęciami.

Przejrzała je szybko, znalazła to, którego szukała, i podała mi je. Było to zdjęcie młodej dziewczyny, nieco żółtawe, jak to czasem bywa w przypadku starych fotografii.

– Miała wtedy czternaście czy piętnaście lat. Tak mi się wydaje. Wciąż mieszkała w domu zastępczym.

Zdjęcie zrobiono w letni dzień nad morzem. Nina Hagen stała wyprostowana, w kostiumie kąpielowym; miała mokre włosy i ręcznik przerzucony przez ramię. Nie całkiem wyrosnięta: młoda dziewczyna na drodze do kobiecości. Z łatwością odnalazłem w jej twarzy rysy dorosłej kobiety. Sama twarz była chmurna, zamknięta, bez życia.

– Nie wygląda na zadowoloną – zauważyłem.

– Nie. Taka już była.

Zastanowiłem się.

– Czy jest ktoś jeszcze, z kim mógłbym porozmawiać? Ktoś, kto znał ją w tym okresie?

Mina Anne Lise Garmann wyrażała wątpliwość.

– Sama nie wiem... Nie miała żadnych przyjaciółek. Może z bratem? Ma na imię Gustav. Wydaje mi się, że wciąż mieszka tu w okolicy, ale on i Nina nie utrzymywali ze sobą kontaktu.

Podziękowałem jej za spotkanie i po raz kolejny musiałem przyrzec, że zachowam wszystko, co powiedziała, dla siebie.

Na zewnątrz zapadł już zmierzch. W drodze do hotelu otuliłem się płaszczem, marznąc w podmuchach zachodniego wiatru. Wziąłem gorącą kąpiel i wypłem drinka z minibaru, po czym zadzwoniłem do informacji. Gustav Hagen wciąż mieszkał w tym powiecie. Zanotowałem jego adres.

Położyłem się, ale leżałem w mroku, nie mogąc zasnąć. Myślałem o Anne Lise Garmann. Nie uzyskałem od niej żadnych konkretów,

niczego, co mogłoby mi się przydać, a mimo to nie uważałem spotkania za stratę czasu. Wiedziałem teraz trochę więcej o Ninie Hagen, poznałem ją nieco lepiej. Pomyślałem o jej przeistoczeniu: z anonimowej nudziary podczas rozprawy sądowej w seksowną i chłodno pewną siebie kobietę, kiedy spotkałem ją w klubie nocnym. Pomyślałem o wściekłości w jej oczach, gdy ją sprowokowałem, o młodej dziewczynie, która nie płakała po śmierci rodziców, i przeszedł mnie dreszcz, jak zapowiedź zbliżającego się niebezpieczeństwa.

Byłem sam w pokoju hotelowym w nieznanym mi mieście. Na mokrym asfalcie za oknami wyły opony samochodów, słychać było pokrzykiwania młodzieży, trzasnęły drzwiczki. Czułem się samotny, otoczony przez obce dźwięki i obcych ludzi – i minęło sporo czasu, nim zasnąłem.

## Rozdział 30

Chłopak ze stacji benzynowej sprzedał mi mapę, na której narysował kreski, strzałki i krzyżyki, mnie jednak udało się zabłądzić. Brat Niny wciąż mieszkał w tym samym powiecie, ale jego adres składał się z nazwy miejscowości i numeru skrzynki pocztowej. W krajobrazie dominowały skały i pagórki porośnięte gęstym lasem świerkowym. Nie było widać horyzontu, żadnych szczytów mogących stanowić punkt odniesienia, tylko mroczna puszcza i wąskie drogi asfaltowe wijące się po okolicy. Wszystko wyglądało bardzo podobnie.

Kiedy wreszcie uznałem, że dotarłem we właściwe miejsce, zacząłem jeździć w tę i z powrotem po jednym odcinku drogi, bezskutecznie szukając skrzynki pocztowej z nazwiskiem „Hagen”. Na podwórzu przed jednym z domów stał stary mężczyzna i rąbał drewno. Gdy zajechałem przed jego furtkę, odłożył siekierę, brudną chustką otarł pot z czoła i się wyprostował. Wokół niego leżały świeżo porąbane, połyskujące białe szczapy drewna, unosił się zapach żywicy i wiórów.

– Dzień dobry – odezwałem się. – Zgubiłem drogę. A przynajmniej nie znajduję tego, czego szukam.

Mężczyzna nie odpowiedział.

– Szukam domu niejakiego Hageny. Gustava Hageny. Wie pan, gdzie on mieszka?

Mężczyzna splunął na brązowo, ruszył ku mnie, ale mnie ominął. Początkowo wydawało mi się, że odejdzie bez słowa, zatrzymał się jednak przy krawężniku i wskazał coś węzlastym palcem. Spojrzałem we wskazanym kierunku i po drugiej stronie zobaczyłem drogę gruntową, niemalże ukrytą za gęstymi krzakami.

– Tamtędy? To tam mieszka Hagen?

Mężczyzna skinął głową i znów splunął. Podziękowałem i podszedłem do samochodu, ale tamten po raz pierwszy się odezwał:

– Na pana miejscu bym tam nie jechał.

– Nie? A dlaczego?

– Kiepska droga. Tym samochodem pan utknie.

– Mogę tam podejść? Ile się tam idzie?

– Dziesięć minut. Może dłużej – wyjaśnił, a po chwili dodał: – Gustav nie przepada za wizytami. Umówił się pan?

Potrząsnąłem głową, co skwitował wzruszeniem ramion.

– Nie będzie chciał z panem gadać. To odludek, ten Gustav.

– Muszę spróbować.

– Niech pan robi, co chce. Ale pańskiego poprzednika Gustav posłał, gdzie pieprz rośnie. To był jakiś pracownik socjalny czy ktoś taki. Z jakiejś instytucji publicznej. Kiedy zszedł tu z powrotem, był błądy jak ściana.

Spostrzegł moje wahanie.

– Napije się pan kawy? Właśnie nastawiłem wodę.

– Tak – odparłem. – Tak, dziękuję. Czemu nie?

Siedzieliśmy w kuchni, każdy z filiżanką kawy. Między nami zawisł niebieskawy dym z papierosa mężczyzny, jak opary mgły. Tu, w głębi lasu, panowała cisza, niemal nie było ruchu ulicznego.

– Jaki tu spokój – zauważyłem. – Nie ma pan chyba wielu

sąsiadów.

– Paru to ich jest – stwierdził. – Trochę dalej w dół drogi. Ale tutaj mieszka tylko Gustav.

– Dobrze go pan zna?

– Aż nazbyt. Mieszkał tu przez całe życie. Ja zresztą też.

– Często się kontaktujecie?

– Nie.

– Dlaczego?

– Bo Gustav jest stuknięty. Ale jego ojciec, Karl, był jeszcze gorszy.

– To znaczy?

– Pił na umór, awanturował się, łąził po burdelach i trzął całą okolicą. Ludzie bardziej się bali Karla Hageny niż diabła! – Wskazał wzgórze za oknem. – Gustavowi brakuje piątej klepki, ale przynajmniej trzyma się na uboczu. Nie to że chciałbym mieć z nim na pieńku. W żyłach całej rodziny płynie zła krew.

– A co z matką? Z żoną Karla. Jaka ona była?

– Anne? Piła jak chłop i kurwiła się jak marynarz. – Cmoknął z niezadowoleniem. – Nie żeby w ostatnich latach mogła poswawolić. Karl robił na budowie. Kiedy wracał do domu, to bił babę dopóty, dopóki mu nie powiedziała, z kim się gziła pod jego nieobecność. Potem jeździł po okolicy i łoł jej gachów, aż tracili zdrowie. Na koniec nikt nie miał odwagi z nią iść.

– Zginęli, prawda? W wypadku?

Jego palec wskazujący był węzłowaty jak stara gałąź.

– O, tam, tam.

– Na drodze?

– Tak. Zjechali nią od domu, za szybko, i wjechali o, tam. Pijani jak świnie, rzecz jasna, ale ludzie mówili, że coś musiało być nie

tak z hamulcami. Aż się zbudziłem od huku i wybiegłem na dwór w samej koszuli nocnej, ale niczego już nie dało się zrobić. Szczątki samochodu leżały porozwalane w całej okolicy – Zakaszłał: suchy, przykry dźwięk. Zapalił kolejnego papierosa. – Zderzyli się z rozpędzoną ciężarówką z ładunkiem drewna. Wbiła im się w bok. Nie mieli żadnych szans.

Przez chwilę siedzieliśmy obok siebie, dmuchając na gorącą kawę. Nietrudno było sobie wyobrazić tę scenę – huk, dźwięk gnącego się metalu, gdy pewnej nocy przed wieloma laty samochód osobowy z Karlem i Anne Hagenami zderzył się z dwudziestotonową ciężarówką.

– A co z dziećmi?

– Przybiegły zaraz potem. Tak sobie myślę, że widocznie zbudził je hałas. To był dopiero huk. Zbiegły w samych piżamach. Gustav klął, wrzeszczał i próbował dostać się do wraku. Musieliśmy mocno go trzymać, ja i kierowca ciężarówki. A Nina, dziewczynisko, po prostu stała w miejscu, drobna i chuda w koszuli nocnej. Stała z kciukiem w buzi, jak niemowlę, i patrzyła. – Potrzęsnałą głową. – Wciąż to pamiętam. Tak jakby to było wczoraj.

– Co się stało z Niną?

– Zajęły się nią władze. Nie wiem, co z niej wyrosło. Z pewnością nic dobrego.

– Dlaczego?

– Bo wdała się w matkę. Ta sama glina. Dziewucha przyszła raz tutaj, mała, chuderlawa, i zaczęła mi się narzucać. Weszła wprost na podwórze, podniosła sukienkę, a krucha była jak pisklę, po czym oświadczyła, że mogę jej dotknąć za dwadzieścia pięć koron. Wygoniłem ją z powrotem do domu.

– Tym dzieciom nie mogło być dobrze – powiedziałem po pauzie.



– Nie myślał pan o tym, by zadzwonić do urzędu opieki nad nieletnimi?

Jego spojrzenie było zacięte.

– Żeby Karl przyleciał tu z nabitą strzelbą? O, nie, tego bym nie zrobił! – prychnął i zaraz dodał: – To zresztą nie ma znaczenia. Cała rodzina to śmieci.

I tak brzmiała końcowa ocena Hagenów. Zła krew. Śmieci. Byli, czym byli, a sąsiedzi pilnowali własnego nosa. Zastanawiałem się, ile dzieci z norweskich wsi straciło szansę na normalne życie z powodu takiego podejścia otoczenia. Przypuszczałem, że było ich wiele. Wstałem.

– Muszę iść tam, wyżej. Spróbuję, w końcu długo jechałem, żeby z nim porozmawiać.

Spojrzał na mnie z ukosa.

– Weź pan ze sobą butelkę wódki. To jedyne, co może się przydać.

– Nie mam wódki.

– Może pan kupić ode mnie.

## Rozdział 31

Między gęstymi, pokrzywionymi drzewami było bezwietrznie i szybko się zgrzałem. W ręku miałem butelkę taniej whisky. A właściwie pewnie była tania w sklepie monopolowym, ale dla mnie okazała się droższa. Włożyłem ją do kieszeni płaszcza.

Stary miał rację: ciężko by było dostać się tam samochodem. Koleiny były głębokie i nierówne, pełne poluzowanych kamieni i gdzieś tam kałuż pokrytych warstewką lodu. Na drodze leżało bardzo mało śniegu, ale pod drzewami po obu jej stronach biały puch tworzył patchwork. Po chwili z bocze się wyrównało i zauważyłem przed sobą polankę.

Dom okazał się mały i niemalowany. Niektóre szyby zostały wybite; zastąpiono je płytami ze sklejk i deskami. Z tyłu wznosiła się ku niebu ciemna, ciężka sylwetka lasu świerkowego. Przed budynkiem stały stary traktor i trzy samochody. Dwóm z nich brakowało opon; trzeci, pokryty plamami rdzy pickup, wydawał się wciąż zdalny do użycia. Podwórze było zasłane śniegiem, błotem i mnóstwem rupieci. Części maszyn, stare pralki, deski, przerdzewiałe fragmenty blachy falistej. Podmuch wiatru przyniósł ze sobą zapach zgniłych odpadków. Ostrożnie ruszyłem w stronę domu, uważając, gdzie stawiam nogi, nie byłem jednak w połowie drogi, gdy zdążyłem zapaść się po cholewy.

Zatrzymałem się pięć metrów przed drzwiami. Ani śladu życia.

Żadnych dźwięków.

– Halo! – zawołałem. – Jest tu kto?

Zabrzmiało to słabo, chrapliwie. Zawołałem znowu, tym razem głośniej, i czekałem. Już nabrałem powietrza, żeby odezwać się ponownie, kiedy drzwi się otworzyły i na schody wyszedł mężczyzna. Był postawny, miał rozczochrane włosy i zmrużone oczy, tak jakby właśnie się zbudził. Brzuch wisiał mu nad pasem. T-shirt, kiedyś biały, zdążył poszarzeć i pokryć się nieokreślonymi plamami.

– Czego, kurwa, chcesz? – wypalił. Głos był cichy i ochryply, tak jakby nie zwykł go używać.

– Czy to pan jest Gustavem Hagenem?

– A kto pyta?

– Jestem adwokatem – odparłem. – Nazywam się Mikael Brenne. Chętnie bym z panem porozmawiał.

– O czym? – Miał czujne spojrzenie, tak jakby podejrzewał, że zaraz wyciągnę z płaszcza jakiś pozew.

Nie zamierzałem owijać w bawełnę.

– O pańskiej siostrze. Chciałbym uzyskać o niej parę informacji.

Nie odezwał się ani słowem, po prostu okręcił się na pięcie i ruszył z powrotem do domu.

– Proszę zaczekać – powiedziałem. – Chcę tylko...

Odwrócił się do mnie gwałtownie, złapał jakieś narzędzie oparte o schody i zamierzył się. Były to grabie o złamanym trzonku.

– Wypierdalaj z mojego podwórza!

Cofnąłem się o kilka szybkich kroków i uniosłem dłonie. W moich butach zachlupotało.

– Hej, niechże się pan uspokoi.

Wyciągając ramię, zakręcił grabiami, a ja odskoczyłem tak

szybko, jak mogłem, straciłem równowagę na mokrym śniegu i plasnąłem tyłkiem o ziemię. Nad moją głową rozległ się świst.

Wstałem na jedno kolano, czując, jak cienki materiał spodni od garnituru przesiąka wilgocią, uniosłem rękę, aby osłonić się przed nowym ciosem, ale on stał tylko ze wzniesionym ramieniem. Jego twarz poczerwieniała i ściągnęła się w grymasie.

– Proszę mnie posłuchać – odezwałem się spiesźnie. – Chcę tylko porozmawiać. Mam ze sobą... – Złapałem butelkę i pokazałem mu ją jak talizman, ofiarę prześlągalną.

Gapił się na flaszkę, widziałem głód w jego oczach.

– Chcę tylko porozmawiać – powtórzyłem. – Potrzebuję pomocy, informacji. Możemy pogadać przy szklaneczce...

Plotłem, co mi ślina na język przyniosła, ale nie wiedziałem, czy mnie słucha; wlepił oczy w butelkę. Następnie skinął krótko głową, odwrócił się i wszedł do domu. Drzwi zostały otwarte. Przyjąłem to jako zaproszenie i ostrożnie wstąpiłem do środka.

Wewnątrz panował mrok; na tych nielicznych oknach, które ocalały, wisiały zasłony. Nie było tu jednak takiego bałaganu, jak się spodziewałem. Pierwsze piętro składało się najwyraźniej z jednego pokoju. W dalszej jego części strome schody prowadziły, jak się domyśliłem, do sypialni. Meble wyglądały na własnego wyrobu; ciężkie i toporne.

Gustav Hagen wyjął dwa kieliszki, przetarł je szarą szmatą i bez słowa postawił na stole. Nalałem wódki i uniosłem mój kieliszek.

– Na zdrowie – powiedziałem, ale tamten się nie odezwał, po prostu wypił wódkę do dna. Przeszedł go dreszcz, po czym wyciągnął ku mnie kieliszek, wciąż bez słowa. Następna porcja zniknęła w ten sam sposób.

– Pan nie pije – zauważył.

Był środek dnia, gdzieś na dole zaparkowałem samochód, a wódka pachniała cierpko i mdło. Nie miałem ochoty pić, ale pociągnąłem łyk. Odniosłem wrażenie, że Hagen się rozluźnił. Znow napełniłem jego kieliszek, ale tym razem upił tylko trochę.

– O czym chce pan rozmawiać? – zagadnął.

– O pańskiej siostrze, Ninie.

– Nie mam z nią nic do czynienia – odparł sucho.

– Wiem. – Napełniłem kieliszki. Sam zdążyłem już poczuć ciężar wódki w żołądku. – Czy to pan zrobił te meble?

– Nie, to oj... Karl. Dobry był do pracy. Dom. Meble. Wszystko. – Widziałem, że alkohol na niego podziałał, słyszałem to w jego głosie.

– Ale zawsze pan tu mieszkał? Przez całe życie?

– Tak. Wyjąwszy parę lat. Wtedy mieszkałem... gdzie indziej.

– W domu zastępczym.

Spojrzał na mnie z ukosa, znow ocknęła się w nim czujność.

– Skąd pan to wie?

– Trochę poszperałem. Dowiadywałem się. W zasadzie chodziło mi o Ninę. Czy to dla pana problem?

Wzruszył ramionami i wyciągnął kieliszek.

– Dopóki coś jest w butelce, to nie.

Nalałem mu.

– Nina...

– Nie mam z nią nic do czynienia.

– Już pan to mówił. Dlaczego? Jest was tylko dwoje, prawda?

Nie odpowiedział, więc kontynuowałem.

– To znaczy, pańscy rodzice nie żyją. Siostra jest dla pana jedyną żyjącą krewną. To dziwne, że nie utrzymujecie ze sobą kontaktu. Nigdy tu nie bywa? Na dobrą sprawę należy do niej pół tego domu,

czy się mylę?

Teraz zareagował. Poderwał głowę i nie spodobał mi się wyraz jego oczu.

– To dlatego pan tu przyjechał? W sprawie spadku? Pracuje pan dla Niny? Proszę jej przekazać, że jeśli się tu pokaże, to rozwalę jej łeb.

Uniosłem dłonie w łagodzącym geście.

– Nie – zapewniłem. – Nie dlatego tu jestem. Proszę się uspokoić, nie pracuję dla Niny.

Podziałało. Jego wzrok zaczął się trochę rozmywać, oczy nabrały wodnistego wyrazu, typowego dla upojenia wódką. Zastanawiałem się, jak do niego dotrzeć, i postanowiłem nieco mu opowiedzieć.

– Jestem tutaj z powodu pewnej sprawy. Sprawy o zabójstwo. Myślę, że Nina może być w nią zamieszana.

Przez długi czas siedział w milczeniu, po czym nagle rzekł:

– To możliwe. Ona jest zdolna do wszystkiego.

– Dlaczego pan tak sądzi?

I znów milczenie. Napełniłem jego kieliszek i uszczknąłem zawartości swojego.

– Chyba nie było jej tu najlepiej? Ludzie mówią...

– Ludzie mogą gadać. Ale nic nie robią.

– A powinni coś zrobić?

– Mój... Karl był skurwysynem – warknął i nagle jego oczy wypełniły się łzami. W butelce zostało już mniej niż połowa wódki.

– Zwykłym skurwysynem.

– Czy to dlatego? Czy nie był... Źle was traktował? – Zdawałem sobie sprawę, że niezdarnie skleciłem to zdanie, ale to nie stanowiło problemu. Ni stąd, ni zowąd słowa popłynęły z niego jak wodospad, moja rola ograniczyła się zaś do słuchania, wtrącania

tego czy innego pytania i regularnego uzupełniania jego kieliszka.

– Bił nas. Bił nas i bił matkę. I... robił gorsze rzeczy. Wykorzystywał nas. Jakbyśmy byli psami.

– A pańska matka?

– Matka... nie była taka zła pod nieobecność ojca. Nie piła wtedy tak dużo. – Wzruszył ramionami. – A w każdym razie nie tutaj. Jechała na imprezę, nie było jej parę dni, a potem wracała i odsypiała. Zostawaliśmy tu sami. To były najlepsze dni. Ale kiedy Karl wracał do domu... od razu zaczynali pić... a kiedy się już upiła, to nic jej nie obchodziło... nic... co robił... ani on sam... – Głos Gustava Hageny był zachrypnięty.

– Zginęli w wypadku?

Ku mojemu zdziwieniu roześmiał się: śmiech brzmiał, jakby ktoś mu go wydzierał.

– To nie był wypadek. Zabiłem ich. Zabiliśmy ich oboje. Ona na to wpadła. Była na nich tak wkurzona, głównie na niego. To ona wymyśliła. – Nowy łyk. Mówił teraz nieco niespójnie. – Chciała ich ukarać, to był jej pomysł, sam nigdy bym tego nie wymyślił, ale ona miała łeb, ta dziewczucha. A ja znałem się na samochodach, zawsze byłem w tym dobry, mogłem naprawić wszystko, chociaż dla Karla nigdy dość dobrze... nigdy dość...

– Co zrobiliście?

– Zająłem się hamulcami, spuściłem trochę płynu hamulcowego. Wiedzieliśmy, że gdzieś się wybierają, na imprezę czy w inne miejsce, bo siedzieli i pili. Nina powiedziała, że rozbiją się tam na dole, to miał być mały wypadek, tak żeby trafili do szpitala. Na jakiś czas mielibyśmy spokój, spokój od tego skurwysyna, mieli po prostu wylądować w rowie, tam na zakręcie. – Umilkł i zapatrzył się przed siebie pustym wzrokiem. – Nie rozumiem, nigdy nie

zrozumiałem, jakim cudem wyjechali na drogę, a nie zboczyli gdzieś wcześniej. I nadjechała ciężarówka z drewnem.

Nie wiedziałem, co powiedzieć. Po chwili znów się odezwał.

– Nie tak miało być. Był skurwysynem, ale nie chciałem go zabić. No i matki... nie.

Przez chwilę siedzieliśmy w ciszy.

– Zabiliśmy ich – wymamrotał i opróżnił kieliszek. Butelka była niemal pusta, ja zaś czułem mdłości. – Nina... próbowałem z nią o tym rozmawiać, ale nie chciała. Byłem totalnie rozbity, chciałem ją pocieszyć, a ona na to, że powinniśmy się cieszyć, bo wreszcie jesteśmy wolni, że należało im się. – Potrząsnął głową, zdumiony, niezdolny zrozumieć. – Powiedziała, że jeśli się komuś wygadam, powie, że to był mój pomysł i nikt nie uwierzy, że to ona mogła wpaść na coś takiego, bo jest za młoda. Powiedziała, że resztę życia spędzę w więzieniu.

– Ile miał pan wtedy lat?

– Piętnaście. I myślałem o tym odtąd dzień w dzień.

Głowa Gustava Hageny opadła na ramiona złożone na stole. Chciałem coś powiedzieć, ale nie wiedziałem co. Zostawiłem go, przeciąłem podwórko i niepewnym krokiem poszedłem w dół krętą drogą, a mdłości jak kamień ciążyły mi na żołądku.



## Rozdział 32

W mdłym świetle biurowym Synne była blada; widziałem, że moja opowieść nią wstrząsnęła.

– Czy to możliwe, że dzieci dorastają w takich warunkach i że nikt się nie wtrąca? Myślisz, że to prawda?

– Możliwe – odparłem. – Cały czas się to dzieje. Ludzie są zdolni do wszystkiego. Wszystkiego. I tak, moim zdaniem to prawda. Byłem tam, widziałem go i słyszałem. Gustav Hagen nie kłamał.

Westchnęła.

– W porządku. Ale czy to coś wnosi? Czy możemy to jakoś wykorzystać? Nina Hagen była... Ile miała lat w dniu śmierci rodziców?

– Trzydzieści. Była tylko dzieckiem, w dodatku sporo poniżej wieku odpowiedzialności karnej. Nie możemy tego użyć, w każdym razie niebezpośrednio. Nie możemy niczego udowodnić. Gustav nie jest wiarygodnym świadkiem. A jednak trochę nam to pomoże.

– W jaki sposób?

– Więcej wiemy. Wszystko, czym do tej pory dysponowaliśmy, to luźna hipoteza o współudziale Hagen w zabójstwie Mai.

– I Alvina Mo...

– Tak, ale to są jeszcze luźniejsze domysły. Teraz natomiast... teraz, gdy już wiemy... Wprawdzie nie zdobyliśmy nowych dowodów, ale całość wydaje się bardziej wiarygodna. Wiemy już

nico o Ninie Hagen. Źle traktowana i wykorzystywana w dzieciństwie. Przyczyniła się do śmierci rodziców. Mam w głowie obraz, którego nie potrafię się pozbyć. Trzynastoletnia Nina stoi w koszuli nocnej, przyglądając się wrakowi samochodu, w którym tkwią jej martwi rodzice. Bóg jeden wie, jak to mogło na nią wpłynąć. Mnie w każdym razie nie przychodzi do głowy lepszy przepis na zniszczonego człowieka, odmieńca. Mordercę.

– Też to widzę – przyznała Synne. – Okropny obraz. Ale...

– Tak?

– Co dalej?

– Jeszcze nie wiem, choć myślałem o jednej rzeczy. Jeśli mamy rację, to mowa tu o kobiecie, która zabija dla przyjemności. Zabija, ponieważ ma tak spaczoną osobowość, że to lubi.

– I?

– Tylko pomyśl. Zaczęło się od rodziców, gdy miała trzynaście lat. Anne Lise Garmann obawiała się, że dziewczyna odpowiadała też za pożar, w którym zginęli jej przybrani rodzice. Była wtedy szesnastolatką. Tak czy inaczej, minęło wiele lat. Jeśli Nina Hagen czuje żądzę mordu, to nie sądzę, by mogła długo czekać do kolejnej zbrodni.

Synne spojrzała na mnie z powątpiewaniem.

– Taa... Coś mogło się stać... Coś, co wyzwoliło w niej chęć zabicia Mai.

– Masz całkowitą rację, tak mogło być. Ale jeśli mordowała w międzyczasie? Moim zdaniem to całkiem prawdopodobne.

– Tak czy owak nie złapano jej. Co możemy...

– Chcę, żebyśmy... żebyś zajęła się szukaniem. Nina Hagen wiele razy się przeprowadzała. Dwa lata mieszkała w jednym miejscu, trzy lata w drugim. Szukaj nierozwiązanych przestępstw lub

niewyjaśnionych zaginięć w rejonach, w których przebywała w danym czasie. Sprawdź, czy istnieje wzór. Zapomnij o pobycie w Danii i w Oslo, tam zbyt wiele się dzieje. Skup się na mniejszych miejscowościach.

Synne przybrała sceptyczny wyraz twarzy.

– To mi wygląda na błędzenie po omacku.

Westchnąłem.

– Wiem, Synne, ale nic innego nie przychodzi mi do głowy. Jeśli masz lepszy pomysł...

– Nie, w porządku, ale jak...?

– Dzwon na komisariaty albo dyrektoriaty, jestem pewien, że dysponują takimi statystykami. Wymyśl sobie przekonujący powód – że piszesz artykuł z zakresu kryminalistyki, cokolwiek. Jeśli to nie pomoże, zadzwoń do lokalnych gazet. Użyj wyobraźni.

Skinęła głową, ale nie wyglądała na uszczęśliwioną.

– A co ty zrobisz?

– Porozmawiam z cioteczną babką Niny Hagen.

– Okej. – Umilkła na chwilę, po czym zapytała: – Kim właściwie jest cioteczna babka?

– Ciotką matki albo ojca.

– Aha. Szykowny tytuł.

Przygotowałem sobie niewinne kłamstewko, by wyjaśnić swój przyjazd, ale okazało się niepotrzebne. Klara Gulbrandsen, cioteczna babka Niny Hagen, uśmiechnęła się do mnie z twarzą otwartą i ufną jak u dziecka, po czym zapytała, czy mógłbym ją zawieźć do salonu, tak by mogła oglądać drzewa i niebo.

– Niewiele pamięta, ale udaje się z nią porozmawiać – powiedział pielęgniarz na oddziale. – Dobrze, że pan przyszedł. Nieczęsto ktoś ją odwiedza.

Spytałem, kto zwykle wpada z wizytą. Pielęgniarz zmarszczył brwi.

– W zasadzie to... nikt. Bywała u niej stara przyjaciółka, ale już nie przychodzi.

– A nie odwiedza jej czasem siostrzenica? Kobieta tuż po trzydziestce?

Wzruszył ramionami.

– Nie na mojej zmianie.

Siedzieliśmy więc przed oknem podzielonym szprosami, patrząc na ogród przed domem opieki. Klara Gulbrandsen opowiadała mi, jak bardzo się ucieszy, kiedy przyjdzie lato i będzie mogła wychodzić do ogrodu, na słońce, do kwiatów.

– Nie lubię już zimy – wyznała. – Wszystko wydaje się takie zimne i smutne. To lato jest moją ulubioną porą roku.

Uśmiechnąłem się, przytakując, ale przyszło mi do głowy, że jej lata wkrótce się skończą. Taka była chuda i drobna.

– Odwiedza cię czasem Nina? – zagadnąłem, na co zmarszczyła brwi z niepewnym wyrazem twarzy.

– Nie wiem – stwierdziła wreszcie. – Chyba minęło już wiele czasu od ostatniego razu. – Pochyliła się ku mnie nieco konspiratorsko: – Tak naprawdę to nie znam jej zbyt dobrze.

– Nie?

– Nie. Jej matka... no, z takiej mąki chleba nie będzie. A ojciec... był okropny. Nie miałam nic wspólnego z tą częścią rodziny.

– A co z Niną? Czy z niej też jest ziółko?

Pytanie sprawiło, że zaczęła się zastanawiać.

– Myślę, że Nina jest w porządku. Nie znam jej zbyt dobrze. Ale opiekuje się domem, to trzeba przyznać.

– Jakim domem?

– Domem, w którym się wychowałam – odparła nieco zaskoczona, tak jakby wszyscy o nim wiedzieli. – Cudowne miejsce. – Nagle posmutniała. – Chciałabym... Wiem, że nie mogę tam wrócić, ale chciałabym móc jeździć tam czasem w odwiedziny. Tylko po to, żeby popatrzeć. Tęsknię za morzem.

– Czy Nina nie mogłaby cię tam zawieźć? – podsunąłem, a ona bez przekonania skinęła głową.

Nie dało się uzyskać od niej więcej informacji na temat Niny Hagen, wkrótce więc zrezygnowałem i zaczęliśmy gawędzić o codziennych sprawach. Po jakimś czasie zawiozłem ją znów na korytarz, gdzie się spotkaliśmy. Siedziało tam sporo starych ludzi, jedni na krzesłach, inni na wózkach inwalidzkich, ale wszyscy z takim samym wyrazem twarzy, jakby tylko oni byli na świecie.

Pożegnałem się, a Klara Gulbrandsen uśmiechnęła się i uprzejmie podziękowała za wizytę.

– Musisz mnie jeszcze odwiedzić – powiedziała. – Było mi bardzo miło.

Ruszyłem korytarzem. Gdy znalazłem się przy drzwiach wejściowych, odwróciłem się i pomachałem. Siedziała z zamkniętymi oczami, jakby spała.

Rozmowa z nią była stratą czasu. Miałem nadzieję, że przynajmniej dla niej okazała się miłą odmianą. Pomyślałem o ojcu, o tym, że muszę go wkrótce odwiedzić i że robię to za rzadko. Zastanawiałem się, czy jego dni są tak puste jak dni Klary Gulbrandsen.

## Rozdział 33

Zaniedbałem Hansa Godvika. Nie był wprawdzie typem klienta, który stawia wymagania swojemu obrońcy, zdawałem sobie jednak sprawę, że niezbyt mi wychodzi odwiedzanie go. Zanim przyjechałem, zadzwoniłem i uprzedziłem, że się do niego wybieram. Głos w słuchawce był zmęczony i cichy.

W drzwiach, które wpuszczają gości do więzienia, jest coś dziwnego i nieco przerażającego. Mówi się do kiepskiego mikrofonu, przedstawia się i wyjaśnia powód przybycia, po czym czeka się bez słowa przed niebieskim, stalowym skrzydłem, aż nastąpi niemal niesłyszalne kliknięcie i drzwi się otworzą, szybko i bezdźwięcznie. Gdy tylko człowiek znajdzie się w śluzie, otoczony wysokimi murami, drzwi zamykają się równie cicho.

Tego popołudnia, w wieczornej mżawce, przez kilka minut stałem w śluzie, lekko marznąc, zanim otworzyły się kolejne drzwi i mogłem wejść do środka. Zostawiłem telefon komórkowy i legitymację w recepcji, w szufladzie, która bezszelestnie wysunęła się ze ściany i wsunęła z powrotem, i zaczekałem, aż ktoś poprowadzi mnie dalej. W więzieniu wszystko trwa dłużej, wszystko tu się dzieje zgodnie z własnym czasem, własnym rytmem.

Kiedy wszedłem do sali widzeń, Hans Godvik już na mnie czekał. Podałem mu rękę, odpowiedział mi słabym uściskiem.

– Jak się panu wiedzie, panie Godvik? – zagadnąłem tak jak zawsze, bez namysłu, i jak zawsze uzyskałem w odpowiedzi wzruszenie ramion.

– Żyję.

Rozmowa szła nam opornie. Przedstawiłem mu rozwój sprawy, on zaś słuchał bez słowa, nie komentując mojej nader krótkiej relacji. Nie wspomniałem o Ninie Hagen, bo nie miałem nic na tyle konkretnego, abym mógł z tym wystąpić.

– A co z rolką taśmy i zakrwawioną torbą? – zapytał.

– O co pan pyta?

– Jak znalazły się w mojej piwnicy?

– Ktoś musiał je tam podrzucić.

– Tak. Ale kto? I dlaczego u mnie?

– Nie wiem, kto to był. Ale bez względu na to, kim była ta osoba, zrobiła to, ponieważ obarczenie pana winą wydawało jej się logiczne i oczywiste. Miał pan najlepszy motyw świata, by zabić Alvina Mo.

– Zostanę skazany, prawda?

– Może pan zostać skazany. – Nie było sensu zaprzeczać. – Jak właściwie się pan tu czuje? Odwiedził pan lekarza? – Pytałem głównie po to, by skierować rozmowę na inne tory.

– Tak. Jest w porządku. Dostaję tabletki nasenne. I jakieś inne na... na nerwy.

Z długiego doświadczenia wiedziałem, jak izolacja potrafi łamać ludzi osadzonych w aresztach śledczych, a nerwy Hansa Godvika jeszcze przed uwięzieniem były w strzępach.

– Przynajmniej może pan teraz przyjmować gości. Wizyta Irene z pewnością była miłą odmianą.

Patrzył na mnie bez słowa.

– Bo była tu, prawda? – upewniłem się.

– Nie.

– Ale... minęło już przecież kilka tygodni, odkąd policja zniosła zakaz odwiedzin!

– Nie chce mnie odwiedzać – odparł.

Byłem zszokowany i wyczytał to z mojej twarzy.

– Irene... nie jest całkiem taka jak inni. Ma własne problemy.

Nic nie powiedziałem, więc kontynuował:

– Nie znosi instytucji, uczucia, że jest się zamkniętym.

– Dlaczego?

Przybrał obronny wyraz twarzy.

– Kiedy ją spotkałem, była bardzo młoda. Nie miała udanego dzieciństwa, a ja się nią zająłem. Dorastała bez rodziców... w domu dziecka. To nie było dla niej dobre. Poprawiło się jej, gdy urodziła Maję, ale teraz... – Potrząsnął głową, niezdolny dobrać właściwe słowa, aby opisać sytuację.

– Nie wiedziałem o tym – przyznałem. – Czy jest ktoś inny, kto mógłby pana odwiedzić, na przykład brat? Mogę do kogoś zadzwonić.

– To nieważne – odparł. Widziałem w jego oczach, że myślami był bardzo daleko.

Mimo wszystko zadzwoniłem do jego brata i zaprosiłem go do siebie. Brat Hansa Godvika nazywał się Nils, był niski i krępy o szybkich, niespokojnych ruchach. Miał irytujący nawyk regularnego zerkania na zegarek podczas rozmowy. Jego komórka nieprzerwanie dzwoniła, on zaś łapał ją, odwracał się do mnie profilem i nadawał jak karabin maszynowy. W końcu poczułem, że mam tego dość.

– Proszę mnie posłuchać – powiedziałem. – Czy mógłby pan



z łaski swojej wyłączyć telefon? Nie pan jeden ma dużo na głowie. W ten sposób nie da się prowadzić spotkania.

Spojrzał na mnie dotknięty i wymamrotał, że musi dopilnować ważnych interesów, ale komórkę wyłączył.

– Ostatecznie dotyczy ono losów pańskiego brata – zauważyłem, próbując go ułagodzić. Ujrzałem, że zacisnął zęby, a czerwień rozlała się po jego twarzy, i zrozumiałem, że uznał to za krytykę.

– Zdaję sobie z tego sprawę – odparł. – Po prostu nie wiem, jak mógłbym pomóc.

– Na dwa sposoby. Może pan opowiedzieć mi o Hansie. Oraz odwiedzić go w więzieniu. Potrzebuje tego.

Okazało się, że niewiele miał mi do powiedzenia. Bardzo rzadko widywał się z bratem, zarówno przed zabójstwem Mai, jak i po nim.

– Poróżniliście się? – zapytałem.

W zamyśleniu pokręcił głową.

– Nie. Miałem dobry kontakt z Hansem. Chodziło o... o nią.

– O Irene?

– Tak. Była... była stuknięta. Robiła z igły widły. A kiedy spędzaliśmy czas razem... bo kiedyś nam się to zdarzało... zawsze pilnowała, czy nie dzieje się jakaś niesprawiedliwość. Uważała, że nie doceniamy naszych dzieci. Maja... ta nigdy nie zrobiła nic złego, zawsze trzeba jej było żałować, pilnować. W końcu moja żona miała dość.

– A Hans? On też taki był?

– Nie, on próbował to zmienić, ale jeśli tylko wymagał czegoś od Mai albo chciał zachować jakiś umiar, Irene wściekała się na niego.

– Potrząsnął głową. – Beznadziejny przypadek, ta Irene.

Przytaknąłem.

– Słyszałem, że nie było jej łatwo w przeszłości.

– To prawda. Dorastała w domu dziecka. Poza tym była tam molestowana.

– Tego nie wiedziałem – wyznałem zdumiony.

– Hans mi to mówił, ale Irene nie zdaje sobie sprawy, że o tym wiem. Nie lubi, kiedy ktoś się tego dowiaduje. – znowu potrząsnął głową. – Żal mi jej, rozumiem, co czuje, ale na co dzień to nie pomaga. – Spojrzał na mnie ponuro. – Nie sądzę, żeby Hansowi było z nią lekko. Powiedziałem mu wprost, że powinien wysłać ją do psychologa.

– Zgodził się z panem?

Krótki śmiech.

– Według Hansa chodziła już do psychologa, i to przez wiele lat.

Zawahałem się, po czym spytałem:

– A po śmierci Mai... miał pan z nimi kontakt? To była w końcu dość... szczególna sytuacja.

– Próbowałem, ale Hans... Myślę, że to go dręczyło. Sam nie wiem. – Przybrał nagle bezradny wyraz twarzy. – Nie wiedziałem, co mówić, co robić. Oboje byli zdruzgotani.

– Może powinien pan po prostu przy nich być – podsunąłem, a on szarpnął się, tak jakbym śmiertelnie go obraził.

– Niełatwo jest wiedzieć, co właściwe, a co nie – burknął. – To w końcu niecodzienne okoliczności. Nie wiedziałem... – Machnął ręką i naraz znów stał się bezradny. – Kocham Hansa, ale w naszej rodzinie nie nawykliśmy do osobistego tonu.

– Teraz w każdym razie Hans pana potrzebuje – rzekłem. – Irene go nie odwiedza, bo źle się czuje w więzieniu.

– Odwiedzę go.

Nie wniósł wiele nowego do sprawy, ale kiedy wyszedł, siedziałem, rozmyślając o Irene Godvik. Dużo przemilczała.

Powiedziała, że pomaga jej psycholog, ale odniosłem wrażenie, że chodziło o okres po zabójstwie Mai. Nawet jeśli nie skłamała, to zdradziła mi tylko to, co musiała. Może nie było w tym nic dziwnego. Dorastała w trudnych warunkach, jako dziecko była molestowana, a z doświadczenia wiedziałem, że ofiary przemocy niechętnie mówią o swoich przeżyciach.

## Rozdział 34

Kiedy Synne zajrzała do mojego gabinetu i spytała, czy mam dla niej czas, wiedziałem, że coś znalazła. Wyczytałem to z mowy jej ciała i domyśliłem się, słysząc tłumione podniecenie w głosie.

– No pewnie. Wejdz.

Położyła plik papierów i dokumentów na biurku, ale mówiła, nie patrząc w notatki.

– Zanim Hagen tu przyjechała, mieszkała w czterech miejscach na terenie Norwegii, wyjąwszy Oslo. Tymi miejscami były: Hallingdal, Nord-Trøndelag, Egersund i Sørlandet. Wszędzie pracowała jako pielęgniarka: albo w domu opieki, albo w szpitalu.

Przytaknąłem.

– Bez trudu dostałam wykaz niewyjaśnionych zabójstw i zaginięć. Krajowy dyrektoriat policji ma takie statystyki. W tym kraju zdarza się niewiele morderstw. Większość z nich zostaje wyjaśniona.

– Owszem.

– Okej. W Egersundzie nic nie znalazłam.

– Ale...?

– Dowiedziałam się o morderstwie w interesującym cię okresie w południowej części kraju; na kilka miesięcy zanim Nina Hagen opuściła Sørlandet, zabito tam młodą kobietę.

– Jak ją zabito?

– Nożem.

– Rozumiem. A co z innymi miejscami?

– Hallingdal, kolejne zabójstwo z użyciem noża, ofiarą również padła kobieta. Tym razem nieco starsza, bo dwudziestopięciolatka. To samo co na południu – i znów Nina Hagen wyprowadza się zaraz po tym zdarzeniu.

Czekałem, czując, że mój puls przyspiesza.

– W Trøndelagu nic nie znalazłam – ciągnęła Synne. – Żadnych nierozwiązanych spraw w danym przedziale czasu. Ale dzwoniłam tam i naciskałam. No i okazuje się, że był jeden przypadek, młoda dziewczyna...

– Tak?

– Zaginęła. Znaleziono ją sześć miesięcy później, na terenach za miastem, ale wtedy nic już z niej nie zostało. – Synne zmarszczyła nos. – Leżała pod gołym niebem... Sam rozumiesz. Nie sposób było ustalić przyczyn śmierci. Zakładano, że to wypadek. Ale zaginęła sześć tygodni przed wyprowadzką Niny Hagen.

Spojrzeliliśmy na siebie.

– To się układa w jakiś wzór, prawda, Synne?

Kiwnęła głową.

– Poczekaj, to jeszcze nie koniec. Rozmawiałam ze śledczymi, a nawet z rodzinami tych dziewczyn. Pytałam o Ninę Hagen, o to, czy ją znają.

Patrzyłem na nią, zbity z pantałyku.

– Jak... co im powiedziałaś?

– Że prowadzę śledztwo w nierozwiązanych sprawach. Rodziny chętnie ze mną rozmawiały. Wszyscy uważali, że policja nie zrobiła wystarczająco dużo. To zresztą całkiem naturalne. Rozmawialiśmy długo, więc w trakcie, jak gdyby nigdy nic, napomykałam o Ninie

Hagen. Mówiłam, że ją znam, i pytałam, czy nie mieszkała tam we wskazanym okresie. – Lekko machnęła ręką. – Rozumiesz.

– I...?

– Bingo. Przebywała tam, we wszystkich trzech przypadkach. W pierwszym była koleżanką zmarłej. W Hallingdału były sąsiadkami. A w Trøndelagu... Hagen przyjaźniła się z siostrą ofiary.

W pokoju zapadła cisza. Myślałem o tym, co powiedziała Synne.

– To niewielkie obszary, prawda?

– Tak. Zastanawiałam się już nad tym, Mikael. Wszyscy tam się znają. Ale... mamy tu regularność. Są granice zbiegów okoliczności. To jest... – Przez moment wyglądała prawie na bezradną, nieco zagubioną. – Aż mnie ciarki przechodzą. To tak, jakbyś nagle dostrzegł coś pod powierzchnią, coś wstrętnego i niebezpiecznego, coś, czego obecności dotąd nie przeczuwałeś...

Umilkła, tak jakby nie potrafiła wyrazić tego, co czuła. W pomieszczeniu było ciepło, ale przez chwilę czułem coś na kształt zimnego podmuchu; na przedramionach włosy stanęły mi dęba. Wiedziałem dokładnie, co miała na myśli.

– Proszę – powiedziała, podając mi papiery. – Zrobiłam notatki, poza tym masz tu kilka artykułów. I zdjęć. Zdobyłam zdjęcia wszystkich trzech dziewczyn.

– Świetnie – pochwaliłem. – Dobra robota.

Kiedy wyszła, długo przyglądałem się zdjęciom. Trzy zwyczajne kobiety, w różnym wieku i o różnym wyglądzie. Nie mogłem dostrzec u nich żadnych cech wspólnych, poza dwoma. Wszystkie znały Ninę Hagen. I wszystkie nie żyły.

## Rozdział 35

Czułem nadciągający ból głowy, ból tego rodzaju, który ćmi się w okolicy czołowej i tylko czeka na sposobność, by w pełni rozkwitnąć. Miałem wrażenie, że moje oczy wypełnia piasek, i zastanawiałem się, czy to zapowiedź choroby.

– Zdecyduj się, Mikael – ponagliła Synne. – Lista świadków powinna być gotowa już tydzień temu. Powołujemy Ninę Hagen czy nie?

Spojrzałem na nią z irytacją, choć wiedziałem, że to z mojej strony niesprawiedliwe i trochę dziecinne. Przecież to nie była jej wina.

– Tak – odparłem. – Powołaj ją na świadka. Oczywiście, że musi być świadkiem.

– Okej. – Postąpiła chwilę, przestępując z nogi na nogę. – Jak zamierzasz... to znaczy, jak się do tego zabierzesz? Co próbujesz udowodnić, wzywając ją do sądu?

Ból głowy nasilił się, irytacja również.

– Jeszcze nie wiem – burknąłem.

Mówiłem odpychającym tonem, ale Synne nie odczytała tego jako sygnał. A może nie chciała tego zrobić.

– Właściwie nie mamy dość dowodów przeciwko niej, prawda? A to, co mamy... nie jest akurat adekwatne w tej sprawie. Nawet jeśli uda ci się dowieść, że ma kogoś na sumieniu, może nawet kilka

osób, to nie zdołasz przecież powiązać jej z zabójstwem Alvina Mo. A tego właśnie dotyczy sprawa...

– Po prostu umieść ją na liście świadków, Synne. Zobaczymy.

Spojrzała na mnie, nieco dotknięta, po czym wzruszyła ramionami i wyszła.

Rzecz jasna racja była po jej stronie. Nie miałem zielonego pojęcia, jak podejść Ninę Hagen w sądzie, jak powiązać ją z zabójstwem Mo. Wiedziałem, że w łańcuchu brakuje ogniwa, jakiejś rzeczy, która bezpośrednio łączyłaby ją ze sprawą. Wstałem i udałem się na poszukiwanie tabletek od bólu głowy.

– Przepraszam, że przyszedłem bez zapowiedzi – usprawiedliwiła się Irene Godvik. Siedziała w moim gabinecie, ubrana schludniej niż dotąd, w garsonkę, ale mimo zachmurzonego nieba włożyła też okulary przeciwsłoneczne; wydawała się mała i skurczona.

– Nic nie szkodzi – odparłem. – Powinienem był do pani zadzwonić.

– Zastanawiałam się tylko, jak idzie sprawa. Czy jest... czy nie ma żadnej nadziei na uniewinnienie Hansa? Czytam gazety i odnoszę wrażenie, że już został skazany.

– Z gazetami zawsze tak jest. Nie ma czym się martwić.

– Tak, ale mimo wszystko...

Wyglądała na tak zagubioną i bezradną, że ogarnęły mnie wyrzuty sumienia, iż nie informowałem jej lepiej. Opowiedziałem jej o Ninie Hagen. O tym, co myślałem i co zrobiłem. Kiedy skończyłem, przez chwilę siedziała w milczeniu.

– Myśli pan, że to ona zabiła Mo?

– Tak. Może.

– A Maję?

– Tak. Tak, myślę, że miała swój udział w zabójstwie Mai.



– Ale nie potrafi pan tego udowodnić?

Wzruszyłem ramionami.

– Na razie nie. Pracuję nad tym. Zobaczymy.

Potem nic już nie powiedziała. Jej milczenie napełniło mnie niepokojem.

– To ważne, żeby ta informacja została między nami, rozumie pani?

Przytaknęła rozkojarzona.

Zmieniłem temat rozmowy.

– Jak zdążyłem się zorientować, nie odwiedza pani męża.

– Co?

– W więzieniu. Nie odwiedza go pani.

– Nie.

– Może powinna pani jednak spróbować. On tego potrzebuje. Niełatwo jest siedzieć w areszcie.

Wydawało się, że moje słowa niezupełnie do niej docierają.

– Wiem, że nie miała pani lekkiego dzieciństwa, że dorastała pani pod opieką instytucji. Rozumiem, że było ciężko... że ma pani przykre doświadczenia, ale Hans pani potrzebuje.

Ocknęła się.

– Gdzie się pan tego dowiedział?

– Od Hansa, oczywiście. Rozmawiamy o...

Wyraz jej twarzy zmienił się w okamgnieniu, ze skrytego i zamyślnego przechodząc w dziką furję. Na policzki wystąpiły jej wielkie czerwone plamy, a w głos wkradł się szczególny ton, drżenie, które zdradzało, jak bardzo była wzburzona.

– Hans nie ma tu nic do...

– Pani Godvik, jestem jego adwokatem, rozmawiamy o...

– Nie! – Słowo zadudniło między ścianami. – Nie. Nie powinien

był o tym mówić. To nie pański interes. To niczyj interes.

Zrezygowany uniosłem ręce i odparłem:

– W porządku, więcej już o tym nie wspomnę.

Kiedy wychodziła, wciąż była wściekła.

## Rozdział 36

Dotarło do mnie, że na nią czekałem, czekałem na tę czy inną reakcję po wezwaniu jej na świadka, dni jednak mijały, ale nic się nie działo, aż z czasem pogodziłem się z faktem, że Nina Hagen się nie odezwie, że zobaczę ją dopiero na sali rozpraw. Dlatego kiedy przysłała, byłem zupełnie nieprzygotowany.

– Jakaś Nina Hagen do pana – oznajmiła recepcjonistka. – Nie umawiała się, ale chce z panem porozmawiać. Chodzi o sprawę karną.

– Jeśli tylko zaczeka dziesięć minut, to ją przyjmę – odparłem. Nagle zacząłem się denerwować, nie wiedziałem, jak przystąpić do tego spotkania, co mam jej powiedzieć. Gdy wchodziła, czułem suchość w ustach i miałem spocone dłonie. Skinąłem jej na powitanie.

– Proszę usiąść – rzekłem, nieco sztywno i formalnie. – Co mogę dla pani zrobić?

Zignorowała moje zaproszenie i stanęła na środku pokoju. Nie było w niej śladu kobiety, którą spotkałem w klubie nocnym: to była ta druga Nina Hagen, dyskretnie, niemal nudno ubrana, bez makijażu czy biżuterii. Rozsądna i powściągliwa. Przyglądała mi się spokojnie jasnymi oczami.

– Dostałam list – wyjaśniła. – Powołanie... na świadka w sprawie karnej.

Skinąłem głową.

– Owszem, zgadza się.

– Chodzi o sprawę karną przeciwko... Hansowi Godvikowi.

– Tak.

– Nie rozumiem dlaczego. Nie znam żadnego Godvika, nic o tym nie wiem.

W całej sytuacji, w całej rozmowie, było coś absurdalnego. Ani słowa o tym, co powiedziałem jej ostatnim razem, ani słowa o moich zarzutach. Tak jakby tamto spotkanie nigdy nie miało miejsca. Była grzeczna i spokojna, ale nieco zdziwiona. Znow grała swoją rolę; poczułem, że narasta we mnie irytacja. Przyjąłem ją z radością, bo lepsze to niż podenerwowanie.

– Może go pani nie zna, ale wie pani, kim on jest, prawda?

– Czytam gazety. Jest ojcem tej... zamordowanej dziewczyny.

– Mai. Miała na imię Maja.

Milczenie. Kontynuowałem:

– I wie pani, o co jest oskarżony, czyż nie? Oskarżono go o zabicie Alvina Mo. Jego również pani zna.

Nie chciała porzucić swojej roli, wciąż zachowywała spokój.

– Nie, nie znam go.

– Proszę dać spokój, była pani świadkiem...

– Tak – przerwała. – Byłam świadkiem w sprawie przeciwko niemu. Wiem, kim był, ale to wszystko. Nie znam go.

– Nie wierzę pani. Moim zdaniem zna go pani... znała go pani lepiej, niż utrzymuje.

Westchnęła i spojrzała na mnie z rezygnacją.

– Czy to te same absurdalne zarzuty, którymi mnie pan uraczył, kiedy spotkaliśmy się ostatnim razem? Naprawdę, myślałam, że...

– Co pani myślała?

– Wolałam założyć, że pan bredził, że spił się pan tak, że nie wiedział, co mówi.

Nadal wydawała się spokojna, nieco zrezygnowana. Jeśli to była gra, to zrećźnie ją prowadziła. Niespodziewanie poczułem ukłucie wątpliwości. Moje teorie opierały się na domysłach i spekulacjach. Niczego nie wiedziałem na pewno, nie miałem żadnych konkretnych dowodów. Odsunąłem od siebie tę myśl i przechyliłem się nad biurkiem.

– Oszukaliście mnie. A ja nie lubię być oszukiwany i wykorzystywany. Zaplanowaliście wszystko od początku do końca, zarówno samo zabójstwo, jak i alibi.

Wolno pokręciła głową.

– To zupełny absurd. Niedorzeczność. Nie wiem, skąd pan to wziął.

– Już pani mówiłem. Od Alvina Mo.

– Mo nie żyje. Poza tym nie był chyba normalny?

– Racja. Ale chodzi o coś więcej. Wiele dziwnego działo się w pani przeszłości.

– O czym pan mówi?

– O pani rodzicach. O ich śmierci.

– To był wypadek.

– Nie. Rozmawiałem z pani bratem. To nie był żaden wypadek. Wiem, co się stało.

Dotarło do niej. Jej twarz nabrała barw.

– Nie ma pan prawa grzebać w moim prywatnym życiu. Gustav jest... niepoczytalny. Jest pijakiem i odludkiem.

– Może i tak. Mimo to wierzę w jego opowieść.

– Nikt inny by w nią nie uwierzył!

– Nie jestem tego taki pewien – odparłem. – Odkryłem też wiele

innych rzeczy.

Przerzuciłem zawartość teczki, wyjąłem z niej zdjęcia trzech nieżyjących już kobiet, które zdobyła dla mnie Synne, i rozłożyłem ja na blacie biurka jak wachlarz.

Nie patrzyła już na mnie. Wlepiała oczy w biurko, w leżące przed nią zdjęcia, w ciche i uśmiechnięte twarze.

Coś się z nią stało. Nie miała już czerwonych plam na policzkach, zrobiła się całkiem biała. Wreszcie oderwała się od zdjęć i przeniosła spojrzenie na mnie; dostrzegłem coś w głębi jej oczu. Myśl. Ruch. Tak jakby właściwa Nina Hagen w końcu wyjrzała z głębi. Mierzyła mnie wzrokiem. Oceniała.

Wiele lat temu, jeszcze jako dziecko, odwiedziłem z ojcem zoo w Hamburgu. Najbardziej cieszyłem się na myśl, że zobaczę lwy, ale te po prostu spały w upale, leniwe i zakurzone, od czasu do czasu machając ogonami. Byłem zawiedziony, bo nie wyglądały na dzikie ani niebezpieczne, więc przechyliłem się nad murem wokół fosy i coś do nich zawołałem. Jedyne, co się stało, to że stary lew otworzył oczy i spojrzał na mnie; to jednak wystarczyło, bo było to spojrzenie tak zimne, tak dzikie i pozbawione jakiegokolwiek empatii, że przez miesiące prześladowało mnie potem w koszmarach. Spojrzenie, które oceniało mnie jako potencjalną zdobycz, nic więcej.

Przez krótką chwilę Nina Hagen patrzyła na mnie dokładnie tak samo i jej wzrok zmroził mnie do szpiku kości.

– Nie ma pan prawa tego robić – szepnęła; jej głos także się zmienił.

– Mam wszelkie prawo. Widzimy się w sądzie. – Nagle zapragnąłem pozbyć się jej z tego pokoju.

– Nie robiłabym tego na pańskim miejscu.

– Czy to groźba? – rzuciłem ostro. – Grozi mi pani?

Ona jednak nie odpowiedziała, po prostu odwróciła się ku drzwiom. Na progu zatrzymała się i obejrzała.

– Jeszcze jedno, Brenne.

– Tak?

– Ta kobieta, której kazałeś mnie śledzić. Zdejmij ją. Albo ja to zrobię.

– Co? – zapytałem zdziwiony, ale ona zdążyła już wyjść.

Po rozmowie byłem spocony i rozdygotany. Nina Hagen nie powiedziała ani nie zrobiła niczego, co mogłoby uzasadnić mój lęk, a jednak mnie przestraszyła.

Zrelacjonowałem Kari tę rozmowę. Słuchała, nie przerywając, dopóki nie skończyłem.

– I co teraz myślisz, Mikael? Czy coś z tego wynikło?

Zawahałem się.

– Chyba nie. Ale ją nastraszyłem.

– W czym ci to pomoże?

– Procesy bywają dziwne. Mogłoby się wydawać, że świadek, który się przygotował... który zdaje sobie sprawę, iż usłyszy trudne pytania... że taki świadek najlepiej sobie poradzi. Dlatego, że jest przygotowany. Ale nie zawsze tak bywa. Czasem jest wręcz odwrotnie. Świadek boi się, wiedząc, że podczas rozprawy pojawią się informacje i pytania, które mogą sprawić mu trudność. Bywa, że się blokuje, denerwuje, przechodzi do ofensywy. Odmawia odpowiedzi albo staje się agresywny i mówi zbyt wiele. – Wstałem z krzesła kuchennego i zacząłem chodzić niespokojnie w tę i z powrotem. – Nie wiem, czy mi to pomoże. Mam taką nadzieję. W końcu Nina Hagen nie orientuje się, ile naprawdę wiem.

Kari spojrzała na mnie z namysłem.

– Owszem. Ale w gruncie rzeczy wiesz niezbyt dużo, prawda? Potrzebujesz czegoś konkretnego.

– Tak. – Wciąż chodziłem, w rozkojarzeniu sprzątając blat kuchenny. – Było coś jeszcze. Pod koniec rozmowy powiedziała coś dziwnego.

– Co takiego?

– Zarzuciła mi, że ją obserwuję. Utrzymywała, że nasłałem na nią jakąś kobietę, która wystaje przed jej domem.

– Tego chyba nie zrobiłeś?

– Nie. Oczywiście, że nie.

– Może jest zwykłą paranoiczką. Nie jest przecież w pełni normalna.

– Może i nie...

W tej samej chwili uderzyła mnie pewna myśl; stanąłem i zakląłem głośno. Kari popatrzyła na mnie ze zdziwieniem.

– Muszę wyjść – oznajmiłem.

– Słucham?

– Później ci to wyjaśnię.



## Rozdział 37

Padał taki deszcz, że nastawiłem wycieraczki na pełną prędkość. Gorączkowo śmigały nad przednią szybą, ale mimo to musiałem jechać ostrożnie; nieliczni piesi, którzy zdecydowali się opuścić domy, przesuwali się jak niewyraźne cienie w scenerii wody i mroku, a strugi wody, tryskającej spod kół samochodów z naprzeciwka, w światłach mojego wozu wyglądały jak przełamujące się fale.

Zaparkowałem w odległości stu metrów od domu Niny Hagen, postawiłem kołnierz płaszcza i wysiadłem. Ulica była ciemna i opustoszała. Po dwudziestu sekundach byłem przemoczony, krople deszczu kapały mi z włosów i spływały na twarz; czułem wilgoć przesiąkającą przez materiał płaszcza na ramionach.

Tak jak się obawiałem, samochód stał zaparkowany przed bramą Niny Hagen, po drugiej stronie ulicy. Zielone renault kombi, bez włączonych świateł, ale z szybami tak zaparowanymi, że wiedziałem, iż ktoś w nim siedzi.

Zbliżyłem się wolno do drzwiczek dla pasażera, położyłem rękę na klamce i otworzyłem. Irene Godvik się wzdrygnęła; spojrzała w moją stronę, a jej twarz skurczyła się w grymasie szoku i wściekłości.

– Dzień dobry, Irene – powiedziałem.

Patrzyła na mnie bez słowa, szok z wolna mijał.

– Sądziła pani, że to Nina Hagen? Mogło tak być.

Jako że nadal milczała, dodałem:

– Nie uważam, że to dobry pomysł. Chcę, żeby wróciła pani do domu.

Miała krnąbrny wyraz twarzy, urażona jak małe dziecko przyłapane na psotach.

– Proszę wrócić do domu – powtórzyłem. – Pojadę za panią moim samochodem. Musimy o tym porozmawiać.

Wreszcie skinęła głową. Stałem z boku, dopóki nie włączyła się do ruchu. Gdy wracałem do swojego auta, zerknąłem w górę na okna Niny Hagen. Nie byłem pewien, ale wydało mi się, że na pierwszym piętrze drgnęły zasłony. Tak jakby ktoś stał za nimi w ciemnościach i wyglądał na zewnątrz.

Piliśmy herbatę, mocną herbatę z dużą ilością cukru. Pożyczyłem ręcznik, by wytrzeć włosy. Płaszcz leżał na kaloryferze, parując. Zaczynałem być porządnie rozdrażniony.

– Co pani sobie myślała? Co, u licha, chciała pani przez to osiągnąć? – spytałem po raz czwarty, ona zaś po raz czwarty popatrzyła na mnie bez słowa. – Pani Godvik, musi pani zrozumieć, że...

– Ona zabiła moją córkę – odezwała się nagle.

– Być może.

– Być może? Sam pan tak powiedział!

– Owszem – przyznałem – to moje słowa. I wydaje mi się, że mam rację. Jestem pewien, że mam rację. Ale jeszcze nie potrafię tego udowodnić.

– To ona.

Westchnąłem.

– No tak, też tak sądzę. Ale co z tego? Jaki jest sens

w wystawaniu co wieczór przed jej domem? Do czego chce pani doprowadzić?

– Nie wywinie się tak łatwo.

– To prawda. Ale nie załatwimy tego w ten sposób. Proszę to pozostawić mnie.

– Co pan zrobi?

– Postawię ją przed sądem – obiecałem z brawurą, której wcale nie czułem. – Zdążyłem już trochę się o niej dowiedzieć.

Irene Godvik przyjrzała mi się sceptycznie.

– I sądzi pan, że to coś da?

– Mam taką nadzieję. Zresztą jeśli nic tym nie wskóram, to oddam ją w ręce policji i przekażę im materiały, którymi dysponuję. W końcu spotka ją kara.

– Nie wierzę sądom. Nie ufam całemu temu systemowi.

– Dlaczego?

– Proszę tylko popatrzeć na sprawę Mo. A poza tym...

– Poza tym co?

– Nic.

Znowu napiłem się herbaty. Obserwowałem Irene, siedzącą po drugiej stronie stołu. Na jej twarzy widać było napięcie, wokół ust widniała bruzda, którą z czasem nauczyłem się rozpoznawać. Nie było sensu naciskać.

– Tak czy inaczej to, co pani teraz robi, nic nam nie da. Chcę, żeby pani przestała i pozostawiła Ninę Hagen mnie. Wcale mi pani nie pomaga. Wręcz przeciwnie, tylko pani przeszkadza. Proszę, by zechciała pani usunąć się na bok i dać mi szansę na wykonywanie mojej pracy. Może pani to obiecać?

Lekkie, niemal niezauważalne skinienie głowy.

– Jeszcze jedna sprawa, Irene. Nina Hagen jest morderczynią.

Myślę, że wielokrotną. Jest niebezpieczna i zaczyna czuć się osaczona. Nie chciałbym, żeby to przysporzyło pani jakichś problemów.

Nie byłem pewien, czy naprawdę mnie słucha. Wydawała się zamyślona i nieobecna, tak jakby przysłuchiwała się czemuś innemu, czemuś, co tylko ona mogła usłyszeć.

– Irene! Akceptuje to pani? Zgoda?

– Tak – odparła. – Akceptuję.

## Rozdział 38

Kari robiła, co mogła, ale nie zdołała uratować atmosfery tego obiadu.

– Co z wami? – spytała. – Dziobiecie jedzenie i odpowiadacie jakoś bez przekonania. Czy coś jest nie tak? A może powinnam o czymś wiedzieć?

Ojciec uśmiechnął się zawstydzony.

– Nie, nie. W żadnym razie. Obiad jest wyśmienity. Po prostu wspaniały. Cudownie jest choć raz posmakować porządnego, domowego jedzenia. Tyle że... stary już ze mnie człowiek. Apetyt nie dopisuje jak kiedyś.

– Nie karmią cię dobrze? – Kari przez chwilę wyglądała na zatroskaną.

– Karmią, karmią. Ale wiesz, to masowa produkcja. Czego można się spodziewać?

– Przepraszam – powiedziałem. – Tylko praca mi w głowie. Ale wezmę się w garść. Kawy?

Podczas gdy ekspres, bulgocząc, powoli kończył proces parzenia, pomyślałem, że Kari ma rację. Ojciec był niezwykle małomówny. Niemal jak za dawnych czasów: taki, jakim go zapamiętałem z okresu mojego dorostania, z milczących posiłków, obiadów, którym towarzyszyły jego nieprzystępna mina i wyraz oczu świadczący, że myślami jest zupełnie gdzie indziej. Monosylaby

w odpowiedzi na moje pytania i spostrzeżenia. Przywykłem do tego, aż z czasem milczenie między nami stało się naturalne. Tak to już było.

W ostatnich latach sytuacja się jednak zmieniła. W ojcu jak gdyby stopniały lody. Sprawiał takie wrażenie, jakby przegrody i mury, które w sobie nosił, z czasem skorodowały, a zamknięty za nimi mężczyzna wyszedł na wolność, znów pojawił się na świecie. A może to Kari – jej bliskość i śmiech – może to ona dała nam do zrozumienia, że milczenie między nami jest zaporą. Posiłek jedzony w milczeniu był dla niej nienaturalny i przykry. W konfrontacji z jej oczekiwaniami musieliśmy zaniechać naszego nawyku i nagle okazało się, że możemy rozmawiać niemal o wszystkim. Niemal. Dziś jednak było inaczej. Dziś wszystko było jak dawniej, i to nie z mojej winy.

Podaliśmy kawę i rozpaliliśmy w kominku. Do Kari zadzwoniła przyjaciółka, przeszła więc do pokoju obok, aby porozmawiać. Słyszeliśmy jej głos, ton wypowiedzianych słów i śmiech, ale to, co mówiła, już do nas nie docierało.

Ojciec się uśmiechnął.

– Zawsze brzmi tak wesoło.

– I jest wesoła, mam taką nadzieję. Przynajmniej z grubsza biorąc.

– Tak.

Znów zamilkł, a po chwili spytałem:

– Czy coś cię gnębi? Kari ma rację, jesteś dziś niecodziennie milczący.

– Ty również, Mikael.

– Tak, ale znam przyczynę swego stanu. To ta sprawa, chodzi mi po głowie. Nie wiem natomiast, dlaczego ty milczysz.

– Chyba mogę od czasu do czasu pomilczeć?

Usłyszałem w jego głosie irytację, stary i znany mi ton, wyraźny sygnał, że chce, by dano mu spokój, więc po prostu wzruszyłem ramionami i odparłem:

– Pewnie, że możesz.

Wstałem i dorzuciłem drew do ognia.

Przez chwilę siedzieliśmy, wpatrując się w płomienie, po czym nagle powiedział:

– Zaczynam zapominać.

– Co masz na myśli?

– Zapominam. Zapominam rzeczy, które powinienem pamiętać.

– Każdemu się to czasem zdarza.

Miał nieco zrezygnowane spojrzenie.

– Nie bądź głupi, Mikael. Przecież nie jestem idiotą. Zauważyłem... W ostatnich miesiącach spostrzegłem, że zapominam to, co powinienem pamiętać. Imiona. Rzeczy, które opowiadają mi ludzie, zostają jakby wymazane z mojej pamięci. – Umilkł na chwilę, po czym kontynuował: – Pewnego dnia wybrałem się do centrum, jak zwykle poszedłem do banku i chciałem napić się kawy, co czasem robię, wiesz, w tej cukierni koło sądu.

Przytaknąłem. Parę razy spotkałem go tam przed południem.

– Ale tego dnia... nagle nie wiedziałem, gdzie jestem. To znaczy... poznawałem okolicę, ale nie miałem pojęcia, jak dojść tam, gdzie się wybierałem.

– I co zrobiłeś?

– Zawróciłem, znalazłem właściwy autobus i pojechałem do domu.

Nie wiedziałem, co powiedzieć.

Jego oczy nagle wypełniły się łzami.

– Nie znoszę tego, Mikael. To... to taka bezradność. Tak jakby... świat znikał. Chciałbym... wolałbym raczej opuścić ten świat z hukiem, a nie z wolna zanikać, blednąć.

– Ale tato, to przecież wcale nie jest pewne, że... Może to był przypadek – mruknąłem, jednak zbył moje słowa machnięciem ręki.

– Wybierałem się dzisiaj do was i nagle nie mogłem sobie przypomnieć imienia twojej dziewczyny...

– Kari?

Przytaknął.

– Pamiętałem, jak wygląda, pamiętałem jej uśmiech, wszystko oprócz imienia. Przypomniałem je sobie dopiero, kiedy ją zobaczyłem.

Jako że milczałem, dodał:

– To się po prostu zdarzyło i będzie coraz gorzej. Obawiam się, że stanę się dla was ciężarem, Mikael.

Potrząsnąłem głową, ale nie znalazłem właściwych słów. Ojciec był już starszym mężczyzną i od czasu do czasu myślałem, że go stracę, że umrze – lecz nie w taki sposób. Nie kawałek po kawałku. Miałem w sobie mgliste uczucie, które pamiętałem z dzieciństwa. Wrażenie, że świat jest dla mnie za duży i że jestem sam.

Uśmiechnął się gorzko, ale był to przynajmniej jakiś uśmiech.

– Co powiesz na koniak, Mikael? Istnieje wiele rodzajów zapomnienia, a koniak jest z nich najlepszy.

Kiedy wieczorem udał się do domu i powtórzyłem Kari, co mi zdradził, tylko skinęła głową i odparła, że zauważała to przez ostatnie pół roku. Spojrzałem na nią zdumiony, na co uśmiechnęła się i powiedziała, że nie wychwytyuję zbyt wiele u otaczających mnie ludzi.



– Może i nie – przyznałem – ale tak czy inaczej to straszne. Nie mam pojęcia, co z tym zrobić.

– Nic z tym nie zrobisz, Mikael. Takie jest życie.

Nieco później, w ciemności, leżąc obok mnie w łóżku, spytała:

– Myślisz o swoim ojcu?

– Tak.

– To nie takie straszne. Moja babcia już nie żyje, ale ona też na to cierpiała. Otępienie starcze.

– Demencja.

– Dobrze, nazwijmy to demencją. W każdym razie to miała. A jednak miło spędzało się z nią czas. Bardzo ją kochałam i dobrze nam było razem, mimo że czasem nieco bałaganiła i zapominała. To nie katastrofa, Mikael.

– Z pewnością masz rację. Muszę po prostu do tego przywyknąć.

A jednak w głębi ducha tak nie myślałem. Wewnątrz mnie wciąż mieszkał mały chłopiec, który bał się osamotnienia.

## Rozdział 39

W następnych dniach zagrzebałem się we wszystkim, w czym się dało. Czytałem dokumenty, do czasu aż litery zaczynały skakać mi przed oczami, i raz po raz przerabiałem cały materiał, szukając luk w śledztwie, pytań bez odpowiedzi, które zawsze kryją się w dochodzeniu. To jest krajobraz obrońcy, miejsca, w których fakty nie całkiem do siebie pasują, gdzie pojawia się przestrzeń na zadawanie pytań, formułowanie wątpliwości, budzenie zakłopotania. Z dokumentacji niewiele dało się wycisnąć, a to dlatego, że za każdym razem, gdy zagłębiałem się w akta, sprawa wydawała mi się bardziej beznadziejna i bardziej przesądzona z punktu widzenia prokuratury.

Synne pracowała z psychologiem, który z pozycji świadka miał stwierdzić, czy Hans Godvik mógł być niepoczytalny w chwili popełnienia czynu. Kiedy ją zapytałem, jak im idzie, była blada ze zmęczenia; wyglądała na wyczerpaną i zrezygnowaną.

– Kiepsko – odparła. – Co jest z tymi psychologami? Za nic nie da się wycisnąć z niego jakiegokolwiek konkluzji. Wciąż natykam się na mur słów. Obcych słów.

Wzruszyłem ramionami.

– Tak samo jest z prawnikami. Po prostu kontynuuj, zobacz, co uda ci się osiągnąć.

– A ty? Doszedłeś do czegoś z tą Hagen?

– Nawet nie pytaj – westchnąłem.

Spędzałem w biurze długie godziny. Dni się wydłużyły, a popołudnia stały się jaśniejsze, wciąż jednak było ciemno, kiedy szedłem do biura, i ciemno, gdy wracałem do domu.

Pewnego wieczoru, gdy siedziałem w gabinecie, zadzwoniła Kari.

– Mówi Kari – powiedziała – twoja współlokatorka. Pamiętasz mnie jeszcze?

Uśmiechnąłem się.

– Taak, coś mi świta...

– Wykombinowałeś już coś?

– Znam tę sprawę na pamięć. Ale nie wiem, jak ją wygrać.

– Myślisz, że czeka cię jakiś przełom? To znaczy, dzisiejszego wieczoru?

– Słucham? Nie, nie sędzę.

– Wobec tego proponuję, żebyś wrócił do domu. Ostatnio zaczęłam marzyć o seksie z nieznajomym.

– Co takiego?

Roześmiała się.

– Tak rzadko cię widuję, Mikael, że tym nieznajomym mógłbyś być ty. Robię obiad. Kupiłam też butelkę wina. Poza tym jestem napalona. No, chodź do domu.

– Okej – zgodziłem się. – Już idę.

Na zewnątrz było zimno. Nadszedł jeden z tych okresów, który czasem pojawia się po zimie: chłodne, suche dni, kiedy nad miastem wisi powłoka zanieczyszczenia, a słońce, blade i odległe na niebie, przesłonięte jest mgłą i spalinami. Zapadła już ciemność; szedłem w dzierganej czapce i rękawiczkach, z pochyloną głową i postawionym kołnierzem. W blasku świateł samochodowych mój

oddech przypominał białą parę. Pomyślałem o Kari i nagle nabrałem na nią ochoty. Dotarło do mnie, jak dawno się kochaliśmy. Minęło kilka tygodni. Za długo.

Zboczyłem z głównej ulicy i długimi krokami szedłem pod górę, zgrzany z wysiłku. Cieszyłem się, że wkrótce wejdę do domu. Kiedy ich zobaczyłem, było już za późno.

Chociaż czy na pewno ich zobaczyłem? Po prostu zdałem sobie sprawę z kilku cieni, które oddzieliły się od mroku, i zanim zdążyłem zareagować, otrzymałem mocny cios w brzuch. Byłem na to zupełnie nieprzygotowany, więc straciłem dech w piersiach i aż się skuliłem, obejmując się ramionami i próbując złapać oddech. Następnie uderzono mnie w okolice krzyża. Potem przestałem już czuć, gdzie spadały ciosy, wiedziałem tylko, że były szybkie i sypały się gęsto; zdawało mi się, że nadchodziły zewsząd. I nagle leżałem.

Leżałem z policzkiem przyciśniętym do zimnego asfaltu – zupełnie nie wiedząc, jak do tego doszło. Nastąpiła chwilowa przerwa, na kilka sekund wszystko znieruchomiało; słyszałem tylko swój chrapliwy oddech, rozpaczliwie próbujący napełnić płuca powietrzem.

Pierwszy kopniak z okropnym, głuchym dźwiękiem trafił mnie w ramię. Zwinąłem się w pozycję embrionalną, osłoniłem głowę rękami, a twarz ukryłem w przedramionach. Kolejne kopniaki. W plecy. W uda. Ciężki but trafił mnie w kolano, aż przeszył mnie ból i po raz pierwszy wydarł mi się dźwięk: ochrypły, nieartykułowany ryk. Gdy dotarł do mnie własny krzyk, ogarnął mnie lęk. Dotąd paraliżował mnie szok, odbierając mi wszelkie czucie, tak jakby nic z tego, co działo się wokół, do mnie nie docierało, tak jakby wszystko to dotyczyło kogoś innego – ale na dźwięk mojego głosu szok prysnął i obezwładnił mnie lęk.

Zrozumiałem, że umrę.

Ciosom nie było końca. Nie czułem już bólu wywołanego każdym kolejnym kopniakiem, ból stał się wszechogarniający, nieprzerwany. Napastników było dwóch, z czasem to zauważyłem. Słyszałem ich oddechy, tupot butów na asfalcie. Po chwili dotarło do mnie, że nie kopią w głowę, tylko w tułów. Pomogło. Wiedziałem już, że przeżyję.

Kopniaki stawały się coraz rzadsze, jakby w rytmie zamierającego wahadła starego zegara. Ostatnie ciosy zadano bez siły i przekonania, tak jakby w napastnikach wypalił się żar i stracili zainteresowanie całym przedsięwzięciem. W dalszym ciągu leżałem zwinięty, ramionami osłaniając głowę. Pochyliła się nade mną ciemna postać, kątem oka dostrzegłem zarys głowy, łysej lub ogolonej tuż przy skórze; poczułem zapach oddechu napastnika, woń nikotyny i zepsutych zębów. Głos był cichy i zachrypnięty.

– Uszanowanko, panie mecenasie. Od pewnej pani, która ma cię dość i nie chce, żebyś znów jej się naprzykrzał.

Skądś znałem ten głos i kontury sylwetki.

– Następnym razem będzie gorzej.

Ostatni kopniak, jak pchnięcie nożem w nerki – po czym zniknęli w mroku.

Oczy Kari rozszerzyły się z szoku, gdy skurczony jak starzec wgramoliłem się do domu z płaszczem pokrytym brudem i liśćmi. Nie wiedziałem, jak wygląda moja twarz, ale mówiłem przez zaciśnięte zęby, tak jak to bywa, kiedy w istocie chce się krzyknąć z bólu. Mimo moich protestów w ciągu kwadransa znaleźliśmy się na pogotowiu. Siedziałem otępiały na krześle i patrzyłem, jak Kari gestykułuje wściekle przy okienku: z jej mowy ciała wyraźnie emanowała złość. Musiało zadziałać, bo pięć minut później byłem

już rozciągnięty na leżance, macany i badany.

Po godzinie leżałem we własnym łóżku. Nie miałem żadnego złamania. Możliwe pęknięcie dwóch żeber. Przymuszczałnie żadnych innych obrażeń. Dostałem polecenie, by dzwonić po karetkę, w razie gdyby mój stan się pogorszył, poza tym garść środków przeciwbólowych i klepnięcie w plecy. Dwie pyralginy nieco mi pomogły. Kari siedziała na brzegu łóżka; wyglądała na wściekłą i zmartwioną, ale gładziła mnie po czole, dotykała i co pięć minut pytała, jak się czuję.

– Beznadziejnie – odparłem. – Ale spokojnie, przeżyję.

Potem zapadłem w ciemność i sen bez obrazów.

Dwa dni spędziłem w łóżku. Trzeciego wstałem. Bolało mnie całe ciało. Utykałem i nie mogłem podnieść prawego ramienia. Stałem pod prysznicem, aż zabrakło ciepłej wody. Po wyjściu z kabiny przejrzałem się w lustrze. Skóra w niebieskich i żółtych barwach, tu i tam kilka czerwonych śladów. Ubrałem się, zmagając się nieco z wciągnięciem T-shirtu i bluzy przez głowę, ale wreszcie mi się udało. Wyszedłem z domu.

## Rozdział 40

Znalezienie w biurze tego, czego potrzebowałem, zajęło mi pięć minut. Włożyłem teczkę do aktówki i wyszedłem na deszcz.

Chodzenie nie było przyjemne: przy każdym kroku przeszywał mnie ból w kolanie, utykałem, nieznośnie kłuły mnie żebra i garbiłem się jak stary człowiek. Na szczęście nie miałem daleko.

Od razu znalazłem adres, którego szukałem: wąski, trzypiętrowy, murowany dom. Na drzwiach nie było szyldu, ale w korytarzu wisiała tablica z nazwą firmy. Bachus SA mieściła się na drugim piętrze; pojechałem windą.

W przedpokoju siedziała młoda dziewczyna i wyglądała na znudzoną. Posłałem jej uśmiech.

– Dzień dobry – powiedziałem. – Czy zastałem pana Klugego?

– Tak, ale jest zajęty. Kogo mogę...?

Na prawo od niej znajdowały się drzwi bez wywieszki. Podszedłem wprost do nich i je otworzyłem.

– Hej! – zawołała. – Nie może pan tak po prostu...

Zamknąłem za sobą drzwi, ucinając końcówkę zdania.

Gabinet, w którym się znalazłem, by jasny i przestronny, ale urządzone bez luksusu. Meble wyglądały na dobrane dość przypadkowo. Siedzący za biurkiem Fred Kluge ze zdziwieniem i irytacją podniósł wzrok.

– Co, do kurwy...

– Witam, panie Kluge.

– Brenne. Słyszał pan kiedyś, że się puka?

Nie widziałem go od tego wieczoru, kiedy spotkałem go na mieście z Niną Hagen. Był wtedy pijany i zachowywał się agresywnie. Teraz był trzeźwy, ale miał nieco przekrwione oczy i nie golił się tego ranka. Domyśliłem się, że zabalował gdzieś zeszłego wieczoru.

– Późno się pan wczoraj położył, nie?

Patrzył na mnie wilkiem. Byłby przystojnym mężczyzną, gdyby nie nazbyt niskie czoło i za szerokie policzki. Nadawały mu one agresywny wygląd, tak jakby bez przerwy się złościł. Zresztą może była to prawda.

– Czego pan chce?

Za moimi plecami otworzyły się drzwi i recepcjonistka wsunęła głowę do pokoju.

– Przepraszam, Fred – powiedziała. – Po prostu tu wtargnął.

Odesłał ją gestem, nawet na nią nie patrząc.

– W porządku.

Nie zaprosił mnie, żebym usiadł, ja jednak to zrobiłem. Wtedy powtórzył pytanie:

– Czego pan chce, Brenne?

– Kilka dni temu zostałem pobity.

– Poważnie? Tyle złego dzieje się na mieście, trzeba się pilnować.

– W jego oczach pojawił się jakiś nikły, niemal niezauważalny błysk.

– Było ich dwóch. Pobili mnie tuż przed moim domem – wyjaśniłem. Nie odpowiedział, więc dodałem: – Na odchodne rzucili groźbę. Kazali mi trzymać się z dala od pewnej kobiety.

Rozparł się w fotelu, próbując wyglądać na wyluzowanego,



znudzonego, ale widziałem, jak zaciska szczękę, a palec wskazujący postukuje w podłokietnik.

– Niby dlaczego miałyby to mnie interesować?

– Bo rozpoznałem jednego z napastników. Faktem jest, że bronilem go w sądzie. O ile się nie mylę, dzięki mnie został też uniewinniony. Niewdzięcznik.

– W takim razie proszę to zgłosić na policję – odparł, ale zignorowałem go i mówiłem dalej.

– Nazywa się Ronny Olsen i pracuje dla pana. Wiem też, od której kobiety powinienem trzymać się z dala. Chodzi o Ninę Hagen. Pańską kochankę. Nietrudno jest dodać dwa do dwóch, Kluge.

Zrobił się purpurowy na twarzy, on, mężczyzna, który na wszelkie groźby reagował instynktowną wściekłością.

– Wynocha, Brenne. Jak pan chce, to niech pan idzie na policję z tą swoją gadką. Ja nie muszę tego wysłuchiwać.

– Zaraz pójdę, ale najpierw mnie pan wysłucha – odparłem spokojnie, zrównoważonym tonem głosu. Uniosłem rękę i zostałem na swoim miejscu. – Nie wybieram się na policję. Ma pan zupełną rację, nie dysponuję żadnymi dowodami na to, że to pan stał za tym atakiem. Ale równie dobrze mogę się bez nich obejść. Wiem, że to pańska sprawa, i wcale mi się to nie podoba.

Otworzył usta.

– Proszę wysłuchać mnie do końca, Kluge. Wiem co nieco o tym, czym się pan zajmuje, jakiego typu kontakty utrzymuje, jakich ludzi pan zna. Nie wydaje mi się jednak, żeby pan znał mnie. A jeśli tak pan sądzi, to najwidoczniej się pan grubo myli.

– Co chce pan przez to powiedzieć?

– Jestem adwokatem. Od wielu lat wykonuję swój zawód w tym

mieście. I też mam sieć kontaktów. Nie są to kontakty tego typu, jakie pan utrzymuje, ale mimo wszystko je mam. Ile pubów i restauracji należy do pana? Pięć?

– Siedem.

– Okej. Proszę ruszyć głową i pomyśleć, kogo znam, z kim pracuję, z kim chodzę do klubów, z kim studiowałem. Niech pan na przykład pomyśli, kto prowadzi kontrolę sprzedaży alkoholu, kto jest dyrektorem sanepidu. To prawnicy. Ludzie, wśród których się obracam. A policja? Mam w niej znajomych jeszcze z okresu studiów. To mój świat, Kluge. Będzie pan miał kontrole sprzedaży alkoholu co tydzień. Jedno piwko sprzedane nieletniemu i koniec z licencją. Sanepid będzie wpadał z wizytą i najlepiej by było dla pana, żeby za każdym razem zastawał lokale dokładnie wymyte. Straż pożarna się zainteresuje. Zaczną się policyjne obławy. Będą sprawdzać pańskich ochroniarzy. A nie doszliśmy jeszcze nawet do urzędu skarbowego i podatkowego. Przeprowadzono u pana kiedyś rewizję ksiąg rachunkowych?

Bez słowa potrząsnął głową.

– Mogę panu zapewnić takie rewizje w związku ze wszystkim, czym się pan zajmuje. I coś się znajdzie. Zawsze coś się znajduje, bo oni każdy kamień obróca, sprawdzą przepływ gotówki, zweryfikują wypłaty, wszystko. – Patrzyłem na niego spokojnie. – Mogę zgotować panu piekło na ziemi, Kluge. Jednorazowe pobicie to pestka w porównaniu z tym, co się rozpęta.

Nie podobały mu się moje słowa, ale wyraz oczu, sposób, w jaki wodził wzrokiem po pokoju, świadczyły o tym, że mi uwierzył. W tym, co mu powiedziałem, nie było krzty prawdy, ale miałem pewność, że weźmie to na poważnie. Wydawało się to logiczne. Był krętaczem, człowiekiem, który żył i działał po obu stronach prawa.

Jego świat składał się z pogrózek, kłamstw, przysług i odwdzięczania się. Był skorumpowany i jak wszyscy jemu podobni sądził, że inni ludzie w gruncie rzeczy działają tak samo, że wszyscy jesteśmy równie przeżarci korupcją i skarłowaciałi, co on.

– Ona nie jest tego warta, Kluge. Nina Hagen nie jest tego warta.

Nic nie odpowiedział, ale wściekłość go opuściła i niemal niezauważalnie skinął głową.

– Cieszy mnie, że się rozumiemy – oznajmiłem, wstając. – Aha, jeszcze jedno.

Otworzyłem teczkę, wyjąłem skoroszyt, który wziąłem z biura, i podałem mu go. Spojrzał na mnie pytająco.

– Proszę zerknąć – zachęciłem.

Otworzył pierwszą stronę, zbladł i odrzucił skoroszyt, jakby się sparzył.

– Co to, kurwa...

– Przykre, prawda? Wie pan, co to jest?

Potrząsnął głową bez słowa. Oczy miał wlepione w teczkę i widziałem, jak jego grdyka przesuwana się w górę i w dół niczym tłok.

– Są to zdjęcia młodej dziewczyny o imieniu Maja. Jestem pewien, że pamięta pan tę sprawę.

– Dlaczego?

– Ze względu na Ninę Hagen. Pańską kochankę. Chcę, by pan wiedział, że jest zamieszana w tę sprawę. Lubi takie rzeczy. Zaplanowała ten mord, a ja zamierzam posłać ją za kratki. Pomyślałem tylko, że może chciałby pan nieco się od niej odsunąć, zanim to się stanie. – Zebrałem papiery i na powrót włożyłem je do teczki. – Jak zrozumiałem, lubi pan, kiedy Hagen pana wiąże. Cóż, są gusta i guściki... ale na pańskim miejscu byłbym ostrożny

z dopuszczaniem, by wiązała mnie taka kobieta.

Kiedy wychodziłem, siedział blady i milczący, wyglądając przez okno; nawet nie odwrócił głowy. Nie przypuszczałem, by ze strony Freda Klugego czekały mnie jeszcze kłopoty.

## Rozdział 41

Kari patrzyła na mnie z powątpiewaniem.

– Jesteś pewien, że to Fred Kluge stał za tym atakiem? Przecież się nie przyznał?

– Całkiem pewien – odparłem.

– I sądzisz, że go załatwiliśmy?

Skinąłem głową.

– Tak.

Widziałem, że jest zmartwiona.

– Nie możesz tego wiedzieć, Mikael. Może jest wręcz odwrotnie, może najzwyczajniej w świecie wścieknie się, że mu grozisz.

– Nie było cię tam, Kari. Fred Kluge nie stanowi już żadnego problemu. Przysięgam.

Przez chwilę milczała.

– Ale Nina Hagen wciąż jest groźna.

Nie znalazłem na to odpowiedzi. Miała rację. Nina Hagen nadal była na wolności i nie wiedziałem, co może przyjąć jej do głowy.

Żadne z nas się nie wyspało. Mrok wypełniały dźwięki. Drzewa chwiejące się na wietrze, stukot luźnej dachówki sprawiały, że się podrywałem. Kari wierciła się niespokojnie obok mnie, mamrotała niezrozumiale w półśnie. Noc ciągnęła się w nieskończoność. O brzasku zrezygnowałem i zszedłem do kuchni.

Tak wiele się wydarzyło w ciągu ostatnich miesięcy. Hans Godvik ze strzelbą. Napaść. Obrażenia wciąż dawały mi się we znaki, przy każdym nierozważnym ruchu czułem ukłucie w kolanie.

– Może wybralibyśmy się do twoich rodziców na weekend? – spytałem Kari przy śniadaniu.

Spojrzała na mnie nieco zdumiona.

– Dzisiaj? W ten weekend? Pewnie, że możemy, ale dlaczego? Myślałam, że będziesz pracował.

– Tam też mogę popracować. Musimy się stąd wyrwać. Jeśli teraz uda nam się spakować, możemy spotkać się w moim biurze koło czwartej, a stamtąd pojechać już prosto na miejsce.

– Okej.

Jechaliśmy w deszczowej szarudze. Wieczorem siedzieliśmy razem z rodzicami Kari i pijąc czerwone wino z kieliszków, oglądaliśmy telewizję. Wcześniej się położyli, my zaś poszliśmy za ich przykładem.

Spaliśmy pod skośnym dachem w pokoju panińskim Kari, ona w swoim łóżku, ja na dostawce przy przeciwległej ścianie. Leżałem bezsennie w ciszy, sądząc, że już zasnęła, gdy wtem przybiegła do mnie przez pokój jak cień i kochaliśmy się ostrożnie w ciemności, cicho, tak by dźwięki nie niosły się przez cienkie drewniane ściany.

Gdy było po wszystkim, Kari, chichocząc, szeptem zdradziła mi, że było to dla niej dziwnie podniecające, tak jakby znów była nastolatką i robiła coś zakazanego, a przez to ekscytującego. Poczulem nagłą i irracjonalną zazdrość na myśl o jej przeszłości. Zauważyła to i śmiejąc się, całowała mnie, dopóki mi nie przeszło.

Następnego dnia świeciło słońce. Pożyczyłem dres i kalosze od

ojca Kari, po czym zeszliśmy nad morze i wsiedliśmy do łódki. Morze było spokojne i pomimo zimna w powietrzu ogrzewały nas promienie słońca. Wiosłowałem wolno między wysepkami, próbowałem złapać rytm, odzyskać młodzieńczy automatyzm ruchów.

Minęło wiele czasu, odkąd ostatni raz trzymałem parę wiosel. Wiosłowanie z początku sprawiało mi ból, wciąż bowiem nie doszedłem do siebie po razach, jakie na mnie spadły, po chwili jednak mięśnie się rozgrzały i ogarnęła mnie radość, że mi się udaje, radość z płynięcia przez morze, z kropel na wiosłach nad płaską taflą wody, z rytmu ciała. Zeszliśmy na ląd w najdalszej zatoce i włączyliśmy się wzdłuż bloków skalnych, zbierając muszle i kamienie; trafiliśmy również na szkielet wielkiego drapieżnego ptaka, zdaniem Kari – orła.

Kiedy powiosłowaliśmy z powrotem do domu, słońce stało już niżej, a światło nabrało jakby cieplejszych tonów. Było to jednak złudzenie, bo panował chłód. Cieszyłem się, że wiosłuję. Kari wyglądała na małą w wielkim islandzkim swetrze; siedziała, obejmując się ramionami, aby zatrzymać ciepło. Przycumowaliśmy łódkę i trzymając się za ręce, w promieniach popołudniowego słońca ruszyliśmy po pagórkach w stronę gospodarstwa.

Wieczorem Kari siedziała w kącie, czytając. Jej matka przyniosła stary album i pokazała mi zdjęcia Kari z okresu młodości. Jedno z nich przykuło moją uwagę. Zrobiono je w lecie. Kari stała na bloku skalnym w kostiumie kąpielowym, z mokrymi włosami. Zapytałem, ile lat ma na zdjęciu.

– Jakies trzynaście – odparła matka. – Była miłą i aktywną dziewczynką.

Kari się uśmiechała, młoda i nieco jeszcze niezgrabna, ale

przeszcześliwa. Jedną rękę miała uniesioną, machała do fotografa. Była mniej więcej w tym samym wieku co Nina Hagen na zdjęciu, które widziałem w Halden, ale w odróżnieniu od niej, Kari miała otwarty wyraz twarzy i tryskała energią. Dwa światy, doświadczenia dwóch dziewczynek w tym samym wieku, oddzielone morzem, przepaścią.

Matka Kari czytała gazetę.

– Wiecie, w jaki sposób ludzie dobierają się teraz w pary?

– Słucham? – Oglądałem telewizję, mecz piłki nożnej, bez specjalnego zainteresowania. Nie trzymałem nawet strony żadnej z drużyn. Powtórzyła pytanie.

– W pracy?

– Nie. – Podniosła gazetę. – Tu jest napisane, że spotykają się w internecie. Na czatach i tym podobnych. To nowe miejsce na randki.

– Muszą być młodszy od nas.

– A w każdym razie od ciebie. – Uśmiechnęła się, jednak kiedyś naprawdę się martwiła tym, że jestem tyle lat starszy od jej córki.

Na powrót zagłębiła się w lekturze. Ekran pokazywał leżącego zawodnika, który wił się w nieopisanych bólach. Sędzia machnął rękami, wzywając nosze, po czym gracz wstał. Ziewnąłem. Jakaś myśl chodziła mi po głowie, nieomal w moim zasięgu. Jak duża ryba, rekin, tuż za polem widzenia nurka: za ledwie ruch w ciemnościach. Zniknęła, znów się pojawiła, teraz już wyraźniejsza, ale nie zdołałem jej pochwycić. Ziewnąłem ponownie.

– Idę się położyć – powiedziałem. Kari spojrzała na mnie z uśmiechem i obiecała, że zaraz do mnie dołączy.

Niedziela była równie spokojna i słoneczna. Czytaliśmy gazety, wybraliśmy się na spacer i zjedliśmy obiad. Nina Hagen i Hans



Godvik byli bardzo daleko, w innym świecie. Kiedy wracaliśmy do domu, zdążył już zapaść mrok. Tuż nad horyzontem zawisł cienki sierp księżyca, a gdy jechaliśmy przez most, zdawało się, że szybujemy samotnie przez kosmos. Sami w mroku, oderwani od reszty ludzkości.

Kiedy wróciliśmy do domu, z nawyku włączyłem komputer, by sprawdzić, czy nie dostałem jakichś maili. Nic nie przyszło, nagle jednak dotarło do mnie, jaka myśl mi umknęła, gdy matka Kari opowiadała, że internet jest nowym miejscem na randki.

– Skoczę do biura – powiedziałem.

– Teraz? – Kari spojrzała na mnie zdumiona. – Dlaczego? Jest już po jedenastej, wiesz?

– Nie będę tam długo – odparłem. – Coś mi przyszło do głowy.

Potrzebowałem więcej czasu, niż przypuszczałem. Sprawa Alvina Mo zdążyła już trafić do archiwum i namęczyłem się nieco z wyszukiwarką w programie komputerowym, by dotrzeć do jej numerów referencyjnych. Następnie musiałem nieźle się natrudzić, zanim znalazłem klucz do archiwum mieszczącego się na strychu. Odszukałem właściwą skrzynkę i zniosłem ją do biura. Teczka dotycząca Alvina Mo była najobszerniejsza, wystarczyło ją wyjąć. Po zakończeniu sprawy ktoś ją uporządkował, więc od razu trafiłem na to, co chciałem, a przeczytanie tego, co potrzebowałem wiedzieć, zajęło mi mniej niż minutę.

Pod moją nieobecność Kari zdążyła się położyć. W sypialni było ciemno i sądziłem, że śpi, dlatego rozebrałem się w łazience i spróbowałem bezszelestnie wśliznąć się pod moją kołdrę, Kari jednak ocknęła się albo leżała w półśnie, bo gdy tylko mnie zauważyła, obróciła się w moją stronę i wciągnęła mnie pod swoją

kołdrę.

– Cześć – powiedziałem. – Myślałem, że śpisz.

– Znalazłeś to, czego ci było trzeba?

– Tak mi się wydaje.

– Cóż to takiego?

– Zacząłem się zastanawiać, gdzie Alvin Mo i Nina Hagen się spotkali. Przecież musieli nawiązać ze sobą kontakt. Hagen przyjechała tu po raz pierwszy w sierpniu dwa tysiące drugiego.

– I...?

– Pamiętaj, że Mo spędził pewien czas w więzieniu. Musiałem po prostu sprawdzić, czy dobrze kojarzę fakty, i tak właśnie było. Mo siedział za gwałty popełnione w lecie tego samego roku i wyszedł na wolność tuż przed morderstwem Mai.

– No to spotkali się tuż przed morderstwem, i co? – Wciąż miała senny głos.

– Nooo, w to nie wierzę. Nie możesz przecież podejść do pierwszej lepszej osoby i zapytać, czy zechciałaby ci zapewnić alibi na czas zabójstwa na tle seksualnym, które zamierzasz popełnić. Albo więc znali się od dawna, albo...

– Albo co?

– Albo musieli spotkać się inaczej.

– Co przez to rozumiesz?

– Przez internet – odparłem. – Przeczucie podpowiada mi internet. To tam spotykają się zboczeńcy. Tam są anonimowi i każdy znajdzie coś dla siebie.

Przez kilka minut milczała w ciemnościach.

– Coś ci to daje, Mikael?

– Być może. Nie wiem dużo o internecie, ale jeśli mam rację, to musiał zostać jakiś ślad po ich kontakcie. W takim czy innym

miejscu.

– Mmm, zdolniacha – mruknęła Kari i zasnęła.

Ja tymczasem przez kilka godzin leżałem bezsennie, a moje myśli krążyły wciąż tymi samymi torami. Nadaremno. A przecież musiał istnieć jakiś sposób, by wpaść na właściwy trop. O ile miałem rację. O ile nie błądziłem.

## Rozdział 42

Kiedy Kari obudziła mnie następnego ranka, byłem nieprzytomny. Chwiejnym krokiem poszedłem pod prysznic. Kari wsunęła głowę do łazienki, wołając, że wychodzi, ja zaś pomachałem do niej zza zaparowanej ścianki kabiny. Zjadłem śniadanie i wypilem kawę, zadzwoniłem do biura, by uprzedzić, że się spóźnię, nalałem sobie kolejną filiżankę kawy – i nagle zrozumiałem, że istnieje oczywiste rozwiązanie mojego problemu. Jeśli Hagen i Mo kontaktowali się przez internet, był prosty sposób, żeby to sprawdzić.

Na moim biurku od wczoraj poniewierała się teczka dotycząca Alvina Mo. Przerzucałem strony, dopóki nie trafiłem na spis skonfiskowanych przedmiotów, wśród których znalazłem komputer firmy Packard Bell. Na wszelki wypadek sprawdziłem też raporty ekspertów komputerowych, którzy przeszukali maszynę Mo, wiedziałem jednak, co w nich znajdzie. Wiele informacji na temat przeróżnych stron internetowych o torturach i gwałtach oraz sporą liczbę ściągniętych zdjęć i krótkich filmików. Ani słowa o mailach. Byłem pewien, że policja je przejrzała i nie odkryła nic szczególnego, to jednak nie znaczyło, że niczego takiego nie było. Zależy przecież, kto i czego szuka.

Kiedy zadzwoniłem na policję, przez kwadrans przełączano mnie z jednego telefonu na drugi. Byłem już o krok od utraty cierpliwości

i wybuchu złości, gdy na linii odezwał się młody głos:

– Alvin Mo? Konfiskata w jego sprawie? Ma pan numer referencyjny?

Miałem go, więc rozmówca kazał mi chwilę zaczekać. Po trzech minutach wrócił na linię i rzekł, że całe skonfiskowane mienie zostało zwrócone trzy miesiące po tym, jak Mo został uniewinniony.

– Zwrócone Alwinowi Mo?

– Tak. Potwierdził odbiór podpisem.

– Dziękuję za pomoc.

Dom, w którym żył i umarł Alvin Mo, wyglądał na zupełnie opuszczony. Spróbowałem zajrzeć do środka przez niemyte szyby, ale w pomieszczeniach było tak ciemno, że nie dało się niczego zobaczyć. Między budynkiem a posesją po prawej biegł przesmyk, tak wąski, że musiałem iść bokiem i stąpać ostrożnie wśród odłamków szkła oraz przegniłych materiałów budowlanych. Na tyłach mieściło się maleńkie podwórze, zagracone rozbitą dachówką, jeszcze większą ilością szkła i ogromną liczbą starych niedopałków.

Na plac wychodziły małe okienko i tylne drzwi domu. Okno zabito deskami pociemniałymi i łuszczącymi się od wilgoci. Drzwi uchyliły się, kiedy je popchnąłem. Ślady na futrynie świadczyły o tym, że ktoś niedawno użył tu łomu.

Wewnątrz znajdowała się kuchnia. Przy ścianie stał stary zlew, na blacie zaś dwupłytkowa kuchenka elektryczna, tak stara, że wokół pól grzewczych zebrała się warstwa rdzy. Drzwi lodówki były uchylone. Szafka okazała się pusta, ale pachniała pleśnią i starymi resztkami jedzenia. Wąskim korytarzem przeszedłem do salonu, gdzie daremnie próbowałem włączyć światło. Kanapa z łukowatym oparciem, stół ze śladami po szklankach i filiżankach, a w rogu

pokoju stolik kuchenny, do którego przystawiono plastikowe krzesło. To wszystko. Ktoś opróżnił dom – złodzieje, a może ktoś inny, nie wiedziałem.

W pokoju cuchnęło uryną i czymś jeszcze. Gnilna, słodkawa woń. Nie minęło wiele czasu, odkąd zabito tu Alvina Mo, i aż się wzdrygnąłem, ogarnięty nagłą ochotą, aby opuścić to miejsce, zmusiłem się jednak do wejścia na piętro. Musiałem się pochylić, żeby nie uderzyć głową w sufit.

Na podłodze w sypialni leżał materac przykryty dwoma brudnymi kocami. W rogu piętrzyła się sterta papierów. Przejrzałem ją ostrożnie. List z banku, zmniejszono oprocentowanie lokat. Rachunek za prąd na nazwisko Alvina Mo. Jakieś ulotki i pornos – kobieta z szeroko rozłożonymi nogami uśmiechała się do mnie mechanicznie. Może gazeta należała do Mo, ale niekoniecznie. Przypuszczałem, że w domu mieszkowali inni ludzie, że bezdomni albo narkomani znajdowali tu schronienie w nocy. Tak czy inaczej, nie było tu niczego przydatnego, więc wyszedłem tą samą drogą, którą się tutaj dostałem.

Trzy domy dalej wreszcie na coś trafiłem. Starszy mężczyzna przyglądał mi się podejrzliwie, kiedy go zapytałem, czy wie, kto jest właścicielem domu, w którym mieszkał Mo. Po długim namyśle skinął głową.

– Tak. Jest nim ta sama osoba, do której należy ten dom. Oraz reszta domów na tej ulicy.

– Dlaczego jest właścicielem wszystkich tych budynków?

Mężczyzna wzruszył ramionami.

– Chce je zburzyć i wybudować blok.

– Uda mu się? Czy te domy nie są pod ochroną?

I znów wzruszenie ramion.

– Chyba tak. Ale on po prostu pozwala im niszczyć. Prędzej czy później same się zawałą. Koniec końców uda mu się osiągnąć to, do czego dąży.

– Mogę dostać jego nazwisko i adres?

– Kevin Larsen – powiedział. – Mieszka, o, tam, w bloku, który pan widzi po drugiej stronie głównej ulicy. Drugie piętro.

Kevin Larsen miał na sobie biały sweter polo, a na szyi przewiazaną chustkę.

– Zgadza się – przyznał. – Sprzątnąłem rzeczy, które zostały po Mo. Nie było ich wiele.

– Ale czy był wśród nich komputer? – spytałem po raz wtóry.

– Tak.

– Czy byłby pan skłonny mi go udostępnić?

– Nie.

– Dlaczego? Przecież nie jest pańską własnością. A ja byłem adwokatem Alvina Mo.

– Do pana też nie należy. Poza tym Mo zalegał z czynszem.

– Mo nie żyje. Został zamordowany.

Wzruszył ramionami.

– Tym bardziej.

– Mogę poprosić policję, żeby go panu odebrała.

– Proszę bardzo.

Podniosłem się zrezygnowany, ale wtedy oświadczył:

– Za tysiąc go pan dostanie.

– Żartuje pan?

– Nie. Ale – pańska decyzja.

Pięć minut później byłem na ulicy z komputerem pod pachą. Złapałem taksówkę i pojechałem prosto do domu.

Trochę się namęczyłem, ale okazało się to niezbyt trudne nawet dla osoby pozbawionej technicznej smykałki i po dziesięciu minutach połączyłem ze sobą jednostkę centralną, klawiaturę i monitor.

Wcisnąłem guzik i monitor rozjarzył się przed moimi oczami. Nie było potrzebne hasło, więc kliknąłem ikonę „Outlook”, a następnie „Wysłane”. Pusto. W skrzynce odbiorczej znajdowało się dwadzieścia jeden wiadomości, wszystkie z okresu pomiędzy zwolnieniem Mo z więzienia a ujęciem go pod zarzutem zamordowania Mai.

Większość maili stanowiły bzdury, reklamy, łańcuszki i tym podobne. Były tylko dwie prywatne wiadomości. Jedna pochodziła od mężczyzny o imieniu Knut. Napisał:

„Nie chcę się już z tobą kontaktować. Zacząłem nowe życie. Z pomocą Pana Naszego dostąpię życia wiecznego. Wybacz mi moje grzechy”.

Drugą wiadomość wysłano z adresu na serwerze Hotmail; kiedy ją czytałem, poczułem, że skacze mi ciśnienie.

„Tak jak się umówiliśmy, żadnych więcej maili. Muszę na tobie polegać, a ty nie możesz się niecierpliwić. Spotkamy się zgodnie z umową. Nie bój się, nie wycofałam się. Razem sprawimy, że ziszczą się twoje marzenia”.

Adres nadawcy brzmiał: Wolverine@hotmail.com.

Nie mogłem tego udowodnić, ale intuicja podpowiadała mi, że znalazłem to, czego szukałem. Aż do szpiku kości przenikała mnie pewność, że wiadomość tę napisała Nina Hagen, że to ona przybrała nick „Wolverine”. Z czasem zdążyłem przecież poznać Alvina Mo. Dość, by wiedzieć, że jego marzenia były naszymi koszmarami.



## Rozdział 43

Prokurator Christer Bonde przyglądał mi się z wyrazem głębokiego niedowierzania na twarzy.

– Wyjaśnijmy to sobie, Brenne – powiedział. Gdy przyszedłem do jego biura, zwrócił się do mnie po imieniu, ale teraz byłem już tylko Brennem. – Chcesz, żebym wydał nakaz przeszukania domu Niny Hagen. – Zamachał listem, który mu wręczyłem.

– Tak – odparłem. – Tak jak to stwierdza list.

– Okej. To zrozumiałem. Nie rozumiem tylko dlaczego.

Otworzyłem usta, chcąc wyjaśnić, ale wszedł mi w słowo:

– Czy raczej nie rozumiem, jaki to ma związek z naszą sprawą.

Westchnąłem.

– Podejrzewam, że Nina Hagen skłamała w sądzie i zapewniła Alvinowi Mo fałszywe alibi.

– Tak, jasne. Ale co z tego?

– Jak to co z tego? Czy weryfikacja podejrzenia o relacjach przestępczych nie należy do zadań policji?

– Owszem, ale zanim będziemy mogli coś zrobić, na przykład przeszukać jej dom, musimy powziąć uzasadnione podejrzenie. Nie wolno nam ot, tak sobie wchodzić do domów: to wymaga podjęcia decyzji, a decyzja musi być prawnie zasadna. O czym doskonale wiesz.

Zaczął działać mi na nerwy.

– Dopiero co wyjaśniłem ci, że...

Znów mi przerwał:

– Dopiero co zaprezentowałeś mi zbiór plotek, podejrzeń i spekulacji, które nie stanowią żadnej podstawy do wszczęcia śledztwa. To mi przekazałeś.

– Wiadomość na komputerze Mo...

– ...sama w sobie nic nie znaczy, przecież wiesz.

– Jeśli nadawcą jest Nina Hagen, jeśli to ona jest Wolverine, znaczy to bardzo wiele.

– Tak. Jeśli. I tu leży problem. Jeśli. Nie mamy żadnych powodów, by przypuszczać, że tak jest.

– Powinniście to prześledzić. Nina Hagen może być współwinna morderstwa Mai. Myślę, że jest niebezpieczna.

Westchnął ciężko.

– Tak, Brenne. Rzecz jasna istnieje możliwość, że masz rację, bo alibi spadło Alwinowi Mo z nieba, prawda? Porozmawiam z odpowiednimi osobami z wydziału. Niewykluczone, że przyjrzymy się bliżej Ninie Hagen, jeśli tylko znajdziemy punkt zaczepienia, ale jeszcze nie teraz. I na pewno nie jako krok w dochodzeniu związanym ze sprawą Hansa Godvika.

– To nie wystarczy!

– Tyle możemy ci dać. Nie rozumiem, czym ty się zajmujesz. Jaki to, u diaska, ma związek ze sprawą Godvika? Bądź łaskaw mi wyjaśnić.

– Myślę, że to ona zabiła Alvina Mo.

Christer Bonde wstał z krzesła i spojrział na mnie z góry.

– Aha. Wiedziałem, że coś jest na rzeczy. My zaczniemy dochodzenie przeciwko Ninie Hagen, a ty powiesz sędziemu na rozprawie, że policja tropi innego sprawcę w śledztwie, które

jeszcze się nie zakończyło. Czy ty mnie masz za idiotę?! Ze wszystkich beznadziejnych, przewidywalnych sztuczek... – Był naprawdę wściekły.

– Christer, to nie tak! Ja... ja naprawdę uważam, że ta kobieta może być odpowiedzialna za...

– I teraz z tym do mnie przychodzisz? Tuż przed początkiem rozprawy?! Zlituj się, Mikael!

Poddałem się. I tak nie wierzyłem, że usłucha mojej prośby, nie spodziewałem się jednak, że uzna ją za fortel.

– Mogę poprosić sąd, by ustosunkował się do mojego wniosku – mruknąłem bez przekonania.

Zaśmiał się.

– Ależ proszę bardzo. – Potem nachylił się w moją stronę i rzekł: – Hans Godvik jest winny i uzyskam wyrok skazujący. Nawet nie waż się próbować jakichś wybiegów. Ta sprawa ma się rozegrać według wszelkich zasad.

– Popełniasz błąd, Christer – powiedziałem, ale w odpowiedzi rzucił mi spojrzenie pełne pogardy i oburzenia.

– Widzimy się w sądzie! – prychnął. – Udanego weekendu.

– Czego się spodziewałeś? – zapytała Synne.

– A co miałem do stracenia?

Wzruszyła ramionami i pociągnęła łyk pilznera. Jak zwykle pod koniec tygodnia siedzieliśmy w pubie przy piwie. Zazwyczaj zbierało się nas więcej, tego dnia jednak byliśmy tylko we dwoje. Nastrój był kiepski. Oboje wiedzieliśmy, że czeka nas rozprawa, której nie możemy wygrać. Opróżniłem szklanekę i powiedziałem, że mam dość.

– Spotkamy się w biurze w niedzielę na ostatni przegląd?

Skinąłem głową.

– Przydałoby się zrobić ostatnie przymiarki. Zdzwonimy się co do godziny.

Gdy wychodziłem, w żołądku przelewał mi się litr piwa. W domu było pusto. Kari znów odwiedzała rodziców. Z doświadczenia wiedziała, iż w ostatni weekend przed dużą rozprawą najlepiej jest zostawić mnie samego. Odgrzałem jedzenie, zjadłem bez apetytu i położyłem się na sofie.

Obudziłem się zupełnie zdezorientowany. Spałem przez ponad trzy godziny i ciało miałem jak z ołowiu. Po trzech filiżankach kawy poczułem się nieco lepiej. Oglądałem telewizję, słuchałem muzyki, a potem znów siadłem przed telewizorem. Krążyłem po salonie, zastanawiając się, czy nie zrobić sobie drinka, wiedziałem jednak, że nie jest to dobry pomysł, więc zrezygnowałem. Po krótkich poszukiwaniach znalazłem na półce starą książkę MacDonalda. Już ją czytałem, ale nie miało to żadnego znaczenia. Dawne przygody Travisa McGee, filozofa dnia powszedniego, współczesnego antybohatera i cynicznego romantyka z Florydy, przez długie lata stanowiły dla mnie lek na bezczynność i zniechęcenie. Tego wieczoru jednak mi nie pomogły. Odłożyłem książkę po dziesięciu stronach.

Było wpół do dwunastej. Wzdychając, zszedłem do piwnicy. Znalazłem tam narzędzia, latarkę kieszonkową oraz wytarty wełniany koc i wrzuciłem je do starej torby treningowej. Włożyłem ciemną kurtkę skórzaną i buty joggingowe, zapakowałem torbę do samochodu i wyruszyłem. Zegarek wskazywał pięć minut przed północą.

## Rozdział 44

Było wietrznie, ale cieszyłem się z tego, bo wiatr tworzył zasłonę dźwięku, za którą mogłem się ukryć. Przez jakiś czas siedziałem w samochodzie, patrząc, jak nieliczne światła w domach nieopodal gasną jedno po drugim. W szeregowcu Niny Hagen panował mrok, światło zewnętrzne zostało wyłączone i w żadnym z okien nie dostrzegłem nawet błysku. Ulica dawno już wymarła. Tuż po tym, jak tu dotarłem, przeszedł jakiś mężczyzna z psem na smyczy, a przed dom stojący nieco dalej cicho zajechał samochód, po czym zapadła cisza.

Zaparkowałem na miejscu do zawracania u samego końca ulicy, tak daleko od latarni, jak tylko się dało. Teraz zaś chwyciłem torbę, przestąpiłem rów, wyszedłem z kręgu światła rzucanego przez ostatnią latarnię i skryłem się w mroku wśród drzew. Niemal od razu przestałem cokolwiek widzieć. Po chwili moje oczy przyzwyczały się do ciemności i mogłem się poruszyć. Trzymając się po lewej, spróbowałem zatoczyć łuk, tak by dotrzeć na tyły posesji Niny Hagen, od tej strony, gdzie nie było sąsiadów.

Nie miałem do przejścia więcej niż dwadzieścia metrów, ale teren był nierówny i wydało mi się, że minęła cała wieczność, zanim spostrzegłem przed sobą niskie sztachety. Przeszedłem przez płot, po czym szybko, bezszelestnie przemieściłem się po trawniku, aż doszedłem do rogu budynku.

Po tej stronie teren opadał, a mur piwniczny osiągał pełną wysokość. W połowie ściany znajdowały się drzwi, na prawo od nich były zaś dwa okna. Wzdłuż ściany biegła wąska żwirowa dróżka. Stałem bez ruchu, nasłuchując dźwięków, ale jedyne, co słyszałem, to wiatr i mój własny ciężki oddech.

Między ścianą a żwirową dróżką znajdował się wąski pas trawnika. Stałem tam, by uniknąć hałasu, po czym wychyliłem się za róg domu i schodami dostałem się na mały taras z przesuwными drzwiami i dużym oknem. Tam także nie paliło się światło. Deski trzeszczały pod moimi stopami. Podeszedłem do okna i przysunąłem do niego twarz. Po kilku minutach dostrzegłem zarysy salonowych mebli w ciemnym pokoju. Ostrożnie sprawdziłem drzwi przesuwne. Zamknięte.

Zszedłem po schodach, znów skręciłem za róg i zbliżyłem się do pierwszego z okien piwnicy. Niczego. Żadnej strużki światła, żadnego odblasku. Nie zdołałem się zorientować, czy po wewnętrznej stronie okna wiszą zasłony, czy też patrzę w głąb pustego pokoju. Szyba była wielką, mroczną taflą. Spróbowałem zajrzeć przez drugie okno, z tym samym rezultatem. Pośrodku drzwi odkryłem małe przeszklenie. Wydało mi się, że dostrzegam zasłonę, ale nie byłem pewien. Nacisnąłem kłamkę. Ostrożnie pchnąłem. Te drzwi również okazały się zamknięte. Przez kilka minut stałem, próbując się uspokoić, po czym wyjąłem z torby złożony koc, przyłożyłem go do okna i przytrzymałem lewą ręką, prawą zaś złapałem młotek i uderzyłem.

Brzęk wybijanej szyby, odłamków szkła spadających na podłogę rozdarł ciszę i przebił się przez szum wiatru. Pomyślałem, że dźwięk przedrze się przez ciemności nocy, przez ściany, przez sny i sprawi, że sąsiedzi poderwą się w łózkach, macając stoliki nocne

w poszukiwaniu telefonów. Ogarnęła mnie niemal nieodparta ochota, by uciec. Zamiast tego zastygłem bez ruchu, oddychając szybko i urywanie; starałem się uchwycić odgłosy alarmu, ruchu, cegokolwiek z wnętrza domu lub spoza niego. Nic się nie stało.

Po chwili, po długiej chwili, przełożyłem rękę przez dziurę w szybie i badałem powierzchnię drzwi, dopóki nie znalazłem zasuw. Przesunąłem ją. Nacisnąłem klamkę. Zrobiłem długi krok i znalazłem się wewnątrz. W ciemnym, wąskim korytarzu.

Ostrożnie zamknąłem za sobą drzwi. Wyjąłem latarkę z kieszeni kurtki i włączyłem ją. Białe ściany. Na prawo drzwi, na wprost zaś schody. Wszedłem na górę. Na parterze dość było światła padającego z ulicy, żebym mógł wyłączyć latarkę. Ostrożnie szedłem od pokoju do pokoju, otwierałem wszystkie drzwi. Pusto. Niny Hagen nie było w domu. Nie wiedziałem, gdzie jest ani kiedy wróci, ale z jakiejś przyczyny moja nerwowość ustąpiła. Chodziłem wolno po pomieszczeniach. Na chwilę przysiadłem na kanapie i rozejrzałem się. Byłem w pokoju z najzwyklejszymi meblami salonowymi, ale pozbawionym ozdób, bibelotów i bałaganu.

Wróciłem do sypialni. Były dwie, w każdej stało łóżko, ale jedna wyglądała na nieużywaną – puste ściany i szafy, wyjąwszy jedną, w której wisiały sukienki. Na podłodze w kącie drugiego pomieszczenia leżała sterta brudnych ubrań. Z komody wysunięte były dwie szuflady, z jednej z nich wyglądały ubrania. W szufladzie szafki nocnej leżała cała gama zabawek erotycznych: sztuczne penisy i inne rzeczy, których nie mogłem zidentyfikować, rzemienie i wężę, wyroby gumowe i skórzane. Na ścianie nad łóżkiem odkryłem dwa pejczy, każdy wiszący schludnie na swoim haczyku. Jedna z szaf zawierała prawie wyłącznie stroje z lateksu i skóry. Pozostałe wydawały się pełne całkiem zwyczajnych ubrań:

neutralnych, o niemal nudnym kroju i tonacji. Dwa oblicza Niny Hagen. Łóżko było niepościelone. Nachyliłem się i wciągnąłem zapach kobiety. Nie perfum ani kremów, ale kobiety. Wydało mi się, że wyczuwam też najintymniejszą z jej woni.

Wszedłem do kuchni, delikatnie uchyliłem drzwi lodówki i aż podskoczyłem, gdy w pokoju rozlał się snop żółtego światła. Piwo i sok. Nieco składników kanapkowych, żadnych resztek.

W salonie stało małe biurko, przed nim zaś krzesło. Usiadłem i przejrzałem papiery. Bieżące sprawy. Rachunki, prąd, telefon i ubezpieczenie. Jeden z listów był opatrzony adresem: Klara Gulbrandsen/Nina Hagen. Cioteczna babka. Oferta z klubu książki. Poczta z nieczytelnym podpisem. Szuflady okazały się puste. Żadnych starych listów czy zdjęć. Żadnych papierów, które pochodziłyby sprzed kilku miesięcy. Nic, co dawałoby wgląd w przeszłość lub życie prywatne Niny Hagen. Poczuję się bezpieczniej i zacząłem porządnie przeszukiwać dom, pokój za pokojem, systematycznie otwierając szuflady i szafy.

Nie znalazłszy nic godnego uwagi, wyszedłem na korytarz, gdzie stanąłem nieco niezdecydowany. Ponownie włączyłem latarkę, pozwalając, by jej promień przesunął się po komodzie i garderobie. Dojrzałem coś przez ułamek sekundy i znowu to oświetliłem. Był to laptop ukryty zręcznie na dnie szafy, wzdłuż krawędzi. Zaniósłem go do salonu, postawiłem na stole, a znalazłszy kontakt, podłączyłem i odpaliłem. Nie wiedziałem, czy Nina Hagen zabezpieczyła go hasłem, ale nie miało to żadnego znaczenia. Zapomniała wyłączyć komputer po ostatnim użyciu, po prostu zamknęła klapę, nie wylogowując się, tak że laptop przeszedł w stan czuwania. Gdy tylko wcisnąłem przycisk zasilania, wszedłem do systemu.



Odszukałem Outlooka i uruchomiłem go, kliknąłem na skrzynkę odbiorczą i zacząłem przewijać w dół listę wiadomości. Na monitorze pokazywały się kolejne tygodnie i miesiące: podróż w przeszłość, do tego dnia i tygodnia, w którym Alvin Mo dostał maila od Wolverine. Zobaczyłem tę wiadomość niemalże od razu. Ta sama data.

Do «Wolverine» od «Grimreaper».

Co jest, że tak zamilkłaś? Wycofałaś się czy co?

I to było wszystko, ale wystarczyło.

Alvin Mo i Nina Hagen mieli ze sobą kontakt niedługo przed śmiercią Mai. To było więcej niż dość. Poczułem, jak krew pulsuje mi w skroniach, smak triumfu, nagłe przeświadczenie, że znalazłem to, czego potrzebowałem, by rozwiązać tę sprawę, otworzyć ją jak konserwę i wreszcie zrozumieć, co się stało.

Usłyszałem jakiś dźwięk. Przedarł się przez mgłę mojego podniecenia. Nie był głośny i nie potrafiłem go zidentyfikować, nie pasował jednak do odgłosów wietrznej nocy.

Zamknąłem laptopa i wstałem bezgłośnie. Przekradłem się do kuchni i spróbowałem wyrzeć zza zasłon na okolicie wejścia. Niczego nie zobaczyłem, ale znów dobiegł mnie ten dźwięk. Tym razem nabrałem pewności, że ktoś czai się na zewnątrz. Przez salon wyszedłem do przedsionka, otworzyłem drzwi do piwnicy i zszedłem po schodach. Musiałem się przemóc, by nie pobiec. Przyszło mi do głowy, że powinienem wziąć ze sobą laptopa, że powinienem wrócić na górę i go zabrać, jednak owładnęła mną panika i wiedziałem, że nie zdobędę się na to.

Złapałem swoją torbę, stojącą w korytarzu piwnicznym, i musiałem wziąć się w garść, aby nie szarpnąć drzwi wyjściowych;

zamiast tego otworzyłem je cicho i ostrożnie i wysunąłem się na zewnątrz, gotów przebiec jak cień po trawniku i zaszyć się w lasku za ogrodzeniem – ale stanąłem jak wryty.

Znalazłem się w snopie oślepiającego białego światła, które zmusiło mnie do osłonięcia oczu lewą ręką, i nagle jakiś głos krzyknął:

– Stać! Policja! Stój, gdzie stoisz! Nie ruszaj się!

I zostałem tam, sparaliżowany przez światło, dopóki stanowcze ręce nie obróciły mnie, wykręcając mi ramiona, i nie zatrzasnęły kajdanek z zimnego metalu na nadgarstkach.

## Rozdział 45

– Jesteś sam? – spytał policjant, a że ociągałem się z odpowiedzią, złapał moje ramię i potrząsnąwszy mną, ponowił pytanie. – Mów, do cholery. Jesteś sam?

Skinałem głową.

– Tak, jestem tylko ja. Ale, proszę mnie posłuchać, nie jestem żadnym...

– Zamknij się! – rzucił, podniósł krótkofalówkę i przemówił do niej cicho. – Mam go. Mówi, że jest sam. – Przez chwilę nasłuchiwał. Słyszałem tylko trzaski i niezrozumiałe dźwięki. – Okej – odparł. – Czekam tu na ciebie. – Odciągnął mnie nieco na bok, znów kazał mi się zamknąć, mimo że się nie odezwałem, i czekaliśmy. Po pięciu minutach z piwnicy wyszedł kolejny policjant.

– Wszystko w normie – oświadczył. – Zabierzmy go do wozu.

Poprowadzili mnie schodami w górę, wokół domu, w dół ogrodową ścieżką i do radiowozu, który stał tuż przed bramą, zajmując pół chodnika. Jeden z funkcjonariuszy otworzył tylne drzwi, położył mi rękę na głowie, żebym nie uderzył w sufit, i pomógł mi wsiąść. Trudno się wsiada z kajdankami na rękach. Natomiast drugi stał nieco dalej na chodniku, rozmawiając z mężczyzną w średnim wieku, ubranym w pizamę i szlafrok, którego poły powiewały na wietrze wokół jego nóg. Mężczyzna

mówił, gestykulując. Funkcjonariusz kiwał głową i notował w małej książeczce, po czym wyciągnął telefon komórkowy i zadzwonił. Sąsiad Niny Hagen spojrzał w moją stronę, pochylił się nieco, żeby lepiej mnie widzieć, a ja instynktownie odwróciłem twarz. Szok już mi przechodził. Nie bałem się ani nie martwiłem – jeszcze nie – ale sytuacja wydawała mi się żenująca.

Trzasnęły drzwiczki, gdy policjanci się dosiedli.

– Jedźmy – powiedział ten na siedzeniu dla pasażera.

– W porządku. Zostawiłeś dane kontaktowe?

– Tak. Dałem sąsiadowi numer telefonu.

– Proszę mnie posłuchać – odezwałem się. – Zanim pojedziemy, czy ktoś może pójść na górę po laptopa, który leży...

– Zamknij się – przerwał kierowca.

– Ale to ważne. Nie jestem żadnym włamywaczem, tylko adwokatem i...

– Zamknij się pan – powtórzył. – Wyjaśniać będziesz na komisariacie. A teraz stul pysk, słyszysz?

Zrezygnowałem. Nie chcieli mnie słuchać. Wiedziałem, że powinienem zacząć myśleć o sobie. Nieco później spróbowałem znowu.

– Czy mogę coś powiedzieć bez ryzyka, że zostanę uciszony?

Usłyszałem chrząknięcie z przedniego siedzenia. Uznałem je za przyzwolenie i ciągnąłem tak wolno, wyraźnie i rzeczowo, jak tylko mogłem.

– Chciałem tylko powiedzieć, że nazywam się Mikael Brenne. Jestem adwokatem. Proszę, by skontaktowali się panowie z Królem Słońce, to znaczy Breivikiem z sekcji narkotykowej.

Mężczyzna na siedzeniu dla pasażera odwrócił się do mnie.

– A po co?

- Proszę mu tylko powiedzieć, o kogo chodzi i co się stało.
- Jest środek nocy.
- Niech pan po prostu zadzwoni, zapewniam, że nie będzie miał nic przeciwko.

Król Słońce wyglądał, jakby miał coś przeciwko. Był czerwony na twarzy, włosy miał rozczochrane, a kurtkę krzywo zapiętą. Wpadł we wściekłość, gdy tylko mnie zauważył, ale, co najważniejsze, przyszedł. Najpierw jednak trochę na niego poczekaliśmy. Nie wiem, co powiedział dwóm funkcjonariuszom, którzy mnie przywieźli, lecz kiedy dotarliśmy na komisariat i wtoczyliśmy się na podwórze, zostaliśmy w samochodzie, zamiast, jak to zwykle bywa, udać się na przesłuchanie.

Odciągnął mnie na bok, gdzie nikt nas nie mógł usłyszeć.

- Co się, kurwa, dzieje, Brenne?!

Wzruszyłem ramionami.

- Miałem pecha.

Wyraz jego oczu daleki był od wyrozumiałości.

- Pecha? Słyszałem, że włamywać ci się zachciało. A teraz myślisz, że będę dla ciebie nadstawiał karku?!

- Włamałem się do domu Niny Hagen – powiedziałem cicho.

Umilkł.

- Do Niny Hagen?

- Tak.

- Ale nie mówiłeś nikomu, że pomogłem ci... w uzyskaniu informacji na jej temat?

Posłałem mu wymowne spojrzenie.

- Nikomu nic nie mówiłem i najchętniej bym tego nie robił. Ale znalazłem coś. Coś ważnego. I wolałbym nie przechodzić tutaj przez cały ten młyn, żeby trafić do aresztu. Mógłbym się tam natknąć na

moich klientów. Poza tym w poniedziałek muszę być na rozprawie Hansa Godvika.

Westchnął z umęczonym wyrazem twarzy. Następnie podszedł do dwóch funkcjonariuszy, wdał się z nimi w cichą rozmowę, potem nieco głośniejszą, przy której zapalczywie gestykulował. Po chwili tamci wzruszyli ramionami i odjechali.

– Chodź ze mną – rozkazał Król Słońce.

– Gdzie?

– Do mojego gabinetu.

– A mógłbyś najpierw zdjąć mi kajdanki?

– Powinny zostać tam, gdzie są – odparł oschle, ale spełnił moją prośbę.

Potrząsnął głową.

– Nie, nie, nie. To nie takie proste.

– Dlaczego?

– Po pierwsze patrol zgłosił twoje nazwisko, wraz z informacją, że złapano cię na gorącym uczynku. Poza tym ja nie mogę zlecić przeszukania, bo nie jestem prawnikiem, dobrze o tym wiesz.

– To zadzwoń do dyżurnego. – Dyżurny to ten prawnik policyjny, który akurat ma dyżur.

Znowu potrząsnął głową.

– Dyżurnym jest Samdal.

– O! – Wiedziałem, co miał na myśli. Samdal był najbardziej oschłym, upartym i najmniej przychylnym funkcjonariuszem policji na świecie. Ogólnie mówiąc, nienawidził adwokatów, szczególnie zaś mnie.

Król Słońce złapał telefon.

– Do kogo dzwonicz? – zapytałem, ale zbył mnie machnięciem ręki i odezwał się do słuchawki:

– Przepraszam, że przeszkadzam, mówi Breivik, Breivik z sekcji narkotykowej. Sytuacja wygląda tak, że... – Przez chwilę słuchał, po czym rzekł: – Tak sędzę. Chodzi o adwokata nazwiskiem Brenne. Zgadza się, Mikael Brenne. Adwokat, tak. Aresztowano go za włamanie. – Kolejna przerwa. – Tak, zgadzam się w zupełności, to powinno wystarczyć, ale sprawa jest nieco bardziej skomplikowana. Myślę, że najlepiej będzie, jeśli pan tu przyjdzie. – A później: – Tak, obawiam się, że to konieczne.

Kiedy odłożył słuchawkę, spojrział nań pytająco.

– Inspektor – odparł. – No to czekamy.

Inspektor policji Soltvedt pocierał ręką czoło, przyglądając mi się z rezygnacją.

– Przypomina pan sobie, jak starał się u nas o pracę, Brenne? – zapytał. – Dopiero odebrał pan dyplom i przeprowadzałem z panem rozmowę kwalifikacyjną.

Przytaknąłem nieco wyczekująco.

– Wie pan, dlaczego nie dostał u nas pracy?

– Nie.

– Nie chodziło o niedostateczną znajomość prawa, nie miałem też wątpliwości, że w pracy biurowej pan sobie poradzi. Powodem było to, że po czterdziestu pięciu minutach rozmowy wyrobiłem sobie stanowczy pogląd, że nie jest pan osobą, która działa zgodnie z zasadami, lubię zaś, gdy na moim posterunku tak właśnie toczą się sprawy. – Westchnął. – Wydaje mi się, że słusznie wtedy postąpiłem. W gruncie rzeczy dziś w nocy dowiódł pan, że miałem rację.

Nie widziałem powodu do komentarza. Dlatego spytałem:

– A co z Niną Hagen? Zamierza pan coś z nią zrobić? Jest zamieszana w co najmniej jedno morderstwo. Może więcej. Tak czy

inaczej, złożyła fałszywe zeznanie w sprawie Alvina Mo. Jeśli chcecie robić, co do was należy, to trzeba wydać nakaz przeszukania i wysłać kogoś do jej domu.

Widziałem po jego minie, że mu się to nie spodobało.

– Mówi pan, że jest zamieszana w zabójstwo Mai? I śmierć Alvina Mo?

– Tak, to prawdopodobne. Tak sądzę.

– Włamał się pan, Brenne.

– To już zupełnie inna sprawa, czyż nie?

Zerknął na zegarek.

– Zadzwoń do prokuratora – powiedział. – Skoro my jesteśmy na nogach, to on też może wstać.

– Ja też chcę wykonać telefon – oświadczyłem.

– Do kogo?

– Potrzebuję adwokata.

Peter i Christer Bonde przybyli w odstępie pięciu minut. Zacząłem mieć dość ludzi pytających, co mi strzeliło do głowy. Peter miał ściągnięte rysy, niewiele mówił i zachowywał się poprawnie, ale widziałem, że w głębi ducha jest wściekły. Natomiast Christera Bondego nie można było nazwać małomównym.

– Dopilnuję, żeby cię oskarżono i skazano, Brenne! – darł się. – Wczoraj już to przerabialiśmy. To nic innego niż kolejny durny adwokacki wymysł. Nie myśl, że mi, kurwa, odbierzesz tę sprawę!

– Czy ty jesteś skończonym idiotą, Christer?! – ryknąłem. Odczuwałem brak snu i jego wrzaski podziały mi na nerwy. – Myślisz, że decyduję się na wykroczenie tylko po to, żeby cię pognębić? I w jaki sposób to zajście miałyby mi się przysłużyć w sądzie, możesz mi wyjaśnić?

Zaczęliśmy na siebie krzyczeć. Inspektor Soltvedt krzyczał,



żebyśmy przestali krzyczeć. To Peter uspokoił sytuację.

– Posłuchajcie mnie przez chwilę – powiedział. – To nas donikąd nie prowadzi. Usiądźcie i posłuchajcie.

Po kilku minutach poszliśmy za jego radą. Christer Bonde był czerwony na twarzy.

– Okej – rzekł Peter. – Mamy tu dwie oddzielne kwestie. Po pierwsze, Mikael dokonał włamania. Ten fakt już sam w sobie jest sprawą, którą należy rozwiązać w ramach wyznaczanych przez system.

Nie zrozumiałem do końca, co miał na myśli, i nie spodobał mi się sposób, w jaki się wyraził, ale pozostali przytaknęli, a szybkie spojrzenie, jakie rzucił mi Peter, skutecznie zamknęło mi usta.

– Po drugie, Mikael jest świadkiem w ewentualnej sprawie karnej. Jego zeznanie pozwala stwierdzić, że istnieje realna możliwość, iż Nina Hagen złamała prawo. – Christer Bonde chciał przerwać, ale Peter podniósł rękę. – Nie mam pojęcia, czy faktycznie ma ona coś wspólnego z zabójstwem Alvina Mo. Wiem jednak, że policja i prokuratura zobowiązane są zweryfikować informacje dostarczone przez Mikaela, bez względu na inne kwestie, problemy i sprzeczność interesów. W przeciwnym razie będzie to zaniedbanie. – Wypowiadając ostatnie słowa, spojrzał prosto na Bondego.

To wystarczyło.

– Dobrze – rzekł prokurator. – Wyślijcie paru ludzi. Wydam nakaz przeszukania. – Nie podobało mu się to, wiedział jednak, że Peter ma rację, i nie chciał podejmować ryzyka, które w przyszłości mogłoby przysporzyć mu problemów.

– A co z Brennem? – półgłosem zapytał Król Słońce. – Co ja mam z nim zrobić, do licha? Wsadzić go za kratki czy co?

– Najpierw zaczekajmy na wyniki przeszukania – zasugerował Peter. – Można tu dostać kawy?

Znaleźliśmy sobie z Peterem wolny gabinet.

– Słuchaj – odezwałem się – to nie było... – Zanim jednak zdążyłem coś dodać, przerwał:

– Już nic mi nie mów, Mikael. Nie odzywaj się do mnie. Jestem taki wściekły, że nie zdołam się opanować, jeśli znowu zaczniesz. Później o tym porozmawiamy.

Przez chwilę siedzieliśmy w milczeniu, po czym burknął:

– Jesteś idiotą, Mikael.

Czekaliśmy półtorej godziny. Na poważnie zacząłem odczuwać zmęczenie: kiwałem się na krześle, walcząc z sennością. Już miałem się poddać, gdy Król Słońce zapukał wreszcie do drzwi i poprosił, byśmy przeszli do jego gabinetu.

Christer Bonde i inspektor Soltvedt już na nas czekali. Obaj wyglądali ponuro. Z wyrazu ich twarzy odgadłem, że sprawy nie mają się za dobrze.

– I co? – spytał Peter.

– I nic. Posłaliśmy ludzi do domu Hagen, ale niczego tam nie znaleźli. Żadnych maili w laptopie. W ogóle żadnego laptopa. Nina Hagen twierdzi, że nie ma i nigdy nie miała laptopa. Ponadto mówi, że szpieguje pan jej znajomych i przyjaciół i bezzasadnie ją pan przesładuje. Rozważa, czy nie zgłosić tego na policję.

Przez chwilę nikt się nie odzywał. Na zewnątrz zaczęło już świtać; twarze wokół mnie były zmęczone i wrogie.

– Czy ktoś powiadomił ją o włamaniu? Czy ci dwaj idioci, którzy mnie pojмали, zadzwonili do Niny Hagen, żeby jej o tym powiedzieć? – zapytałem.

I znów na moment zapadła cisza, po czym Król Słońce skinął

głową.

– Zadzwonili.

– W takim razie wyrzuciła laptopa. Miała kupę czasu, zanim udało wam się wreszcie podjąć decyzję. Weźcie ją na przesłuchanie. Przyciśnijcie. Znajdźcie ten komputer, gdzieś musi być.

Wiedziałem, że to bez sensu, mogłem to wyczytać z ich twarzy.

– Nie wiem, co ty kombinujesz, Brenne – powiedział wolno Christer Bonde – i nie chcę wiedzieć. Nie mamy nic do zarzucenia Ninie Hagen i nie zamierzamy podążać dalej tym tropem.

– Myślisz, że skłamałem? Że wszystko zmyśliłem?

Jego głos był równie spokojny, co przedtem.

– Nie chcę się do tego ustosunkowywać. Wiem tylko, że dla wygranej zrobisz wszystko. Oraz że nie będziemy się więcej zajmować Niną Hagen. – Wstał. – Poza tym wiem, że rozprawa, która zaczyna się w poniedziałek, czyli właściwie jutro, będzie przebiegać normalnie. – Odwrócił się w moją stronę. – To oznacza, Brenne, że z powodu włamania, którego dokonałeś dziś w nocy, czeka cię zwykle postępowanie karne. Ale – dodał, zwracając się do inspektora policji – nie chcę słyszeć o żadnych komplikacjach mogących opóźnić proces. Dochodzenie musi poczekać, aż sprawa główna dobiegnie końca. Zresztą, jak się domyślam, dochodzenie to nie więcej niż przesłuchanie, na którym Brenne musi się stawić.

Soltvedt przytaknął. Prokurator kontynuował opanowanym tonem:

– To oznacza również, że chcę, by o tej sprawie było cicho. Na razie ani słowa prasie, żadnych plotek na komisariacie. Nic. Czy to jasne?

Soltvedt spojrzał nań z rezygnacją.

– Jak niby mam tego dokonać? Sprawa została zarejestrowana,

Brenne był tu przez całą noc, a komisariat przecieka jak sito.

– Mam to gdzieś – warknął Bonde. – Ma być tak, jak chcę. Nie życzę sobie cyrku, ale rozprawy. I nie obchodzi mnie, jak pan to zrobi, po prostu ma pan to zrobić i już!

Wyszedł, trzaskając drzwiami. Siedzieliśmy bez słowa, aż Soltvedt spojrział ze zmęczeniem na Petera i rzekł:

– Panie mecenasie, proszę wziąć swojego klienta i iść do domu.

Peter skinął głową i pożegnał się, pozostali zaś odpowiedzieli mu tym samym. Ze mną nikt się nie pożegnał. Nawet nie zaszczycili mnie spojrzeniem.

## Rozdział 46

Wróciłem do domu autobusem. Mój samochód stał zaparkowany na ulicy przed domem Niny Hagen. Był niedzielny poranek i moi współpasażerowie wyglądali rześko w spacerowych ubraniach. Jedyne wyjątkiem stanowił młody mężczyzna, który zapewne wracał z całonocnej imprezy. Siedział z wyciągniętymi nogami, a broda opadła mu na pierś. Za każdym razem, gdy autobus się zatrzymywał, chłopak podrywał się i rozglądał, po czym głowa znów mu opadała.

Ze zmęczenia zupełnie przestałem kojarzyć: żadnych myśli, żadnych emocji. Nigdy jeszcze droga od przystanku do domu nie była tak ciężka. Zatrzasnąłem za sobą drzwi, poszedłem prosto do łóżka i odpłynąłem, nim jeszcze moja głowa dotknęła poduszki.

Przebudzenie odczułem, jakbym wypłynął z głębokiej wody. Głowę miałem jak z waty, a kończyny dwakroć cięższe niż zwykle. W ustach czułem cierpki smak. Przebudzenie oznaczało również przywołanie w myślach tego, co zdarzyło się nocą; impuls strachu biegnący nerwami, doznanie, które przypomniało mi czasy młodości, gdy wstawałem po tym, jak zbyt dużo wypilem, ogarnięty paralizującym strachem, co mówiłem i robiłem poprzedniego wieczoru – strachem podsycanym przez brak wyraźnych wspomnień.

Leżałem w łóżku, próbując się uspokoić i racjonalnie ocenić

sytuację, ale nie byłem w stanie. Miałem ochotę spać dalej, naciągnąć kołdrę na głowę i o wszystkim zapomnieć, ale musiałem pójść do toalety, bo pełny pęcherz skutecznie uniemożliwił mi dalsze leżenie.

Kiedy wyszedłem z łazienki, sprawdziłem komórkę. Dzwoniła Kari. Dzwoniła Synne. Żadnych nieznanych numerów. Czyli teoretycznie żadnych dziennikarzy.

Zjadłem co nieco, po czym zatelefonowałem do Synne i umówiłem się z nią na spotkanie w biurze godzinę później. Nie zdążyłem wybrać numeru Kari, gdy odezwała się sama.

– Będę wieczorem, koło ósmej. Tata mnie podrzuci.

Odparłem, że się cieszę.

– Czy coś jest nie tak?

– Nie, dlaczego?

– Twój głos brzmi tak smętnie.

– Skądże – odparłem. – Jestem po prostu zmęczony. Zaraz wychodzę do biura, ale będę w domu, gdy wrócisz.

Dobrze mnie znała.

Synne zaczęła kręcić głową niemal na samym początku mojej opowieści o tym, co się wydarzyło, i przestała dopiero, gdy skończyłem mówić. Kiedy zamilkłem, oznajmiła:

– To najbardziej pomyłona historia, jaką słyszałam. Ty masz naprawdę nierówno pod sufitem, Mikael.

– Owszem – przyznałem. – Ale tak właśnie było. Pomyślałem, że musisz się o tym dowiedzieć. Skoro to już się zdarzyło. Możliwe, że usłyszą o tym gazety.

– Skąd?

– Od policji. Wielu jest tam takich, którzy donoszą prasie. Albo od Niny Hagen.

– Sądysz, że tak będzie?

Westchnąłem.

– Nie wiem, Synne. Jakoś nie mogę dzisiaj logicznie myśleć.

Nieco później:

– Mikael, jeśli o tym zrobi się głośno...

– Zrobi się.

– Co z twoją licencją? Możesz ją stracić?

– Chyba tak.

– Nie powinniśmy zacząć działać? To katastrofa.

Potrząsnąłem głową.

– Zapomnij, Synne. Później będzie dość czasu, by się nad tym zastanowić. Teraz musimy zająć się sprawą morderstwa.

Wziąłem taksówkę, aby odebrać samochód, i przyjechałem do domu na długo przed powrotem Kari. Kiedy weszła, obrzuciła moją twarz szybkim spojrzeniem i spytała, co jest nie tak. Westchnąłem, pomogłem jej zdjąć płaszcz i poprosiłem, by udała się ze mną do kuchni. Piliśmy herbatę i ja opowiadałem, ona zaś słuchała. Nie spodobała jej się moja opowieść.

– To był idiotyzm, Mikael.

– Miałem pecha, a Nina Hagen – szczęście. Równie dobrze mógłbym teraz dysponować dowodem, że jest współwinna zabójstwa Mai.

Kari była nieugięta.

– Może i tak, ale nie zmienia to faktu, że zachowałeś się jak idiota. Boże drogi, Mikael, jesteś adwokatem! Masz czytać dokumentację i chodzić do sądu, a nie włamywać się, do ciężkiej cholery!

Rzadko przeklinała. Przyjrzałem się jej oczom, gorączkowym czerwonym plamom na obu policzkach i uznałem, że najmądrzej

będzie się z nią zgodzić. Nie byłem w nastroju do kłótni.

– Masz rację – przyznałem. – To było głupie.

Pokrzyczała jeszcze, po czym się uspokoiła. Powiedziałem jej, że ryzykuję utratę licencji adwokata, na co znów uniosła się gniewem. Słuchałem jej przez chwilę, po czym poprosiłem:

– Posłuchaj, Kari. Wiem, że racja jest po twojej stronie, ale nic już nie mogę z tym zrobić. Co się stało, to się nie odstanie. Nie krzycz już na mnie dzisiaj. Zajmiemy się problemami, kiedy się pojawią.

Wciąż wyglądała na rozzłoszczoną, ale nic już nie powiedziała, więc dodałem:

– Jestem zmęczony. Mam przed sobą rozprawę, której początek przypada jutro. I bez kłótni jest źle.

Kari łatwo wpada w gniew, ale nigdy nie trwa on długo. Teraz także rysy jej zmiękły, a po chwili podeszła do mnie i otoczyła mnie ramionami.

– Idiota z ciebie, Mikael – powtórzyła, jednak tym razem jej głos zabrzmiał inaczej, i przytuliła policzek do mojego.

– Tak – westchnąłem. – Chcesz wypić kieliszek wina, zanim się położymy?

W ciemnościach jej głos brzmiał jak odarty ze wszystkiego, nieprzynależny ciału.

– Ta kobieta – powiedziała. – Nina Hagen. Całkiem cię opętała.

– Wcale nie.

– Tak. Sprawia, że tracisz wszelką zdolność osądu.

Leżałem, wsłuchując się w jej oddech, w ciszę, która zapadła po jej słowach.

– To morderczyni, Kari. Jest niebezpieczna.

– Może i tak, ale ty już zrobiłeś swoje. Zapomnij o niej, Mikael,



i skup się na nas.

– Dobrze – powiedziałem. – Tak zrobię.

Nieco później dodała:

– Mówię poważnie, Mikael. Pomyśl o nas.

W jej głosie słyszałem, że mi nie ufa.

## Rozdział 47

Mimo iż przespałem całe dziewięć godzin, gdy obudziłem się rankiem, wciąż byłem odrętwiały ze zmęczenia i ogarnięty niemal paralizującą niechęcią do tego, by zacząć nowy dzień. Uczucie ociężałości w ciele i głowie nie chciało mnie opuścić.

Wszedłem po schodach do sądu, dalej do hallu, gdzie skręciłem w prawo i kolejnymi schodami dostałem się na piętro. Przed wejściem dla prasy zebrał się tłumek cierpliwie czekających dziennikarzy, mnie zaś przeszył dreszcz. Nadal obawiałem się, że świat dowie się o włamaniu. Oni jednak tylko mi pomachali, a jeden z nich zawołał, głośno i wesoło:

– A z tą sprawą jak będzie?

W odpowiedzi machnąłem ręką i pospieszyłem do gabinetu sekretarza sądu.

Sekretarz nazywa się Ofte i, co uspokajające, jest mi dobrze znany i zyczliwy. Jak zwykle zaoferował kawę. Z wdzięcznością przyjąłem propozycję i złapałem parujący plastikowy kubek. Ofte opowiedział mi, co sędzi o sprawie, i przekazał parę plotek o innych adwokatach, ale odpowiadałem monosylabami, niezdolny do nawiązania zwyczajowej pogawędki.

– Ciężka sprawa? – spytał ze współczuciem.

Przytaknąłem.

– Tak. Myślę, że wejdę już do sali.

Nie miałem ochoty zostawać u niego do przyjścia prokuratora.

Mimo że do początku rozprawy pozostało jeszcze prawie pół godziny, sala już zaczęła wypełniać się widzami. Udałem się na swoje miejsce po prawej od stołu sędziego, czując na sobie ich spojrzenia. Wkrótce nadeszła Synne z dokumentacją i togami. Włożyliśmy je w milczeniu.

Kiedy wszedł Christer Bonde, nawet na mnie nie spojrzał, po prostu usiadł i zaczął wypakowywać akta. Wskazówki zegara doszły wolno do wpół do dziesiątej. Sala była prawie pełna. Wprowadzono Hansa Godvika pod eskortą; wstałem i przywitałem się z nim. Był poszarzały ze zmęczenia i drżały mu ręce. Niewiele mieliśmy sobie do powiedzenia, wkrótce więc obaj wróciliśmy na swoje miejsca.

Próbowałem wyczuć nastrój. Wielkie rozprawy mają własny nastrój. Tworzą go oczywiście nerwy, trzeba bowiem przejść przez ogień, ale nie tylko. Są także inne uczucia. Oczekiwanie, gdy w powietrzu wisi niemal elektryczne napięcie. Niechęć. Tuż przed tym, jak rzeczy przybierają poważny obrót, odkrywam w sobie ślad niechęci, bo jakaś częśćka mnie ma zawsze ochotę wrócić do domu, opuścić salę. Jest również świadomość faktu, że rozprawa to wysiłek, stres psychiczny i emocjonalny oraz swoisty maraton koncentracji. Wreszcie mam w sobie dużo agresji i gotowości na to, by czegoś dokonać, wykazać się bystrością – to nieomal dzika chęć do walki.

Tego nastroju jednak się nie doszukałem. Wyczułem w sobie niemal fizyczną niechęć, jak ciężar na przeponie, ale innych uczuć już nie. Żadnego napięcia, żadnej agresji i woli czynu. Jedyne, co czułem, to zmęczenie. Zastanawiałem się, czy nie są to oznaki zbliżającej się choroby.

Wreszcie weszli sędziowie z przewodniczącym pośrodku. Ten uderzył młotkiem w stół i się zaczęło. Rozpoczął się wstępny taniec: powolne, rytualne zabiegi, przez które trzeba przebrnąć, żeby mogła się zacząć właściwa walka. Wybrano jury, czy, mówiąc poprawniej, ławę przysięgłych, i jej członkowie złożyli przysięgę. Wskazano przewodniczącego ławy przysięgłych. Hans Godvik musiał wstać i odczytano mu akt oskarżenia. Potrząsnął głową i wymamrotał, że jest niewinny, tak cicho, że musiałem powtórzyć jego odpowiedź. Potem była mowa o świadkach i planie rozprawy. Na początku rozprawy wszystko ciągnie się w nieskończoność. W końcu przewodniczący sądu skinął do Christera Bondego i rzekł:

– Panie prokuratorze, może pan wygłosić mowę wstępną.

To z tymi słowami wszystko się zaczyna.

Bonde mówił w sposób uporządkowany, jasny i systematyczny, był też jednak niezwykle agresywny. Mowa wstępna z założenia ma stanowić prezentację faktów oraz dowodów, które przedstawi prokuratura. Nie jest podobna w formie ani do mowy końcowej, ani do rozprawki, w której przekonuje się ławników drogą argumentacji. Ma na celu zorientowanie słuchaczy. W sprawach karnych tylko prokurator i obrońca dysponują dokumentacją. Ława przysięgłych nie otrzymuje niczego, podobnie sędziowie, tak by mogli oni zacząć od czystej karty i wydać wyrok tylko w oparciu o przedstawione w sądzie dowody. Dlatego też mowa wstępna jest ważna: to dzięki niej powstaje szkielet sprawy, a dowody, które mają być zaprezentowane, zyskują właściwy kontekst. Z tego też względu mowa przeważnie jest nudna. Jednak tego dnia prokurator rozgrzał się bardziej niż zwykle.

Mówiąc, zerkał często na Hansa Godvika, wskazywał nań palcem, robił dramatyczne pauzy, używał zwrotów: „dowiodę ponad

wszelką wątpliwość”, „jawna wina”, „niepojęta, bestialska zbrodnia”.

Rozwazałem, czy się nie wtrącić, ale na samą myśl o tym, że miałbym wstać, czułem dziwną niechęć. Synne wierciła się niespokojnie na krześle obok i co chwilę na mnie zerkiała. Nie potrafiłem wybrać odpowiedniego momentu ani znaleźć właściwego komentarza, tak jakby słowa Bondego docierały do mnie za późno, zużywały zbyt wiele sekund, żeby dostać się w głąb kory mózgowej, zostać przeanalizowane i zrozumiane, tak że kiedy wreszcie byłem gotów zaprotestować, stosowny czas mijał, a prokurator przechodził do innej kwestii.

Christer Bonde mówił i mówił, wskazywał Hansa Godvika, wymachiwał palcem wskazującym przed sędziami, jakby na poparcie swoich racji. Wreszcie wtrącił się przewodniczący:

– Panie prokuratorze, to nie jest mowa końcowa – upomniał. – Proszę trzymać się prezentacji. Nie ma powodu, by wyprzedzać bieg sprawy.

Bonde skinął głową.

– Dobrze, wysoki sędzie.

Po tym napomnieniu poprawił się, ale niewiele. Wciąż balansował na krawędzi tego, co dopuszczalne. Byłem zirytowany, ale zarazem czułem, jakbym się zapadał. Bonde był w aż nazbyt wysokiej formie, a sposób, w jaki przedstawił dowody – powolny i pieczołowity – cechowało coś nieodwracalnie pogrążającego. Znałem sprawę, wiedziałem o wszystkim, co miało nadejść, i byłem na to przygotowany, ale dopiero gdy wysłuchałem prokuratora, w pełni pojąłem, jak źle wygląda sytuacja. Zerknąłem na Hansa Godvika. Musiał czuć to samo. Wbijał wzrok w blat stołu, a twarz miał szarą jak papier.

Prokurator skończył, zarządzono przerwę, a potem przewodniczący sądu zapytał, czy i ja chciałbym coś powiedzieć. obrońcy również mogą wygłaszać mowy wstępne, ale w żadnym wypadku nie jest to ich obowiązkiem. Z reguły do prezentacji prokuratora niewiele można dodać na temat faktycznego stanu rzeczy. Mimo to mam w zwyczaju zabierać głos, w każdym razie w sprawach rozstrzyganych przez ławę przysięgłych. Przysięgli są alfą i omegą. To oni orzekają o winie. Od nich wszystko zależy. Dlatego chcę się im przedstawić, przemówić do nich, stać się w ich oczach człowiekiem z krwi i kości, nie zaś anonimowym adwokatem. Każdemu krokowi, jaki w ciągu następnych dni podejmuję na sali rozpraw, towarzyszy świadomość, że patrzą na mnie przysięgli.

Dlatego wstałem z miejsca – ale zaraz tego pożałowałem. Przemawianie w sali sądowej zwykle przychodzi mi łatwo. Gdy tylko miną pierwsze sekundy tremy, mowa toczy się sama, słowa płyną same i zawsze mam takie uczucie, jakbym myślał jaśniej i szybciej niż zwykle. Tego dnia było inaczej. Słowa nie przychodziły, trochę się zacinałem, gubiłem sens zdań i musiałem zaczynać od nowa. Usiłowałem zaś uświadomić ławnikom niebezpieczeństwo związane z zaakceptowaniem w całości prezentacji prokuratora.

– Każda sprawa karna przedstawiona na sali rozpraw nabiera znamion fikcji, opowiadania, powieści – oznajmiłem. – Rzeczywistość jest nieco inna, składa się z milionów chwil, zdarzeń i doznań zmysłowych. Podczas sprawy karnej wybieramy małe fragmenty tej rzeczywistości, aby je państwu przedstawić. Nazywamy to postępowaniem dowodowym, a zadaniem prokuratora jest sprawić, by te małe, wybrane części

rzeczywistości pasowały do siebie, tworzyły spójną całość. Jak opowieść z początkiem, rozwinięciem i zakończeniem. Jak pełna powieść. Jak rzeczywistość. To rodzaj układanki, którą układa się do końca, aż wszystkie puzzle do siebie pasują, a my z westchnieniem ulgi możemy przechylić się w fotelu i stwierdzić, że skończyliśmy, że wszystko jest na swoim miejscu.

– Ale – próbowałem wyjaśnić – w rzeczywistości tak nie jest. Czasem bywa, że części do siebie pasują, tylko dlatego że je odpowiednio dobierzemy, inne zaś odrzucimy. Moim zadaniem jest przedstawić państwu te właśnie niepasujące części. Moim zadaniem jest skłonić państwa do krytycznego myślenia. Moim zadaniem jest sprawić, by zastanowili się państwo, czy rzeczywistość faktycznie wygląda tak prosto i rzejrzyście, jak chce tego prokurator. Wreszcie, moim zadaniem jest sprawić, by zadali sobie państwo trudne pytania.

To właśnie chciałem powiedzieć, ale mi się nie udało. Zdania nie brzmiały tak, jak powinny, brakowało mi przekonania i żaru. Sposób przekazu jest kluczem do sztuki adwokackiej. Sposób przekazu i zaangażowanie to cechy dobrych obrońców. Zwykle przychodzi mi to naturalnie, ale nie tego dnia, tego dnia spadłem do przeciętnego poziomu. Przysięgli się niecierpliwili. Ktoś ziewnął. Pociłem się.

Zrobiłem sobie przerwę i napiłem się wody. W głębi mojego umysłu coś drgnęło niespokojnie jak jaszczurka. Poczulem przyływ paniki. Odstawiłem szklanę, nieco się pochyliłem i powiedziałem coś, czego nie planowałem.

– Prokurator wspomniał o motywie. Nie rozwodził się nad tym, stwierdził tylko krótko, że motywem Hansa Godvika był fakt, iż uważał on Alvina Mo za mordercę swojej córki, ten zaś został

oczyszczony z zarzutu morderstwa. To prawda i ja sam byłem obecny tu, na sali, gdy to nastąpiło, w roli obrońcy Alvina Mo. Mo został uniewinniony. W niniejszej sprawie mam zamiar wykazać państwu, że wyrok ten był błędny. Alvin Mo zabił Maję Godvik, w sposób co najmniej tak bestialski i oburzający, w jaki sam zginął. Mogą mnie państwo zapytać, dlaczego poruszam tę kwestię. Odpowiedź jest prosta. Nie uważam, żeby Hans Godvik był winny popełnienia czynu, o który go oskarżono. Zdaję sobie jednak sprawę, że może zostać skazany. Jeśli tak się stanie, ważne jest, żeby poznali państwo możliwą przyczynę. Jeśli Hans Godvik zabił Alvina Mo, to zrobił to, ponieważ chciał pomścić córkę. Ponieważ jest człowiekiem, któremu odebrano wszystko, co miało dla niego znaczenie. Ponieważ szalał z rozpaczy.

Prokurator gwałtownie uniósł wzrok. Spojrzał na mnie i coś zanotował. Powiedziałem: „szalał z rozpaczy” i wiedziałem, o czym Bonde pomyślał. Przyszło mu pewnie do głowy, iż będę utrzymywał, że Hans Godvik był niepoczytalny w chwili popełnienia zbrodni, że dosłownie był niespełna zmysłów, gdy zabijał Alvina Mo.

Kiedy skończyłem, cały ociekałem potem. Synne spojrzała w moją stronę.

– Wypadłeś bardzo dobrze – mruknęła, ale szybko spuściła wzrok i wiedziałem, że nie mówi prawdy. Całkiem straciłem głowę. Wiele razy sprzeczailiśmy się o to, czy w mowie wstępnej powinienem poruszyć kwestię niepoczytalności Hansa Godvika, jego stanu psychicznego, przy czym raz po raz odmawiałem. „Nie da się mieć dwóch poglądów jednocześnie – tłumaczyłem jej – w każdym razie nie stojąc przed ławą przysięgłych. Albo twierdzimy, że jest niewinny, albo nie. Wystarczy, że zacznę mówić, iż w chwili



przestępstwa mógł być niepoczytalny, a stracimy całą wiarygodność. To tak jakbyśmy uznali jego winę. Jakbyśmy zakładali, że to zrobił. Ława przysięgłych się tego uchwyci. To właśnie zapadnie im w pamięć. Mówienie o niepoczytalności na samym wstępie jest najgłupszą rzeczą, jaką mogę zrobić”.

A jednak to zrobiłem. Straciłem głowę, poczułem, jak grunt wymyka mi się spod nóg, i zrobiłem dokładnie to, czego nie powinienem. Nie był to dobry początek.

## Rozdział 48

Zeznania Hansa Godvika powoli, lecz nieubłagane przeradzały się w koszmar. Miałem złe przeczucia, już kiedy zajął miejsce dla świadków. Był szarobiały na twarzy, ręce mu się trzęsły, a wzrok, który stale kierował w moją stronę, przypominał wzrok zrozpaczonego dziecka.

Zaczęło się od dociekań przewodniczącego sądu. Nigdy nie rozumiałem, dlaczego to właśnie sędzia jako pierwszy przepytuje oskarżonego. Sędzia nie zna przecież sprawy, nie dysponuje dokumentacją ani nie ma rozeznania, w związku z czym nie może przygotować sobie pytań tak jak obrońca czy prokurator. Dąży do prawdy metodą prób i błędów. Czasem to działa, ale akurat nie przypadał jeden z tych szczęśliwych dni. Hans Godvik był zagubiony. Mamrotał. Sędzia raz po raz próbował go nakłonić, by się wyprostował i mówił do mikrofonu, ten zaś starał się wykonać polecenie, ale po chwili zapominał się i znów kurczył na krześle, a jedyne, co dało się słyszeć z jego ust, to mamrotanie. Przewodniczący, którego znałem jako życzliwego człowieka i zdolnego, lecz konwencjonalnego prawnika, irytował się. „Głośniej, panie Godvik” – powtarzał, a Hans próbował się poprawić, tymczasem zdążył jednak zapomnieć pytanie i sędzia musiał mu je przypominać. Po godzinie wszyscy byliśmy spoceni i wyczerpani i wciąż daleko nam było do uzyskania spójnego

zeznania. Zarządzono przerwę.

– Musi pan wziąć się w garść, panie Godvik – powiedziałem w jej trakcie. – Musi pan się skupić. Im bardziej się pan przyłoży, tym szybciej to wszystko się skończy.

Przytaknął i zapewnił, że spróbuje, ale wzrok miał obojętny i rozkojarzony.

Po przerwie przyszła kolej na prokuratora. Jego dociekania miały niezwykle agresywną formę, co wcale nie poprawiło kondycji Godvika.

– Dlaczego obserwował pan dom Alvina Mo? – warknął. – Proszę mówić do mikrofonu.

– Nie obserwowałem go – wymamrotał Hans Godvik.

– Nie obserwował pan jego domu? – Christer Bonde zaczął powtarzać pytania, tak by zapadły w pamięć przysięgłym. – Co pan w takim razie robił?

– Nie wiem.

– Nie wie pan? Nie siedział pan w samochodzie przed jego domem?

– Siedziałem.

– Cóż, ja to nazywam obserwacją. Jak często pan tam siedział?

– Nie wiem.

– Nie wie pan? Nie może pan zasugerować, jak często się to panu zdarzało?

– Nie wiem.

– Więcej niż raz?

– Tak.

– Więcej niż dwa razy?

– Tak mi się wydaje.

– Co pan powiedział? Proszę mówić głośniej. Do mikrofonu.

- Tak. Przepraszam.
- Czy może pan powtórzyć odpowiedź?
- Ech... a jakie było pytanie?

I tak ciągnęła się rozprawa, a dzień dłużył się w nieskończoność. Christer Bonde był czerwony na twarzy. Członkowie ławy przysięgłych wili się jak w męczarniach. Zapadłem się na krzesło za moim stołem i marzyłem, żeby znaleźć się gdzie indziej. Tylko Synne siedziała wyprostowana i pilnie notowała pytania oraz odpowiedzi. Sędzia zakończył pierwszy dzień procesu, zanim przysła kolej na moje pytania.

– Pojedź do Godvika dziś wieczorem – powiedziałem później Synne. – Spróbuj go rozruszać.

Spojrzała na mnie z powątpiewaniem.

- Czy nie ty powinienesz to zrobić?
- Boli mnie głowa. Nie mam siły. Ty to zrób.

Następnego dnia w sądzie panowała taka atmosfera, jakby żadna przerwa nie miała miejsca. Christer Bonde był równie agresywny, Hans Godvik zaś – równie rozkojarzony. Kiedy wreszcie przysła moja kolej, pochyliłem się, próbując zajrzeć mu w oczy i złagodzić swój głos. Zacząłem ostrożnie, od łatwych pytań, starałem się odnaleźć rytm, nawiązać z nim kontakt. Nieco pomogło. Jeszcze nim zacząłem zadawać pytania, wstałem, podszedłem do niego, przysunąłem mikrofon na sam skraj stołu i przygiąłem go w stronę Godvika. Posłałem mu zachęcający uśmiech.

– Na pytanie prokuratora potwierdził pan, że zastrzelił swojego psa. Przypomina pan sobie?

– Tak.

Skinąłem głową.

– Może pan wyjaśnić, dlaczego pan to zrobił?

Zamilkł.

– Panie Godvik? – odezwałem się. – Dlaczego zastrzelił pan psa?

– Nie wiem.

– No dobrze. Pamięta pan, jak pan to robił?

– Nie.

– W takim razie skąd pan może wiedzieć, że to w ogóle się stało?

– Pies nie żył. Leżał... na zewnątrz.

– Tak?

– Irene powiedziała, że to moja wina.

– Pańska żona. Jak na to zareagowała?

– Wpadła w histerię.

– A pan? Co pan czuł, zrozumiawszy, co pan zrobił?

Znów zamilkł, a jego milczenie przedłużało się i przedłużało. Tuż przed tym, jak miałem ponowić pytanie, podniósł wzrok i odparł:

– Nic.

– Niczego pan nie czuł?

– Nie sądzę, żeby zostały mi jeszcze jakieś uczucia.

Pod koniec spytałem:

– Czy pana zdaniem to Alvin Mo zabił pańską córkę?

– Tak.

– I podtrzymuje pan tę opinię, mimo iż Mo w świetle prawa został oczyszczony z zarzutu?

– Tak.

– Dlaczego?

– Bo mi to powiedział.

– Kiedy?

– W sądzie. W chaosie po ogłoszeniu wyroku. Podszedł do mnie i mi to powiedział.

Na sali zaległa głucha cisza.

– Co dokładnie powiedział?

Jego twarz skurczyła się, a usta zaczęły się trząść.

– Powiedział mi... Powiedział...

– Co takiego, panie Godvik?

– Powiedział, że wydawała dźwięki jak mały kotek. Gdy wbijał...  
n... gdy wbijał w nią nóż.

Ostatnie słowa wyrwały mu się wraz z jękiem zza rąk, w których ukrył twarz, w których próbował ją ukryć, skurczoną w grymasie świadczącym o całkowitym rozpadzie ducha, obnażającym go na oczach świata. Jego ramiona drgały, ale z gardła nie wydobył się żaden dźwięk. Umyślnie przedłużałem ten moment. Czekałem długo. Wreszcie zapytałem:

– Czy chciał pan śmierci Alvina Mo?

– Tak. Z całego serca.

Kolejna pauza. Przeciągałem ją tak długo, jak tylko mogłem, aż do chwili gdy cisza stała się niemal nie do zniesienia.

– I zabił go pan? Zabił pan Alvina Mo?

Potrząsnął głową niemalże ze smutkiem.

– Nie. Ale cieszę się, że ktoś to zrobił.

## Rozdział 49

Następnego dnia przewodniczący był w złym humorze i wyładował go na mnie. Wszyscy byli na miejscu, wyjąwszy Hansa Godvika.

– Co to ma znaczyć, panie mecenasie?

Wzruszyłem ramionami.

– Jest tak, jak mówi prokurator. Mój klient doznał załamania nerwowego i został odwieziony na pogotowie. Wiem nie więcej niż państwo.

– Kiedy możemy się go tu spodziewać?

– Tego nie wiem. Nie rozmawiałem z nim ani nie jestem lekarzem.

Spojrzał na mnie ponuro.

– Możemy kontynuować pod nieobecność oskarżonego?

– Nie – odparłem. – To wykluczone.

– Rozumiem. Ale nie podoba mi się to, panie mecenasie. Proszę zadbać o to, by doprowadzić tu oskarżonego tak szybko, jak się da.

Poczułem narastającą irytację.

– Nie jestem w stanie go tu doprowadzić, wysoki sędzie. W więzieniu uznano go za chorego i wysłano do szpitala. Co zdaniem sądu mógłbym zrobić w tej sprawie?

Zignorował moje pytanie.

– Cóż, rozprawa zostaje tymczasowo zawieszona. Proszę

przygotować się na to, że zaczniemy po lunchu. Proszę mnie informować. – Omiótł mnie spojrzeniem, po czym wstał i oddalił się, odprowadzany przez dwóch pozostałych sędziów.

Popatrzyłem na Christera Bondego.

– Skontaktuj się z eskortą Godvika. To twoja działka.

– To właśnie zamierzam – odparł, nie podnosząc oczu. Od początku rozprawy unikał kontaktu wzrokowego.

Miałem już serdecznie dość jego oschłości.

– Zadzwoń do mnie – rzuciłem. Potem wróciłem do biura, gdzie aż do lunchu rysowałem kółka na papierze. Kiedy wreszcie otrzymałem telefon, to nie od Bondego, ale jego sekretarki. Powiedziała, że Hans Godvik dostał tabletki i odwieziono go do więzienia, ale prawdopodobnie będzie gotów dopiero następnego dnia.

– A sąd? – zapytałem. – Czy sądowi przekazano tę wiadomość?

– Tak – odparła. – Zaczynają państwo jutro o dziewiątej.

Podziękowałem i odłożyłem słuchawkę. Wziąłem nową kartkę i wróciłem do rysowania kółek. Zastanawiałem się, czy nie mógłbym pójść do domu.

Zostałem, ale siedziałem beczynnie. O wpół do czwartej spakowałem się, złapałem płaszcz i już miałem wyjść, kiedy zadzwonił telefon. To była recepcja.

– Ktoś chce z panem porozmawiać.

– Kto taki?

– Jakaś Nina Hagen. Jest z nią adwokat.

Przypomniałem sobie jej pierwszą wizytę. Wtedy również byłem w samym środku rozprawy, ona zaś siedziała na tym samym krześle, które zajęła teraz, nieco spięta, ubrana zwyczajnie, nieumalowana, i swoją opowieścią przewróciła mi sprawę karną do



góry nogami. Policzki mi płonęły, gdy myślałem, jak mnie oszukali, ona i Alvin Mo. Obecnie znałem ją lepiej. Znów była neutralnie ubrana, tym razem na szaro. Szara bluzka i szare spodnie, które dziwnie kontrastowały z jej blond włosami, teraz jednak nałożyła makijaż i patrzyła mi prosto w oczy, a wzrok miała wyzywający.

Mówiła nie ona, ale jej adwokat. Znałem go i nie lubiłem. Był niski i tłusty, wygadany i pełen złodziejskiego sprytu. Nazywał się Sebastian Felder. Nie zaliczylibym go do błyskotliwych, ale mimo wszystko należało na niego uważać.

Przybrał poważny wyraz twarzy i rzekł:

– Co za przykra sprawa, Brenne.

Nie odpowiedziałem, więc po chwili dodał:

– Oczywiście zdaje pan sobie sprawę, że ten wybryk może pana kosztować licencję?

– Czego pan chce? – zapytałem, ale on już sobie ułożył, co ma mówić, i toku jego przemowy nie dało się zmienić.

– Jest mi naprawdę przykro i martwię się o pana. Nie chciałbym, żeby nie miał pan z czego żyć. Jest pan zdolnym adwokatem, mimo iż w tym przypadku stracił pan... jak by tu rzec... zdolność osądu.

– Ma pan jakąś propozycję? A może przyszedł pan tu z klientką tylko po to, żeby powiedzieć mi, jakie to wszystko przykre?

Nowy wyraz twarzy, tym razem zraniony.

– Oczywiście, że nie, Brenne. Najlepiej by było dla obu stron, gdybyśmy doszli do jakiegoś porozumienia. – Wskazał Ninę Hagen.

– Moja klientka chce pana pozwać o nękanie. Rzecz jasna muszę wesprzeć ją zawodowo, ale...

– Nękanie? A cóż to za orzeczenie, Felder?

Zrobił zirytowany ruch ręką.

– Wie pan, co mam na myśli. Zamierzałem natomiast powiedzieć,

że chętnie przyczynię się do tego, aby tej sprawy nie było.

– Tak? A w jaki sposób?

Spojrzał na mnie wymownie.

– Moja klientka odkryła niedawno, że została powołana na świadka w toczącej się właśnie sprawie karnej przeciwko Hansowi Godvikowi. To pan ją powołał.

– Owszem, zgadza się.

– Cóż, kiedy ona wolałaby tego uniknąć. Nie ma nic do dodania w tej sprawie.

– A co to ma wspólnego z...

Felder przestał robić teatralne miny. Wyglądał teraz po prostu na człowieka, którym był: upartego i naburmuszonego.

– Jeśli moja klientka będzie zmuszona stawić się w sądzie, to otwarcie opowie o włamaniu. Oraz o tym, że prześladował ją pan też na inne sposoby.

– A jeśli skreślę ją z listy świadków?

– Wtedy wycofa pozew i wyjaśni, że to było zwykłe nieporozumienie, że zapraszała pana, a szybko zbił pan przez przypadek. Sprawę, że wszystko się wyjaśni. To pański wybór. – Uśmiechnął się niezbyt pięknie, ale tym razem szczerze. – Musi pan zdecydować teraz, Brenne. Osobiście przyznam, że chętnie zobaczyłbym pańskie nazwisko na pierwszych stronach wszystkich gazet w kraju.

Patrzyłem na niego spokojnie, bez słowa, ale w głębi ducha czułem, że zapala się we mnie płomyk paniki. Wiedziałem, że ta sprawa stanowi poważne zagrożenie. Gdyby odebrano mi licencję, straciłbym środki do życia. Tak jak wszyscy miałem kredyt hipoteczny. Być może udałoby mi się dostać jakąś papierkową robotę, do której nie trzeba licencji, ale na samą myśl o tym żołądek

zaciskał mi się z niechęci. Przekonywałem się w myślach, że gdyby wiadomość o włamaniu ujrzała światło dzienne w toku rozprawy, byłaby to też katastrofa dla Hansa Godvika. Straciłbym wiarygodność. Poza tym jak dotąd nie wymyśliłem niczego, co mógłbym zrobić z Niną Hagen w sądzie.

– I co? Jak będzie, Brenne? – Felder był pełen wyczekiwania.

– W porządku. Umowa stoi. Chce pan to mieć na piśmie?

– Niech pan nie będzie idiotą. Oczywiście, że nie. – Wstał i wyciągnął do mnie rękę. – Dobrze, że się pan opamiętał.

Nie odpowiedziałem i udałem, że nie widzę jego ręki.

Nina Hagen po raz pierwszy się odezwała.

– Proszę na mnie poczekać na zewnątrz, panie Felder. Chciałabym zamienić parę słów z mecenasem na osobności.

Kiedy prawnik zamknął za sobą drzwi, spojrzałem na nią wyczekująco. Nagle uśmiechnęła się, wstała i przeciągnęła się lekko.

– Znalazł pan coś interesującego w moich szufladach? – Poczułem, że rumieniec rozlewa mi się na policzkach; nie mogłem nad tym zapanować, ona zaś uśmiechnęła się szerzej. Nie odpowiedziałem. – Podobało się panu? Był pan podniecony? – Czułem, że twarz płonie mi ze wstydu i złości. Roześmiała się cicho i niepokojąco ciepło. Gdzieś w głębi jej oczu pojawiła się iskierka triumfu.

– Zobaczyłem maila na pani laptopie – powiedziałem, chcąc przejść do ofensywy i przejąć kontrolę nad rozmową, a uśmiech zniknął z jej twarzy.

– Wiem, że przyczyniła się pani do śmierci Mai. Sądzę również, że to pani zabiła Alvina Mo, i prędzej czy później panią za to przyskrzynię.

– A więc tak pan to widzi – westchnęła. – Zastanawiałam się nad tym. Ale samo sądzenie nic panu nie da, prawda? Panie mecenasie, chcę, żeby odtąd trzymał się pan ode mnie z daleka. Mam pana dość.

– A jeśli tego nie zrobię?

– Pan grzebał w moim życiu, ja natomiast w pańskim. Mieszka pan z dziewczyną o imieniu Kari. Ma pan ojca w domu opieki. Kocha ich pan. Proszę o nich pomyśleć.

To powiedziawszy, odwróciła się i wyszła, ja zaś zostałem z twarzą zeszywniałą z upokorzenia i wściekłości. Spojrzałem na swoje ręce i odkryłem, że się trzęsą. W głębi ducha wiedziałem, że nie wynikało to wyłącznie ze złości. Nina Hagen była tylko kobietą, byłem od niej większy, a jednak nie miałem wątpliwości, że jest niebezpieczna.

Pod warstwą wściekłości i strachu kryło się coś jeszcze, coś, czego z początku nie uchwyciłem i do czego przyznałem się przed sobą dopiero, gdy położyłem się wieczorem do łóżka i przewracałem z boku na bok, nie mogąc zasnąć. Wstydziłem się. Uległem Ninie Hagen i dla uratowania domu i rodziny pozwoliłem, by wymusiła na mnie wykreślenie jej z listy świadków. Wiedziałem, że jest morderczynią. Mogłem sobie powtarzać w nieskończoność, że kierowałem się dobrem Hansa Godvika i że nic na nią nie mam, ale to nie pomagało. Czułem, że powinienem był zmusić ją do stawienia się w sądzie i zrobić, co w mojej mocy, by pokazać ławie przysięgłych, co to za kobieta. Może by mi się nie powiodło, ale powinienem był przynajmniej spróbować.

## Rozdział 50

Hans Godvik znów był na sali rozpraw. Nie wiedziałem, czy to skutek przeżyć na miejscu dla świadków, czy tabletek, jakie mu przepisano, stał się jednak jeszcze bardziej nieobecny myślami. O ile to możliwe. Kiedy zapytałem go, jak się czuje, odparł, że wszystko jest w najlepszym porządku, i z nikłym uśmiechem zapatrzył się w jakiś punkt za moimi plecami. Nie byłem pewien, czy przetrwa w jednym kawałku do końca procesu.

– Zaczyna świrować – powiedziała Synne po próbie rozmowy z nim, którą podjęła w trakcie przerwy. – Musimy coś zrobić.

Wzruszyłem ramionami.

– Musimy spróbować przebrnąć przez tę rozprawę. Nie możemy nic na to poradzić.

Ten sam lekarz sądowy, który brał udział w sprawie Mai, takim samym beznamiętnym tonem wymieniał rzeczowo rany, uszkodzenia i okaleczenia zadane Alwinowi Mo. Poprzednio widzowie wili się jak na torturach, teraz zaś jeden za drugim wychodzili z sali. Uciekali.

– Odcięte organy płciowe – mówił lekarz – o, tutaj, dwa gładkie cięcia... – I kolejni ludzie pognali do drzwi wyjściowych. – Język, cięcie po skosie, przy czym wygląda na to, że podjęto tu kilka prób. – Drzwi trzaskały raz po raz. – Oczy wyklute. Choć w zasadzie

precyzyjniej byłoby powiedzieć: nakłute. – Jedna z przysięgłych, starsza kobieta, siedząca w pierwszym rzędzie, przechyliła się przez balustradę i zwymiotowała na podłogę. Przewodniczący sądu wstał.

– Przerwa! – zawołał. – Ogłaszam przerwę.

Hans Godvik się roześmiał. Nie wiem, czy wszyscy to zauważyli, ale śmiał się, śmiał się dziwnie, niezbyt głośno, aż włosy stanęły mi dęba na głowie. Przyskoczyłem doń jednym susem i odwróciłem go od ławy przysięgłych.

– Co pan robi, do diabła?!

– Patrzył na moją córkę – odparł. – Patrzył, jak cierpiała. Ale teraz już niczego nie widzi. – I znów parsknął śmiechem. Objąłem go i wyprowadziłem. Zanim zamknąłem drzwi, zerknąłem przez ramię. Kilkoro przysięgłych, bladych i milczących, zmierzało do wyjścia, ale co najmniej troje stało jak wrytych, przyglądając się nam. Zakląłem.

Po przerwie rozprawa przebiegała dobrze. Sędzia nakazał prokuratorowi i lekarzowi ograniczyć liczbę zdjęć do minimum.

– Myślę, że zdążyliśmy już sobie wyrobić dokładny obraz ran, jakie zostały zadane – stwierdził. – Teraz poprzestańmy na tym, co naprawdę niezbędne. Te zdjęcia są obciążeniem psychicznym dla nas wszystkich.

Nie wychylałem się niemal do chwili, w której prokurator skończył zadawać pytania. Ja sam nie planowałem zadawać żadnych.

– Te rany – powiedział Christer Bonde nieco innym tonem niż dotąd. – Zastanawiałem się nad jedną rzeczą.

– Tak? – Lekarz był uprzejmy i słuchał uważnie.

– Cóż... Jak spostrzegłem, mamy tu obrażenia organów

płciowych, oczu, języka i palców...

– Nie tylko – odparł świadek. – Są także rany klute ciała. Oraz poderżnięte gardło.

– Tak, ale tę ostatnią ranę zadano najwyraźniej, by... dobić, że się tak wyrażę. Natomiast pozostałe, gdyby tak zestawzić je z zabójstwem Mai...

Lekarz sądowy wyglądał jak jeden wielki znak zapytania.

– Otóż chodzi mi o to, że Maja została zamordowana i zgwałcona i że być może da się psychologicznie zinterpretować te rany. Oczy, które ją oglądały, palce, które jej dotykały, genitalia, które... rozumie pan chyba, dokąd zmierzam.

Lekarz potrząsnął głową.

– Nie jestem wykwalifikowany do... – zaczął, ale ja w tym momencie już byłem na nogach, by zaprotestować.

– Na miłość boską, wysoki sędzie!

Przewodniczący rzekł tylko:

– Świadek nie musi odpowiadać na to pytanie. A pan, panie prokuratorze, sam wie dlaczego.

Było to ze strony Bondego okrutne pytanie, oparte na domysłach i insynuacjach. Mimo to nie mogłem zapomnieć śmiechu Hansa Godvika. „Patrzył, jak cierpiała. Ale teraz już niczego nie widzi” – powiedział.

Nastąpiła przerwa w obradach. Stałem samotnie na galerii poza salą rozpraw, niewidzącym wzrokiem patrząc na to, co dzieje się w wielkim hallu sądu; patrzyłem, jak wchodzą i wychodzą pracownicy, oskarżeni i świadkowie; widziałem ubranych w togę adwokatów, pogrążonych w napiętej rozmowie z klientami. Patrzyłem, nie widząc. Wzdrygnąłem się, gdy ktoś złapał mnie za ramię. Obróciłem się i ujrzałem twarz Irene Godvik.

– Wyłączył pan Ninę Hagen z listy świadków – rzuciła. Nie mówiła głośno, ale w jej głosie była jakaś intensywność, stłumiona wściekłość, która niemal budziła strach. Jej ręka zaciskała się na moim ramieniu jak szpon. Położyłem na niej dłoń i ostrożnie się uwolniłem.

– Zgadza się – odparłem.

– Dlaczego?

– Musiałem. Nie zebrałem przeciw niej wystarczających dowodów, nic bym nie zdziałał. Lepiej, by policja przejęła tę sprawę, będą pewnie...

Czułem, jak rumieniec występuje mi na policzki, słyszałem pustkę własnych słów.

– Obiecał pan...

– To by niczego nie dało, pani Godvik. Nie jestem cudotwórcą.

– Cały ten system jest przegniły! – syknęła.

– Proszę mnie posłuchać... – zacząłem, ale widziałem, że nie słucha. Znów była w swoim świecie, oddychała jak po biegu, a jej oczy lśniły, jakby miała wysoką gorączkę. Przez moment wydawało mi się, że straci panowanie nad sobą i zrobi mi scenę, ale ona tylko spojrzała na mnie z głęboką pogardą, okręciła się na pięcie i odeszła.

To były długie, trudne dni. Walczyłem nie tylko z prokuratorem oraz jego świadkami, lecz także z samym sobą. Z własną tępotą i ociężałością. Czułem się tak, jakbym pobiegł w maratonie i nie zdążył jeszcze odzyskać sił. Zmagałem się z własnym umysłem, z wolniejszym niż zwykle przepływem myśli, brakiem koncentracji i nieznośnym, przejmującym zmęczeniem, które sprawiało, że nawet w sądzie mrugałem oczami i tłumilem ziewnięcia.

I dzień w dzień był tam Hans Godvik, coraz bardziej



upodobniający się do odległego cienia, z którym nie sposób nawiązać kontaktu. Wydawało mi się, że widzę, jak jego upadek fizyczny z każdym kolejnym posiedzeniem przyspiesza swój bieg. Zacząłem czuć do niego niechęć, tak jakby jego winą było to, że znalazłem się w tej sytuacji, na tej sali, w związku z tą sprawą, w której nie chciałem uczestniczyć.

Synne starała się za nas wszystkich. Ciągle miała tyle samo energii, była pełna optymizmu i zagrzewała nas do walki, pilnie notowała, rozmawiała z Godvikiem w trakcie przerw, nalegała, żebyśmy poświęcali coraz więcej czasu na przygotowanie pytań dla świadków powoływanych następnego dnia. Ona również zaczęła mnie irytować, tak jakbym był krnąbrnym chłopcem, na którego pokrzykuje się, by w końcu odrobił lekcje. Wiedziałem, że to z mojej strony niesprawiedliwe, ale nie zawsze udawało mi się to ukryć. Synne bez mrugnięcia okiem przyjmowała moje dziecinne dąsy i lamenty.

Momentami było inaczej. Tak jakbym się zapominał i zaczynał funkcjonować normalnie. Miejsce dla świadków zajął jeden z techników kryminalnych; pewny siebie, oparł się wygodnie.

– Ustalmy coś – zaproponowałem. – Nie udało się wam znaleźć żadnych śladów biologicznych ani DNA na miejscu zbrodni, wyjąwszy te, które pochodziły od samego Alvina Mo.

– Zgadza się.

– Czy nie jest to niezwykle?

– Cóż... Z tego, co zrozumiałem, zmarły był odludkiem. Nie miał przyjaciół, którzy by go odwiedzali.

– A morderca, czy on nie powinien zostawić po sobie jakichś śladów?

– Niekoniecznie. Mógł być bardzo ostrożny.

– Aha. To zakłada pewien stopień rozwagi i planowania, tak by nie zostać złapanym, czyż nie?

– Tak.

– Co z kolei niezbyt pasuje do zachowania się oskarżonego w tej sprawie, prawda?

– Tego nie wiem – odparł świadek; prokurator otworzył usta, by zaprotestować, ale powiedziałem:

– W porządku, nie musi pan odpowiadać na to pytanie.

– Mógł po prostu mieć szczęście – zauważył cicho technik.

– Przypuszczam, że oglądaliście ślady krwi na miejscu zbrodni?

Zasięg krwi roztryśniętej w pokoju?

– Rzecz jasna.

– Dużo jej było, prawda?

Przytaknął.

– Jak w rzeźni.

– Mogę się domyślić. Jak daleko sięgała krew? To znaczy, czy roztrysnęła się wokół?

– Owszem, zgadza się. Krew trysnęła na kilka metrów od ofiary. Mogę znaleźć dokładniejsze pomiary... – Zaczął przerzucać papiery.

– Nie sądzę, żeby to było konieczne. Moje pytanie jest proste: czy morderca został obryzgany krwią?

– Oczywiście. I to całkiem sporą ilością.

– Jest pan tego pewien?

– W zupełności.

– Dziękuję.

Młody funkcjonariusz, który uczestniczył w przeszukaniu domu Hansa Godvika, właśnie skończył opowiadać o tym, jak znaleziono główne dowody. Spojrzałem na niego, przeniosłem wzrok na papiery, a potem znów na niego. Wyglądał na niespokojnego.

– Kiedy znalazł pan rolkę taśmy i zakrwawioną torbę, czy poniechaliście dalszych poszukiwań?

– Nie, sprawdziliśmy cały dom.

– Byliście w tym dokładni?

– Bardzo dokładni. To poważna sprawa.

– Owszem. Znaleźliście coś jeszcze?

– Nie.

– Nic więcej?

– Nie.

– A co z zakrwawionymi ubraniami? Natknęliście się na nie?

– Nie, nic z tych rzeczy.

– Mogliście je przeoczyć?

Stanowczo potrząsnął głową.

– Nie. Gdyby tam były, tobyśmy je znaleźli. Nie było żadnych ubrań.

– A gdzieś indziej? Na przykład w miejscu pracy Godvika czy w jego domku letnim? Znaleźliście coś ciekawego, wyjąwszy kartkę z nazwiskiem Alvina Mo?

– Nie.

– Wie pan, w co był ubrany Hans Godvik podczas aresztowania?

– Nie, musi pan zapytać kogoś innego.

Kolejny świadek, kolejny dzień.

– Był pan przy tym, jak Hansa Godvika przywieziono na komisariat?

– Tak.

– Czy ubrania, które miał na sobie, były czyste i nowe?

Cień uśmiechu.

– Nie, skądże.

– Może pan rozwinąć odpowiedź?

- Tak. Prawdę mówiąc, były niezwykle brudne i odpychające.
- Rozumiem. Jak długo, pana zdaniem, ich używał?
- Trudno powiedzieć. Co najmniej tydzień. Ale myślę, że dłużej.
- Właśnie. Były na nich plamy krwi?
- Nie.
- Czy to nie dziwne? Gdyby oskarżony nosił te ubrania tak długo, jak pan mówi, to musiałyby w nich zabić Alvina Mo.

Wzruszenie ramion.

- Może je zmienił.
- Może. Ale w takim razie dlaczego miałyby znów wkładać brudne ubrania?
- Nie wiem.
- Nie sądzi pan, że to dziwne?
- Nie wiem.

Tak wyglądały dobre chwile, tych jednak było niewiele i nic z tego, co przyszło mi do głowy, nie miało rozstrzygającej mocy. Dni składały się głównie z toczącego się wolno walca trywialności i dowodów. Christer Bonde był niezbyt błyskotliwy, ale systematyczny. Członkowie ławy przysięgłych coraz częściej zerkali na Hansa Godvika i nie podobały mi się ich spojrzenia. Odkąd obejrzelśmy zdjęcia zwłok Alvina Mo, w ich oczach dostrzegałem mieszankę litości i odrazy.

Na sali przebywała Irene Godvik; co dzień siadała na jednej z pierwszych ławek dla publiczności i śledziła tok rozprawy. Jako że miała być świadkiem, musiałem poprosić sąd o zgodę na to, by mogła przyglądać się obradom. Christer Bonde tylko wzruszył ramionami, nie miał zastrzeżeń. Pod koniec każdego posiedzenia podchodziła do Hansa i zamieniała z nim kilka słów, nigdy jednak nie zauważyłem, by się dotykali lub obejmowali. Nie spodobała mi

się myśl o tym, jakie wrażenie mogło to zrobić na przysięgłych, ale nie zdobyłem się na to, żeby poruszyć z nią ten temat.

Miejsce dla świadków zajął Tobias Munk i wiedziałem, że to jedna z niewielu szans, by zasiać u słuchaczy ziarno wątpliwości. Przystąpiłem do pytań o innych potencjalnych zabójców, dowodziłem, że Mo popełnił więcej gwałtów, których ofiary również miały partnerów, rodziców, słowem, że większa liczba osób miała powód do zemsty. Munk był niewzruszony jak stary dąb, który przetrwał niezliczone wichury. Doskonale rozumiał, do czego zmierzam.

– Sprawdziliśmy wszystkich – odparł. – Sprawdziliśmy i wykluczyliśmy.

– Wszystkich?

– Wszystkich, którzy z logicznego punktu widzenia mogliby żywić chęć zemsty.

Rozważałem kolejne kandydatury, drążyłem temat i dręczyłem świadka. Odpowiedział na każde moje pytanie. Z jednym wyjątkiem.

– Podczas pobytu w domu dziecka Alvin Mo został oskarżony o gwałt – powiedziałem. – Sprawdził pan to?

Munk spojrział na mnie, po raz pierwszy zaskoczony.

– O tym nie wiedziałem – przyznał. – Jest pan pewien?

– Owszem, bo sam mi to powiedział. Zarzuty oddalono.

– No cóż, to możliwe.

– Jak rozumiem, nie sprawdził pan tej sprawy, żeby przekonać się, czy nie wiąże się z nią ewentualny motyw?

Munk westchnął.

– Nie, tego nie zrobiliśmy. Ale jeśli nawet ma pan rację, to ta sprawa zdarzyła się dobre dwadzieścia lat temu. Trochę się

naczekał, zanim dosięgła go zemsta, czyż nie?

– Powinniście byli to sprawdzić – odparłem niezadowolony, że kwestię zredukowano do zwykłej spekulacji. – Nie można wykluczyć, że coś się w tym kryje.

– Pewnie, że nie można – rzekł Munk. – Ale w każdej sprawie jest miejsce na domysły. Na szczęście w piwnicy oskarżonego znajdowały się ślady krwi ofiary.

Dałem mu spokój.

Kątem oka zarejestrowałem jakieś zamieszanie na sali. Spojrzałem tam i zauważyłem, że Irene Godvik wstała i niecierpliwie przeciska się przez rzędy ławek w kierunku wyjścia. Była blada i wzburzona. Może zrozumiała, iż jej mąż zostanie skazany za morderstwo.

Pewnego wieczoru zadzwonił ojciec.

– Jak ci się wiedzie, Mikael?

– Dobrze. Ale to męcząca sprawa.

– Wyobrażam sobie. Niedługo chyba finisz?

– Tak, jutro zaczynam własne postępowanie dowodowe. Myślę, że skończymy w poniedziałek.

– Poradzisz sobie. Porozmawiamy, gdy proces dobiegnie końca – powiedział. Po chwili milczenia dodał: – Mikael? Jestem z ciebie dumny. – I odłożył słuchawkę.

Siedziałem z telefonem w ręku, nieco zdumiony. To było do niego niepodobne. Dla ojca takie słowa stanowiły przykład nieznośnego rozczulania się i zakładał, że słuchało się ich równie nieprzyjemnie, jak je wypowiadało.

– Kto to był? – spytała Kari.

– Ojciec. Kazał cię pozdrowić – odparłem machinalnie. Nagle łzy napłynęły mi do oczu i musiałem się odwrócić, by ukryć to przed

Kari.

– Zaczyna się starzeć – westchnęła.

Przytaknąłem.

– Przyniosę sobie herbaty. Ty też chcesz?

– Chętnie.

Kiedy wróciłem, spojrzała na mnie i rzekła:

– Mikael, to tylko sprawa. Taką już masz pracę. Nie możesz...

– Wiem o tym – odparłem. – Wiem.

## Rozdział 51

Przewodniczący sądu zerknął na mnie znad okularów. Zarówno jego spojrzenie, jak i głos wyrażały niedowierzanie.

– Powołał pan siebie na świadka, mecenasie Brenne. To dość... niekonwencjonalne. Czy nadal chce pan wystąpić w tej roli?

– Tak, wysoki sędzie.

– Hm... No dobrze. W takim razie proszę zająć miejsce dla świadków.

Wstałem i wymieniłem togę na marynarkę wiszącą na oparciu krzesła. Następnie wyszedłem na środek sali i stanąłem za krzesłem.

– Przysięgam – odparłem na dobrze mi znane pytanie sędziego, czy przysięgam mówić prawdę.

– Mecenas Bergstrøm – rzekł przewodniczący. – Bardzo proszę.

Synne odchrząknęła, zaczęła mówić, ale odkryła, że zapomniała włączyć mikrofon, zaczerwieniła się i zaczęła od nowa.

– Zadam panu pytania na temat epizodu związanego ze sprawą przeciwko Alwinowi Mo – powiedziała. – Był pan jego obrońcą, prawda?

Potwierdziłem, a ona poprowadziła mnie przez wszystko, co się zdarzyło po ogłoszeniu wyroku.

– Czyli tę wypowiedź Alvina Mo, skierowaną do Hansa Godvika, usłyszał pan wyraźnie?



– Tak, dobrze ją słyszałem.

– Jak ją pan odebrał?

– Tak jakby Mo oznajmiał Hansowi Godvikowi, że to on zabił Maję.

– Dziękuję.

Przewodniczący sądu skinął do niej, po czym zwrócił się do Christera Bondego.

– Jakież pytania, panie prokuratorze?

– Nie, wysoki sędzie. Chociaż, w zasadzie, mam jedno. – Obrócił się ku mnie. – Mecenasiu Brenne, dlaczego nie zgłosił pan tego zajścia na policję?

– Jako obrońca Alvina Mo znajdowałem się w trudnej sytuacji. Poza tym byłem pewien, że to nie wystarczy, by wznowić proces.

– Cóż, rozumiem, o co panu chodzi, ale może powinien pan był zostawić ocenę sytuacji policji?

Nie odpowiedziałem, a on dodał:

– Wtedy pewnie uniknęlibyśmy tej oto feralnej sprawy.

Nie wierzyłem własnym uszom.

– Sugeruje pan, że śmierć Alvina Mo wynikała z mojego błędu?

Poczerwieniał na twarzy, ale spojrzał na mnie hardo.

– To pańska interpretacja.

– To najbardziej... – zacząłem, ale przewodniczący wszedł mi w słowo:

– Dziękuję, to wystarczy, panowie. Mecenasiu, jest pan wolny. Zarządzam krótką przerwę.

Kiedy wyszedłem na korytarz, wciąż byłem wściekły, głównie dlatego że prokurator miał rację. To mój błąd przyczynił się do śmierci Alvina Mo, choć nie w taki sposób, jak zasugerował Bonde. W korytarzu dostrzegłem Kari, bladą i zdenerwowaną, więc

powściągnąłem gniew, uśmiechnąłem się i ją przytuliłem. Posłała mi nikły uśmiech.

– Zestresowana, kiciu? – spytałem. Skinęła głową.

– Dasz sobie radę. Po prostu opowiedz, jak było, to wszystko, co musisz zrobić.

– Okej.

– Będzie dobrze.

Dziwnie było oglądać ją na miejscu dla świadków; stała poważna i wyprostowana. Przedstawiła się czystym głosem. Kiedy sędzia spytał, czy jest „spokrewniona lub blisko związana z oskarżonym lub innymi...”, odwróciła się, zanim skończył mówić, i wskazała mnie.

– Z nim – odparła. – Jesteśmy w związku.

– Z kim? – spytał przewodniczący, zdezorientowany.

– Ze mną, wysoki sędzie – powiedziałem. – Świadek jest moją partnerką.

Zgodnie z wcześniejszą umową, to Synne zadawała pytania. Z początku szło opornie, Kari nieco się zacinała, mówiła trochę za szybko, ale wreszcie przełamała się i zaczęła opowiadać spójnie, prawie bez dodatkowych pytań. Relacjonowała tę noc, gdy Hans Godvik odwiedził nas ze strzelbą. Na sali rozpraw zapadła głucha cisza. Dla wszystkich była to nowość. Kątem oka widziałem, jak dziennikarze piszą w notatnikach. Wiedziałem, że trafimy na pierwsze strony gazet.

– Czy pani zdaniem oskarżony naprawdę chciał państwa zabić? – dociekała Synne. – To znaczy, że poważnie o tym myślał, gdy do państwa przyszedł?

– Jestem przekonana, że miał szczerzy zamiar, by zastrzelić tej nocy przynajmniej Mikaela.

– Dlaczego więc tego nie zrobił?

– Bo nie był w stanie. Chciał, ale nie był w stanie zabić. Hans Godvik nie jest typem mordercy – oświadczyła Kari dokładnie tak, jak chciałem.

Christer Bonde nie zadał żadnego pytania. Myślę, że był zbyt zaskoczony, by na jakieś wpaść.

Następnym świadkiem był psycholog, którego wytrzasnęła skądś Synne. Tak jak ustalili wcześniej, ostrożnymi pytaniami poprowadziła go przez zeznanie. Używał wielu zawiłych sformułowań i pojęć. Cały sens jego zeznania polegać miał na potwierdzeniu, iż żal może spowodować u człowieka psychozę lub stany psychotyczne, prowadząc go do niepoczytalności. Na swój sposób to przyznał, wieloma okrężnymi drogami i z licznymi zastrzeżeniami.

Kiedy Synne skończyła, wstał Christer Bonde.

– Pańskim zdaniem ludzie mogą popaść w psychozę z żalu?

– Hm, tak, w zasadzie ten fenomen nie jest rzeczą nieznaną.

– Dziękuję – rzekł Bonde. – Czy uważa pan, że żal wywołał psychozę u Hansa Godvika?

– Nie mam podstaw, by wypowiadać się na ten temat.

– Dlaczego nie? Nie zbadał go pan, nie rozmawiał pan z nim?

– Nie, nie rozmawiałem.

– Z jakich względów? Czy to nie byłoby korzystne?

– Tak, oczywiście, ale z tego, co zrozumiałem, oskarżony nie chciał się ze mną spotkać.

– Nie – przyznał ciężko Christer Bonde. – Nie chciał też porozmawiać z naszymi psychiatrami. Dziękuję. Nie mam więcej pytań.

Irene Godvik była naszym ostatnim świadkiem. Nie miała wiele

do powiedzenia poza tym, co już od niej słyszałem, o tym, jaki był jej mąż i że nie uważała, aby mógł kogokolwiek zabić. Wiedziałem, że to, co powie, nie zrobi wrażenia na przysięgłych; była tam, żeby pokazać, że wstawia się za mężem. Mówiła cicho i wydawała się zdenerwowana. Nie patrzyła na mnie, kiedy ją wypytywałem.

Prokurator wyglądał na zniechęconego i nie miał do niej pytań. Kiedy skończyła, skinęła mi głową i zmusiła się do uśmiechu. Odpowiedziałem skinięciem. Wychodząc, w ogóle nie spojrzała na Hansa.

– I to wszystko – rzekł przewodniczący. – Mamy dziś piątek. Oznacza to, że obie strony mają dużo czasu na przygotowanie mów końcowych przez weekend. Zaczynamy z dokumentacją w poniedziałek rano, a nie ma tego chyba zbyt wiele, panie prokuratorze? Nie, tak myślałem. Następnie przejdziemy prosto do mów końcowych. Na dziś posiedzenie uznaję za zakończone. Życzę państwu udanego weekendu.

W korytarzu stała Kari, oblężona przez dziennikarzy. Przedarłem się do niej, wziąłem ją pod ramię i powiedziałem głośno:

– Proszę państwa, wystarczy. Na nic więcej nie liczcie.

Rozstąpili się, oprócz jednego, który zagroził nam drogę, uniósł aparat i błysnął nam fleszem prosto w twarz. Zirytowałem się. Spostrzegł to, uśmiechnął się rozbrawiająco i rzekł:

– Co za kobieta, Brenne! Co za kobieta.

Musiałem się uśmiechnąć.

– Jest fantastyczna – przyznałem i poszliśmy do domu.

## Rozdział 52

Po obiedzie pojechałem do więzienia. Właściwie nie miałem ku temu powodu, z wyjątkiem wyrzutów sumienia. Zdawałem sobie sprawę, że nie odwiedzałem Hansa Godvika tak często, jak powinienem. Poza tym w ciągu ostatnich tygodni drażnił mnie swoją pasywnością i ociężałością. Wiedziałem, że to z mojej strony niesprawiedliwe, że nie miał na to wpływu. Był po prostu człowiekiem, który doszedł do granic wytrzymałości, któremu życie dało w kość tak mocno, że nie potrafił tego znieść. Dlatego pojechałem do niego, podałem mu rękę i ku mojemu zdziwieniu odkryłem, że po raz pierwszy, odkąd go spotkałem, łatwo mi się z nim rozmawia. Może dlatego, że zrobiliśmy już, co było do zrobienia. Sprawa właściwie dobiegła końca i jedyne, co nam pozostało, to spotkać się jako zwyczajni ludzie.

Godvik miał w sobie rodzaj zrezygnowanego spokoju. Był człowiekiem, który pogodził się z własnym losem, tak jakby wyrok już zapadł.

– Wiem, że zostanę skazany – oznajmił. – Nie zrobiłem tego, ale mnie skazają.

Nagle nie miałem siły, by zaprzeczyć jego słowom i utrzymać fasadę fałszywego optymizmu.

– Ale to nic. To już nieważne. Myślałem i... Maja... nie wróci. Firma jest w zasadzie przeszłością. Nie sądzę, żebym miał siły

zaczynać od nowa. A Irene...

– Potrzebujecie siebie – powiedziałem. – Możecie się wspierać.

– Nie, myślę, że ją także straciłem. Oskarża mnie. To irracjonalne, ale z jej punktu widzenia to moja wina, że Maja zginęła. Pokłóciliśmy się tego dnia, jak rodzice z nastolatkami, i nie poszła do szkoły. Irene to wystarczy. Myślę, że nigdy mi nie wybaczy. Tam na zewnątrz nic mi już nie zostało.

Czułem się, jakbym rozmawiał z mistykiem, z mnichem, który postanowił spędzić resztę życia w izolacji i milczeniu; powinno mnie to martwić, ale tak nie było. W zamian wypełnił mnie spokój, tak jakby udzieliła mi się częśćka jego akceptacji stanu rzeczy. Siedząc w samochodzie w drodze do domu, miałem lepsze samopoczucie niż kiedykolwiek w trakcie tej rozprawy. Nic więcej nie mogłem zrobić.

Jedynym, co zafrapowało mnie podczas rozmowy, było to, co Hans Godvik powiedział mi o Irene. Rozmawialiśmy o tym, jakie to dziwne, że możemy tak siedzieć w poczuciu bliskości i więzi, choć przecież chciał mnie kiedyś zabić.

– Nie wiem, o czym pan wtedy myślał – wyznałem. – W końcu żaden z pana gwałtownik, żaden mściciel. A te nocne telefony, zdjęcia w mojej skrzynce to również pańska robota, prawda?

Przytaknął, nieco zawstydzony.

– Owszem.

– I co by panu dało zabicie mnie? Powinien był pan słuchać Irene.

Zerknął na mnie zdumiony, po czym uśmiechnął się krzywo i nieco dziwnie.

– Irene? A co ona, pańskim zdaniem, robiła? To był jej pomysł. Wściekła się, gdy mi się nie udało. Irene... w tamtym okresie z jej głową było gorzej niż z moją. A ja miewałem się naprawdę źle.

Irene Godvik mnie okłamała. Nie było zresztą chyba nic dziwnego w tym, że nie chciała się przyznać, iż to jej zależało na mojej śmierci, skłamała jednak, a to mi się nie spodobało.

W sobotę rano zbudziłem się w blasku słońca z głęboką depresją. Powlokłem się najpierw pod prysznic, później zaś na śniadanie z pogodną Kari i świeżo ugotowanymi jajkami, ale nawet one mi nie pomogły. Moje zwątpienie odarło poranek ze świeżości i barw, osłabiło mnie i sprawiło, że porzuciłem myśl o napisaniu mowy końcowej. Kari obrzuciła mnie wzrokiem i oświadczyła, że idziemy na spacer. Zabrakło mi sił, by zaprotestować.

– Świeże powietrze dobrze ci zrobi – powiedziała. – Świeże powietrze i trochę słońca.

Zirytowały mnie jej zdrowy rozsądek, uśmiech i luźna gadka, ale miałem dość rozumu w głowie, żeby zachować to dla siebie, kiedy suchym asfaltem szliśmy wolno w kierunku centrum.

– Dlaczego jesteś taki ponury, Mikael? – zapytała. – Sprawa niemal dobiegła już końca. Może i przegrasz, ale każdemu się to czasem zdarza. Zrobiłeś, co w twojej mocy, i to wszystko, czego można od ciebie wymagać. Mnóstwo razy mówiłeś mi, że adwokat nie może brać sobie sprawy do serca. Że to wyjątkowo nieprofesjonalne.

– Masz rację – odparłem, ale wcale tak nie uważałem.

Problem polegał na tym, że nie zrobiłem wszystkiego, co w mojej mocy. Nie zapewniłem Hansowi Godvikowi takiej obrony, jaką powinien był mieć. Powinienem był skupić się na jego niepoczytalności. Powinienem był wymóc, żeby porozmawiał z psychologiem, i na tym oprzeć obronę. Powinienem był skoncentrować się na jego żalu, szoku po okrutnej śmierci córki, na jego wściekłości i niemożliwej do zniesienia prowokacji ze strony

Alvina Mo – doznaniu, które każdego przyprawiłoby o obłąd. Powinienem był skoncentrować się na tym, co znajdowało się w moim zasięgu.

Zamiast tego uczepliłem się Niny Hagen. Może z poczucia winy. Tropiłem cienie i duchy. Zwykle byłem dobrym obrońcą, w przypadku Hansa Godvika nie odegrałem jednak takiej roli. Bawiłem się w prywatnego detektywa, nie mając do tego zdolności.

Po raz pierwszy musiałem przyznać w duchu, że być może popełniłem błąd, że Hans Godvik mógł zabić Alvina Mo. Wszystko, na czym się opierałem, to przeczucia i teorie, nie fakty. Teraz mój klient miał zostać skazany, a ja nie opracowałem nawet strategii w kwestii wymiaru kary.

Pokręciliśmy się po centrum, wypiliśmy kawę, czytając gazety, posiedzieliśmy na ławce w parku przy teatrze i po raz pierwszy w tym roku wygrzewaliśmy się w promieniach słońca. Naprzeciw nas kilku nastolatków zjeżdżało ze schodów na deskorolce. Rozlegały się huki i trzaski, byli jednak bez reszty pochłonięci i wiwatowali za każdym razem, gdy komuś udało się sztuczka, mnie zaś nie przeszkadzał ten hałas. Jeden z nich miał nogę w gipsie, pewnie po nieudanym skoku. Kule stały oparte o ścianę, bo ich nie używał, za to krążył wokół z kamerą w ręku, utykając na jedną nogę, kładł się na ziemi i pozwalał, by przeskakiwali nad nim koledzy, umieszczał kamerę na statywie i w nieskończoność próbował dobrać właściwy kąt. Był co najmniej tak samo gorliwy i radosny jak ci, którzy skakali.

Przyglądałem mu się. Przyglądałem się jego kamerze. Patrzyłem na jego radość, kiedy sprawdzał nagranie i okazywało się, że zdołał uchwycić na filmie udany skok.

Nagle przypomniałem sobie Alvina Mo i policyjną teorię, że



sfilmował zabójstwo Mai. Odrzuciłem ją wtedy jako czyste domysły i nie wracałem już do niej, ale teraz, widząc chłopaka z kamerą, jego zachwyty, zrozumiałem, że to mogła być prawda. Zapomniałem zadać sobie pytanie, jaką korzyść odniosła Nina Hagen z zabójstwa Mai. Nie wątpię, że jest morderczynią i że jest nią dlatego, iż czerpie z tego radość, a przynajmniej ją to zaspokaja. Nie mogła jednak uczestniczyć w samym czynie, bo wówczas nie byłaby w stanie zapewnić Mo alibi. Film mógł być rozwiązaniem tej zagadki. Film był dla niej. Alvin Mo uwiecznił morderstwo i przekazał nagranie Ninie Hagen.

Poczułem dreszcz podniecenia i uderzenie adrenaliny, która przebiła się przez moje współczucie dla samego siebie, ale to szybko minęło. Jeśli Hagen miała film, to nie było go już w jej domu – nie po moim włamaniu – i nie wiedziałem, gdzie mógłby się on znajdować.

Kari coś zauważyła i spytała, o czym myślę.

– O niczym – odparłem. – Przyszła mi do głowy jedna rzecz, ale w sumie to nic takiego.

Tego dnia powinienem był zacząć pisać mowę końcową, ale za każdym razem, kiedy siadałem przy biurku, w mojej głowie ziała pustka. Wreszcie dałem za wygraną i odłożyłem przygotowania na następny dzień.

Nazajutrz przed południem wziąłem do gabinetu filiżankę kawy i usiadłem z notatnikiem oraz piórem, myśląc, że wreszcie zacznę. Do wszystkiego używam komputera, ale mowy piszę odręcznie; zawsze tak robiłem. Bywa, że kreatywność mnie odurza. Dzieje się tak wtedy, kiedy wydaje mi się, że mam szansę wygrać i że mogę bronić sprawy tak dobrze, aż zmienię jej bieg. W takich sytuacjach pióro biegnie po papierze w rozpaczliwej próbie nadążenia za

myślami. Tego dnia jednak było inaczej. Wiedziałem, że nie wygram, więc chodziło wyłącznie o przegraną z klasą.

Na górze strony napisałem: „Ciężar dowodu”. Potem siedziałem, wbijając wzrok w przestrzeń. Po chwili dodałem: „Argumentacja prokuratora”, ale zanim skończyłem pisać, w piórze skończył się tusz. Przyjąłem to za znak, odsunąłem notatnik, włączyłem komputer i zacząłem opłacać rachunki. Zazwyczaj nie jest to moją ulubioną rozrywką, jednak tego dnia wydało mi się lepsze od pisania mowy. Płaciłem jeden za drugim. Rachunek z warsztatu. Internet. Ubezpieczenie. Rachunek za prąd, znów zadziwiająco wysoki. Wpisałem numer identyfikacyjny klienta i obciążylem konto.

I wtedy naszło mnie pewne uczucie.

Uczucie mrowienia, tak jakby swędziała mnie kora mózgowa. Coś... coś, o czym zapomniałem, co gdzieś zobaczyłem i czego nie przemyślałem, czego znaczenie do mnie nie dotarło. Siedziałem jak zahipnotyzowany, wpatrując się w rachunek za prąd, i usiłowałem myśleć, przypomnieć sobie. „Mikael Brenne” widniało na dokumencie, później zaś mój adres. I nagle zrozumiałem. Nagle znalazłem się na innym krześle, przed innym biurkiem i patrzyłem na inny rachunek za prąd, gdzie napisano: „Klara Gulbrandsen/Nina Hagen”. W tej samej chwili przypomniałem też sobie, co Klara mówiła o Hagen. Słowo w słowo. „Opiekuje się domem, to trzeba przyznać”.

W mig pojąłem, gdzie Nina Hagen mogła ukryć film z zabójstwem Mai. Jeśli istniał. Jeśli go dostała. I o ile go nie wyrzuciła.

Rozumiałem, że kieruję się luźnymi przypuszczeniami oraz intuicją, ale musiałem spróbować. Wszystko w tej sprawie

spieprzyłem, równie dobrze mogłem więc chwycić się ostatniej deski ratunku. Nie miałem nic do stracenia, Hans Godvik podobnie. Dlatego wsiadłem do samochodu i pojechałem do domu opieki, w którym przebywała Klara Gulbrandsen.

Nie wiedziałem, czy mnie pamięta. Powiedziała, że owszem, ale wcale nie byłem tego taki pewien. Pomyślałem jednak, że właściwie nie gra to żadnej roli, bo tak czy inaczej ucieszyła się z odwiedzin. Tego dnia leżała w łóżku, lecz potrząsnęła głową, kiedy spytałem, czy źle się czuje.

– Nie, nie – odparła. – Po prostu tak dzisiaj szaro i smutno. Nie chce mi się już wstawać w takie dni. Najchętniej jestem na nogach, kiedy świeci słońce.

Nietrudno było nakłonić ją do opowieści o dorastaniu. Tak jak w przypadku wielu innych starszych osób wydawało się, że przeszłość jest jej bliższa niż teraźniejszość, i wczuwając się, ze swadą opowiedziała mi o hodowli ryb, o ojcu latarniku, o wycieczkach łódką do miasta. Słuchałem cierpliwie, po czym zapytałem, gdzie spędziła młodość, w jakiej miejscowości znajduje się jej dom. Spojrzała na mnie zawiedziona.

– To nie wiesz?

– Zapomniałem.

Potrząsnęła głową, tak jakbym był uczniem, który ją rozczarował. Następnie zdradziła mi adres. Siedziałem z nią jeszcze przez jakiś czas, pełen niejasnych wyrzutów sumienia, z poczuciem, że oszukuję staruszkę, aż wreszcie nie byłem w stanie dłużej wytrzymać.

– Niestety muszę już iść – powiedziałem.

– Przyjdiesz jeszcze? Było mi tak miło.

Obiecałem, że to zrobię.

## Rozdział 53

Po obiedzie podniosłem się z za stołu.

– To tylko kilka godzin.

Kari była rozdrażniona.

– Mógłbyś przynajmniej powiedzieć mi, dokąd jedziesz!

– Po prostu coś mi wpadło do głowy. Najpewniej nic z tego nie wyniknie. Opowiem ci o tym wieczorem. Jeśli pomysł wypali.

– Nie rób więcej głupstw, Mikael.

Pocałowałem ją i odparłem, że nie zamierzam, ale siedząc za kierownicą, straciłem pewność, czy to, co robię, jest faktycznie rozsądne. Rano byłem przekonany, że wpadłem na jakiś trop, nagle jednak cała rzecz wydała mi się głupia i nieprawdopodobna. Pomyślałem, że szanse na to, iż cokolwiek znajdę, są mikroskopijne. Pomyślałem, że powinienem wrócić do domu i napisać mowę końcową, zająć się swoją pracą, przygotować się do jutrzejszego dnia. Zamiast tego ruszyłem dalej.

Dojazd zajął mi prawie godzinę. Dzień był szary i pochmurny, jednak niebo wreszcie przejaśniło się na zachodzie, a nisko zawieszony słońce sprawiało, że krajobraz kąpał się w miękkich, pastelowych barwach i głębokich cieniach. Miejsce okazało się trudniejsze do odzুকania, niż sądziłem; wjechałem na małe, niepozorne dróżki, pogubiłem się i musiałem wciąż pytać o drogę. Zapadł już zmierzch, gdy dotarłem do skrzyżowania, gdzie droga

dzieliła się na trzy. W narastającym mroku dostrzegałem przed sobą morze. Skręciłem na prawo, zjechałem po stromym zboczu i dostałem się na podwórze jakiegoś budynku. Zatrzymałem samochód i zapukałem do drzwi. Otworzyła mi starsza kobieta, co najmniej siedemdziesięciolatka, ale o jasnych, żywych oczach.

– Szukam domu Klary Gulbrandsen – powiedziałem, a ona natychmiast skinęła głową.

– Klara już tutaj nie mieszka – oznajmiła. – Jest w domu opieki.

– Wiem o tym – odparłem. – Chcę tylko znaleźć dom.

Widząc, że wciąż się waha, dodałem:

– Jestem agentem nieruchomości. Siostrzenica Klary poprosiła mnie, żebym obejrzał posiadłość.

Wtedy wyjaśniła mi, jak tam trafić.

Jej instrukcje były proste: wystarczyło wrócić do skrzyżowania i skręcić w lewo. Dojechałem do końca drogi, gdzie mieścił się niewielki żwirowy parking. Nie stały na nim żadne auta. Zaparkowałem, wysiadłem z wozu, zastanowiłem się, po czym zamknąłem drzwi. Znalazłem furtkę w ogrodzeniu i poszedłem przed siebie.

Wąski chodnik poprowadził mnie w dół. Gdzieś przed sobą widziałem skały, strome, lesiste zbocza, a za nimi – morze, rozciągające się jak wielka, czarna, pusta przestrzeń.

W ciągu ostatnich kilku godzin temperatura znacznie się obniżyła: ostatni mróz, nietypowy jak na tę porę roku. Wilgoć na ziemi zamarzła, tak że rosnące wzdłuż ścieżki źdźbła i kępki trawy sterczały w mroku jak białe kreski, a pola połyskiwały słabo w świetle gwiazd. Ostrożnie ruszyłem dalej. Małe kałuże na chodniku pokryte były warstwą lodu; czułem, jak cienka skorupa pęka pod moimi nogami. Dotarłem do nowej furtki, otworzyłem ją

i zamknąłem za sobą – przyzwyczajenie z wakacji w dzieciństwie. Obszedłszy pagórek, zobaczyłem dom.

Był niewielki i biały, położony w przytulnej zatoczce. Za domem mrocznym, ciężkim kształtem rysował się kamienny blok, nad nim zaś regularnie przesunęło się światło latarni morskiej, postawionej gdzieś w oddali, nad morzem; silny biały promień, który przez moment rozświetlał niebo i pozostawiał po sobie jeszcze głębszy mrok.

Dotarcie tam zajęło mi prawie dziesięć minut. Przeszedłem przez furtkę pastwiska dla owiec i ruszyłem wzdłuż niskiego, kamiennego ogrodzenia, a nogawki przemokły mi w wysokiej trawie. I oto byłem na miejscu. Przystanąłem kilka metrów dalej w cieniu starej, wykrzywionej przez wiatr sosny. Żadnych świateł. Żadnych dźwięków. Promień latarni przeczesywał niebo nad kamiennym blokiem w równych, monotonicznych odstępach, ale poza tym nie odnotowałem żadnych ruchów. Byłem sam.

Drzwi były zamknięte. Sprawdziłem pod wycieraczką, nad futryną i w załomach muru, czyli wszędzie tam, gdzie ludzie zwykli chować dodatkowe klucze do swoich posiadłości na wsi; bez skutku. W drzwiach wejściowych tkwiły cztery małe szybki, tym razem nie miałem jednak ochoty ich wybijać. W miarę możliwości chciałem wejść i wyjść, nie zostawiając po sobie śladów. Obszedłem dom, jednopiętrowy i dość mały. Po drugiej stronie teren opadał w stronę morza, a mur piwniczny był wyższy. Pośrodku podłużnej ściany znajdowały się niskie, trzystopniowe schodki prowadzące do piwnicy. W przejściu panował mrok i szedłem z trudnością, wyciągając przed siebie ręce.

Drzwi zabezpieczono niewielkim rygłem. Zamiast kłódki w uchwycie tkwił zardzewiały gwóźdź. Odsunąłem go na bok, po

czym pchnąłem drzwi, postąpiłem krok w ciemność i zacząłem szukać włącznika światła. Znalazłem go dopiero, gdy macając sufit, dotknąłem nagiej żarówki. Sunąc ręką po kablu wzdłuż belki stropowej, dotarłem do włącznika. Po piwnicznych ciemnościach światło było tak mocne, że mnie oślepiło.

Gdy odzyskałem wzrok, rozejrzałem się wokół. Piwnica okazała się dość mała, panował w niej względny porządek. Kilka narzędzi na zużytym stole stolarskim. Stare wiecierze na kołku. Pod sufitem wysłużone drewniane wiosła i sieć, która wyglądała na zgniłą i sfatygowaną. W jednym kącie piętrzył się mały stos drewna. W drugim, przy tylnej ścianie, dojrzałem niskie schody o wyglądzie drabiny dla kur. U ich szczytu mieściły się niewysokie drzwi. Było tam tak nisko, że gdy wszedłem na pierwszy stopień, musiałem się schylić. Drzwi przesunęły się o kilka centymetrów, kiedy je popchnąłem, po czym znieruchomiały. Popchnąłem silniej, klęknąłem na wyższym stopniu i pomogłem sobie ramieniem. Po drugiej stronie coś przewróciło się z hukiem, który mnie wystraszył, i drzwi otworzyły się na oścież.

Niemal wpadłem do sąsiedniego pomieszczenia. Kiedy wstałem i się rozejrzałem, zrozumiałem, że znajduję się w ciemnym korytarzu. Po krótkim wahaniu włączyłem lampę pod sufitem. W okolicy nie widziałem żadnego innego budynku; nie wiedziałem, jaka odległość dzieli mnie od najbliższego sąsiada, byłem jednak całkiem pewien, że nikt nie może widzieć tego domu.

Na podłodze, przy drzwiach do piwnicy stały skrzynka z narzędziami i stary odkurzacz. Skrzynka się przewróciła i narzędzia leżały rozrzucone. Zebrałem je i sprzątnąłem po sobie. Włączyłem odkurzacz, by usunąć białe trociny, które wysypały się na podłogę. Zamknąłem drzwi i odstawiłem wszystko na miejsce,

tak jak zdawało się stać wcześniej. Drzwi do domu były wyposażone w zwykły zatrask, mogłem więc wyjść zwykłą drogą i zatrzasnąć je za sobą. Zacząłem otwierać pozostałe drzwi.

Dom był mały i skromnie urządzony. Pokój dzienny z piecem na drewno, zestawem kanapowym i telewizorem. Koło okna – mały regał na książki. Kuchnia staroświecka, wyposażona w oryginalne sprzęty. Na ścianie nad pojedynczym zlewem znajdowała się pompa ręczna. Za kuchnią mieścił się pokój z emaliowaną miednicą do mycia starej daty, stojącą na niskiej szafce. Na ścianie wisiały dwie ścierki i ręcznik. Sypialnia była ciasna, z nagimi ścianami, łóżko zaś zbyt małe dla dwóch osób, ale za duże dla jednej. I to wszystko. Żadnego laptopa.

Usiadłem w jednym z foteli w pokoju dziennym i się zamyśliłem. Jedynym współczesnym sprzętem w całym domu był telewizor stojący na czarnym stoliku. Na półce pod nim znajdował się odtwarzacz DVD. Był podłączony do prądu, widziałem zielone światełko na wyświetlaczu. Na samym dole ciągnęły się filmy. Klęknąłem, aby je przejrzeć. Kilka komedii. Parę filmów akcji. Jakieś hollywoodzkie dramaty. Trzy filmy pornograficzne o sadomasochistycznej treści. Nic, czego nie dałoby się kupić w sklepie.

Regał na książki zawierał głównie stare kryminały i kilka popularnych powieści w wydaniach kieszonkowych. Był to regał, który niczym się nie wyróżniał, który można by znaleźć w tysiącach norweskich daczy. Na jego szczycie leżała niewielka kamera cyfrowa; wyglądała na nową i dosyć drogą. Obok niej stał aluminiowy statyw. Wziąłem kamerę do ręki. Na spodzie miała kilka otworów, które pasowały do mocowania. Pomyślałem o Alvinie Mo i przeszedł mnie dreszcz.



Potem zacząłem przeszukiwać dom. Szukałem dokładnie i systematycznie, ale nie zajęło mi to zbyt wiele czasu. Koniec końców budynek był nieduży i oszczędnie umeblowany. Przetrzaśnałem wszystkie szafy. Opukałem ściany. W sypialni odkryłem zabudowaną szafę. Wziąłem lampę stołową z pokoju dziennego i wpełzłem do środka. Nic, wyjąwszy pajęczyny i warstwę trocin. Najwięcej czasu spędziłem na poddaszu oraz w piwnicy. Niczego nie znalazłem.

Dziesięć metrów od domu stał wychodek. Tam również zajrzałem, wstrzymawszy oddech. Nawet do klozetu. Pusto, poza tym, co powinno się w nim znajdować.

Wróciłem do pokoju dziennego i usiadłem, czując zniechęcenie i rezygnację. W budynku nie było niczego niezwykłego. Zerknąłem na zegarek: minęła jedenasta. Przyszło mi do głowy, że muszę zadzwonić do Kari, ale spostrzegłem, że nie mam zasięgu. Już dawno powinienem być w domu. Nie napisałem jeszcze mowy końcowej. Do rozprawy pozostało mniej niż dziesięć godzin. Do rozprawy, a raczej do ostatniego rozdziału zabójstwa Alvina Mo.

Ogarnęło mnie chwilowe zmęczenie. Przetarłem twarz i coś dostało mi się do oka. Piekło jak diabli, więc mrugałem, aż popłynęły łzy. Kiedy znów mogłem widzieć, przyjrzałem się swoim rękom. Trociny. Świeże, białe trociny. Przyczepiły się, gdy zaglądałem do szafy; przypomniałem sobie, że w środku, na dnie, leżała gruba ich warstwa. Zmęczenie nagle mnie opuściło.

## Rozdział 54

Deska w bocznej ścianie szafy była stara i niemalowana – podobnie jak otaczające ją listwy, te jednak nosiły świeże ślady śrubokrętu lub żelaznego drąga i nie były przymocowane gwoździami, jedynie wciśnięte. Wyczołgałem się z szafy, znalazłem śrubokręt i zacząłem poluzowywać listwy. Trochę pomajstrowałem i cała deska odeszła. Za nią znajdował się mały schowek o głębokości około dwudziestu centymetrów. Leżał w nim laptop.

Kiedy podłączałem go do zasilania, drżały mi ręce. Minęła cała wieczność, zanim rozjarzył się ekran – i kolejna, dopóki nie zakończyła się wstępna konfiguracja. Nie musiałem podawać hasła, wszedłem wprost do systemu i kliknąłem ikonę „Outlook”. W okno wyszukiwarki wpisałem „Wolverine” i czekałem. Rezultatem była długa lista wiadomości. Spojrzałem na daty. Wrzesień półtora roku temu. Otworzyłem najstarszą i zacząłem czytać.

Od: Wolverine@hotline.no

Do: Grimreaper@hotline.no

Siedzisz w pudle? To dlatego możesz być na czacie tylko wt i czw? Założę się, że to z tego powodu. Podobały ci się zdjęcia czy były zbyt krwawe? Zemdlilo cię?

Od: Grimreaper@hotline.no

Do: Wolverine@hotline.no

Trafiony zatopiony. Odsiaduję wyrok, mam nadzieję, że to dla ciebie nie problem. Wszyscy zasługują na kolejną szansę, no wiesz. A zdjęcia były super. Prześlij jeszcze, im więcej krwi, tym lepiej.

---

Od: Wolverine@hotline.no

Do: Grimreaper@hotline.no

Wiedziałam! Co zrobiłeś? Wykończyłeś kogoś? Musisz mieć nieźle najebane w głowie, skoro podobały ci się tamte psychofotki.

---

Od: Grimreaper@hotline.no

Do: Wolverine@hotline.no

Siedzę za gwałt. Teraz pewnie nie będziesz chciała mnie znać.

---

Od: Wolverine@hotline.no

Do: Grimreaper@hotline.no

10.09. Godzina 11.53

Musiałam zrobić sobie kawy. Jesteś tam jeszcze...?

Hmmm, gwałt. Aha. Nie, nie chcę kończyć, kurwa, no bez przesady. Chcę, żebyś mi o tym opowiedział. Wszystko. Jak to zrobiłeś, jak było, jak wyglądały. Opowiesz mi?

Od: Grimreaper@hotline.no

Do: Wolverine@hotline.no

Czy ty naprawdę istniejesz? Większość z tych, którzy o tym słyszą, nie chce mieć ze mną potem nic wspólnego.

---

Od: Wolverine@hotline.no

Do: Grimreaper@hotline.no

10.09. Godzina 11.55

No pewnie, że istnieję. Nie ściemniam, podoba mi się to. Będę przy komputerze we wtorek o 11. Cieszę się.

---

Od: Grimreaper@hotline.no

Do: Wolverine@hotline.no

Cześć. Nie ma czego opowiadać. Po prostu przystawiłem jej nóż do gardła i wyskoczyła z ubrań, kurwa, w mgnieniu oka. Potem ją wziąłem.

---

Od: Wolverine@hotline.no

Do: Grimreaper@hotline.no

15.09. Godzina 11.09

To fantastyczne. Żałuję, że nie mogłam się temu przyglądać. Nie miałeś ochoty użyć noża? Założę się, że miałeś, po prostu wbić go w nią i patrzeć na wyraz jej twarzy... No, szkoda, że tego nie zrobiłeś.

Od: Grimreaper@hotline.no

Do: Wolverine@hotline.no

Naprawdę tak sądzisz czy się ze mnie nabijasz?

---

Od: Wolverine@hotline.no

Do: Grimreaper@hotline.no

15.09. Godzina 11.13

Tak sądzę. Podnieca mnie to.

---

Od: Grimreaper@hotline.no

Do: Wolverine@hotline.no

Mnie też. To najlepsze, co kiedykolwiek zrobiłem.

---

Od: Wolverine@hotline.no

Do: Grimreaper@hotline.no

15.09. Godzina 11.20

Chciałbyś to zrobić ponownie? Zabić kogoś?

---

Od: Grimreaper@hotline.no

Do: Wolverine@hotline.no

I spędzić tu resztę życia? Nie, dziękuję!

Od: Wolverine@hotline.no

Do: Grimreaper@hotline.no

15.09. Godzina 11.31

A jeśli mógłbyś się z tego wykręcić?

---

Od: Grimreaper@hotline.no

Do: Wolverine@hotline.no

Wtedy bym to zrobił. Użyłbym noża. Byłoby fantastycznie. Myślę, że uwielbiałbym to.

---

Od: Wolverine@hotline.no

Do: Grimreaper@hotline.no

15.09. Godzina 11.39

Ja też. Jakąś młodą dziewczynę. I żeby była ładna. Przynajmniej zanimbyś z nią skończył, cha, cha...

---

Od: Grimreaper@hotline.no

Do: Wolverine@hotline.no

Moglibyśmy zrobić to razem.

---

Od: Wolverine@hotline.no

Do: Grimreaper@hotline.no

Byłoby super. Na samą myśl o tym zaczynam wariować. Kiedy wychodzisz?

---

Od: Grimreaper@hotline.no

Do: Wolverine@hotline.no

Za trzy tygodnie.

---

Od: Wolverine@hotline.no

Do: Grimreaper@hotline.no

To niedługo. Możemy się spotkać? Jeśli mówięś na serio, mam pomysł.

---

Od: Grimreaper@hotline.no

Do: Wolverine@hotline.no

Mówiłem zupełnie serio. Pytanie brzmi, czy ty też?

---

Od: Wolverine@hotline.no

Do: Grimreaper@hotline.no

Ja też. Całkiem szczerze. Możemy umówić się następnym razem. Ciao!

---

Siedziałem długo przed monitorem, wpatrując się w wyświetlane na nim słowa. Proste, nieco nawet dziecinne zdania. Nina Hagen i Alvin Mo. Sposób, w jaki się wysławiali, był prosty, niemal codzienny, tak jakby dyskutowali o wycieczce, umawiali się na miłe spotkanie, znaczenie maili nie pozostawiało jednak wątpliwości.

Tak się to zaczęło. Taki był początek wszystkiego. Korespondencja doprowadziła do zabójstwa młodej dziewczyny. Wszystko razem zaplanowali. Nina Hagen miała zapewnić Alwinowi Mo alibi. Zastanawiałem się, czy wiedzieli, jak ryzykowny był to plan, jak nieprzewidywalne mogą być opinie przysięgłych, jak niewiele trzeba, żeby Mo został skazany. Nie grało to dla nich żadnej roli, wykorzystali szansę i udało im się, wszystkich wyprowadzili w pole. Mnie również. Uniknęliby kary, gdyby nie szaleństwo Mo. Nie mógł oprzeć się pokusie, żeby się pochwalić, puścić parę z ust i rozkoszować się widokiem bezradności i bezbrzeżnej rozpaczony Hansa Godvika. Musiał się pławić w blasku swojej potworności.

Zamknąłem program, znalazłem „Mój komputer”, skąd przeszedłem do folderu „Moje zdjęcia”. Nina Hagen miała wiele



zdjęć, dziwną mieszankę seksualnych ekscesów i zwykłych obrazków z wakacji. Szukałem wśród nich fotografii, które trafiły do mojej skrzynki pocztowej – mężczyzny z przestrzelonym okiem, jasnowłosej kobiety – ale ich nie znalazłem.

Otworzyłem Windows Media Player, sprawdziłem listę odtwarzania, ale zawierała ona jedynie garść utworów muzycznych. Następnie wyłączyłem komputer. Jego zawartość była bardziej niż wystarczająca, żeby skazać Ninę Hagen za współudział w zabójstwie Mai, co jednak nie oznaczało, że było tego dość, by ocalić Hansa Godvika. Wróciłem do szafy i macając palcami w schowku, niemal od razu znalazłem to, czego szukałem. Płyte CD. Leżała w zaklejonym opakowaniu.

Pilot leżał na telewizorze. Stałem na środku pokoju. Nacisnąłem guzik „play”. Nieco szumów, ktoś manipulował przy kamerze, tak że obraz obrócił się na bok, tracąc ostrość, po czym wrócił do właściwego położenia i znów stał się wyraźny. Zbliżenie na twarz Alvina Mo. Sprawiał wrażenie skupionego, zaciętego. Na rękach miał cienkie lateksowe rękawiczki. Rękawiczki operacyjne. Potem wyszedł z kadru i nagle znów znalazłem się na małej polance w lesie, gdzie siedziałem pewnego ciepłego, letniego popołudnia niecały rok temu, obserwując owady, doświadczając upału, ciszy i nasłuchując echa tego, co się tam zdarzyło, echa, które zadudniło w mojej głowie tępym, silnym bólem.

Tym razem polanka nie była pusta. Leżała na niej Maja Godvik. Naga i związana. Zakneblowana. Obraz lekko się zakołysał, stracił ostrość i nabrał jej znowu, po czym się uspokoił. Jakaś część mojego umysłu przyjęła, że Mo najwidoczniej stanął za kamerą, by sprawdzić ramy obrazu i ustawić ostrość. Nagle znów znalazł się w kadrze, klęknął przy nagiej dziewczynie i pogładził jej ciało.

Potem obrócił głowę i uśmiechnął się prosto do obiektywu. Był to uśmiech, który odcisnął się w mojej pamięci jak rozpalona pieczęć: grymas, odruchowy skurcz twarzy wyrażający oczekiwanie i desperackie podniecenie. Dostrzegłem w nim rys obłędu, który mną wstrząsnął. Potem Mo złapał nóż leżący na ziemi obok niego – aż zabłysło ostrze – i nachylił się nad Mają.

Stałem na środku pokoju i patrzyłem. Moje nogi jakby wrosły w podłogę. Wlepiałem oczy w telewizor, a choć chciałem odwrócić wzrok, nie mogłem, byłem uwieczony w blasku ekranu, w blasku i krwi, i wiedziałem, że nigdy nie zapomnę tego, co oglądam. Nagle moje usta wypełniły się gęstą, lepłą śliną, żołądek skręcił się w ósemkę i odzyskałem zdolność poruszania się, co natychmiast wykorzystałem.

Wypadłem na korytarz, niezdarnie odblokowałem zatrask, szarpnąłem drzwi i wybiegłem na zewnątrz, na zimno i w ciemność. Zatrzymałem się trzy metry od rogu budynku i zacząłem wymiotować. Wymiotowałem, aż łzy nabiegły mi do oczu, oczyszczałem żołądek, dopóki w ustach zostały mi tylko gęsty śluz i piekąca żółć, wcale zaś nie chciałem przerywać i marzyłem o tym, by opróżnić nie tylko trzewia, lecz także umysł, myśli, wyrzucić z nich obrazy, które na trwałe zapadły mi w pamięć.

Wreszcie skończyłem. Stałem zgięty wół z rękami na kolanach, plując i dysząc, po czym z wolna się wyprostowałem. Niebo nade mną było czarne i gwiazdziste. Przeczesywał je promień latarni, stałem więc i odruchowo liczyłem sekundy do następnego rozbłysku: mój mózg chciał się zająć czymś innym, czymś trywialnym.

Dobiegł mnie jakiś dźwięk. A może niczego nie usłyszałem? Może po prostu wyczułem za sobą jakiś ruch. Przeczułem, zgadłem, że

coś się zbliża. Coś przesuwało się szybko i bezgłośnie. Coś groźnego. Już się odwracałem, wykręcałem szyję, żeby się obejrzeć, ale było za późno. W tej samej chwili, gdy promień latarni przeciął nocne niebo, na moją potylicę spadł ciężki cios – i nagle światło tam, w górze, zastygło, noc rozdarła się w oślepiającym blasku, tak jakby za czarną otchłanią otwarła się poświata niebios, po czym naraz wszystko zgasło i nie widziałem nic więcej.

## Rozdział 55

Świat uległ rozszczepieniu. Zdawało mi się, jakbym patrzył przez krzywe zwierciadło, zaglądał w głąb kalejdoskopu, który odbierał wszystkiemu treść i formę, sens i rozpoznawalność. Widziałem tylko cząstki światła i barw, niełączące się w spójną całość. Szumiało mi w uszach, a potylica była źródłem ciężkiego, tępego bólu. Zamknąłem oczy – a może na nowo straciłem przytomność.

Kiedy znów podniosłem powieki, na pozór odzyskałem wzrok, ale widziałem podwójnie, a moje pole widzenia było zamazane z lewej strony. Głowa bolała mnie tak bardzo, że minęła dobra chwila, zanim zdołałem uchwycić coś więcej, w końcu jednak zmusiłem się, by stopniowo przyjąć kolejne informacje i zdobyć jakiś ogólny obraz sytuacji.

Ponownie byłem w domu, w pokoju dziennym, kompletnie nagi. Siedziałem na podłodze, oparty o ścianę, z wyciągniętymi przed siebie nogami. Jedną stopę przywiązano mi do pieca na drewno, drugą, której nie widziałem wyraźnie, do czegoś na podłodze. Przyglądałem się jej tak długo, aż doszedłem do wniosku, że w deski tuż przy mojej stopie wbite dwa czy trzy duże gwoździe, które przygięto tak, by zachodząc na siebie, utworzyły haczyk; na haczyku umocowano linę. Moje ramiona również zostały unieruchomione i rozciągnięte po obu stronach ciała. Próbowałem obrócić głowę w lewo, ale ból, który przeszył mi potylicę, sprawił, że

zachwiałem się nad ciemną studnią, na skraju przytomności.

Minęło wiele czasu, zanim zebrałem dość odwagi i sił, by spróbować obrócić głowę w drugą stronę. Tym razem było lepiej, mogłem zrobić to, nie narażając się na nieznośny ból. Ze ściany również sterczały gwoździe lub klamry, duże i mocne. Wokół nadgarstków zaciskała się cienka, wytrzymała linka, tak napięta, że wrzynała się w skórę. Moje ręce zdążyły już zmienić barwę, ponieważ przestała dopływać do nich krew; w świetle lampy były niebieskawe. Na próbę poruszyłem prawym ramieniem: linka ani drgnęła. Nic nie ustąpiło. Pomyślałem, że mogę spróbować ponownie, kiedy odzyskam siły. Potem na chwilę przysnąłem lub zemdlałem po raz kolejny.

Tak czy inaczej, musiałem stracić przytomność, bo kiedy znów otworzyłem oczy, przy stole w pokoju dziennym siedziała Nina Hagen i się malowała. Stało przed nią lustro, tego typu, które opiera się na małym pałąku. Na blacie leżała otwarta torebka, obok zaś poniewierały się różne przybory do makijażu. Nina Hagen była głęboko skoncentrowana i mogłem zaobserwować, jak przekrzywia głowę i unosi brwi, tak jak mają w zwyczaju kobiety, gdy nakładają cień do powiek. Nuciała. Nie rozpoznawałem melodii, był to po prostu cichy i monotony dźwięk, który z jakiegoś powodu wydał mi się straszny. Nie mogłem także zrozumieć, co na siebie włożyła; wyglądało na to, że owinęła się w jakiś plastik, błyszczący plastik, który odbijał światło pod dziwnymi kątami i kłuł mnie w oczy. Zamknąłem powieki. Nie chciałem dać jej do zrozumienia, że czuвам.

Ona jednak musiała to w jakiś sposób odgadnąć, bo nieco później usłyszałem, że podchodzi.

– Mikael Brenne – odezwała się, a jej głos zabrzmiał tuż przy

moim uchu. – Spójrz na mnie, Mikael, wiem, że się obudziłeś.

Otworzyłem oczy. Przykucnęła z twarzą oddaloną ode mnie o jakieś czterdzieści centymetrów. Miała bardzo mocny makijaż: ciężkie zielone cienie na powiekach, grubą warstwę tuszu do rzęs, brwi jak smoliste krechy. Wściekle czerwoną szminkę. Obiema rękami ujęła moją twarz, uniosła ją lekko, po czym przyjrzała się moim oczom, najpierw jednemu, potem zaś drugiemu.

– Hmm – mruknęła. – Po twoich źrenicach widzę, że nieźle ci przyłożyłam. Mam nadzieję, że będziesz przytomny.

Miękko i ostrożnie poklepała mnie po policzku. Próbowałem coś powiedzieć, ale z gardła nie wydobyły się żadne słowa, tylko niezrozumiałe dźwięki.

– Ciii, Mikael, nie musisz nic mówić. To niepotrzebne.

Wstała i dopiero teraz spostrzegłem, co ma na sobie. Był to płaszcz przeciwdeszczowy, a raczej peleryna wykonana z błyszczącego plastiku – taka, którą po prostu narzuca się przez głowę na ubrania i która zawsze przywodzi mi na myśl angielskich turystów.

Nina Hagen w niczym jednak nie przypominała turystki z Anglii. Pod warstwą plastiku była naga; za refleksami rzucanymi przez lampę widziałem jej ciało. Zauważyła moje spojrzenie i uśmiechnęła się, przesuwając rękami w dół płaszcz.

– Ładnie wyglądam, Mikael? Podobam ci się?

– Nie – przeszło mi przez usta; głos miałem ochryply i słaby, ale wyraźny.

Ona jednak zdążyła już wyjść z pokoju. Słyszałem, jak krząta się w głębi domu, dotarł do mnie jakiś brzęk. Spróbowałem uwolnić rękę z więzów. Tym razem naprawdę się starałem, ciągnąłem ze wszystkich sił. Szarpałem. Naprężyłem i rozprężyłem mięśnie,

próbowałem napierać. Ból głowy był tak intensywny, że musiałem zamknąć oczy i zacisnąć szczęki, by nie krzyczeć. Wszystko na próżno. To, do czego mnie przywiązała, ani drgnęło.

Gdy uniosłem powieki, stała przede mną z uśmiechem. Nie był to uśmiech w stylu Alvina Mo, żaden stężały grymas. Nie, ona naprawdę się uśmiechała, a to przeraziło mnie nawet bardziej. W jej oczach błyskały iskierki rozbawienia.

– Tylko nigdzie nie odchodź, dobrze? Zaraz do ciebie wrócę.

Kiedy wreszcie stanęła przede mną, w ręku miała skrzynkę z narzędziami. Próbowałem zogniskować wzrok, ale nadal widziałem podwójnie. Wiedziałem, że muszę nawiązać z nią kontakt.

– Ja... – zacząłem.

– Tak? – Zerknęła na mnie uprzejmie i pytająco. Cierpliwie.

– Ludzie wiedzą, że tu jestem.

– Wątpię.

– Rozmawiałem z sąsiadką. Pytałem ją o drogę.

– Wiem, bo do mnie zadzwoniła. Wydało jej się, że to trochę dziwna pora na wizytę agenta nieruchomości. – Spojrzała na mnie z namysłem. – Nic na to nie poradzę. Zresztą i tak cię nie znajdą.

– Zabiłaś ich, prawda? Swojego ojca i matkę. – Zaniósłem się kaszlem. Czekała cierpliwie, aż złapię oddech. – I innych. Przybranych rodziców. Te trzy dziewczyny. Je również zabiłaś. I Alvina Mo.

Spojrzała na mnie niemal z uznaniem.

– Nieźle się napracowałeś, Mikael. Jakiś ty zdolny, prawie wszystko się zgadza. Ale dość już tej gadki. Oszczędzaj siły.

– Uciekaj – powiedziałem ochryple. – Możesz jeszcze uciec. Wyjechać z kraju. Nie pogarszaj swojej sytuacji. Po prostu zostaw

mnie tu, Nino. Będziesz miała dużą przewagę czasu.

Długo stała, namyślając się, po czym usiadła mi na udach, dotykając kolanami podłogi po mojej lewej i prawej stronie; potrząsnęła głową.

– Nie, Mikael. Tak łatwo nie pójdzie. Być może pora już wyjechać z Norwegii – kolejny uśmiech – ale najpierw dokończymy to, co między nami. To, co między nami. – Nachyliła się i przycisnęła wargi do moich ust. Zarazem poczułem, jak jej ręka dotyka mojej. Nie przestając przyciskać warg, pochwyciła mój mały palec i go wyłamała.

Ból mnie sparaliżował. Krzyknąłem na całe gardło, krzyknąłem jej prosto w twarz, nie mogąc nad tym zapanować, ale ból nie był jeszcze najgorszy. Najgorszy był fakt, że w tej sekundzie, gdy obezwładniły mnie szok i cierpienie, na mgnienie oka, zanim wyrwał mi się krzyk, z ust Niny Hagen spłynął dźwięk. Był króciutki, w pół drogi między westchnieniem a jękiem. Dźwięk zadowolenia. Dźwięk szczęścia. Dźwięk, jaki wydaje kobieta, kiedy po raz pierwszy muskasz jej ciało palcami. Kiedy to usłyszałem, zdałem sobie sprawę, że tortura nie skończy się na złamanym palcu, ale będzie trwała. Do samego końca.

Myślę, że to wtedy się poddałem. Coś się we mnie zamknęło. Wiedziałem, że to już koniec. Zacząłem umierać, powoli, głęboko w duchu. Przez chwilę myślałem o Kari. O ojcu. Nie wiedziałem, że płacę, dopóki Nina Hagen nie otarła czymś moich łez, szepcząc mi do ucha bezsensowne słowa. Potem przestałem myśleć. Potem był już tylko ból.

Niemal natychmiast złamała mi mały palec drugiej ręki, zaraz potem palec serdeczny. Próbowałem uderzyć potylicą w ścianę, żeby stracić przytomność, ale Hagen przechyliła się, porwała



z kanapy dużą poduszkę i wcisnęła mi ją za głowę. Kręciłem karkiem w tę i z powrotem, więc chwyciła młotek i przybiła poduszkę do ściany. Potem z całej siły uderzyła mnie młotkiem w rękę. Mógłbym przysiąc, że słyszę trzask pękających kości.

Wtedy przeszła do noża. Był to zwykły nóż tapicerski o wysuwanym ostrzu, którego długość można regulować. Nie cięła nazbyt głęboko, skoncentrowana i systematyczna w działaniu, unikała też ważnych organów. Widziałem jej usta, miękko rozchylone, i czułem, jak się do mnie przysuwa, jak zmienia pozycję. Była bardzo podniecona. Peleryna wypełniła się krwią; krew perliła się na plastiku, spływała strużkami na jej łono. Ciężko oddychała, jej pierś podnosiła się i opadała jak po długim biegu. Zdarzyło się, że jej ręka zacisnęła się na moim penisie, zważyła go na próbę, a cienki głosik gdzieś we mnie zawołał: „Nie! Tylko nie tam!” – i puściła go, w zamian za to wycinając kolejne szramy na mojej piersi.

Działała. Dyszała.

Nie usłyszałem, że drzwi się otworzyły. Moich uszu nie doszedł żaden dźwięk. Niny Hagen też nie. Przypuszczalnie krzyczałem, zagłuszając skrzypienie zawiasów, kroki na deskach podłogi.

Zobaczyłem ją ponad ramieniem Hagen, ale jej obecność początkowo do mnie nie dotarła, dawno bowiem przestałem odbierać sygnały z otoczenia, żyłem już tylko wewnątrz. Byłem pilnie zajęty agonią. Ujrzałem głowę. Jasnowłosą. I ciało.

Nina niczego nie zauważyła: była w transie, pochłonięta własnym podnieceniem. Nie zareagowała, dopóki głowa za jej plecami nie powiedziała: „Halo” głosem dość cichym, ale całkiem normalnym. Kobięcym głosem.

Te słowa wyzwoliły reakcję. Nina Hagen podskoczyła i zerwała

się na nogi tak szybko, że niemal straciła równowagę.

– Ty... – syknęła. Spostrzegłem błysk noża w jej ręce. – Ty... – powtórzyła. A może mówiła: „Giń”? Potem wykonała ruch; uniosła nóż i rzuciła się ku nowo przybyłej.

Chciałem krzyknąć ostrzegawczo, ale gardło, które jeszcze przed chwilą wyło z bólu, teraz kompletnie odmówiło mi posłuszeństwa. Wiedziałem, że jestem poważnie ranny: wzrok nie nadążał za tym, co się przede mną działo. Czułem się, jakbym oglądał nagranie z początków kinematografii – ruchy nagle zamarły, jak gdyby czas stanął w miejscu – po czym wszystko potoczyło się szybko, zbyt szybko, bym mógł to zarejestrować.

Głowę kobiety, która weszła, otaczał nimb, blask. Była czarnym aniołem, płonącym ostrzem – piękna, a zarazem straszliwa. Jakaś część mnie wiedziała, że mającę, że wcale tak nie jest. Przez moment bałem się, że nic z tego wszystkiego nie dzieje się naprawdę, że mam halucynacje i nikt nie przybył mi na ratunek, po prostu wyobrażam to sobie w głębi zdesperowanego umysłu.

Tak jednak nie było. Zobaczyłem, jak kobieta trafia Ninę Hagen w szyję czymś w rodzaju drewnianej pałki. Zobaczyłem to i usłyszałem odgłos celnego uderzenia, wymierzonego ze wszystkich sił: głuchy dźwięk, kiedy pałka zetknęła się z ciałem. Hagen przewróciła się na podłogę z hukiem, od którego drzenie przebiegło moje ciało, i wiedziałem, że to naprawdę się stało.

Kobieta zamachnęła się i uderzyła ponownie, w to samo miejsce.

Nina Hagen przewróciła się na bok i leżała z głową między moimi wyciągniętymi nogami. Patrzyłem, jak umierała. Potrzebowała na to trochę czasu. Próbowła zaczerpnąć powietrza przez zmiażdżoną krtani, złapała się rękami za szyję, a jej pierś unosiła się i opadała gwałtownie, przez chwilę rzucała się i bębniła

nogami w podłogę, ale wreszcie jej ciało ściał nagły spokój. Nie spuszczałem z niej wzroku, starałem się zajrzeć w oczy. Nie wiem, czego w nich szukałem – może śladu jakiegoś ludzkiego uczucia, gniewu, lęku, czegokolwiek, ale nie udało mi się. Dopiero kiedy zastygła, dojrzałem oko wpatrujące się we mnie spoza zasłony włosów, zakrywających jej twarz, wtedy jednak było już za późno. Oko było bez życia. Nic już nie widziało i nie miało żadnego wyrazu. Żadnej nienawiści, żadnego pożądania, namiętności czy strachu. W tej skorupie, którą kiedyś nazywano Niną Hagen, niczego więcej nie było.

Dopiero kiedy umarła, podniosłem wzrok i rozpoznałem Irene Godvik. Pochyliła się i mi przyjrzała. Nie mogłem rozszyfrować wyrazu jej oczu. Gdzieś tam, w głębi, coś drgnęło: jakaś myśl, jakieś uczucie, które nie przedostało się do jej świadomości.

– Pomóż mi – poprosiłem, ale mój głos rozniósł się w pokoju nikłym szeptem.

Jej spojrzenie przesunęło się po moim ciele – rękach, piersiach, pokrywającej mnie krwi.

– Dobrze – odparła po chwili, która wydała mi się wiecznością. – Zadzwoń po pomoc.

Kiedy już wykonała telefon, zaczęła ostrożnie luzować więzy na moich kostkach i nadgarstkach.

– Jak...?

– Ciii. Uspokój się, jesteś ciężko ranny.

– Tak – wyszeptalem. – Ale jak mnie tu znalazłaś?

– Śledziłam ją. Czekałam przed jej domem. Kiedy pojechała, ruszyłam za nią. – Uśmiechnęła się słabo. – Wiem, że zabroniłeś mi to robić, ale...

Nie odpowiedziałem. Krew zaczęła dopływać do moich rąk, a ból

był tak intensywny, że myślałem, iż znowu stracę przytomność. Pomogła mi się położyć i umieściła poduszkę pod moją głowę.

– Która godzina? – spytałem. Mój głos brzmiał, jakby dochodził z bardzo daleka, a słowa docierały do moich uszu w długi czas po tym, jak wypowiedziały je usta. Nieco mnie to wystraszyło.

Spojrzała na mnie zdumiona, ale zerknęła na zegarek.

– Jest czwarta w nocy. Lub, jeśli wolisz, nad ranem. Dlaczego pytasz?

– Muszę iść do sądu – odparłem i znowu straciłem przytomność.

## Rozdział 56

W istocie poszedłem do sądu, ale dopiero po trzech tygodniach, niedługo po tym, jak wstałem ze szpitalnego łóżka. Wciąż byłem słaby jak dziecko i przechodząc przez próg, musiałem wspierać się na Synne. Włożyliśmy togi i czekaliśmy. Hans Godvik był już na miejscu – podobnie jak Christer Bonde: ten ostatni siedział jak trusia na drugim końcu sali, wbijając wzrok w stół. Gdy weszli sędziowie, zaskrzypiały krzesła; wszyscy wstali, przy czym przewodniczący sądu spojrzał na mnie i rzekł: „Proszę usiąść, panie mecenasie”, gdy tylko przekroczył próg, ja zaś z wdzięcznością opadłem na miejsce. Miałem duży bandaż na głowie i rękę w gipsie. Koszula skrywała kolejne bandaże.

– Uraz głowy – powiedzieli w szpitalu. – Krwotoki. Złamanie czaszki. Umarłby pan, nieleczone. Reszta to drobnostki, powierzchowne rany.

Nawet jeśli była to prawda, w nocy wciąż dręczył mnie ból, a blizny na klatce piersiowej i ramionach za nic nie chciały zniknąć. Lekarze nie byli pewni, czy odzyskam pełną sprawność w lewej ręce.

– Jak państwu wiadomo – rzekł przewodniczący sądu – trzy tygodnie temu musieliśmy przerwać tę rozprawę przed wygłoszeniem mów końcowych ze względu na... różne okoliczności, które pewnie znają państwo z prasy. W związku z ich

wystąpieniem obecnie dysponujemy nowymi dowodami o rozstrzygającym znaczeniu dla sprawy. Prokuratura chciała początkowo wycofać akt oskarżenia, co zgodnie z prawem karnym procesowym jest formalnie możliwe do momentu orzeczenia winy. Jednak moim zdaniem, i za zgodą prokuratora, po wszystkim, co przeżył oskarżony Hans Godvik, z długą i wyczerpującą sprawą karną włącznie, zasługuje on na zakończenie rozprawy, werdykt i ogłoszenie wyroku w trybie otwartym dla publiczności. Taka możliwość istnieje zgodnie z paragrafem 279 prawa karnego procesowego. Minęło wprawdzie kilka tygodni, sprawa przybrała jednak taki obrót, że nie widzę powodu, by na nowo przedstawiać dowody. Panie prokuratorze, proszę zaczynać.

Christer Bonde wstał z ociąganiem. Zerknąłem na ławki dla publiczności. Siedziała tam Kari, a obok niej Peter. Peter patrzył na prokuratora, Kari zaś na mnie. Posłałem jej uśmiech.

Siedziała i patrzyła na mnie również tych kilka tygodni temu, kiedy zbudziłem się w szpitalu po operacji, wtedy jednak się nie uśmiechała. Gdy tylko wydobrzałem, zwymyślała mnie. Odwiedził mnie Peter. Odwiedziła mnie Synne. Wszyscy byli wściekli, wszyscy nazywali mnie idiotą. Przyjąłem to za znak, że się o mnie martwili.

Znowu spojrzałem na Kari. Chociaż nie widziałem po niej żadnych zmian, była w ciąży. Wyznała mi to przy szpitalnym łóżku, zaraz po tym, jak skończyła na mnie psioczyć. Powiedziała mi też, że ojciec płakał, kiedy przekazała mu tę wiadomość. Do mnie rzekł tylko: „Gratulacje” podczas odwiedzin, po czym dodał: „Dobra robota” tym samym tonem, co wtedy, gdy będąc chłopcem, uzyskałem dobry wynik w biegu na czterysta metrów.

– Wysoki sędzie, szanowna ławo przysięgłych – zaczął Christer

Bonde. – Zgodnie ze słowami przewodniczącego, sprawa Hansa Godvika przedstawia się teraz w całkiem innym świetle niż na poprzednim posiedzeniu, czego konsekwencje muszą uznać zarówno prokuratura, jak i sami przysięgli.

Po pierwsze – co w gruncie rzeczy nie wiąże się bezpośrednio z tą sprawą – zagadkę morderstwa córki oskarżonego uznać trzeba za rozwiązaną. Jak państwo wiedzą, Alvin Mo został oczyszczony z zarzutu o ten czyn tu, na tej sali rozpraw. Prokuratura dysponuje jednak filmem, który dokumentuje, że to Alvin Mo zabił Maję Godvik. Nie mam żadnego powodu, żeby wyświetlać ten film w sądzie. Obejrzenie go to... to żadna przyjemność, poza tym, jak już wspominałem, nie jest on bezpośrednio związany z tą sprawą. Konsekwencją nagrania jest natomiast fakt, że prokuratura uznała morderstwo Mai za wyjaśnione. Mordercą był Alvin Mo.

Nina Hagen jest winna współudziału w tej zbrodni. Zaplanowała zabójstwo razem z Mo i zapewniła mu fałszywe alibi w sądzie, również zgodnie z umową. Policja dysponuje mailami, które to dokumentują.

Na sali panowała głucha cisza. Nawet dziennikarze się nie odzywali. Christer Bonde odchrząknął.

– To, co przed chwilą powiedziałem, ma znaczenie również w niniejszej sprawie. W laptopie Niny Hagen znaleziono bowiem zdjęcia, które pokazują zabójstwo Alvina Mo. Robiono je w regularnych odstępach czasu w trakcie popełniania samej zbrodni. Mam przy sobie teczki ze zdjęciami, które rozdám przysięgłym.

Członkowie ławy przysięgłych wzięli skoroszyty i zajrzeli do nich ostrożnie. Wiedzieli, co ich czeka.

– To, co teraz robię, czyli łączenie mowy końcowej i prezentacji

dowodów, jest oczywiście dość nietypowe. Działam jednak w porozumieniu z adwokatem oraz sędziami. Oznajmiam państwu rzeczy bezsporne.

Kontynuował przegląd teczek wraz z ławą przysięgłych. Kiedy skończył, powiedział:

– Jak państwo sami rozumieją, jasne jest, że zdjęcia zrobiono podczas zabójstwa. Dowodzą tego zarówno rosnąca skala obrażeń Alvina Mo, jak i to, że na większości fotografii jeszcze żyje. Z tego względu prokuratura uznaje za oczywisty fakt, iż Nina Hagen, która posiadała te zdjęcia, jest również sprawczynią zabójstwa. Powodem zbrodni była najprawdopodobniej chęć wykluczenia możliwości, że Alvin Mo ją wyda.

Przerwał na chwilę i spojrzał na mnie. Przybrał neutralny wyraz twarzy, wydawało mi się jednak, że wciąż wyczuwam jego niechęć.

– Ta teoria znalazła dodatkowe potwierdzenie, gdy Ninie Hagen uniemożliwiono kolejny mord tego samego rodzaju, co zabójstwo Alvina Mo. Najprawdopodobniej podrzuciła ona materiał dowodowy do domu Hansa Godvika, ponieważ domyślała się, że z logicznego punktu widzenia będzie on głównym podejrzanym o dokonanie tej zbrodni.

Nasuwa się następujący wniosek: zgodnie z wszelkim prawdopodobieństwem to Nina Hagen zabiła Alvina Mo. Ponieważ sama już nie żyje, śledztwo nie może być kontynuowane.

Oskarżony w tej sprawie, Hans Godvik, jest niewinny i musi zostać oczyszczony ze stawianych mu zarzutów. – Urwał i spojrzał na Godvika. – Prokuratura składa przeprosiny w związku z okolicznościami, które sprawiły, że Hans Godvik został oskarżony i że wytoczono przeciw niemu sprawę.

O mnie nawet nie wspomniał. Nie żeby mnie to dotknęło.



Mogłem z tym żyć.

– Adwokat – rzekł przewodniczący i wstała Synne. Wskazała mnie i wyjaśniła, że moje możliwości wciąż są ograniczone. Następnie przeszła do swojej mowy, na którą potrzebowała nie więcej niż pięciu minut.

– Hans Godvik jest niewinny – zakończyła. – Nie ma co do tego żadnych wątpliwości, podobnie jak nie można wątpić, jaki werdykt wyda ława przysięgłych. Ale... – podniosła wzrok, jej spojrzenie przesunęło się po przysięgłych, oskarżycielu i sędziach – ...ten człowiek był o włos od skazania za morderstwo, którego nie popełnił. O włos. – Pokazała kciukiem i palcem wskazującym. – Prawo karne to poważna rzecz. Stanowi o życiu i śmierci. W tej branży niezbita pewność jest niebezpieczna. Groźna jest też arogancja. Krótkowzroczność. Oraz presupozycje. Tutaj mamy tragiczną sprawę z dobrym zakończeniem. Wszyscy powinniśmy z niej wyciągnąć wnioski. obrońcy, sędziowie, przysięgli. Oraz prokuratorzy.

Christer Bonde poczerwieniał. Wziął to do siebie, ja jednak wiedziałem, że słowa Synne były skierowane nie bardziej do niego niż do niej samej.

Przewodniczący sądu mówił niemal równie krótko. Na dobrą sprawę powiedział, że członkowie ławy przysięgłych mają się udać do sąsiedniego pokoju, by uniewinnić Hansa Godvika. Potem mogliśmy już tylko czekać. Wolałem zostać na miejscu. Znów rozboleła mnie głowa i nie wyobrażałem sobie spotkania z dziennikarzami.

Po kwadransie przysięgli wrócili na salę. Kiedy ich przewodniczący wstał i oświadczył, że odpowiedź na pytanie, czy Hans Godvik jest winny, brzmi „nie”, to nie towarzyszyło temu

napięcie, tylko mdła satysfakcja, poczucie, że wszystko się skończyło, że ostatni rozdział został zamknięty.

Zerknąłem na Hansa Godvika. Ociężale podniósł się z krzesła i podszedł do mnie.

– Dziękuję – powiedział. – Jak się pan czuje?

– Dobrze – odparłem. – A pan? – Spojrzałem na jego twarz, na włosy, które przez ostatni rok posiwiały, na linie i zmarszczki, których wcześniej u niego nie widziałem, i dodałem: – Może pan wrócić do życia. To już koniec.

Wiedziałem jednak, że to nieprawda. Życie Hansa Godvika runęło w dniu, gdy zamordowano jego córkę. Udało mi się oczyścić go z zarzutu morderstwa, był jednak jak rozbity kubek, który ktoś spróbował skleić. Odłamki nie pasowały do siebie, pęknięcia pozostały widoczne. Dla Hansa Godvika ta sprawa nigdy już nie miała się skończyć.

## Rozdział 57

Odwiedziłem Króla Słońce. Dwa dni wcześniej zadzwoniłem do niego z prośbą, żeby znalazł dla mnie w archiwum akta starej sprawy. Nie byłem już wyrzutkiem, obecnie zaskarbiłem sobie względy policji, więc Król Słońce obiecał, że to załatwi. Czekał na mnie w swoim gabinecie.

– Tu je masz – powiedział. – Nie rozumiem tylko, co zamierzasz z nimi zrobić. Sprawa się skończyła.

– To jedynie luźny wątek. Coś, o czym od dawna myślałem i co muszę zrozumieć.

– W porządku – podał mi teczkę – ale nie znajdziesz tu wiele, sprawę umorzono. Poczytaj sobie.

Dokumentacja składała się może z dziesięciu stron, mnie jednak wystarczyła sama treść meldunku. Jej przeczytanie zajęło mi dwie minuty i od razu wypatrzyłem to, czego potrzebowałem. Zwróciłem teczkę Królowi Słońce.

– Dziękuję.

– To wszystko? Znalazłeś to, czego szukałeś?

– Być może. Tak mi się wydaje.

– I nie zdradzisz mi, cóż to takiego?

– Nie – odparłem. – Jak słusznie zauważyłeś, sprawa się zakończyła.

Słońce grzało mnie w twarz, gdy zatrzasnąłem drzwiczki samochodu, powoli wszedłem po podejździe i zadzwoniłem do drzwi.

– Cześć, Irene – przywitałem się, kiedy mi otworzyła. – Mogę wejść?

Jej kuchnia była wysprzątana i aż lśniła. Siedzieliśmy naprzeciw siebie, pijąc kawę. Okno było uchylone. Z zewnątrz dobiegał nas śmiech bawiących się dzieci, ich wesołe głosy. Irene Godvik miała w sobie jakieś napięcie, czujność.

– Gratuluję umorzenia sprawy o zabójstwo Niny Hagen – powiedziałem. – Wczoraj się dowiedziałem. Szybko poszło.

– Tak – odparła. – Dzięki tobie, dzięki twojemu zeznaniu.

– Ono z pewnością pomogło. Ale sprawa tak czy inaczej skończyłaby się w ten sposób. Nina Hagen była niebezpieczną kobietą. Doszłoby do umorzenia z uwagi na konieczność samoobrony.

– Może i tak – przyznała.

Dzieci na dworze zaczęły krzyczeć głośniej, Irene zerwała się i zamknęła okno. Mówiłem to, co myślałem. Policja tak czy owak doszłaby do wniosku, że Irene działała w obronie własnej. Nie sądziłem, by mieli ochotę wytaczać kolejną sprawę przeciwko komuś z rodziny Godvików, ja jednak w głębi ducha wciąż widziałem twarz Niny Hagen, gdy została trafiona w szyję. Raz, tak że z szoku szeroko otworzyła oczy. I ponownie. Tym razem dla całkowitej pewności.

Zapadła między nami cisza. Westchnąłem i powiedziałem:

– Dzisiaj sprawdziłem akta pewnej sprawy. I potwierdziły się moje podejrzenia.

– Jakie podejrzenia? – Spojrzała mi w oczy, ale szybko odwróciła

wzrok.

– To nieduże miasto. Nie ma w nim wielu domów dziecka. A większość dzieci, które tracą rodziców lub którymi zajmuje się urząd do spraw nieletnich, trafia do domów zastępczych.

Z jej twarzy nie dało się niczego wyczytać, zamknęła się w sobie. Mimo to mnie słuchała.

– Ty i Alvin Mo byliście równolatkami. Zrozumiałem, że musieliście mieszkać w domu dziecka w tym samym okresie.

Cisza. Objęła się ramionami, tak jakby marzła.

– Mo opowiedział mi, że oskarżono go o zgwałcenie dziewczynki, która mieszkała w tym samym domu dziecka. Triumfował, kiedy mi o tym mówił, bo sprawę umorzono, jego zdaniem dowodziło to zaś, że dziewczyna kłamała.

Coś rozbłysło w jej oczach, może gniew.

– Sprawdziłem akta policyjne dotyczące tej sprawy. Ofiarą gwałtu miała być niejaka Irene Nilsen. To twoje nazwisko panińskie. Przed ślubem nazywałaś się Nilsen. W wieku czternastu lat zostałeś zgwałcona przez Alvina.

– To częste nazwisko – mruknęła bez przekonania, a ja potrząsałem głową.

– Nie, Irene, chodzi o ciebie. Ta sama data urodzenia, ten sam numer personalny.

Jej ręce błądziły po blacie, szukając czegoś do uprzątnięcia: zgarnęła okruchy ze stołu, położyła długopis obok łyżeczki.

– Dlaczego nie opowiedziałaś o tym podczas rozprawy Alvina Mo?

– Wtedy nikt nie dał mi wiary, czemu więc miałoby zrobić to teraz? – Spoglądała na mnie, potrząsając głową. – Nie mogłam uwierzyć, kiedy odkryłam, że to on... że to on wyrządził Mai tę krzywdę – powiedziała cicho. – Tak jakby... jakby ziściły się

wszystkie moje koszmary. Zniszczył mi życie, po czym zrobił to... jeszcze... jeden... raz. Nigdy by mnie nie zostawił w spokoju. Prześladowałby mnie do śmierci.

Nie sądziłem, żeby Mo to zaplanował. Kiedy zabijał Maję, przypuszczalnie nawet nie zdawał sobie sprawy, że była ona córką Irene. Widziałem w tym raczej przypadek, jeden z tych szalonych i nieprawdopodobnych zbiegów okoliczności, którymi raczy nas życie. Ale może nie było to znowu takie przypadkowe. Przypomniałem sobie zdjęcie Mai stojące w jej pokoju: dziewczęca twarz, ufna i niedojrzała. Za maską dorosłej Irene Godvik, za tym krajobrazem rozrysowanym przez życie mogłem dostrzec podobieństwo do córki. Miały w sobie tę samą kruchą bezradność. Pomyślałem, że właśnie to je łączyło – coś, czego nie da się zdefiniować, a co napastnicy rozpoznają w mgnieniu oka, dokładnie tak, jak drapieżniki znajdują najslabsze osobniki w stadzie. Alvin Mo dostrzegł to u nich obu i wybrał je na ofiary.

Nie powiedziałem tego Irene Godvik.

– Być może – przyznałem. – Czy to dlatego zabiłaś Mo?

Te słowa jej nie zszokowały. Nie odpowiedziała, po prostu siedziała na krześle, wbijając wzrok w przestrzeń, odległa i niedostępna. Wydało mi się, że jest w swoim własnym świecie i że dzieli nas ogromny dystans, tak jakby kuchenny obrus w czerwoną kratę był krajobrazem, przez który nie mogłem przejść.

– Czy to dlatego, Irene?

Wciąż nie odpowiadała, więc kontynuowałem:

– Wiem, że to byłaś ty. Spędziłem wiele czasu w domu Niny Hagen na wsi. Przejrzałem całą zawartość jej komputera. Sprawdziłem wszystkie jej zdjęcia, bo szukałem dowodu na to, że zabiła Alvina Mo. Właśnie po to tam pojechałem. Kiedy siadłem do

jej laptopa, nie było w nim żadnych zdjęć Mo. Żadnych. Gdy jednak komputer przeszukała policja, jakimś cudem się tam znalazły. Mogły trafić na twardy dysk tylko w jeden sposób – ty je wgrałaś. Miałaś dużo czasu, by to zrobić, kiedy leżałem nieprzytomny. Wiem, że go zabiłaś.

Nadal była cicha, nadal odległa. Czułem się, jakbym mówił do siebie.

– Powinienem był zrozumieć to wcześniej, kiedy Hans powiedział mi, że pragnęłaś zemsty równie mocno, co on. Wszyscy skupiali się na Hansie, dlatego że to jego widziano przed domem Mo, to on mnie nachodził, to on napisał na kartce imię i nazwisko zabójcy, po czym narysował nad nim krzyż. Myślę, że również dlatego, iż jest mężczyzną. Twój motyw był jednak równie silny, a alibi w rzeczywistości niewiele warte. Powinienem był wcześniej się tego domyślić, tak samo jak policja. Jak udało ci się to zrobić? Czy zaczekałaś po prostu, aż siostra zaśnie, żeby udać się do miasta, spełnić swoją powinność i wrócić?

Wreszcie się odezwała, głosem tak spokojnym i zwykłym, jakbyśmy rozmawiali o pogodzie.

– To było proste. Moja siostra za dużo pije, podobnie jak ja, ale nie lubi się do tego przyznawać. Kiedy już zasnęła, nie miałam najmniejszego problemu z pożyczeniem jej samochodu, by pojechać do miasta, załatwić... swoje sprawy... i wrócić.

Skinąłem głową.

– Tak. Ale dlaczego nie pozbyłaś się taśmy i zakrwawionej torby?

Wzruszenie ramion.

– Nie pomyślałam... nie wiedziałam, że mogą porównać krawędzie taśmy. A torba... Zanim włożyłam do niej noże i ubrania, których użyłam, zapakowałam je do reklamówki. Nie wiedziałam,

że do torby przedostała się krew. W reklamówce musiała zrobić się dziura. Pewnie to któryś z noży, nie wiem.

– Co zrobiłaś z reklamówką?

– Włożyłam do niej kilka kamieni i wrzuciłam ją do fiordu.

– Zastanawiałem się nad inną rzeczą...

– Tak?

– Kiedy aresztowano Hansa... a jego sytuacja coraz bardziej się pogarszała... nie myślałaś o tym, by wystąpić, zgłosić się na policję?

Irene Godvik nieco poczerwieniała, ale kiedy odpowiedziała, w jej głosie był upór:

– Nie. On powinien był to zrobić... Mieliśmy umowę... To on miał zabić Mo, ale mu się nie udało. Po tej nocy, kiedy był u ciebie, całkiem się załamał. Zabicie Mo należało do niego.

– Dlaczego?

– Bo to jego wina... Gdyby tamtego dnia nie pokłócił się z Mają, poszłaby do szkoły. Nic by się nie wydarzyło.

Spojrzałem na nią z rezygnacją.

– To był przypadek, Irene. Chciałaś, żeby Hans go odpokutował?

Nie odpowiedziała, ale rozpoznałem wyraz jej oczu – uparty, nieprzystępny.

– Cóż – westchnąłem. – Zapomnij. Hans został uniewinniony. To już koniec.

– Tak.

Siedzieliśmy naprzeciw siebie w milczeniu. Wstała i nie pytając, dołała mi kawy: banalna czynność, która zniosła dystans między nami, tworząc jakiś rodzaj intymności.

– Co będzie z Hansem? – spytałem. – Z wami?

– Nie wiem. Hans mieszka tymczasem u brata. Nie wiem, co z nami będzie. To zależy od...



– Od czego?

– Między innymi od ciebie. Co zamierzasz zrobić? Pójść na policję?

Wolno pokręciłem głową.

– Nic nie planuję z tym robić. Chciałem tylko wiedzieć.

– Dlaczego nie podasz mnie na policję?

Zastanowiłem się. Było to dobre pytanie i nie miałem pewności, czy znam na nie odpowiedź. Irene Godvik była morderczynią. Bez względu na to, ile przecierpiała, na jakie próby wystawił ją los, nie uprawniało jej to do zabójstwa. Wiedziałem, że jej osąd należy do społeczeństwa i że z pobudek moralnych i zawodowych powinienem przekazać ją w ręce sprawiedliwości.

– Uratowałaś mi życie tamtej nocy – powiedziałem.

Była to prawda, ale niecałkowita. Czułem się zmęczony. Do szpiku kości zmęczony całą tą sprawą. Nie chciałem jej przedłużyć. Chciałem, by zmarli odpoczywali w pokoju, a żyjący szli dalej przez życie, najlepiej, jak mogli. Czułem oddech Niny Hagen na twarzy, jej podniecenie, kiedy przecinała moją skórę. Pogodziłem się z myślą, że umrę. Nie byłem już tym samym człowiekiem. Ta noc mnie zmieniła, przesunęła moją perspektywę, kazała skupić się na czym innym. Sprawa pochłonęła już zbyt wiele ofiar. Maja. Hans Godvik. Irene. Nawet Alvin Mo padł czyjąś ofiarą i umarł w męczarniach. Nina Hagen także straciła życie – a obrazem, który w sobie zachowałem, nie była jej twarz tej ostatniej nocy. Był to obraz dziewczynki w koszuli nocnej na pustej leśnej drodze. Dziewczynki, która stoi z kciukiem w buzi, przyglądając się wrakowi samochodu.

– Jaki to miałyby sens? – dodałem. – Już po wszystkim. Przecież nikogo więcej nie zabijesz? Ryzyko, że sytuacja się powtórzy, nie

istnieje.

Była też inna przyczyna, do której nawet przed sobą ledwo śmiałem się przyznać. Widziałem Irene Godvik tej nocy, gdy weszła do pokoju, w którym Nina Hagen zabijała mnie powoli, lecz nieubłaganie. Widziałem ją i nie byłem w stanie jej rozpoznać; otaczało ją światło. Zobaczyłem w niej czarnego anioła. Jej postać zdawała się promieniować tajemniczą i nieznaną siłą. Nie jestem człowiekiem przesądnym. Rozumiałem, że to, co wtedy ujrzałem, musiało wynikać z urazu czaszki. Mimo to nie byłem tego w stanie zapomnieć.

Kiedy wstałem, szykując się do wyjścia, wciąż zeszywniały i niezdarny z powodu doznanych obrażeń, a Irene uprzejmie podniosła się z za stołu, by mnie odprowadzić, zadałem jej ostatnie pytanie. Cały czas o nim myślałem, ale nie potrafiłem go zadać. Wreszcie jednak się przemogłem.

– Jeszcze coś, Irene. Alvin Mo... Wszystko, co mu zrobiłaś... Jak mogłaś? Jak zdobyłaś się na takie rzeczy?

Przyglądałem się jej, zwyczajnej kobiecie w zwyczajnej kuchni, do której spomiędzy zasłon zaglądało wiosenne słońce, a z ogrodu sąsiada dobiegały głosy bawiących się dzieci. Po raz pierwszy tego popołudnia, a może odkąd ją znałem, jej wzrok stał się szczery, wyzuty ze wszelkiej przebiegłości. Nie miała już nic do ukrycia.

– To nie było trudne – odparła. – Myślałam o tym, co on zrobił Mai. Cały czas myślałam o Mai. Myślałam o mojej córeczce.

I jej oczy w jednej chwili wypełniły się łzami.

## Posłowie

Uważny czytelnik spostrzeże, że zarówno sprawa Alvina Mo, jak i Hansa Godvika trafiają od razu do norweskiego sądu apelacyjnego. Jest to niezgodne z rzeczywistością, w której sprawę o zabójstwo najpierw rozpatruje sąd rejonowy, a dopiero później apelacyjny. To, co przyczynia się do wzmożenia obiektywności procesu, zarazem zabija napięcie w kryminale, dlatego też postanowiłem, że rzeczywistość musi ustąpić dramaturgii.

# **Na własną rękę**

**Spis treści**

[Okładka](#)

## Karta tytułowa

W serii

## Dedykacja



## Rozdział 1

## Rozdział 2

## Rozdział 3

## Rozdział 4

## Rozdział 5

## Rozdział 6

## Rozdział 7

## Rozdział 8



## Rozdział 9

## Rozdział 10

## Rozdział 11

## Rozdział 12

## Rozdział 13

## Rozdział 14

## Rozdział 15

## Rozdział 16



## Rozdział 17

## Rozdział 18

## Rozdział 19

## Rozdział 20

## Rozdział 21

## Rozdział 22

## Rozdział 23

## Rozdział 24



## Rozdział 25

## Rozdział 26

## Rozdział 27

## Rozdział 28

## Rozdział 29

## Rozdział 30

## Rozdział 31

## Rozdział 32



## Rozdział 33

## Rozdział 34

## Rozdział 35

## Rozdział 36

## Rozdział 37

## Rozdział 38

## Rozdział 39

## Rozdział 40



## Rozdział 41

## Rozdział 42

## Rozdział 43

## Rozdział 44

## Rozdział 45

## Rozdział 46

## Rozdział 47

## Rozdział 48



## Rozdział 49

## Rozdział 50

## Rozdział 51

## Rozdział 52

## Rozdział 53

## Rozdział 54

## Rozdział 55

## Rozdział 56



## Rozdział 57

## Posłowie

## Karta redakcyjna

Tytuł oryginału norweskiego *Fare for gjentakelse*  
© 2007 by N.W. DAMN & SØN AS  
© Copyright for the Polish edition by  
Wydawnictwo Nasza Księgarnia, Warszawa 2012

Projekt okładki *Marta Weronika Żurawska-Zaręba*

Zdjęcia na okładce:

© Mastertasso | [Dreamstime.com](http://Dreamstime.com)

© sveres/ stock.xchng

© mjo/ stock.xchng

Zdjęcie autora:

© Fredrik Arff

Wydano z pomocą finansową NORLA.

Redaktor prowadzący *Anna Garbal*  
Opieka merytoryczna *Magdalena Korobkiewicz*  
Korekta *Katarzyna Sobiepanek-Szczęсна,*  
*Malwina Łozińska*  
Przygotowanie pliku do konwersji  
*Agnieszka Dwilińska-Łuc*

ISBN ISBN 978-83-10-12376-3

Plik wyprodukowany na podstawie *Na własną rękę,*  
Warszawa 2012



[www.wnk.com.pl](http://www.wnk.com.pl)

Wydawnictwo NASZA KSIĘGARNIA Sp. z o.o.  
02-868 Warszawa, ul. Sarabandy 24c  
tel. 22 643 93 89, 22 331 91 49,  
faks 22 643 70 28  
e-mail: [wnk@wnk.com.pl](mailto:wnk@wnk.com.pl)



Plik ePub opracowany przez firmę eLib.pl  
al. Szucha 8, 00-582 Warszawa  
e-mail: kontakt@elib.pl  
[www.eLib.pl](http://www.eLib.pl)

# CHRIS

NA WŁASNA, REKE

# TVEDT



CHRIS TVEDT TO NOWA GWIAZDA SKANDYNAWSKIEGO KRYMINAŁU

